



Anita Nair

Przedział dla pań

powieść w częściach

Gdybyśmy miały czekać, aż same wejdziemy do pokoju, serca tylko niewielu z nas rozkwitłyby jak kwiat na dźwięk przekreślanej klamki. Ale walczymy o nasze prawa, nie pozwolimy, by ktokolwiek odebrał nam oddech, i przeciwstawiamy się wszelkim próbom przeszkodzenia nam w postępowaniu się własną wolą.

Rebecca West

1

Tak było zawsze: zapach peronu kolejowego w nocy budził w Akhili myśl o ucieczce.

Długi betonowy korytarz wychodzący w noc, podzielony na sektory tablicami informacyjnymi, światłem i cieniem dworcowych lamp. Przesuwające się wskazówki zegara, nadające natarczywy rytm jazgotowi umieszczonych wysoko telewizyjnych ekranów i skrzypieniu wyładowanych koszami i workami wózków. Trzask megafonów, ozywających z sykiem, by zapowiedzieć przyjazd lub odjazd pociągu. Jaśmin we włosach, pot i olejek do włosów, talk i zjełczałe jedzenie, wilgotne worki jutowe i przenikliwy zielonkawy smród bambusowych koszy. Akhila oddychała tym wszystkim i znowu myślała o ucieczce. Falowanie ludzkiego tłumu, a wszyscy ci ludzie uciekają do wspaniałości, jakich nie potrafiła sobie nawet wyobrazić.

Akhila często o tym śniła. O byciu częścią takiej fali, wlewającej się w przedziały, sadowiącej na siedzeniach, układającej bagaż i ściskającej w dłoniach bilety. O tym, żeby usiąść plecami do świata, z oczyma patrzącymi naprzód. Żeby wyjechać. Żeby oddalić się. Żeby wyruszyć. Żeby uciec.

Ale prawda jest taka, że Akhila nigdy dotąd nie kupiła biletu na ekspres. Nigdy nie wsiadła do nocnego pociągu, jadącego do miejsca, w którym jeszcze nie była.

Akhila jest tego rodzaju kobietą. Robi, czego od niej oczekują; śni o całej reszcie. Dlatego właśnie zbiera określenia nadziei, jak dzieci zbierają odcinki biletów. Dla niej nadzieja jest nierozzerwalnie związana z nieodwzajemnionymi pragnieniami.

Jasne niebo, promyk słońca, wyrwa w chmurach. Akhila wie, że to tylko złudzenia, spowodowane włożeniem różowych okularów. Dawno już rozdeptała swoje różowe okulary i przerzuciła się na szkła w metalowych oprawkach, które są jasne w domu, ale ciemniej po wyjściu na dwór. Nawet słońce przestaje świecić, kiedy okulary Akhili przybierają przydymioną brązową barwę.

Więc to jest właśnie Akhila. Czterdziestopięcioletnia. Bez różowych okularów. Bez męża, dzieci, domu i rodziny. Śniąca o ucieczce i przestrzeni. Spragniona życia i przeżywania. Marząca o tym, by się w nie włączyć.

#

Akhila śni: pociąg wtacza się, wjeżdża, wpada na stację. Akhila siedzi przy oknie. Wszystko oprócz pociągu jest nieruchome. Księżyc zawisł nad jej ramieniem i jedzie wraz z nią. Podróżuje poprzez galerię nocnych pejzaży, oprawionych w ramy okna. Światło w domu. Rodzina skupiona przy palenisku. Wyjący pies. Dalekie miasto. Czarne oleiste wody rzeki. Groźne wzgórze. Wijąca się droga. Przejazd kolejowy z latarnią, której światło odbija się w okularach mężczyzny na nieruchomym skuterze, z rękami zwieszonymi wzdłuż boków, obcasem wbitym w ziemię, przechyloną głową, patrzącego, czekającego, aż pociąg pogna w noc.

Na stacji portrety ustępują miejsca impresjom. Powitania. Pożegnania. Uśmiech. Łzy. Gniew. Irytacja. Niepokój. Nuda. Bezruch. Akhila widzi je wszystkie. Pociąg powoli rusza.

Akhila śni o byciu tam. I nie tam. O dodawaniu wspomnień, chwila po chwili.

#

Akhila nie była istotą impulsywną. Nie spieszyła się z podejmowaniem decyzji. Zastanawiała się, radziła, przespiała z tym, i dopiero po rozważeniu wszystkich niuansów i punktów widzenia postanawiała, co zrobi.

Mówiły o tym nawet jej sari. Krochmalone bawełniane sari, wymagające dużo planowania i myślenia naprzód. Nie tak jak zwiewne szyfony i sztuczne jedwabie ze sklepu z gotową konfekcją. Te były dla osób, które codziennie rano co najmniej sześć razy zmieniały zdanie, zanim zdecydowały się, co na siebie włożą. Dla kapryśnych i nieodpowiedzialnych. Krochmalone sari wymagały systematycznego umysłu, a Akhila szczyliła się tym, że jest osobą zorganizowaną.

Ale kiedy obudziła się tamtego ranka, wytrącona ze snu przez maleńką muchę o zwiewnych skrzydełkach i jędrnym czarnym ciałku, beznadziejnie zagubioną, bezdomną i zdenerwowaną, krążącą z bzyčeniem nad jej twarzą, Akhilę ogarnęło dziwne podrózne uczucie. Następstwo snu z poprzedniej nocy, pomyślała.

Na mgnienie oka mucha przysiadła na jej czole i zaczęła dziarsko pocierać łapki. Muchy robiły to cały czas; zbierając i zrzucając choroby i rozpacz. Ale ta, dopiero co dorosła, nie miała do zrzucenia nic oprócz zarodków niepokoju. Akhila strzepnęła muchę, lecz owad zdążył już wykonać swoje zadanie. Płatanina podobnych do czerwii pojęć popłynęła przez czerwień krwi i myśli, aż Akhila zapragnęła wsiąść do pociągu. Wyjechać. Pojechać w jakieś miejsce. Może na koniec świata. Do Kanyakumari.

W Kanyakumari spotykają się trzy wody. Zatoka Bengalska, Ocean Indyjski i Morze Arabskie. Cichy męski ocean otoczony przez dwa niespokojne kobiece morza. Akhila słyszała, co się wydarzyło w Kanyakumari, tylko że wtedy nazywało się to Przylądek Komoryn, że Wiwekanada rzucił się w spienione wody i sole trzech mórz i popłynął do skały, na której siedział cierpliwie, czekając, aż spłyną na niego odpowiedzi, które umykały mu przez całe życie. Czytała, że w Kanyakumari Bogini, tak jak ona, odłożyła swoje życie na później. I że tamtejsza plaża jest z wielobarwnego piasku; skamieniałych resztek weselnej uczy, której nigdy nie podano ani nie spożyto.

Akhila leżała na swoim łóżku, wpatrując się w okno, i nagle postanowiła, że wyjedzie. Dzisiaj wieczorem.

Padmie to się nie spodoba, wiedziała o tym. Ostatnio jej siostra odnosiła się podejrzliwie do wszystkiego, co Akhila zrobiła czy powiedziała. Akhila poczuła, że jej usta zaciskają się w wąską kreskę. Padma nazywała to ustami starej panny, ustami Akki: zaciętymi, stanowczymi, nietolerującymi, żeby ktokolwiek się wtrącał.

Wstała z łóżka i podeszła do kalendarza wiszącego na ścianie. Przesunęła wzrokiem po datach. 19 grudnia 1997. Wkrótce koniec roku, pomyślała Akhila, a potem, nie wiedząc czemu, zaczęła szukać igły, którą trzymała wbitą w papier. Przewleczona białą nitką, zawsze w pogotowiu na wypadek nagłej potrzeby - oblużowanego haczyka, prującego się rąbka... Igła zniknęła. Pewnie wzięła ją któraś z dziewczynek, a potem zapomniała wbić na miejsce. Ciągłe to robiły, nieważne ile razy prosiła je, żeby odkładały igłę na miejsce. To, i lustro przy umywalce upstrzone rdzawoczerwonymi krążkami filcu - samoprzylepnymi bindi, które zdrapywały ze swoich umorusanych czoł i przylepiały do lustra, gdzie czekały na ponowne użycie - zadecydowało. Wyjedzie. Musi, bo inaczej zwariuje zamknięta w ścianach domu i życia, jakiego od niej oczekiwano

Akhila otworzyła szafę i wyjęła czarno-czerwone madurajskie sari ćungdi. Bawełniane i krochmalone, ale kolory i złote zari zaskoczą Padmę. Akhila dawno już przestała nosić żywe barwy, by ukryć się za burościami ćmy. Tak, tego ranka Akhila jest motylem. Z magicznymi barwami i radosnym zapamiętaniem. Gdzie się podziała ćma? Dlaczego twoje skrzydełka nie są złożone? Dlaczego nie próbujesz wtopić się w tło? Dlaczego nie chowasz się między zasłonami, pytały oczy Padmy.

Padma pojęła, że ten dzień będzie inny od wszystkich dotychczasowych, pomyślała Akhila, dostrzegłszy wyraz zdumienia, który przemknął przez twarz siostry. Nikt nie powie, że jej nie ostrzegłam

- Ale przecież nigdy dotąd nie musiałaś wyjeżdżać służbowo - powiedziała Padma, kiedy przy śniadaniu Akhila powiadomiła ją o wyjeździe. Akhila zaczęła, aż skończy jeść - trzy idli, mała miseczka sambaru i kubek parującej kawy - i dopiero wtedy wspomniała o podróży. Wiadomo, że Padma będzie protestować; zrobi z tego aferę, a może nawet urządzi awanturę, a to wszystko odbierze Akhili apetyt. Akhila wiedziała to równie dobrze, jak to, że oczy Padmy zwężą się podejrzliwie.

Kiedy Akhila nie odpowiedziała, Padma zaczęła naciskać: - Nie uważasz, że to dość nagle?

Na krótką chwilę na ustach Akhili zadrgało kłamstwo: To urzędowa praca. Dowiedziałam się dopiero wczoraj.

Ale dlaczego?, spytała sama siebie. Nie jestem jej winna żadnych wyjaśnień. - Tak, to dosyć nagle - przyznała.

- Jak długo cię nie będzie? - Padma przyglądała się błyszczącymi od wątpliwości oczami, jak Akhila się pakuje. Akhila wiedziała o czym Padma myśli. Jedzie sama czy w czyimś towarzystwie? Może mężczyzny? Nozdrza Padmy zadrgały, jakby wyczuwały zapach niedozwolonego romansu.

- Kilka dni - powiedziała. Jest coś przyjemnego w udzielaniu niejasnych odpowiedzi, stwierdziła Akhila, kiedy zobaczyła wyraz twarzy Padmy.

#

Wszystkie dworce pachną tak samo. Akhila zacisnęła nos. Za chwilę wolno wciągnie powietrze. Po dwudziestu latach podróżowania do pracy i z powrotem podmiejskimi pociągami była przyzwyczajona do tego, co innym kazało krzywić się z obrzydzeniem. Jednak granicę stanowiła ryba. Poczekała, aż tragarze przeciągną kosz z rybami na drugi koniec stacji. Kiedy zniknęli, podeszła na skraj peronu i popatrzyła w dół, na tory. Długie linie metalu biegnące aż po horyzont. Nie potrzebowała przychodzić na dworzec, ale czuła, że musi obejrzeć w dziennym świetle miejsce, z którego miała zacząć się jej ucieczka. Na peronie nie było żywej duszy. A mimo to czuła ssanie w dołku, jakby lada minuta pociąg, do którego wsiądzie, miał wjechać na stację, i nadejdzie chwila odjazdu. Akhila uśmiechnęła się ze swojej własnej głupoty. Udała się do okienka rezerwacji, gdzie czekała na nią Nilufer.

Przed okienkiem stała długa kolejka. Długa kolejka, złożona przeważnie z kobiet. Mężowie, bracia, czasami ojcowie trzymali straż, kręcąc się w pobliżu, kiedy ich kobiety stały, skręcając w dłoniach pallu sari, przestępując z nogi na nogę, czekając na swoją kolej.

Akhila przeczytała tablicę nad kolejką. „Panie, osoby starsze i niepełnosprawne”. Nie wiedziała, czy ma się czuć wściekła, czy uhonorowana. W geście Dyrekcji Kolei, która uznała, że kobieta nie powinna być narażona na szum i zamieszanie, lubieżne spojrzenia i obmacujące dłonie, spocone pachy i przekleństwa, stanowią-

ce część doświadczenia stania w kolejce ogólnej, był pewien staroświecki urok, niecodzienna galanteria. Ale po co psuć to przydzielaniem kobiet do tego samego klubu, co osoby starsze i niepełnosprawne? Akhila stłumiła westchnienie i rozejrzała się za Nilufer.

W którymś z poprzednich wcieleń Nilufer musiała być pszczołą. Ciągłe angażowała się w jakieś przedsięwzięcia. Przez pewien czas była to chińska kuchnia; później pikowanie; a ostatnio zaś szycie. Oznaczało to, że nigdy nie brakło jej tematów do rozmowy. Wystarczyło tylko słuchać, mówienie brała na siebie Nilufer. Jednak mimo swojej gadatliwości Nilufer była jedną z niewielu osób, które Akhila lubiła i poważała. Nie wtrącała się w cudze sprawy. Nie plotkowała, była bardzo pracowita i kompetentna. Nie była Katherine. Ale Akhila nie szukała drugiej Katherine.

- Nilufer - powiedziała Akhila, wchodząc do biura podatkowego - czy możesz załatwić mi bilet na nocny pociąg do Kanyakumari, na dzisiaj?

- Dlaczego? Co tam się dzieje? - Podkreślone kohlem oczy Nilufer rozszerzyły się pytająco. Nilufer lubiła się ubierać. Nosiła mnóstwo biżuterii, malowała się i wybierała sari pasujące do ozdób.

- Czy musi coś się dziać, żebym chciała gdzieś pojechać? - zripostowała Akhila.

- To będzie trudne. Jest szczyt sezonu i wszyscy chcą jechać do Nerali na święta, no i jeszcze tłumy wiernych podróżujących do Sabarimala - powiedziała Nilufer, kartkując plik papierów. - Ale moja przyjaciółka w okienku rezerwacji coś znajdzie. Zwłaszcza kiedy powiem jej, że to dla ciebie. Już do niej dzwonię.

Kilka minut później uśmiechnięta Nilufer podeszła do jej biurka. - Załatwione. Pojadę tam pół godziny przed przerwą obiadową. Ty możesz dojechać trochę później.

Akhila dostrzegła Nilufer. Stała obok urzędniczki w okienku rezerwacji, pograżona w rozmowie. Gawędziły, nie zważając na wściekłe spojrzenia czekających w kolejce interesantów. Akhila podniosła ukradkiem dłoń. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi, pomyślała, dając znak ręką. Oczy Nilufer spotkały jej spojrzenie przez szybę. Jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech; pomachała trzymanym w dłoni biletem.

- Naprawdę się starałam, ale pociąg jest pełny. Nie ma miejsc ani w sleepingu, ani w drugiej i pierwszej klasie. Znalazłam ci kuszetkę w drugiej klasie, ale za to w przedziale dla pań. Może być? Będziesz skazana na pięć kobiet, które będą chciały poznać historię twojego życia. - Złote dzwoneczki w jej uszach zabrzęczały cichutko.

Akhila uśmiechnęła się. - Właśnie tego mi trzeba - mruknęła, wyciągając książeczkę czekową.

Akhila przyjechała na dworzec Cantonment Madras pół do dziewiątej wieczorem. To było tylko kilka minut drogi od jej mieszkania. Ale chciała jak najszybciej wyjść z domu. Jakby podjąwszy wreszcie decyzję, chciała czym prędzej strząsnąć ze swoich stóp domowy pył.

- Jak sama dostaniesz się na dworzec? - zapytała Padma, kiedy Akhila wróciła wieczorem z pracy.

- Przecież jadę sama.

- Ale będzie już późno, kiedy wyjdiesz z domu.

Akhila odpowiedziała, powściągając irytację: - Nie przejmuj się. Jest całe mnóstwo autorykszy, a one są zupełnie bezpieczne. Poza tym do dworca jest bardzo blisko.

Padma nie dała jednak za wygraną i ostatnie słowa, jakie Akhila usłyszała, wychodząc z domu, były podszyte rozdrażnieniem.

- Nie wiem, co powiedzą Narayan Anna i Narsi Anna, kiedy dowiedzą się, że wyjeżdżasz tak nagle i do tego zupełnie sama...

Ale Akhila już jej nie słuchała. - Dworzec kolejowy Cantonment - powiedziała kierowcy autorykszy z zaśpiewem w głosie.

Dziesięć minut później stała przed wejściem na dworzec, przesuując wzrokiem po twarzach w tłumie.

Jestem tutaj, jej serce tłukło się w piersi. Ogarnęła ją leciutka, pieniaca się fala czystej emocji. Poczowała, jak jej usta rozciągają się w uśmiechu. Jestem częścią ludzkiej fali, która dziś w nocy ucieknie z tego miasta. Wsiądę do pociągu, który powiezie mnie ku zupełnie nowemu horyzontowi.

#

Akhila podeszła do biura zawiadowcy. Obejrzała listę pasażerów na tablicy, na ścianie na zewnątrz kantorku. Widok własnego nazwiska dodał jej otuchy. Pod nim widniało pięć innych. Sheela Wasudewan, Prabha Dewi, Dżanaki Prabhakar, Margaret Paulraj i Marikkolundu. Pozostałe pasażerki z jej przedziału. Kim są te kobiety, przez chwilę zastanawiała się Akhila. Dokąd jadą? Jak żyją?

Akhila odeszła od listy rezerwacji, żeby zlokalizować swój wagon na wykresie rozkładu wagonów. Jedenasty, licząc od lokomotywy. Przełożyła walizkę do drugiej ręki i ruszyła w kierunku tablicy z numerem jedenaście. Wszystkie ławki były zajęte, stanęła więc obok kapiącego kranu. Niepewnie zagryzła wargę. Czy to właściwe miejsce? Odwróciła się do pary starszych ludzi, którzy stali kawalek dalej, i zapytała: - Czy to tutaj zatrzymuje się wagon S7 ekspresu do Kanyakumari?

Mężczyzna skinął głową. - Chyba tak. Jesteśmy w tym samym wagonie.

Było w nich coś, co kazało jej powracać do nich wzrokiem, znowu i znowu. Starsi państwo promieniowali szczególnym spokojem; wyspa niespiesznego oczekiwania pośród morza podekscytowanych ludzi. Jakby wiedzieli, że prędzej czy później przyjedzie pociąg, a wtedy nadejdzie ich kolej, by wspiąć się po trzech stopniach do wagonu, który zabierze ich do celu podróży. Tymczasem nie ma sensu wykręcać szyi, przestępować z nogi na nogę ani manifestować innych oznak niezadowolenia.

Smród moczu przybrał na sile, lecz zaraz przegnał go lekki wiaterek. Bagażowi w czerwonych koszulach ze srebrnymi opaskami na rękawach stali obok stosu walizek. Żebrak-kaleka potrząsał blaszanym kubkiem. Jakiś łobuziak i jego pies biegali zawzięcie z jednego końca peronu na drugi. Znużony policjant gapił się w ekran umocowanego wysoko telewizora.

Ekspres do Udayan spóźniał się. Ludzie tłoczyli się na peronie. Obok Akhili stała cała rodzina, złożona z wujków, ciotek, kuzynów i dziadków, odprowadzająca samotnego mężczyznę. Jechał do Bombaju, skąd miał samolot do jednego z krajów na Bliskim Wschodzie.

Zastanawiała się, jak to jest być żoną mężczyzny, którego nie było przez wiele lat, a kiedy przyjechał do domu, zawłaszczyli go rodzice, rodzeństwo, kuzyni, krewni, przyjaciele... Akhila patrzyła na człowieka, dźwigającego na ramionach brzemień cudzych marzeń. To akurat dobrze знаła. To potrafiła zrozumieć.

Odwróciła się od mężczyzny, żeby popatrzeć na starszych państwa. Kobieta miała na sobie bladoporóżowe sari z wąskim złotym brzeżkiem, cienki złoty łańcuszek na szyi i okulary w metalowej oprawce. Włosy zebrała w malutki kok u nasady karku. Na przegubie ręki lśniła złota bransoletka zegarka. W jednej dłoni trzyma-

ła butelkę z wodą, drugą ścisnęła wąską skórzaną torebkę. Za kilka lat będę wyglądała tak jak ona, powiedziała sobie Akhila. Tyle tylko, że u mojego boku nie będzie takiego mężczyzny.

Sprawiał wrażenie całkiem miłego. Dobrze skrojone ubranie, okulary w rogowej oprawce, wciąż jeszcze muskularne ciało, przyjemne rysy, sposób, w jaki jego włosy cofały się z czoła, to, jak stał obok swojej żony, wszystko to zdawało się sugerować pozbawioną agresji pewność siebie. Pasowali do siebie.

Cóż takiego jest w małżeństwie, co pozwala kobiecie i mężczyźnie tak ściśle spleść swoje życie, marzenia, a nawet myśli? Jej rodzice też tacy byli. Podobni nawet z wyglądu, z szerokimi i wysokimi czołami, lekko haczykowatymi nosami i dołkami w podbródkach. Oboje lubili kawę z dwoma łyżeczkami cukru i ledwie ścięty twaróg. Musiał smakować prawie jak świeże mleko.

Często wystarczyło, żeby matka o czymś pomyślała, by w chwilę później ojciec wyraził na głos to samo odczucie, a wtedy matka mówiła: „Właśnie miałam to powiedzieć”.

A on uśmiechał się do niej szeroko i rechotał z zadowolenia: „To dlatego, że tak dobrze do siebie pasujemy. Jesteśmy jedną duszą w dwóch ciałach”. A matka odwzajemniała uśmiech z wyrazem fałszywej skromności na twarzy.

#

Akhila pamięta, że mając kilkanaście lat, czytała powieść o dwojgu ludzi, którzy kochali się namiętnie jeszcze wiele lat po ślubie. Nie potrafiła już teraz przypomnieć sobie tytułu książki, ani jej fabuły. Pamiętała tylko jedno zdanie: Dzieci kochanków mają nie lepiej od sierot.

Gdy była dzieckiem, nierozłączność rodziców jej nie drażniła. Ona też należała do zakłętego kręgu. Ale kiedy podrosła, ich żarty, czułości, widoczna przyjemność, jaką czerpali ze swojej obecności, sprawiały, że czuła się wykluczona. Później zaczęło ją to wprawiać w zakłopotanie. Ale oni zupełnie nie zważali na jej zażenowanie. Może nawet je wyczuwali, ale i tak nic nie zdołaliby powściągnąć ani ostudzić tego trwającego praktycznie całe życie romansu.

Kiedy ojciec zmarł, rodzice byli małżeństwem od prawie dwudziestu dwu lat. Odtąd co roku w dniu rocznicy ślubu matka wybuchała płaczem. „Na dwudziestą piątą rocznicę ślubu wasz ojciec obiecał kupić mi brylantowy kolczyk do nosa. Brylant dla pani mego serca, powiedział. Tak bardzo mnie kochał”, zawodziła. Jej rozpacz zdawała się rosnać z każdym rokiem.

Straciła więcej niż męża. Stanowił część jej życia, od kiedy się urodziła. Jako jej wujek, nosił ją na rękach, pokazując motyle i wrony, księżyc i tęczę, cuda natury. W pewnym sensie to całkiem naturalne, że właśnie on pokazał jej cud bycia kobietą.

Matka Akhili poślubiła ojca, mając piętnaście lat. On miał dwadzieścia cztery. Akhila przyszła na świat dwa lata i osiem miesięcy później.

- Ale Ammo, jak mogłaś zgodzić się wyjść za własnego wujka? - spytała kiedyś matkę Akhila. - To nienormalne.

- Co w tym nienormalnego? - zapytała gniewnie. - To norma, powszechnie przyjęta w naszej społeczności. Kim ci się wydaje, że jesteś, żeby ją kwestionować?

Akhila miała dopiero czternaście lat. Mimo to westchnęła z ulgą, że nie ma żadnego wujka czekającego za kulisami, aż dorośnie.

Matka spojrzała na nią gniewnie i poradziła, żeby wyszła na dwór przynieść pranie.

- Z nieróbstwa rodzą się głupie myśli. Niebezpieczne myśli - powiedziała ponuro Amma.

- Kiedy skończysz składać i sortować pranie, weź się za prasowanie. Tylko zostaw koszule Appy. Jest zadowolony tylko wtedy, kiedy ja je uprasuję - dodała.

Akhila skrzywiła się, ponieważ wiedziała, że to nieprawda. Ojca nie obchodziło, kto prasuje jego koszule, byle tylko były wyprasowane. Ale Amma lubiła utwierdzać ten mit o mężu-tyranie, łatwo wpadającym w gniew, który tylko jej całkowite oddanie mogło uśmierzyć. Nie tak jak inni mężowie z sąsiedztwa, którzy pozwalali, żeby rządziły nimi żony. Jak matka Karpagam.

Matka Karpagam uczyła tańca. Codziennie, pomiędzy czwartą i szóstą po południu, dawała lekcje dzieciom z sąsiedztwa. Pod koniec roku jej uczennice potrafiły dostatecznie dużo, by wziąć udział w szkolnych konkursach tańca i zdobyć kilka nagród. Na jej lekcje przychodziło więc zawsze wiele dziewcząt. Poza tym liczyła sobie tylko trzydzieści pięć rupii za miesiąc od osoby. Zarabiała dosyć pieniędzy na świecidełka dla siebie i Karpagam. Może właśnie dlatego Amma trzymała się na dystans od matki Karpagam. Amma nie lubiła, kiedy ktoś był inny niż ona.

Pewnego ranka, kiedy Akhila miała jakieś dziewięć lat, Karpagam przyniosła do szkoły długi na stopę ołówek zakończony zmyślną małą dłonią z różowego plastiku. Akhila natychmiast zapragnęła mieć taki sam.

- Skąd go masz? - zapytała szeptem, kiedy Karpagam pokazała jej, jak można drapać się nim po plecach.

- Mama mi kupiła - odpowiedziała dziewczynka, fundując swoim plecocom jeszcze jedno przeciągłe drapnięcie.

- Ile kosztuje?

- Sześć rupii. Ale mama kupiła go na Moore Market. Targowała się ze sprzedawcami i w końcu dostała go za trzy rupie. Ale naprawdę jest wart sześć - powiedziała Karpagam, wręczając ołówek Akhili, żeby mogła go sobie potrzymać i podrapać się nim w plecy.

- Czy to nie cudowne uczucie? - spytała, widząc przyjemność na twarzy Akhili.

- Jest piękny. Mogę wziąć go na jeden dzień do domu? Pokażę go mamie i poproszę, żeby kupiła mi taki sam - powiedziała Akhila, pieszcząc kontur plastikowej rączki, jakby to była prawdziwa dłoń. Do posiadania i do trzymania.

Karpagam zawahała się. - Muszę zapytać mamy... - zaczęła.

- Przysięgam, że jutro ci go oddam. Słuchaj, jeśli będę miała taki sam, będziemy mogli razem drapać się po plecach - powiedziała z przejęciem Akhila.

- Ale jesteś niemądra - Karpagam zachichotała, rozśmieszona tą wizją. Pewnie właśnie dlatego pozwoliła Akhili zabrać ołówek do domu.

Amma była niezadowolona, a potem wściekła. - Matka Karpagam może sobie kupować, na co jej przyjdzie ochota. Matka Karpagam ma własne dochody. Ja nie mogę sobie pozwolić na takie głupstwa. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak ciężko pracuje Appa, a mimo to ledwo starcza nam na życie? I nie życzę sobie, żebyś przynosiła do domu cudze rzeczy. Co będzie, jeśli złamiesz albo zgubisz ten ołówek? Skąd wezmę pieniądze, żeby go odkupić?

Następnego dnia Akhila oddała ołówek Karpagam.

- No i co? - zapytała dziewczynka. - Kiedy twoja ma kupi ci taki sam?

- Powiedziała, że nie ma pieniędzy, żeby kupować mi rzeczy, jak twoja mama - odpowiedziała Akhila.

Ale przez cały dzień, a później jeszcze przez całą noc, Akhila rozmyślała. Gdyby Amma miała pracę, też miałyby własne pieniądze i mogłyby jej kupować potrzebne rzeczy bez zawracania głowy Appie. Tylko co Amma mogłyby robić, żeby zarobić trochę pieniędzy?

Następnego ranka Akhila usłyszała, jak jej matka śpiewa półgłosem, krzątając się po domu. Było święto, Akhila miała więc do dyspozycji cały dzień, żeby wybrać właściwy moment na swoje, jak uważała, mistrzowskie posunięcie.

- Ammo - powiedziała, kiedy wydawało jej się, że Amma jest skłonna do słuchania. Amma czesała włosy i śpiewała cichutko. - Dlaczego nie dajesz lekcji śpiewu?

Amma popatrzyła na nią z zaskoczeniem.

Akhila zaczęła pośpiesznie wyjaśniać. - Ładnie śpiewasz i Appa zawsze mówi, że masz jeden z najlepszych głosów, jakie słyszał. Dlaczego nie miałybyś uczyć muzyki, tak jak matka Karpagam uczy tańca? Miałybyś wtedy własne pieniądze... - zakończyła niepewnie, zastanawiając się, czy nie powiedziała aby za dużo.

- Nie pochwalam tego, co robi matka Karpagam. Do ich domu przychodzą różni ludzie. Bramini i niebramini. Sądzisz, że twój ojciec zgodziłby się na coś takiego? Nie wiesz, jaki jest surowy? Myślisz, że by mi na to pozwolił? „Gdybym chciał mieć pracującą żonę, to bym się z kimś takim ożenił”, powiedział mi zaraz po ślubie. „Chcę, żeby moja żona dbała o mnie i o moje dzieci. Nie chcę, żeby praca zajmowała jej tyle czasu, że już go nie będzie miała dla domu, ani żeby dbać o moje potrzeby”. I ja też niczego innego nie chciałam. Tylko być dobrą żoną.

Amma miała swoją własną teorię na temat, jaka powinna być dobra żona. Przede wszystkim, nie może służyć dwóm panom - to znaczy swojemu ojcu i swojemu mężowi. Dobra żona musi nauczyć się stawiać dobro swojego męża na pierwszym miejscu, nawet przed dobrem własnego ojca. Dobra żona słucha swojego męża i robi to, co on powiedział. „Partnerskie małżeństwo nie istnieje”, mówiła Amma. „Najlepiej od razu pogodzić się z tym, że żona stoi niżej od męża. Wtedy uniknie się kłótni i zgrzytów. Kiedy chcesz udowodnić swoją równość, zaczynają się ciągle awantury i niesnaski. O wiele prościej i łatwiej zaakceptować swoją pozycję społeczną i żyć zgodnie z nią. Kobieta nie jest stworzona do tego, żeby przejmować rolę mężczyzny. Gdyby tak miało być, bogowie stworzyliby ją mężczyzną. Po co więc to całe gadanie o małżeństwie partnerskim?”.

Amma wszystkie decyzje pozostawiała Appie.

- On wie lepiej - mówiła. - Nigdy nie żałowaliśmy żadnej jego decyzji, nawet jeśli była podjęta w moim imieniu.

Dlatego właśnie, kiedy kilka lat po ślubie Amma odziedziczyła, kawałek ziemi w swojej rodzinnej wiosce, ojciec uznał, że najlepiej będzie go sprzedać. - Miesiąc temu taki sam kawałek ziemi sprzedano za dziesięciokrotnie wyższą cenę - powiedziała, czytając list od kuzynki. - Gdybyśmy go zatrzymali, moglibyśmy teraz kupić sobie mały domek - westchnęła.

Kiedy Akhila odwzajemniła jej westchnienie, czym prędzej zmieniła wyraz twarzy i powiedziała: - Zauważ, nie twierdzę, że twój ojciec podjął pochopną decyzję. Kto mógł przewidzieć, że ceny ziemi tak bardzo pójdą w górę i to jeszcze w takim miejscu, jak Mettupalayam?

Rodzina Ammy miała dużo pieniędzy. Ale Amma była córką pierwszej żony, która umarła, kiedy dziewczynka miała jedenaście lat. Matka Ammy umarła, próbując wydać na świat chłopca, któremu też nie udało się przeżyć. W rok później jej ojciec ożenił się ponownie. Był zbyt zakochany w drugiej żonie, która bez wysiłku rodziła chłopców w regularnych odstępach osiemnastu miesięcy, by zawracać sobie głowę córką. Kiedy Amma dorosła do małżeństwa, wyprawił wesele. Bardzo skromne, z Appą. Zresztą, ustalono to wiele lat wcześniej. Prawdę mówiąc, od razu po jej urodzeniu.

Wszystkiego było pod dostatkiem, nie było więc o co się czepiać, ale nie dostała zbyt wiele pieniędzy ani biżuterii, ani niczego, co miałyby jakąś trwałą wartość. Kawalek ziemi to wszystko, co odziedziczyła po swoim ojcu, który wszystko inne pozostawił synom.

Appa żądał jednak stanowczo, by zerwała wszystkie kontakty z rodziną, która tak haniebnie ją potraktowała. - Od tej chwili masz tylko mnie - powiedział. A Amma przyjęła to z radością. Odkąd umarła jej matka, nikt nie kochał jej równie mocno. Dla niej było to kolejne wyznanie, jak wiele dla niego znaczy.

Wiele lat później Akhila wspomniała swojej koleżance z pracy i być może jedynej przyjaciółce, jaką miała, Katherine, że matka była również bratanicą jej ojca. Katherine popatrzyła na nią w zdumieniu. - Ale jak można wyjść za swojego wuja? Przecież to kazirodztwo! - zawołała, układając usta w okrągłe „o”.

- Pewnie to jest kazirodztwo - zgodziła się Akhila. - Może właśnie dlatego tak dobrze się ze sobą czuli.

- Nie rozumiem, o co chodzi w tej twojej religii - Katherine pokręciła głową. - Zjedzenie jajka uważacie za grzech. Ale ślub z własnym wujkiem jest jak najbardziej dopuszczalny!

Akhila rozumiała, co ma na myśli Katherine, ale z jakiegoś dziwnego powodu czuła, że powinna bronić swoich rodziców. Wy tłumaczyć, jak wyglądało ich małżeństwo. - Byli ze sobą bardzo szczęśliwi. Czasami myślałem, że to dlatego, że znali się od zawsze. Wyobrażasz sobie, moja matka musiała mu się ślinić na koszulę, kiedy była niemowlęciem. Musiała słyszeć, jak przechodzi mutację i patrzeć, jak sypie mu się włosy.

- Wszystko to świetnie. Ale nie trzeba wychodzić za wujka, żeby być blisko ze swoim mężem - argumentowała Katherine. - W ten sposób równie dobrze możesz wyjść za swojego brata.

- Nie, nie to mam na myśli. Ale wiesz, kilka lat temu, kiedy jeszcze nadal chciałam być czyjąś żoną, zgodziłabym się wyjść za kogokolwiek. Nawet za wujka - powiedziała Akhila, tylko półzartem.

#

Akhila spojrzała na zegarek, czekając niecierpliwie na pierwszy dzwonek. Ekspres do Udayan przyjechał i odjechał, i teraz peron wypełniali pasażerowie czekający na ekspres do Kanyakumari. Starsi państwo przesunęli się o parę kroków do przodu. Ciekawe, jak długo już czekają.

Mężczyzna zaczął zdradzać oznaki zniecierpliwienia. Zadał żonie jakieś pytanie. Skinęła głową. Wsunął się z tłumy i poszedł do kiosku przy wejściu na stację. Wrócił z butelką napoju orzeźwiającego. Upiła łyk i podała ją mężowi. Potrząsnęła głową.

Dlaczego tracę czas, przyglądając się tej parze? Akhila ściągnęła usta. Oto dowód na wszystko, o czym mówiła mi moja rodzina. Kobieta nie poradzi sobie sama. Zmiana sygnału wybawiła ją od dalszych rozmyślań.

Światła lokomotywy zbliżały się do peronu, megafony ogłaszały przybycie ekspresu. Akhila podniosła walizkę i zacisnęła palce na jej rączce, gotowa wsiąść do pociągu.

Wezbrana fala pasażerów ruszyła w kierunku hamującego pociągu. Akhilę ogarnął lęk. Jakim cudem zdołają wsiąść wszyscy równocześnie? Torując sobie drogę łokciami, przepchnęła się przez tłum i znalazła swój przedział. Gdy wreszcie usiadła, zobaczyła, że naprzeciwko siedzi starsza pani z peronu. Jej mąż wsunął walizkę pod siedzenie i nadmuchiwał teraz poduszkę. Kiedy była już nabrzmiała i sprężysta, poklepał ją i położył na siedzeniu obok kobiety. Podniósł okno i umocował haczyk, żeby nie spadło jego żonie na rękę. - Pomóc pani z oknem? - zapytał Akhilę. Uśmiechnęła się i odmówiła.

- Dasz sobie radę, prawda? - zapytał, odwracając się do żony. - Kiedy będziesz gotowa do snu, zaciągnij drewnianą żaluzję. W ten sposób będziesz miała przewiew i nie będziesz musiała martwić się, że ktoś ci ściągnie łańcuszek albo kolczyki. Nie zapomnij zażyć lekarstwa. Jadę w tym samym wagonie, więc o nic się nie martw, będę do ciebie zaglądał.

Kiedy wyszedł, starsza pani rzuciła Akhili cierpkie spojrzenie i wyjaśniła: - Zarezerwowaliśmy bilety dopiero dwa dni temu i nic lepszego nie udało nam się dostać. Mąż nie ma nawet kuszetki.

- Zdaje się, że w naszym przedziale została jedna wolna - powiedziała Akhila. - Mogliby mu ją dać. Czasami dają starszym panom kuszetkę w przedziale dla pań.

- Ta jest już zajęta. Powiedzieli, że ktoś wsiada na następnej albo jeszcze następnej stacji.

Pociąg ruszył powoli i Akhila rozejrzała się wokół siebie. W przedziale była jeszcze jedna kobieta w jej wieku i dwie młodsze.

Pomyślała o tym, co powiedziała jej Nilufer i uśmiechnęła się do siebie. „Pięć kobiet. Bezustanna paplanina. Poradzisz sobie z tym?”, zażartowała Nilufer.

- Dokąd pani jedzie? - spytała kobietka, zajmująca sąsiednie miejsce.

Przystojna kobieta o jasnej cerze i szczupłej figurze, ubrana w sposób sugerujący pieniądze. Akhila była ciekawa, co ona robi w przedziale drugiej klasy.

- Jadę do Kanyakumari. A pani? - spytała Akhila.

- Do Kottayam. Na wesele. Miałam jechać z mężem samochodem, ale musiał pojechać do Bombaju w interesach i stamtąd poleciał do Kości. - „I nic lepszego w ostatniej chwili nie udało mi się dostać”, mówił wyraz jej twarzy, nawet jeśli słowa nie zostały wypowiedziane na głos.

- A dokąd pani jedzie? - starsza pani zapytała swoją sąsiadkę. Śliczne szczupłe stworzenie o obciętych na pazia włosach i oczach jak kawałki onyksu.

- Wsiadam w Kojambatur - odpowiedziała. Jej głos był równie słodki co twarz, a jednak miała w sobie coś, co sprawiło, że Akhila poczuła się skrępowana. - A pani?

- W Ernakulam.

Kobieta w najdalszym kącie przedziału siedziała przytulona do drzwi. Sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie zdawała sobie sprawy z ich obecności w zamkniętej przestrzeni przedziału.

Przyjrzały się jej. Nie była jedną z nich. Nie wyglądała na jedną z nich. Nie chodziło o to, że była biednie ubrana, ani że otaczał ją smród ubóstwa. Po prostu wyraz jej twarzy. Jakby wszystko to już widziała, ludzką

niestałość i niedoskonałość, i niewiele z tego, co mogło się wydarzyć, zdoła ją jeszcze zaskoczyć. Z kolei ich twarze, chociaż o wiele starsze, były wolne od śladów doświadczenia i cierpienia.

Zresztą na pewno nie mówi po angielsku, w odróżnieniu od nich wszystkich. To wystarczyło, żeby wytworzyć pomiędzy nimi dystans.

#

Kobieta siedząca obok Akhili otworzyła koszyk i wyjęła z niego kilka pomarańczy. - Nie chciałam zostawiać ich w domu, żeby się zepsuły. Proszę, częstujcie się - powiedziała, wyciągając dłoń z owocem.

- Nazywam się Prabha Dewi. A wy? - zapytała wszystkie i żadną w szczególności.

Prabha Dewi. Starsza pani nazywała się Dżanaki. Śliczne stworzenie to Margaret. I ona, Akhila, Akhilandeswari.

Kobieta przy drzwiach zaczekała, aż konduktor sprawdzi bilety, a zaraz potem wspięła się na najwyższą kuszetkę i poszła spać. Z jakiegoś powodu Akhila wiedziała, że wszystkie poczuły ulgę, że nie muszą wciągać jej do rozmowy. Że nie muszą udawać, że mają z nią coś wspólnego. Że tylko dlatego, że wszystkie są kobietami, muszą włączyć ją w swoją grupę.

Przedział wypełnił zapach pomarańczy. A wraz z nim narodziło się pomiędzy nimi ciche koleżeństwo. Prabha Dewi zaczęła rozmawiać z Margaret.

Akhila zrzuciła sandały, podwinęła pod siebie stopy i oparła się o okno. Lekki powiew zmierzwił jej włosy. Księżyc wisiał nad jej ramieniem.

- Mój wnuczek dał mi batoniki czekoladowe. Żebym miała co pogryzać w nocy - powiedziała z uśmiechem starsza pani. - Chcecie trochę? - Poczęstowała je wszystkie.

Akhila wzięła Kit Kata i odwinęła srebrną folię. Margaret potrząsnęła głową. - Kiedyś lubiłam czekoladę. Ale teraz już nie.

- Ja też nie jadam czekolady. Mój syn ma siedemnaście lat, ale jeśli idzie o czekoladę, nadal zachowuje się, jakby miał trzy latka - powiedziała Prabha Dewi, oddając czekoladę Dżanaki.

Akhila poczuła, że serce staje jej w piersi, jak zawsze, kiedy ktoś mówił o siedemnastoletnim synu. O nastoletnim chłopcu. O pociągającym mężczyźnie. A potem przypominała sobie, że ma czterdzieści pięć lat. Dosyć, by być matką takiego chłopca.

- Kiedy mój mąż wyjeżdża w interesach za granicę, zawsze przywozi synowi czekoladę - ciągnęła Prabha Dewi. - Córka przestała jeść czekoladę, kiedy zorientowała się, że to od niej dostaje wyprysków. Czasem wydaje mi się, że cały swój czas spędza przed lustrem, sprawdzając, czy nie wyskoczył jej pryszczyk albo krostka. A teraz domaga się, żeby mąż przywoził jej kosmetyki ze sklepu, który nazywa się Body Shop.

- Co robi twój mąż? - spytała Dżanaki.

- Mamy sklepy z biżuterią - powiedziała Prabha Dewi. - Nie powinnam mówić „my”. On ma sklepy z biżuterią. Ja jestem gospodynią domową.

- Nie ma w tym nic złego. Ja też jestem gospodynią domową - powiedziała Dżanaki.

- A ty? - zapytała Margaret.

- Mój mąż jest dyrektorem szkoły. A ja uczę w tej samej szkole chemii.

- Czy to nie trudne, pracować razem w jednym miejscu? - zapytała Akhila. - Co to za uczucie dzielić z mężczyzną nie tylko łóżko? Dzielić jego marzenia, jego dzień. Być częścią każdej jego godziny, każdej minuty. Czy to rodzi więź, czy tylko lekceważenie, zastanawiała się Akhila.

- Czy ciągle się kłóćcie? - Prabha Dewi zachichotała, a potem nagle, jakby uświadomiła sobie, co powiedziała, zasłoniła usta i spróbowała wytłumaczyć: - No bo to nie tylko dom; jesteście razem również w pracy.

- Z początku mieliśmy problemy, ale nauczyliśmy się radzić sobie z napięciami. Oddzielać życie szkoły od życia domowego. Zabrało nam to wiele czasu, ale teraz idzie nam całkiem nieźle. Wiecie co? Moja córka chodzi do tej samej szkoły! - powiedziała Margaret, tłumiąc śmiech.

- A co robi twój mąż? - zapytała starsza pani, pochylając głowę i patrząc na Akhilę.

- Nie mam męża - odpowiedziała Akhila.

- Och - Dżanaki zamilkła. Akhila wiedziała, że myśli, iż ją uraziła. Wzięła głęboki oddech.

- Mam czterdzieści pięć lat i zawsze mieszkałam ze swoją rodziną - powiedziała.

Prabha Dewi odwróciła się w jej stronę. Ale to Margaret odezwała się pierwsza: - Pracujesz?

Akhila skinęła głową. - Pracuję w biurze podatkowym - powiedziała.

- Nie gniewaj się, że o to pytam: dlaczego nie wyszłaś za mąż? - spytała Prabha Dewi, pochylając się ku Akhili. - Z wyboru?

Co mam jej odpowiedzieć?, zastanowiła się Akhila.

Nagle to przestało być ważne. Akhila wiedziała, że może. wyznać tym kobietom wszystko, co zechce. Swoje tajemnice, pragnienia i lęki. A potem zapytać je o wszystko, co będzie chciała wiedzieć. Nigdy więcej się nie spotkają.

- To nie był mój wybór. Tak się po prostu złożyło - powiedziała. Widząc ciekawość w ich oczach, dorzuciła garść szczegółów: - Mój ojciec zmarł i musiałam zadbać o rodzinę. I zanim wszyscy się urządzili, zrobiłam się za Stara na małżeństwo.

- Wcale nie jesteś taka stara - powiedziała Dżanaki. - Możesz jeszcze znaleźć sobie dobrego męża. W rubrykach matrymonialnych pełno jest ogłoszeń od mężczyzn czterdziestoparo-, pięćdziesięcioletnich, szukających odpowiedniej kobiety, żeby spędzić z nią resztę życia.

- Jeśli mnie kto pyta, szukają gosposi - kogoś, kto będzie dla nich gotował, sprzątał i biegał na posyłki. Jeśli jest szczęśliwa, tak jak jest, dlaczego miałyby wychodzić za mąż? - spytała Margaret.

- Jesteś szczęśliwa? - zapytała Prabha Dewi.

- Czy w ogóle ktokolwiek jest szczęśliwy? - zripostowała Akhila.

- To zależy - powiedziała Prabha Dewi, wsuwając za ucho kosmyk włosów. - Zależy od tego, jak definiujesz szczęście.

Akhila pochyliła się w jej stronę i powiedziała: - Jeśli o mnie chodzi, małżeństwo jest nieważne. Co innego towarzystwo, tak, tego bym chciała. Problem polega na tym, że chcę żyć sama, a wszyscy mi mówią, że kobieta sama nie da sobie rady. Jak myślicie? Czy kobieta może żyć sama?

- Dlaczego miałyby żyć sama? Zawsze znajdzie się mężczyzna, który będzie chciał z nią być - powiedziała Dżanaki, zdejmując okulary i pocierając nos. - Nigdy nie spotkałaś nikogo, za kogo chciałybyś wyjść?

- Spotkałam - powiedziała Akhila i po jej twarzy przemknął cień. - Ale nie było mi to pisane.

- Dlaczego? - zapytała Prabha Dewi. - Dlaczego nie było ci pisane?

- Nie byliśmy dla siebie odpowiedni. Zresztą teraz nie myślę o małżeństwie. Próbuję tylko upewnić się, że kobieta może żyć sama.

- Powinnaś zaufać swojemu instynktowi - powiedziała Margaret. - Musisz znaleźć własną odpowiedź. Nikt ci w tym nie pomoże.

Akhila milczała przez chwilę, a potem podjęła wątek: - Na początku myślałam, żeby udać przed rodziną, że rozmawiałam z paroma osobami, zanim zdecydowałam, że mogę mieszkać sama. Ale kiedyś w nocy obudziłam się przerażona. Serce waliło mi młotem, paraliżował mnie bezimienny strach. Jak zdołam, nie spędziwszy nigdy nawet tygodnia z dala od rodziny, przeżyć samotnie całą przyszłość? Co ja wiem o prowadzeniu domu? Chodzi o to, że nigdy nie byłam odpowiedzialna za codzienne domowe sprawy. Jak sobie poradzę w domu? Co zrobię, kiedy zachoruję? Do kogo wtedy się zwrócę? Co ja wiem o życiu? Jak ja sobie dam radę? A potem pomyślałam, że jeśli poznam inne kobiety, które mieszkają same, albo chociaż... w ogóle inne kobiety... jeśli z nimi porozmawiam... może będzie mi łatwiej podjąć decyzję...

Prabha Dewi i Margaret wymieniły rozbawione spojrzenia. - I to my mamy to dla ciebie zrobić?

- Nie śmiecie się z niej - powiedziała Dżanaki. Dżanaki, która z powodzeniem mogłaby być jej matką, i ich też. Jak łatwo wchodzą w znajome role. Matka i trzy córki. Dwie siostry, zmagające się przeciwko trzeciej.

- Ona mówi poważnie. Nie widzicie tego?

Akhila wzruszyła ramionami. - Nie wiem, czy będziecie mogły mi pomóc. Ale musicie mi powiedzieć, co o tym naprawdę myślicie. Czy kobieta może mieszkać sama?

- Szukasz rady? - spytała Dżanaki.

- Nie potrzebuję rady. Chcę tylko, żebyście mi powiedziały, czy waszym zdaniem kobieta może sama sobie poradzić - powiedziała cicho Akhila.

Dżanaki popatrzyła na nią badawczo, głęboko zaglądając w oczy. Akhila siedziała w milczeniu. Dżanaki westchnęła. - One - powiedziała, wskazując gestem Prabha Dewi i Margaret - są bardziej w twoim wieku. To z nimi powinnaś porozmawiać. Ich zdanie będzie miało dla ciebie większe znaczenie niż moje. Nie jestem właściwą osobą. Mój mąż i ja jesteśmy ze sobą od czterdziestu lat. Jak mogłabym ci powiedzieć, co oznacza dla kobiety samotne życie?

W przedziale zapadła cisza. Przez chwilę Akhila wydawało się, że wytworzyła się między nimi jakaś więź. Płody objijające się o ścianki macicy, czerpiące od siebie nawzajem życiodajną siłę, znajdujące dodatkowe oparcie w ciemnościach na zewnątrz i w fakcie, że to, co dzielą ze sobą w tych ścianach, nie wyjdzie poza tę noc ani zamkniętą w nich przestrzeń.

- Za mało wiem o świecie i o tobie, żeby coś ci poradzić. Wszystko, co mogę zrobić, to opowiedzieć ci o sobie, o moim małżeństwie, i co ono dla mnie znaczy - nagle zaczęła Dżanaki, powoli, jakby dobierała starannie każde słowo. - Jestem kobietą, o którą zawsze ktoś się troszczył. Najpierw był to mój ojciec i moi bracia, potem mój mąż. Kiedy odejdzie, zastąpi go mój syn. Czeka, by podjąć zadanie w tym samym miejscu, w którym przerwie jego ojciec. Kobiety takie jak ja stają się w końcu kruche. Nasi mężczyźni traktują nas jak księżniczki. I dlatego pogardzamy kobietami, które są silne i potrafią sobie radzić same. Rozumiesz, co chcę powie-

dzieć? Może z powodu wychowania, jakie odebrałam, może pod wpływem tego wszystkiego, co zostało mi wszczepione, wierzę, że obowiązkiem kobiety jest wyjście za mąż. Bycie dobrą żoną i matką. Wierzę w tę starą wyświechtaną kliszę, że dom jest królestwem kobiety. Ciężko pracowałam, żeby zachować mój dom. A potem, pewnego dnia, nagle przestało to mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Mój dom przestał mnie interesować; żadne z przekonań, wokół których zbudowałam moje życie, nie miało znaczenia. Myślałam, że nawet gdybym miała to wszystko stracić, dam sobie radę. Jeśli kiedykolwiek zostanę sama, poradzę sobie. Byłam tego zupełnie pewna. Sądzę, że byłam zmęczona byciem kruchą istotą.

Akhila uważnie wpatrywała się w twarz Dżanaki. Co miała na myśli, mówiąc „byłam”?

- Ale teraz zmieniłaś zdanie. Dlaczego?

Dżanaki poklepała nadmuchiwaną poduszkę, jakby to była dłoń jej męża i powiedziała: - Teraz wiem, że nawet jeśli bym sobie dała radę, bez niego to już nie byłoby to samo.

2

PEWIEN WIEK

Pióra. Miękki rozwichrzony puch. Szelest atlasu sunącego po skórze wewnętrznej strony ramienia. Noc w noc Dżanaki leżała na boku, z twarzą wtuloną w zgięcie łokcia, i myślała o wszystkich przyjemnych i miękkich rzeczach w życiu. Czymkolwiek, co mogłoby stłumić dźwięki, przesączające się przez ściany łazienki. Dźwięki, których słuchała niemal co noc przez ostatnie czterdzieści lat.

Gulgotanie rezerwuaru, kiedy pociągał za spłuczkę. Plusk wody, chlapiącej na podłogę z prysznicą, plującego pięćdziesięcioma dwoma strumieniami letniej wody. Był takim właśnie człowiekiem; wszelkiego rodzaju skrajności budziły w nim niepokój. Fałszywe nucenie, kiedy namydlał się energicznie, pokrywając ciało pachnącą białą pianą. Urojone wody płodowe, zanim zwinie się w embrion przy jej boku. Znowu plusk. Brzęk zębów o ściankę porcelanowego kubka. Co wieczór skrupulatnie czyścił swoją protezę i te kilka zębów, które mu jeszcze pozostały. Płukanie gardła. Splunięcie. I znowu fałszywe nucenie.

Czy naprawdę słyszę te dźwięki? Czy po prostu wiem, że tam są?, pytała siebie Dżanaki. Czy naprawdę przeżyliśmy ze sobą trzydzieści lat?

Dżanaki poślubiła Prabhakara, kiedy miała osiemnaście, a on dwadzieścia siedem lat. Było to małżeństwo zaaranżowane przez rodziców; mieli zgodne horoskopy, rodziny przypadły sobie do gustu, a młodzi, uważano, idealnie do siebie pasują. Dżanaki nie wiedziała, czego spodziewać się po małżeństwie. Było przeznaczeniem, do którego przygotowywano ją przez wszystkie dziewczęce lata. Jej matka i ciotki przykładały ogromną wagę do doskonalenia, jak je nazywały, małżeńskich talentów - gotowania, sprzątanania, szycia i marynowania... Nikt nie oczekiwał, że będzie wiedzieć, co naprawdę oznacza bycie mężatką, a i ona sama nie była tego ciekawa. To przyjdzie do niej, jak kiedyś przyszło do jej matki, myślała.

W noc poślubną, kiedy dotknął ustami jej ust, poczuła jedynie, że sztywnieje. To była nie tylko nieśmiałość. Może też niecodzienna sytuacja. Nigdy dotąd nie przebywała sam na sam z mężczyzną, w pokoju z za-

mkniętymi drzwiami. Męskie towarzystwo zawsze było źle widziane, a teraz nagle, tylko dlatego, że wyszła za mąż, mówią, że może z nim być, pozwolić mu się dotykać, a nawet rozebrać.

- Jest twoim mężem i musisz zaakceptować wszystko, co zrobi - szeptała jej do ucha ciotka, gdy prowadzili ją do ozdobionej jaśminem sypialni, w której zapalono wonne kadzidelka.

Położył się obok niej i przyciągnął jej dłonie do swej piersi. - Dotknij mnie - powiedział, a ona mogła myśleć tylko o tym, jak twarde są porastające go włosy.

Wtulił podbródek w jej szyję, a ją znowu ogarnęła fala wstrętu: Co ja tu robię? W co ja się wpakowałam?

Dotykał. Głaskał. Pieścił i tulił, a mimo to Dżanaki czuła jedynie, jak wewnątrz niej coś się zamyka.

Małżeństwo pozostało nie skonsumowane przez ponad dwa miesiące. Nie próbował wziąć jej siłą. Nie można powiedzieć, że nie starał się jej otworzyć. Namawiał, przymilał się, a nawet błagał. Starał się ze wszystkich sił, żeby go do siebie wpuściła. Ale za każdym razem wzdragała się przy najłżejszym ukłuciu bólu, a on wysuwał się i zostawiał ją w spokoju. Zaczęła żałować, że ciągle jest taki delikatny, że nie potrafi przymknąć oczu na jej niechęć. Bała się, widzicie. Że jeśli ona nie da mu tego, czego chciał, poszuka gdzie indziej.

Dżanaki nauczyła się więc poskramiać niechęć, odwzajemniać jego pieszczoty, otwierać ramiona i rozkładać nogi, kruszyć zębami ból i połykać go wraz z krzykiem, który podchodził do gardła. Tamtej nocy tulił ją do siebie i szeptał w jej włosy, znowu i znowu: „Jesteś moją żoną. Jesteś moją żoną”.

Podczas tygodni, które nastąpiły po tym, jak dopuściła go do swojego ciała, zaczęła poznawać przyjemność ukrytą w rytuałach wspólnego życia. Noszenie w łóżku jego starych koszul, dotyk tkaniny na skórze. Dzielenie się filiżanką herbaty, smak jego ust w jej ustach. Wspólna kąpiel. Wzajemne ochlapywanie, gąbka z luffy niczym żywe stworzonko, gdy palce drażnią i pieszczą skórę. Puszysty z białej bawełny ręcznik mówił: „Popatrz jak bardzo cię kocham”, kiedy delikatnie otulał ich kokonem ciepła, wysysając wilgoć tysiącem ust.

Kiedy przestali razem chodzić do łazienki, trzymając się za ręce? Po urodzeniu się dziecka, czy jeszcze później?

Kiedy długo jesteście małżeństwem, kąpiel staje się po prostu sposobem na utrzymanie czystości. Cała reszta kończy się wraz z miodowym miesiącem.

Dżanaki przewróciła się na plecy i podciągnęła kołdrę pod brodę.

Noc w noc Dżanaki leżała nie śpiąc, dopóki nie usłyszała, jak sprężyny łóżka skrzypią i jęczą, przyjmując jego ciężar. Dopiero kiedy umościł się do snu, układając swoje ciało tak, by nie naruszać jej przestrzeni, pozwalała sobie osunąć się w sen. Wiedział, że nie lubiła pomiętych prześcieradeł ani koca owiniętego wokół nóg. Trzymał się więc na odległość, pod własnym kocem. Rzuczał się i kręcił. Ona nie. Kiedy budzili się raniem, było tak, jakby spali w oddzielnych pokojach i osobnych łóżkach.

W niektóre noce rozmawiali. Luźne strzępy konwersacji. O swoim synu. O sąsiedzie. Albo może o obejrzanym tego wieczoru filmie. Czasami pogrążali się we wspomnieniach. Wspomnieniach, które były dwugłowe. On pamiętał inaczej niż ona. Ale jakie to miało znaczenie? Z perspektywy czasu liczyło się tylko to, że były wspólne.

W niektóre noce jego ciało szukało jej ciała. Jego kształt nadawał formę jej kształtowi. W niektóre noce przyjmowała go z radością, w inne zносиła cierpliwie ciepło, które jego skóra, usta, dłonie i uda tak delikatnie zadawały jej ciało. Później, wyczerpani, układali się w oddzielne byty i zasypiali.

Po czterdziestu latach nie było już żadnych niespodzianek, żadnych fałszywych nut, żadnego „a kuku” zza drzwi. Tylko przyjacielska miłość z reklam, jakże skutecznych, jeśli chodzi o przyciąganie klientów.

Wykupcie polisę ubezpieczeniową, która pozwoli wam spędzić błogie lata emerytury na spacerowaniu z psem po plaży, budowaniu zamków z piasku z wnukami i sączeniu soku z zielonych kokosów. Żadnych szaleńczych przejażdżek motocyklem. Żadnego turlania się ze wzgórze. Pijesz swój Horlicks i zbierasz owoce swojej polisy ubezpieczeniowej.

Dlaczego zawsze pokazują te lata w taki sposób, jakby to był okres przejściowy w oczekiwaniu na śmierć?, myślała Dżanaki.

Zmieniała kanał za każdym razem, kiedy na ekranie telewizora pojawiała się reklama ubezpieczenia na życie.

Ale czy nie takie właśnie życie wiedli? Pożyczając chwile z telewizyjnych reklam. Żarty, śmiech, nostalgia, kiedy razem oglądali albumy ze zdjęciami. Przyjacielska miłość. Łuk tęczy, zanim chmury otulą ich mgiełką przygnębienia.

Dżanaki po omacku szuka okularów na nocnym stoliku. Która to godzina?

Przez ostatnie dziesięć lat przynosił jej co wieczór jedną tabletkę Trika i szklanek wody. W jakiś sposób fakt, że to on to robił, czyniło jej niezdolność zasypiania naturalnie łatwiejszą do zniesienia.

Doktor pomógł jej wyłuskać nogi ze strzemiączek fotela ginekologicznego i nasunął na uda szpitalną koszulę w kolorze morskiej zieleni. Uśmiechnął się uspokajająco. - Wszystko w najlepszym porządku. A co do tego, że nie może pani spać... - wzruszył ramionami. - Kiedy osiągnie się pewien wiek, zasypianie staje się trudne.

Pewien wiek. Była kobietą w pewnym wieku. Ale co z nim? Zawsze spał niespokojnie, ale nie miał problemów z zasypianiem. Spał jak dziecko. Niewinne dzieciątko. Słodki bobasek.

Jakieś siedem miesięcy po ślubie, w czasach, kiedy każdy dzień mienił się cudownymi barwami odkryć, upodobniających miłość do zupełnie nowej teorii, w którą dopiero on i ona tchnęli znaczenie, nabrali zwyczaju przechodzenia ze sobą na dziecięce gaworzenie.

Dziudziamani, gruchała. Lu lu, mrucał, nagryzając płatek jej ucha. Bezsensowne dźwięki, które tylko oni umieli rozszyfrować.

A potem pewnego dnia Dżanaki odkryła, że jest w ciąży. Ogarnął ją nieprzearty apetyt na tytoń i dopaliła niedopałki, które zostawił w popielniczce. Kiedy otoczył ją ramieniem, odsunęła je, nawet nie kryjąc wściekłości. Nienawidziła go, Bóg wie dlaczego, ale doktor wyjaśnił, że to zupełnie normalne. - Wszystkiemu winne hormony - powiedział ze śmiechem.

Kiedy dziecko zaczęło kopać, nienawiść minęła jak wcześniej chętką na tytoń. Coraz częściej popadała w dziecięce gaworzenie, czule mierzwiła mu włosy i zaczęła szyć patchworkową kołderkę do dzieciennego łóżeczka. Jak wszyscy przyszli ojcowie, przykładł ucho do jej falującego brzucha. Róźdżkarz szukający wody, czekający na szarpnięcie wewnętrznych sił, żeby przyciągnęły go bliżej.

Kiedy urodziło się dziecko, wywoływali na jego twarzy uśmiech za pomocą grzechotek i nakręcanej małpki, która biła w bęben. Liczyli maleńkie paluszki, tulili do serca i szeptali głupstwa.

W łóżku ich rozmowy skurczyły się do: - Czy pieluska jest mokra? Sprawdziłeś lampkę-misia? Zdaje mi się, że słyszałam płacz. A ty?

Przestali rozwiązywać quizy „Jak dobrze rozumiesz swojego partnera?” i „Czy twoje małżeństwo nadal jest romantyczne?”. Zamiast tego zaznaczali ptaszkami odpowiedzi, żeby dowiedzieć się, czy są dobrymi rodzicami i czy ich dziecko właściwie się rozwija.

Nie mieli nic przeciwko tej inwazji w swoją prywatność. Patrzyli na dziecko i dostrzegali w nim siebie. Kiedy przyniósł do domu srebrny puchar, nagrodę za zwycięstwo w szkolnych zawodach tenisowych, ich serca roziskrzyły się radością. Czy możesz uwierzyć, że on wyszedł z nas, przekazywali sobie nawzajem w telepatycznej ekstazie.

Nie było końca temu cudownemu dziecku, które karmili na śniadanie płatkami kukurydzianymi i mlekiem, tostami z masłem, jajkami na miękko i multiwitaminą. Uczyniło ich życie tak pełnym. Świadectwa szkolne, bandaże, letnie wakacje, urodziny... to dziecko sprawiło, że ich małżeństwo stało się o wiele bardziej kompletne.

Na przyjęciach uchodzili za idealną parę. Kiedy była gotowa wyjść, od razu o tym wiedział i wstawał z krzesła, odstawiając drinka, którego sącył przez cały wieczór. Uśmiechała się, mamrocząc uprzejme słowa, podczas gdy on ścisnął kolejne dłonie i śmiał się na pożegnanie. W tym małżeństwie to on reprezentował jowialność i werwę.

Jechali do domu powoli, uważając na zapóźnionych pijaków, i zawsze byli z powrotem, zanim wybiło pół do jedenastej. On parkował skuter, ona walczyła z kluczami. Razem szli do pokoju syna. Podawała chłopcu szklanekę ciepłego mleka, a on patrzył, stojąc w drzwiach.

Na wpół śpiąca, czuła przy sobie jego obecność, kiedy oplatał ramieniem jej talię. Wzdychała sennie. Zасыpiając, wznosiła niemą modlitwę dziękczynną do Boga. Ten mężczyzna sprawiał, iż zapominała o tym, o czym tak niemile przypominały lustro i światło dnia. Linie na szyi, oklapnięcie piersi, zwiotczenie pomarszczonego, poznaczonego rozstępami brzucha, który nigdy do końca nie przyszedł do siebie po trzymaniu w niewoli innej żywej istoty. W tamtych czasach nie musiała być kobietą w pewnym wieku.

Kiedy to pewien wiek niepostrzeżenie podkradł się ku Dżanaki? Czy po raz pierwszy uświadomiła to sobie, kiedy przestało ją cieszyć jego ramię na jej tali? A może kiedy pojawił się ucisk w skroniach, nasilający się, gdy śmiał się, jak zawsze, na cały głos? Lub może tego wieczoru, kiedy zabrali swojego syna, niemal już dorosłego, wysokiego na sześć stóp, barczystego Siddhartha na wyprawę po sklepach, żeby kupić mu buty i zobaczyła, że Prabhakar próbuje narzucić synowi swój własny gust. Buty z miękkiej skóry na cienkich podszwach. Buty dla pana w średnim wieku. Dżanaki widziała, jak twarz syna kamienieje w wyrazie buntu.

- Nie te - powtarzał. - I te też nie.

Prabhakar wyrzucił do góry ramiona i pozwolił sobie na okazanie rozdrażnienia. - Czego ty szukasz? To już czwarty sklep, w którym dzisiaj jesteśmy, i nic ci się nie podoba. Czego chcesz? Czy ty w ogóle wiesz, czego chcesz?

Poczuła, jak nabrzmiewa w niej gniew. - Daj mu wybrać to, co mu się podoba. Nie rozumiem, do czego tu jesteśmy potrzebni. Siddharth jest dostatecznie duży, by sam sobie mógł kupić buty - wyszczała.

- Chciałem tylko pomóc - powiedział.

- To nie jest żadna pomoc. Po prostu chcesz go kontrolować. Wszystkich chcesz kontrolować. Chcesz, żeby wszyscy robili to, co im powiesz - powiedziała, zupełnie nie przejmując się tym, kto może usłyszeć.

- Dżanu - powiedział. - Co się stało? Źle się czujesz?

- Och, daj mi spokój - warknęła Dżanaki, wychodząc ze sklepu i zostawiając ojca z synem.

A może było to tego dnia, kiedy Siddharth przyprowadził na obiad do domu sześciu kolegów z klasy i Dżanaki stała w drzwiach, z przyklejonym do twarzy uśmiechem powitania, usiłując zapanować nad uczuciem paniki? Jedzenia z trudem wystarczyłoby dla czterech osób. Przerażona, zdenerwowana Dżanaki pobiegła do kuchni, żeby ugotować coś więcej i zorientowała się, że butla z gazem jest pusta i że zapomniała zadzwonić, żeby zawczasu zamówić następną. Dżanaki stała obok kuchenki, która nie chciała się palić, patrzyła na opłukany, namakający ryż, na pokrojone warzywa i zalewała się łzami. Co ja teraz zrobię? Co sobie pomyślą o mnie przyjaciele Siddhartha?

Kiedy Prabhakar wrócił do domu na obiad, znalazł ją łkającą w kuchni, podczas gdy Siddharth i jego koledzy siedzieli za stołem w jadalni i prowadzili konwersację, udając, że wszystko jest w porządku i że szloch, który wyraźnie słyszeli, dobiega, być może, z telewizora w salonie.

Pewien wiek. Być może dopadł ją, kiedy zobaczyła, że czułe pobjażanie w oczach jej dorosłego syna ustąpiło rozdrażnieniu graniczącemu ze wzgardą. A może spadł na nią, kiedy przestała zaznaczać w kalendarzu pierwszy dzień okresu, za to jej mąż zaczął zanosić co miesiąc do szpitalnej apteki receptę na trzydzieści tabletek Trika.

Trzydzieści dni ma kwiecień, czerwiec, listopad i wrzesień...

- A co z resztą roku? - narzekała Dżanaki.

Ale on znalazł rozwiązanie, jak zresztą zawsze. Umiał dbać o potrzeby rodziny. Pamiętał więc, które miesiące mają więcej dni, i przypominał o tym lekarzowi.

A co z nim? Co stało się z nim przez te wszystkie lata?

Mężczyźni nie zmieniają się aż tak bardzo. A przynajmniej kobiety lubią tak myśleć. Trochę łysieją, ich oczy tracą blask, ale nadal upierają się, żeby sprawdzać, czy żona wychodząc przekręciła klucz w zamku.

On nie był wcale inny. Walenie serca spowalniało jego ruchy, czasami łomotało mu w uszach, ale nie zapominał o swojej roli męża, ojca i żywiciela rodziny.

Nie sądziła, żeby mniej ją kochał z powodu jej huśtawek nastrojów. Po prostu rozumiał - a człowiek, który rozumie, cierpi.

Nie żeby to się sprawdzało w jego przypadku. Wcale nie cierpiał. Starła się ze wszystkich sił być dobrą żoną i matką. Dopiero teraz, w tym pewnym wieku, stała się taka, no cóż, przewrażliwiona.

- Powiedz, czy znasz inną parę, taką jak my? Nasz syn ułożył sobie życie. Jesteśmy zdrowi i zabezpieczeni finansowo. Mieszkamy we własnym domu. Po czterdziestu latach razem, czegoż jeszcze można chcieć?

Mieli wszystko, prawda? Od czasu do czasu miewali nawet seks (jakże nienawidziła tego słowa).

- Kiedy moi rodzice osiągnęli nasz wiek, przestali żyć. Nie chodzi mi o to, że umarli. Oddychali, jedli i spali. Ale to wszystko, co robili ze swoim życiem - mówiła wrogowi, czającemu się w jej własnym umyśle i kwestionującemu jej małżeństwo.

Coś przecież ich ze sobą łączyło. Rozciągliwa więź, wspólna większości małżeństw, które przeżyły ze sobą wiele lat. Nie wiedziała, jak to określić. Koleżeństwo? Przyjaźń? A może po prostu wspólnota dwojga ludzi, dzielących łożę, dziecko, życie? Cokolwiek by to było, nie dostrzegała tego pomiędzy swoim synem i jego żoną.

Dżanaki współczuła dziewczynie i żałowała, że nie może wziąć swojego syna za brodę, jak to robiła, kiedy był mały i zaczynał marudzić, i powiedzieć mu surowo: - Odstreżysz ją od siebie swoją gruboskórnością, chłodem, ponurymi minami. Czy tak odnosił się do mnie twój ojciec? Od kogo się tego nauczyłeś?

A potem Dżanaki przyszło do głowy, że może to od niej. Że ten rys egoizmu stanowi jej własny wkład w jego geny. Że to jej wina i nikogo więcej.

Kiedy mieli gości, kiedy odwiedzała ich rodzina, kiedy dom rozbrzmiewał gwarem i śmiechem, a ona w kuchni przygotowywała posiłek, Prabhakar kręcił się obok, chcąc pomóc, nie kwapiąc się, by ją zostawić samą. I nawet jeśli nie było dla niego nic do roboty, stał oparty o kuchenny blat, pobrzękując kostkami lodu w swoim rumie z wodą sodową.

- Idź, zaraz do was dołączę - mówiła Dżanaki, ale on nie ruszał się z miejsca.

Czasami, kiedy to było inne małżeństwo, które lubili przyjmować, albo kuzynka, którą Dżanaki uwielbiała w dzieciństwie, szeptał jej do ucha: - Szczęśliwa?

A ona uśmiechała się. W takiej chwili czuła się naprawdę szczęśliwa.

Dżanaki położyła na języku tabletkę Trika i szybko popiła wodą. A potem wyciągnęła rękę i zgasiła lampkę.

Nie wiedziała, dlaczego ten pokój sprawia, że czuje się tak nieswojo. Drażniło ją poczucie obcości. Przyjechali dopiero dziś rano, z Madrasu, gdzie odwiedzali przyjaciół, i ten tydzień mieli spędzić u Siddhartha. W tym pokoju tydzień wydawał się wiecznością.

To łóżko, pomyślała dotykając kołdry, zeszło prosto z reklamy w piśmie ilustrowanym, razem z ozdobioną frędzlami narzutą, prześcieradłami w róże i powłoczkami na poduszki w kolorze stonowanego rózu. Nawet kołdra miała lamówkę z różowego atłasu. Lampka przy łóżku wyglądała jak różany obłok na podstawie z terakoty. Ten pokój przytłaczał ją.

Dżaja, ich synowa, szczebiotała swoim soczystym głosikiem małego dziecka: - Nazywamy go naszym różowym pokojem. To pokój Sući, i dlatego właśnie urządziliśmy go na różowo. Ale wyniosłam wszystkie jej zabawki i gry, żeby nie wyglądał jak pokój dziecinny. Mam nadzieję, że będzie wam tu wygodnie.

Czasami synowa działała jej na nerwy. Ale unikała wszelkich zadrażnień z opanowaniem, które z takim wysiłkiem w sobie wypracowała. Kiedy osiągniesz pewien wiek, wszystko przestaje być ważne. Pragniesz tylko za wszelką cenę utrzymać spokój, pozostawiając marzenia i burze tym, w których żyłach płynie jeszcze gorąca krew. Emocje są dla młodych; starzy ich nie potrzebują. Zresztą tą nawet im z nimi nie do twarzy, zdecydowała już wiele lat temu. Dżanaki myślała o swojej matce. Rozpaczała, że dzieci nie poświęcają jej dosyć uwagi. Niezdolnej zaakceptować starości, więc ciągle trzeba ją było pocieszać. Przysięgła sobie, że nie będzie

taka jak matka, z oczyma pełnymi łez, głosem łamiącym się od smutku. Kiedy osiągniesz pewien wiek, liczy się już tylko spokój.

Po ślubie i miesiącu miodowym Siddharth i Dżaja przyjechali ich odwiedzić. Przez cały dzień Dżanaki czuła, że Dżaja nie spuszcza z nich wzroku, z niej i z Prabhakara, wykonujących balet codziennych domowych czynności. Zsynchronizowane wykonanie, doprowadzone do perfekcji przez lata praktyki. On siekał. Ona gotowała. On zmywał naczynia. Ona wycierała je i odstawiała na miejsce. Ona rozwieszała pranie. On je zdejmował. Ona przygotowywała łóżko. On gasił światła.

Któregoś poranka, parę dni później, kiedy Dżanaki przyrządzała w kuchni dosy, a on przy stole kroił warzywa na sambar, Dżaja upiła łyk herbaty i powiedziała: - Ale masz szczęście, Mamusiu, że masz takiego męża, jak Wujek. Pomaga ci we wszystkim, w czym tylko się da, prawda?

Dżanaki zobaczyła, jak jego twarz rozpromienia się w uśmiechu i pomyślała, że to prawda. Nic nie mogła zrobić w domu bez jego pomocy.

- Od śmierci Taty Mama musi robić wszystko sama. Ale mówi, że dzięki temu stała się silną kobietą - duma w głosie synowej chwyciła Dżanaki za gardło. Z jakiegoś powodu poczuła się gorsza. Czy chcesz powiedzieć, że jestem słabą, bezradną istotą, chciała zapytać.

Prabhakar podniósł wzrok znad deski do krojenia. Przerwał siekanie cebuli i powiedział: - Nie możesz myśleć, że Mamusia jest słabą kobietą tylko dlatego, że mnie potrzebuje, żebym otworzył jej słoik albo pokroił cebulę. Zaraz po ślubie dostałem posadę w małym miasteczku niedaleko Hyderabadu. Pewnego popołudnia nasza sąsiadka, pani Bhatt, która była w ósmym miesiącu ciąży, zaczęła rodzić. Nie było nikogo, kogo Mamusia mogłaby poprosić o pomoc. Wtedy nie było jeszcze telefonów ani autorykszy i taksówek na każdym rogu. A do najbliższego szpitala było pięć

kilometrów. I wiesz, co ona zrobiła? Poszła na szosę i zatrzymała ciężarówkę. Razem z kierowcą zawieźli panią Bhatt do szpitala. Gdyby Mamusia tego nie zrobiła, pani Bhatt by umarła... Może ci się wydawać, że jest delikatna i rozpieszczona, ale to naprawdę silna kobieta. Mamusia potrafi dać sobie radę, kiedy chce.

Opowiadał tę historię wszystkim. Opowiadał ją z taką dumą, że Dżanaki zaciskała zęby. Opowiadał ją, jakby to była jedyna interesująca rzecz, jaką zrobiła w swoim życiu. Miała ochotę cisnąć łopatkę, przewrócić miskę z ciastem na dosy i okładać go piśćciami po twarzy, dopóki duma w jego oczach nie rozprysnie się na kawałki i nie uleci precz. Miała ochotę krzyknąć: „Przestań nazywać mnie Mamusią. Nie jestem twoją mamusią. Jestem twoją żoną. Pamiętasz, kiedyś nazywałeś mnie Dżanu. Żoną. Ukochaną. Słoneczkiem. Jeśli to dla ciebie teraz za trudne, nazywaj mnie kobietą, ale nie nazywaj mnie Mamusią!”.

Dżanaki poczuła na sobie wzrok synowej i odwróciła twarz. Nie chciała, żeby dostrzegła w jej oczach gniew. Dżanaki chciała, żeby Dżaja uważała ją za kobietę spokojną i zadowoloną.

Dżanaki zapaliła lampkę przy łóżku. Przebywał w łazience od ponad piętnastu minut. Dlaczego nie wraca? Nie słyszała znajomych podnoszących na duchu odgłosów. Czyżby poślizgnął się i upadł? Poczul, jak ogarnia go dziwna słabość i osunął się na podłogę? Poczeka jeszcze kilka minut, zanim wstanie i pójdzie go poszukać. Nigdy się o niego nie niepokoiła. Wyda mu się to dziwne, jeśli zacznie teraz.

Jak czuła się jej matka, kiedy umarł ojciec? Jak to będzie, kiedy jego zabraknie?

Dżanaki odmawiała myślenia na ten temat. Siddharth co i raz wprowadzał go do rozmowy:

- Mamusiu, jak będziesz sama mieszkać w takim ogromnym domu po śmierci Taty?
- Prędzej czy później będziesz musiała zamieszkać z nami.
- Mam przyjaciela, który pracuje w nieruchomościach. Kiedy będzie trzeba, porozmawiam z nim.

Kiedy Siddharth zaczynał, Dżanaki czym prędzej zmieniała temat. Ale w tym pokoju nie mogła udawać, że on nie istnieje. Jak to będzie, kiedy każda noc będzie rozciągać się aż po horyzont?

Możesz umrzeć pierwsza, powiedział cichy głos. Ale wiem, że nie umrę. Dżanaki poczuła, że po policzku zsuwa jej się łza i ginie we włosach. To jej los i będzie musiała go unieść. Dusze takie jak jego delektowały się życiem. Sunęły majestatycznie przez narodziny i śmierci, nie raz, lecz milion razy.

Jak to będzie spać samej w łóżku i budzić się w pokoju, w którym nie będzie nikogo oprócz niej? Wczesne poranki, noce. Sama, sama. Proszę cię Boże, modliła się Dżanaki, pozwól mi zasnąć, żebym nie musiała o tym myśleć.

Kiedy Dżaja szła do szpitala na cesarkę, Siddharth zadzwonił do swoich rodziców. - Mamo, proszę, czy możecie do nas przyjechać? Jest już tu matka Dżai i znakomicie da sobie ze wszystkim radę, ale jeśli tu będziecie, będę się czuć o wiele bezpieczniej.

- Chcesz pojechać? - spytał Prabhakar.

- Jak moglibyśmy nie pojechać? - powiedziała Dżanaki, wyjmując z szafy sari i układając je na łóżku, żeby Prabhakar spakował je do walizki. - To nasz syn. Musimy być przy nim, kiedy nas potrzebuje.

Sprzeczki zaczęły się trzeciego dnia. Prabhakar wiedział, że tak będzie. Od kiedy Siddharth ożenił się, niemal wszystko, co mówiła jego matka, doprowadzało go do szału. Tak jakby zaczął przykładać do matki nową miarkę i ciągle okazywało się, że nie dorasta do jego oczekiwań. Z Dżanu było to samo, myślał Prabhakar. Narzekała, że jej syn zmienił się i że zupełnie nie zna tego mężczyzny, który rozmawiał z nią głosem ciężkim od tłumionej niechęci. Tłumionej niechęci za co? Co ja zrobiłam nie tak?, nieustannie pytała Prabhakara.

Nie mieli żadnych racjonalnych powodów, żeby sobie dogryzać, jednak robili to bez przerwy. Przerzucali się zawołowanymi obelgami, jakby to były piłeczki do ping ponga, a Prabhakar stał pomiędzy nimi, nie chcąc brać niczyjej strony.

Aż pewnego dnia, leżąc na łóżku w pokoju gościnnym Prabhakar usłyszał, jak Siddharth mówi: - Jesteś rozpieszczona. Przez całe życie wszyscy cię rozpieszczali. Twoja rodzina, a potem Tata. Wszystko musi być zrobione dokładnie tak, jak chcesz, na twój własny samolubny sposób. A jeśli ktoś nie chce zrobić czegoś po twojemu, dasz się i zawsze udaje ci się zmusić go, żeby ci ustąpił. Nie mogę się powstrzymać od porównywania cię z matką Dżai. Widzę, jaka jest wielkoduszna; gotowa wszystko poświęcić swoim dzieciom. Ty taka nie jesteś. Kiedy myślałaś o kimkolwiek poza sobą?

Wtedy Prabhakar wpadł do jadalni i powiedział lodowatym tonem: - Dżanaki, pakuj swoje rzeczy. Wyjeżdżamy natychmiast.

Nie musisz wysłuchiwać tych bzdur. Jak on śmie mówić do ciebie takim tonem?

- Tato, przestań być taki melodramatyczny. Zawsze stajesz po jej stronie, bez względu na to, kto ma rację. Posłuchaj też, co ja mam do powiedzenia. To przez ciebie Mama jest taka jaka jest - powiedział Siddharth, rozkładając ręce w geście bezradności.

- Milcz - powiedział Prabhakar, grożąc gniewnie palcem. - Nie chcę mieć z tobą do czynienia, dopóki nie przeprosisz matki. Jeśli ja nie stanę po jej stronie, to kto to zrobi? Jestem jej mężem, do cholery, i niech mnie kule biją, jeśli nie będę stawał po jej stronie.

Dżanaki rozplakała się. Skruszony Siddharth upadł na kolana i błagał matkę, żeby przestała płakać, podczas gdy Prabhakar patrzył na to z pobladłą, wykrzywioną gniewem twarzą.

Tej nocy powiedział do niej: - Wyjedziemy za parę dni. Nie ma sensu, żebyśmy zostawali w tej atmosferze nieustannych niesnasek. Ale najbardziej martwię się tym, że jeśli tak cię traktuje teraz, kiedy ja jeszcze żyję, to na co będzie sobie pozwalał, kiedy mnie już nie będzie, żeby się o ciebie troszczyć?

Ale Dżanaki położyła dłoń na jego ramieniu i próbowała ze wszystkich sił ratować sytuację, bo taka jest właśnie rola matki. - Nie pozwól, żeby to ci zepsuło humor. Siddharth nie jest złym synem. Wiem, że się martwi, czy dziecko urodzi się zdrowe; ma nerwową pracę; to stres sprawia, że robi się nieprzyjemny. Nie jest złym synem. Wiem to.

Smuga światła zza drzwi łazienki poszerzyła się. Odwróciła głowę i patrzyła, jak podchodzi cicho do swojej strony łóżka.

- Poproszę ich o dodatkowy koc - mruknął. - Jest tylko jedna kołdra na nas dwoje.

Jej serce zaśpiewało. - Nie, nie rób tego - powiedziała miękko.

- Jesteś pewna?

- Tak, jestem pewna. Wskakuj do łóżka. Zimno mi od patrzenia, jak tam stoisz.

Dżanaki czuła, że rumieni się w ciemnościach. Nie rozumiała tego ocieplenia zmysłów. Kobieta w jej wieku nie powinna tak się czuć. Odwróciła się do niego i patrzyła, jak kładzie się, zachowując zwykły dystans pomiędzy nimi.

- Możemy pojechać jutro do domu? - zapytała.

- Co? - powiedział.

- Czy możemy jutro pojechać do domu? Jestem zmęczona całym tym podróżowaniem przez te kilka ostatnich tygodni. Chciałabym wrócić do domu.

- Zamówili nam bilety na dwudziestego czwartego. Siddharth mówił, że musiał się mocno nagimnastykować, żeby je zdobyć. Nie ma żadnych biletów pierwszej klasy na wcześniejszą datę.

- Nie mam nic przeciwko podróżowaniu drugą klasą - powiedziała.

- Jesteś pewna? Nie jest tak czysto, a kuszетки są węższe i nie tak miękkie. Będiesz zmęczona, kiedy dojedziemy do domu. Przekręcił się na plecy i odkaszlnął, żeby przeczyścić gardło.

- Nie szkodzi.

- Siddharthowi to się nie spodoba. Na pewno się zdenerwuje.

- Niech się denerwuje. Po prostu chcę wrócić do domu - powiedziała.

A potem, powoli, ponieważ nigdy wcześniej nie wypowiadał tych słów, szepnęła: - Jestem zmęczona dzieleniem się tobą ze wszystkimi. Chcę cię mieć tylko dla siebie.

Przysunęła się bliżej i przyłgnęła do jego boku. Czuła, jak wstrzymuje oddech, a potem stopniowo, w zachwycie i zdumieniu, wypuszcza powietrze.

Dostroila swój oddech do jego, wdychając mieszaninę wilgoci pasty do zębów i mydła, składającą się na jego zapach. Przygarnął ją do siebie i leżała z głową na jego ramieniu.

Przyjacielska miłość. Pod jednym kocem wszystko jest możliwe, pomyślała, zamykając oczy i czując, jak wlewa się w nią jego ciepło.

3

Panika podsyca płomienie lęku. Panika otepia. Panika chwyta strzeliste sny i ściąga je na ziemię. Panika niszczy.

Akhila czuła, jak panika znaczy jej twarz. Uciekła. Ale od czego do czego?

Quo vadis? Akhila przypomniała sobie sandały firmy Bata ze skórzanych pasków, które jej ojciec kupił niedługo przed swoją śmiercią.

- *Quo vadis?* Wiesz, co to znaczy? To „Dokąd idziesz?” po łacinie. Podoba mi się pomysł pary sandałów, zadających podniosłe pytanie. Jakiego sam sobie już dawno nie zadawałem. - Uzasadniał nabycie drogiej pary obuwia, ulegnięcie pokusie, żeby kupić drogie markowe buty w eleganckim salonie obuwniczym zamiast pójść do zwykłego sklepu.

Quo vadis?, pytała siebie Akhila. A potem w sanskrycie: *Kim gacchami*. I jeszcze w tamilskim: *Nee yenga selgirai*.

Akhila nie знаła więcej języków, ale pytanie sączyło się przez ścianki jej umysłu w językach znanych i nieznanym. Odbijane przez stwora w piłkarskiej koszulce w żółto-czerwone paski i w butach z kolcami, któremu na imię panika.

Akhila ujrzała siebie w postaci węża, który spał zwinięty przez wiele lat. Ujrzała życie jako kwiat lotosu o tysiącu płatków, który musi odnaleźć, zanim pozna spełnienie. Akhila wpadła w panikę. Jak i gdzie ma rozpocząć poszukiwanie?

Oparła czoło o oblażące z farby czerwono-brązowe pręty okna. Do końca życia woń skórki pomarańczy i rdzy pozostanie dla niej zapachem paniki.

#

Podsakując i kołysząc się, pociąg sunął przez noc. Akhila czuła na skórze chłodny dotyk prętów okna. Miękki głos Dżanaki wciąż rozbrzmiewał echem w jej głowie. Nagle uzmysłowiła sobie że zabrała się do rzeczy od niewłaściwej strony. Traktowała życie innych ludzi, jakby to był poradnik, w którym znajdzie jednoznaczny odpowiedź na pytanie, co ma zrobić dalej. Co w sercu, to na języku. Dawno tego nie robiła, pomyślała. Nie wyrażała uczuć, nie wyrażała myśli bez lęku, że któregoś dnia zostaną użyte przeciwko niej.

- Masz rację - powiedziała powoli, zwracając się do Margaret, czując z rozkoszą, jak słowa formują się w jej ustach. - Nie mogę prosić innych, żeby podjęli za mnie decyzję. Gdybym miała się zdecydować na podstawie tego, co opowiedziała o swoim życiu Dżanaki, powinnam dalej mieszkać ze swoją rodziną. Może ich nie kocham, ale przynajmniej ich mam.

- Na razie usłyszałaś tylko historię Dżanaki. Jak możesz tak łatwo się poddawać? - powiedziała Prabha Dewi. W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie.

- Nie powiedziałam, że się poddaję. Ale teraz wiem, co muszę zrobić - odparła Akhila.

- Co masz na myśli?

- Kiedy pracowałam w Madrasie, miałam przyjaciółkę. Młodą Anglo-Hinduskę. Nazywała się Katherine Webber. Raz na tydzień przychodziłam do niej z wizytą i czasami jej Mama ucinała sobie ze mną pogawędkę. Kiedyś powiedziała coś o kazaniach w skałach*.

* Szekspir, *Jak wam się podoba*, akt II, scena 1 (przyp. tłum).

Nie pamiętam, dlaczego to powiedziała, wtedy zresztą nie rozumiałam, co ma na myśli. Ale teraz wiem. Życie każdej z was jest inne od mojego. I że to głupie z mojej strony, myśleć, że jeśli opowiecie mi o sobie, o swoim życiu, pomożecie mi podjąć decyzję. A jednak... - Akhila wzruszyła ramionami, niezdolna mówić dalej, nagle z kompletnym chaosem w głowie.

Dżanaki przerwała rozczesywanie włosów i uśmiechnęła się.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytała Akhila.

- Bo już zaszła w tobie zmiana. Po raz pierwszy dzisiaj wieczoru widzę życie w twoich oczach. Niemal czuję twoje podekscytowanie. Parę godzin temu, kiedy patrzyłam na ciebie, jak stałaś na peronie, pomyślałam sobie, ależ ta kobieta ma sztywny wygląd, sprawne ręce i poważną twarz. Pomyślałam, że jesteś dyrektorką szkoły albo przełożoną pielęgniarek.

- Nie wiedziałam, że dyrektorki szkoły odznaczają się jakimś szczególnym wyglądem - powiedziała Margaret, nie starając się ukryć rozdrażnienia.

- Och, owszem, odznaczają się - wtrąciła się Prabha Dewi. - Mają w sobie coś takiego, jakby uważały cały świat za bandę niesfornych dzieciaków, którym trzeba pokazać, gdzie ich miejsce. Ale ty tak nie wyglądasz. Wyglądasz na kogoś, kto pracuje w dużej międzynarodowej firmie, no wiesz, odnoszącego sukcesy, pewnego siebie...

- Dobrze, już dobrze, rozumiem, co masz na myśli - powiedziała Margaret z uśmiechem na twarzy. Promiennym uśmiechem, od którego w jej oczach zatańczyły iskierki i który je wszystkie zaskoczył.

- Nie jestem tym, za kogo mnie wszyscy biorą - powiedziała wolno Akhila.

- Teraz już to wiem. Ale ukrywasz się za takim sztywnym pancerzem samokontroli, że większość ludzi musi czuć przed tobą respekt - powiedziała Dżanaki.

Kiedy Akhila nie odezwała się, dodała łagodnie: - Nie chciałam urazić twoich uczuć.

- Nie uraziłaś ich. Bynajmniej - powiedziała Akhila. - Po prostu myślałam o tym, co powiedziałaś. Nie zawsze taka byłam; taka sztywna i opanowana. Musiałam wyhodować sobie skorupę. Żeby nie dać się zranić. Zwariowałabym, gdybym tego nie zrobiła.

Dżanaki wyciągnęła dłoń i dotknęła jej ramienia. - Przepraszam, jeśli przypomniałam ci o czymś bolesnym. Zapomnij o tym. Zapomnij o tej rozmowie.

Szybko zaplotła warkocz i zwracając się do pozostałych, powiedziała: - Czy nie czas przygotować się do snu?

Po kolei otwierały swoje torby, wyjmując prześcieradła i poduszki. Dżanaki miała dolną kuszetkę. Wstała, żeby mogły podnieść środkową i umocować ją do górnej.

- Którą chcesz kuszetkę? Środkową czy górną? - Prabha Dewi zapytała Margaret.

Margaret wzruszyła ramionami. - Wszystko mi jedno.

- W takim razie, wezmę górną.

Dżanaki napełniła szklankę wodą z butelki, odkręciła małą fiolkę i wyjęła tabletkę. Pochwyciwszy spojrzenie Akhili, przywołała na usta cierpki uśmiech. Między nimi nie ma już żadnych tajemnic, zdawał się mówić. I nagle skrzypienie, które się między nie wkradło, rozwiało się bez śladu.

Prabha Dewi stała niezdecydowanie przy drzwiach przedziału - Mam je zamknąć na zasuwkę?

- Nie, nie przejmuj się. Zamknę je, kiedy wsiądzie ostatnia pasażerka. Nie jestem jeszcze śpiąca - powiedziała Akhila.

- Dobranoc - popłynęło od kuszетки do kuszетки; od kobiety do kobiety.

- Słodkich snów - zachichotała Prabha Dewi.

- Nigdy nic mi się nie śni - wyznała ze smutkiem Dżanaki.

- A mnie chyba tak. Ale nigdy nie pamiętam swoich snów - powiedziała Margaret.

Akhila słyszała ich głosy, unoszące się gdzieś w oddali. Znowu patrzyła przez okno.

Zamknęła oczy i spróbowała poddać się rytmowi pociągu w nadziei, iż poniesie ją w sen. I ku przeszłości...

Appa był cichym mężczyzną o przygarbionych plecach i siwiejących włosach. Pracownikiem urzędu skarbowego, mierzącym upływ czasu liczbą brązowych teczek, które tłoczyły się w koszyku na dokumenty przychodzące w poniedziałek rano i przechodziły do koszyka na dokumenty wychodzące do soboty. Od rana do wieczora wędrował mozolnie przez godziny, nie wymagając wiele od nich, ani nikogo innego, byle tylko zostawili go w spokoju.

Dla Appy niedziele stanowiły cotygodniową próbę generalną przed dniem, kiedy przejdzie na emeryturę i znowu będzie mógł żyć na swoich własnych warunkach. Powinien był zostać uczonym; kimś, kogo praca polega na studiowaniu starożytnych tekstów, zdmuchiowaniu kurzu z palmowych liści, na których ostrym rylcem wydrapano dogmaty życia i religii. Kto mamrocze pod nosem, wbija w pamięć, wynajduje następstwa, umożliwiające podróż po wewnętrznych ścieżkach umysłu, podczas gdy życie bezszelestnie otula go swoim płaszczem.

Zamiast tego trafił do biura, gdzie ciągle ktoś miał mu coś do powiedzenia: szyderstwo, drwinę, obelgę, banał, w jakiś pokrętny sposób odbijający jego osobę. Był obiektem żartów i śmiechu. Śmiali się z tego, jak chodził, w co się ubierał, z jedzenia, które jadł... Śmiali się nawet ze sposobu, w jaki znosił ich kpiny. Cierpiał poniżenie milcząc, w fałszywym przeświadczeniu, że jeśli nie będzie reagował zostawią go w końcu w spokoju. Co dla jego dręczycieli stanowiło jedynie zachętę, by robić sobie z niego jeszcze większe pośmiewisko

Poza tym istniała jeszcze kwestia łąpówek. W tym biurze teczka nie przechodziła z biurka na biurko, dopóki jej przejście nie zostało wspomóżone daniem w łąpę, lekkim posmarowaniem dla ułatwienia ruchu. Tylko że Appa nie przyjmował łąpówek. Co oznacza, że na biurku Appy akta leżały dłużej. Kładł swój podpis dopiero wtedy, kiedy przeczytał każde słowo i sprawdził każdą cyfrę, upewniwszy się, że wszystko jest tak, jak

należy. Niektórzy urzędnicy narzekali, że robi to naumyślnie; że może sobie nie przyjmować łapówek, ale z jakiej racji utrudnia to im. „Jeśli będzie dalej przetrzymywał wszystkie akta, ludzie przestaną płacić”, mówili.

Inni - cwaniacy na wyższych szczeblach i niektórzy podatnicy, którym nie wszystko zgadzało się w papierach - szydzili z głupiej uczciwości Appy, powiadając: „Przecież nie musisz niczego robić, Postępuj tylko jak my wszyscy. Wystarczy, żebyś odwrócił wzrok i nie zadawał niewygodnych pytań. Spotka cię za to sowita nagroda. Co z ciebie za człowiek? Nie umiesz wykorzystać okazji”.

Ale Appa zawsze postępował zgodnie ze swoim sumieniem. Pochylał więc głowę, garbił ramiona i mówił: „Muszę ze sobą żyć, a to jest jedyny sposób, w jaki potrafię”.

Appa często opowiadał o swoim zwierzchniku, człowieku imieniem Kośi. „Jak Kośi może spać w nocy?”, mawiał. „Jest tak skorumpowany, że zażąda łapówki, nawet jeśli poprosić go o pozwolenie na kichnięcie w jego boksie. Nawet te akta, które już sprawdziłem i zatwierdziłem, odkłada na bok, udając, że znalazłem poważną rozbieżność w rachunkach i że nie da się nic zrobić, dopóki nie dostanę w łapę. Nie dalej jak dzisiaj po południu słyszałem, jak mówi do kogoś: - Ja nie przyjmuję łapówek, ale nie wiem jak inni. - A kogóż to miał na myśli? Mnie. I wszyscy ci ludzie odchodzą z kwitkiem, przekonani, że to przeze mnie muszą przychodzić do urzędu wiele razy, zanim coś wreszcie załatwią. I jakby tego było mało, ponieważ wie, że nie biorę łapówek, poinstruował gońca, żeby kierował łapówki przez tego gościa Dżaina, który nie ma żadnych skrupułów, żeby je przyjmować, czy to dla siebie, czy to dla kogo innego”.

Pozbawiony skrupułów Dżain, goniec Babu, Doraj, urzędujący przy sąsiednim biurku, te imiona stanowiły część ich życia, ale to Kośiego nauczyli się darzyć nienawiścią. Nie wiedzieli, jak Kośi wygląda, ale w ich umysłach był demonem. Narakasurą, Hiranjakaśipu, Rawaną, połączonymi w jednego ohydneho potwora, z trucizną zamiast krwi i ostrymi kolcami zamiast słów. Kośi, który dręczył Appę, wystawiając na próbę jego dobroć. Kośi, który nienawidził Appy i co roku osobiście dopilnowywał, żeby jego akta personalne nie miały żadnego związku z tym, co Appa rzeczywiście robił w biurze.

Co roku Akhila i jej matka czekały, żeby Appa wreszcie awansował, żeby wzrosła jego pensja podstawowa plus dodatki, i twarz Appy rozjaśnił wreszcie uśmiech, a Amma miała więcej pieniędzy na dom. Ale każdy kolejny rok przynosił Appie jedynie rozczarowanie. „Jak długo moim zwierzchnikiem jest ten Kośi, będę harował jak muł bez żadnej nagrody”, mówił Appa głosem nabrzmiałym z gniewu. A one przyjmowały jego słowa z rezygnacją, wiedząc, że nic się nie zmieni w ich życiu, dopóki będzie rządził Kośi.

Pierwszą niedzielną przyjemnością Appy był spacer do sklepu na rogu po egzemplarz „Hindu”. W biurze gazeta docierała do niego wyplamiona kawą, upstrzona kleksami i wystrzępiona na brzegach. Zawsze brakowało strony czy dwóch. W niedzielę Appa czytał gazetę od deski do deski; zaczynał od felietonu Arta Buchwalda na ostatniej stronie i przesuwiał się do początku, brnąc z mozołem poprzez mile i mile drobnych ogłoszeń. Czasami Akhila myślała, że i je czyta dokładnie. Dopóki nie zakończył lektury, nikomu nie wolno było tknąć gazety.

Kwadrans po dziesiątej Amma stawała w drzwiach kuchni, wycierając dłonie w ścierkę. Podnosił wzrok znad gazety i obrzucał ją szacującym spojrzeniem. Odzywała się wreszcie, wypowiadając zaproszenie, skierowane wyłącznie do niego: „Nie jesteś głodny? Musisz być. Od samego rana nie miałeś nic w ustach”.

Akhila i pozostałe dzieci wiedziały, że muszą poczekać, aż Amma najpierw obsłuży ojca. Jeśli burczało im w brzuchach, trzeba było oddalić się poza zasięg dźwięku, żeby nie musiał się spieszyć ze swoim posiłkiem. Czasami Akhila zastanawiała się, czy Appa nie wolałby, żeby jedli wszyscy razem, ale nigdy nie dowiedziała się, jak było naprawdę. Amma lubiła, żeby wszystko odbywało się właśnie w ten sposób.

Zasiadał na niskim drewnianym podwyższeniu, a ona kładła przed nim zielony liść bananowca. Kopiec ryżu połyskiwał niecodzienną bielą. W niedzielę Amma przygotowywała ulubione potrawy Appy. Podawała je niemal wrzące, woniejące alchemią pary, korzeni i oddania temu mężczyźnie, który dla niej i dla dzieci przez sześć dni w tygodniu zadowalał się obiadem złożonym z ryżu, twarogu i plasterka marynowanej limonki, nie skarżąc się nigdy.

Beknąwszy na znak, że jest syty, Appa wstawał i szedł do szerokiej drewnianej deski, podwieszanej do sufitu na grubych żelaznych łańcuchach. Kładł się na niej, krzyżując w kolanach nogi, i pozwalał kołysaniu wyprzeć z myśli wszelkie niepokoje i lęki.

Pozostali - Amma, chłopcy Narayan i Narsimhan, najmłodsza z rodziny Padma i Akhila - kładli się na matach z trawy. Na zewnątrz słońce pieło się po niebie, ale chłodne kamienne płyty posadzki chroniły ich przed upałem. Leżeli tak, z pełnymi żołądkami, ze snem ciężącym na powiekach, omdlewając każdy w osobnej sadzawce swoich własnych pragnień.

Czego pragnęli jej bracia, by dopełnić koło swego życia? Zabawek? Książek? Trochę pieniędzy na bilet na poranek w kinie?

Czego potrzebowała jej matka? Własnego domu? Biżuterii? Akhila знаła marzenia Padmy. Pożądała jedwabnej spódniczki i bluzki. Akhila nie wiedziała jednak, czego sama pragnie. Wiedziała tylko, że odczuwa dziwny niepokój, któremu jak echo odpowiada przeciągły jęk huśtawki.

Na godzinę dom pogrążał się w transie. Około południa Akhila włączała radio. W niedzielę słuchali kilku programów. Appa chciał, żeby chłopcy wysłuchali uważnie *Bournvita Quiz Show*. Amma i Akhila czekały na *Horlicks Family Show - Sućitrawin Kudumbam*. Sućitra zastępowała Ammie i Akhili krewnych, których nie miały. Co tydzień czekały, żeby usłyszeć, co się wydarzyło w życiu Sućitry, i pośmiać się z wyskoków jej dzieci, Radżu i Sudżaty. Był jeszcze mąż, Śankar, i najbliższy przyjaciel rodziny, Bhaskar. Ale to Sućitrę kochały. Zaradną, zabawną, ciepłą Sućitrę, rozwiązującą problemy, rozdzielającą hojne dary i miłość. Doskonałą matkę i żonę. Taką właśnie kobietą pragnęła być Akhila.

Kiedy programy dobiegały końca i rozlegał się sygnał wiadomości o drugiej, Amma wyłączała radio i budziła Appę, delikatnie przekładając jego głowę na poduszkę swoich kolan. Nuciała półgłosem któryś z jego ulubionych kirtanów. *Chelmela ra saketh Rama, chelmele ra...*, czemu jesteś taki uparty, mój panie, czemu jesteś taki uparty?

Kiedy już się obudził, zaczynała obłuskiwać orzeszki ziemne, w jednym rytmie z muzyką, w jednym rytmie z huśtawką, w jednym rytmie z ich życiem. Rozłupywała skorupkę na dwie połówki. Kiedy orzeszki spadały na jej dłoń, wsuwała mu je do ust. Od czasu do czasu jeden zjadała sama. Z każdym darem Amma odbudowywała odrobinę poczucia własnej wartości, zniszczonego tygodniem upokorzeń w urzędzie skarbowym.

Akhila czytała, odwrócona plecami do rodziców; świadek mimo woli coniedzielnego rytuału miłości, obdarowywania i uzdrawiania.

Tylko od czasu do czasu, naprawdę bardzo rzadko, do ust podchodziła jej kwaśna myśl, jak niesmak po zjedzeniu szczególnie tłustej masala dosy: kiedy do nich wreszcie dotrze, że już nie jestem dzieckiem? Kiedy zauważą, że w moim wnętrzu trzepocą pragnienia, których sama nie rozumiem? Ta tęsknota, ta wilgotność, to pulsowanie zmysłów, co to wszystko oznacza?

Jednak gdy tylko myśl wypełniła jej usta, połykała ją szybko i biegła do kuchni, by ją uciszyć. Lecz Amma nie pozwalała Akhili nic robić, mogła się tylko przyglądać. W niedzielę Amma sama przyrządzała wszystkie posiłki, ignorując propozycje pomocy.

Amma kroїła w półksiężycy bakłażany, zanurzała je w maśle cętkowanym drobno posiekaną cebulą, zielonymi papryczkami chilli i listkami curry, a potem wrzucała do rondla z rozgrzanym olejem, dymiącego na palniku naftowej kuchenki. Bakłażany, obtoczone w potrzebie pokazania Appie, jak bardzo go kocha i szanuje, syczały i strzelały, by wreszcie uspokoić się i zmienić w złocisto-brązowe artefakty przywiązania. Soczyste, drżące wnętrzości, z leciutkim chrzęstem przypraw dla zaostrzenia apetytu Appy. Delektuj się, delektuj, mój mężu, mój panie i mistrzu. Moim ciałem, moją duszą, moimi kattirikaj badździ.

Ale poczekajcie, Amma nigdy nie mieszała kawy z filtra z mlekiem przed przygotowaniem deseru. Kasha manna prażona na złotobrazowo. Ugotowana w podwójnej ilości wody, równej ilości cukru, z dużą ilością ghi i odrobiną kardamonu. Mieszana, żeby ziarenka były błyszczące, niepozlepiane i całe. Zabarwiona szafranem. Przybrana rodzynekami i prażonymi orzeszkami nerkowca. Sączyli kawę, gryźli badździ, zagłębiali zęby w słodkim przepychu kesari i patrzyli, jak Amma piętrzy na talerzu Appy podwójne dokładki, które pozostawi nietknięte, gdy chłopcy i Padma oddaliby duszę za odrobinę więcej.

Później chłopcy biegli bawić się pod drzewem mango, a Amma przynosiła kości do gry. Kości, które stanowiły część jej posagu.

Pobrzękiwanie mosiężnych kości. Skrzypienie kredy po tabliczce, na której Padma ćwiczyła alfabet. Trzask radia, grającego gdzieś w tle. Szmer rozmów. To wszystko miało pomóc Appie przetrwać cały tydzień katuszy w urzędzie skarbowym.

Później, kiedy ich egzystencja legła w gruzach, Akhila myślała o tych niedzielach za życia Appy jak o czasie, gdy nigdy nie zdarzało się, by coś poszło źle. Wszystko było dokładnie tak, jak miało być.

#

Dzień, w którym umarł Appa, zaczął się zupełnie zwyczajnie. Później Amma będzie twierdzić, że miała przecucie. Przez całą noc był samotny pies. Obudziła się z tikiem w prawej powiece. Mleko zwarzyło się przy gotowaniu; naczynie z ciastem na dosy wypadło jej z rąk i chlusnęło na podłogę gęstym białym strumieniem sfermentowanego lęku. Kiedy pożegnała Appę w drzwiach, widziała, jak drogę przebiegł mu sparszywiwały kot...

- Powinnam była go wtedy zatrzymać. Powinnam była odczytać sygnały, że jego życie jest w niebezpieczeństwie i zatrzymać go w domu przy sobie. A ja stałam i patrzyłam, jak odchodzi na spotkanie ze śmiercią - jęczała w kółko do kobiet, czuwających wraz z nią u jego zimnego, sztywnego boku.

Jeśli bogowie uznali za słuszne ostrzec Ammę o nadciągającej zmianie losu, to w każdym razie nie widzieli takiej potrzeby w wypadku Akhili. Przeciwnie, tamtego poranka obudziła się w zmysłowym ożywieniu, radosnym podnieceniu, które kazało jej wyskoczyć z łóżka i w pośpiechu odbyć poranne ablucje.

Akhila nienawidziła poranków. Teraz, kiedy skończyła swój kurs przygotowawczy na uniwersytet, rodzice uznali jej edukację za dopełnioną i oczekiwali, że zajmie się doskonaleniem swoich umiejętności gospodarskich, przygotowując się do zamążpójścia.

Amma nalegała, żeby to ona co dzień rano kreśliła kolam przed frontowymi drzwiami. „To podług niego ludzie oceniają dom”, powtarzała Akhili do znudzenia. „Wiesz, co powiedział Thiruvalluvar? Prawdziwa żona to ta, której cnoty dorównują jej domowi”.

Akhila westchnęła. Brodaty poeta-święty o włosach sfilcowanych jak materac zatruł swoją płodną twórczością jej szkolne lata. Nauczyciel tamilskiego uważał, że to coś okropnego, żeby zaciągała się przy recytowaniu wierszy Thiruvalluvara, choć nigdy nie myli się przy deklamowaniu poetów angielskich. - Kim jest ten facet Wordsworth? Gnojkiem w porównaniu z poezją nieśmiertelnego Thiruvalluvara. Czy uczy cię, jak być dobrą żoną i matką? Czy jego słowa pozwalają poznać, czego oczekuje się od syna lub ucznia? A mimo to wolisz uczyć się na pamięć jego wierszy. Co to deklamowałaś na ostatniej akademii? - unosił pytająco brew.

- *Żonkile*, panie profesorze - bąkała Akhila.

- *Żonkile*. A co to takiego? Widziałaś je kiedy? Sądzisz, że kiedykolwiek zobaczysz? - szydził. - Czy ich zapach może się równać z wonią naszego jaśminu, a ich kolor z barwą naszych nagietków?

- Nie wiem, panie profesorze.

- Siadaj. Nie stój tutaj jak wielkie ptaszysko - mówił, opierając się o tablicę, ogarnięty przemożnym wzruszeniem. - Tamilski to najstarszy żywy język na świecie, ale czy nas to obchodzi? Wolimy uczyć się o żonkach i słowikach. Co z tego, że Indie uzyskały niepodległość, skoro nadal jesteśmy niewolnikami angielskiej mowy... Otwórzcie podręczniki na stronie szesnastej.

Duch Thiruvalluvara nie poprzestawał na tym. Za każdym razem, kiedy Akhila wsiadała do autobusu, czekał tam na nią, usadowiony na ścianie. Niemal wszystkie autobusy, kursujące po ulicach Madrasu i jego przedmieść, miały ciemnobrązową metalową tablicę, umocowaną nad głową kierowcy, z ilustracją i cytatem.

Nauczyciel tamilskiego wiedział, że Akhila jeździ autobusem i wymyślił nowy, jedyny w swoim rodzaju sposób zmuszenia jej, żeby nauczyła się na pamięć choćby kilkuset strof o wszystkim, o czym Thiruvalluvar miał coś do powiedzenia. Codziennie rano na lekcji tamilskiego musiała deklamować wersy, które jechały z nią tego dnia autobusem. Nauczycielowi tamilskiego nie robiło różnicy, czy strofy dotyczyły idealnych pasażerów, kierowców czy podróży... byle ich autorem był Thiruvalluvar. A teraz jeszcze tutaj. Tańczył na koniuszku języka Ammy, sypiąc na jej dziewiętnastoletnią głowę rozżarzone węgle i porady gospodarskie.

Byle jak nakreślony kolam świadczy o niedbałej, kiepskiej i nieznającej się na rzeczy gospodyni. Kolam nazbyt skomplikowany wskazuje na egocentryzm, rozrzutną rękę i nieumiejętność stawiania potrzeb innych ponad swoimi. Misterny, zawily kolam rezerwuj na szczególne okazje. Kolam na dzień powszedni ma pokazywać, że choć jesteś oszczędna, nie jesteś skąpa. Powinien świadczyć o twoim umiłowaniu piękna i oku do szczegółów. O powściągliwości, o pewnej elegancji i co najważniejsze, o rozumieniu twojej roli w życiu. Twój kolam powinien odzwierciedlać, kim jesteś: dobrą gospodynią - powtarzała Amma w pierwszych dniach po tym, jak Akhila na zawsze pożegnała się ze swoimi podręcznikami.

Amma miała album ze wzorami kolamów, wyciętymi z tamilskich czasopism, które czytała. Były tam kolamy na wszelkie możliwe okazje, jakie mogły się wydarzyć w bramińskim domu, i jeszcze kilka innych. Był

wybór kolamów na dni powszednie. Dobre kolamy jaśniejące wszystkimi cnotami dobrej żony i gospodyni, sprawiającymi, że teściowe nazywały swoje synowe „światłem przewodnim rodziny”.

Co w innych domach było rytuałem, dla Ammy stanowiło naukę. I każdy kolam nakreślony przez Akhilę był eksperymentem naukowym przeprowadzanym co rano. Najpierw Akhila musiała zamieść ziemię i spryskać ją wodą, żeby osadzić kurz. Mieszkanie w mieście oszczędzało jej mieszania krowiego nawozu z wodą. Brała miseczkę gruboziarnistego kamiennego proszku, który Amma kupowała workami raz na miesiąc i przystępowała do tworzenia kolamu. Osiem kropek w jednym rzędzie. Cztery na górze i cztery na dole. Kiedy kropki były gotowe, otaczała je połączonymi liniami. Amma przychodziła popatrzeć na skończone dzieło. - Nieźle, ale następnym razem dopilnuj, żeby kropki były w równej odległości jedna od drugiej i nie przerywaj linii pomiędzy dwoma kropkami. Rzecz w tym, żeby z pomiędzy twoich palców sypał się równy strumień proszku. Chodź i popatrz, jak robię wewnętrzny kolam.

Amma sama wykonywała kolam w pokoju poświęconym puźa. Używała do niego drobno mielonej mąki ryżowej, a wzory czerpała z albumu swojej pamięci. Akhila nienawidziła tego. Akhila nienawidziła wszystkich kolamów: zewnętrznych i wewnętrznych. Nienawidziła tych przygotowań, tego oczekiwania i tej niewiedzy, jak będzie wyglądać jej prawdziwe życie.

Ale tamtego poranka Akhila naprawdę chciała narysować piękny kolam, na którego widok Amma wypowie rzadkie słowa pochwały. Chciała usłyszeć, jak mówi: - Akhilandeswari, oto piękny kolam, jaki przystoi dobremu domowi braminów. - I Amma to powiedziała. Może to był omen, zesłany Akhili przez bogów, by ją uprzedzić, że to nie będzie dobry dzień.

Po południu, kiedy już uporała się ze wszystkimi obowiązkami domowymi, podeszła do matki, leżącej na huśtawce z pismem ilustrowanym w rękę: - Amma, idę do domu Sarasy Mami. Prosiła mnie, żebym przyszła i pomogła jej przy wadach.

Amma podniosła wzrok znad czasopisma i burknęła: - Czy to raczej nie za późno, żeby zaczynać wady?

- Dżaja i ja mamy tylko oczyścić i namoczyć sago. Sarasa Mami powiedziała, że sama je utrze i przyprawi ciasto. Będę musiała tylko przyjść tam wcześniej rano, zanim zrobi się za gorąco i pomóc jej nakładać ciasto łyżeczką na kawałki tkaniny. Och, Amma, i jeszcze pytała, czy nie masz w domu jakichś starych dhoti taty, które mogłabyś jej dać...

Amma usiadła z westchnieniem. - Chytre stworzenie z tej Sarasy. Od tylu lat ją pytam, czym przyprawi swoje wady i do tej pory nie zdradziła mi wszystkich składników. Może tobie je wyjawia. Powiedz, że jutro przyniesiesz stare dhoti i że nie chcę, żebyś wystawała na słońcu. Nie chcę, żebyś spaliła się na czarno. Musisz dbać o swoją karnację. Każdy mężczyzna chce za żonę kobietę o jasnej skórze, nawet jeśli sam jest czarny jak węgiel!

W ten sposób Amma udzielała Akhili pozwolenia na wyjście. Padma i chłopcy mieli swoich przyjaciół na tej samej ulicy. Ale Sarasa Mami mieszkała dwie ulice dalej. Za każdym razem, kiedy chciała ją odwiedzić, Akhila musiała pytać matkę o pozwolenie. Według Ammy ulice roiły się od zagrożeń, które mogły pozbawić Akhilę hymenu, zanim legalnie przedziurawi go jej mąż. A tym samym okryć hańbą jej ojca i całą bramińską społeczność.

Na dworze paliło słońce. Maj był najgorętszym miesiącem w roku, złożonym z wielu gorących miesięcy oraz paru miesięcy gorących i wilgotnych. Ukazała się gwiazda Kattari i nikt przy zdrowych zmysłach nie wychodził w ciągu dnia z domu. Lejący się z nieba żar osmalał skórę głowy i wysuszał gardło. Nawet o trzeciej po południu cienie sięgały zaledwie do kolan. Liście ogromnego fikusa rosnącego na końcu ulicy drżały od upału, wyblakłe i poszarzałe. Psy kulily się przy rynsztoku, biegnącym po jednej stronie jezdni. Wystarczyło kilka minut, by przed oczyma zaczęły unosić się miraże. Akhila biegła do domu Sarasy Mami. Nie przejmowała się upałem ani tym, że na ulicach nie ma żywej duszy, za to sąsiedzi się przejmowali. Jeśli ktoś ją zobaczy, na pewno znajdzie okazję, żeby przypomnieć jej matce, do czego może doprowadzić pozwalanie młodej dziewczynie, takiej jak Akhila, na samotne chodzenie po ulicy.

Sarasa Mami miała kufer pełen książek. Powieści, które jej szwagier kupował w latach college'u i które potem przestały mu być potrzebne. Stał tam, aż pewnego dnia Sarasa poprosiła Akhilę, żeby pomogła jej go wyczyścić. - Raz na miesiąc wyjmuję z niego wszystko, odkurzam, zabijam rybiki, które chyba lęgną się w książkach, i wkładam z powrotem - powiedziała, otwierając wieko. - W kółko powtarzam mojemu szwagrowi, żeby to stąd zabrał, ale zawsze znajduje nowy wykręt.

Akhila przesunęła dłonią po książkach. Były tam Jamesy Hadleye Chase'y i Perry Masony; Haroldy Robbinsy i Irvingi Wallace'y, i jeden czy dwu klasyków. Z oślimi uszami, pożółkłe ze starości, wydzielające słodkawą zapaszkę tomy w krzykliwych okładkach, których widok wywoływał przyspieszone bicie serca i zakazane myśli. Sarasa Mami pozwalała jej brać do domu po jednej książce na raz. - Jesteś pewna, że twoja matka nie będzie miała nic przeciwko temu? - zapytała za pierwszym razem.

- To nie są złe książki. Mają tylko takie okładki, żeby przyciągnąć uwagę - pospiesznie wyjaśniła Akhila, zanim Sarasa zmieni zdanie na temat pożyczania jej książek.

- Pewnie masz rację. Ale jeśli twoja matka urządzi awanturę, nie mów jej, że to ja ci je dałam. Zrobi mi piekło.

- Sarasa Mami - zawołała Akhila, stukając do drzwi.

Twarz Subramani Iyer przeciął szeroki uśmiech. - Patrzcie, kto tu jest - powiedział. Rzadko widywano go bez uśmiechu. - Wystrojona jak księżniczka.

Akhila z zakłopotaniem zerknęła na swoje dawani. Bluzka i spódnica nie były nowe. Ale pólśari z purpurowej żorżety było prawie nienoszone. Nikt oprócz Subramani Iyer by tego nie zauważył.

Akhila nie знаła nikogo, kto byłby do niego podobny. Czasami podchodził powoli do Sarasy Mami i otaczał ją ramionami, a ona rumieniąc się, wymykała się z jego objęć. Nazywał ją swoją królową, a dzieci ich skarbem. Akhila słyszała, jak płacze rzewnymi łzami, wzruszony tragedią w filmie, kiedy któregoś popołudnia poszli wszyscy do kina. Co miesiąc, w dniu wypłaty, przynosił do domu wielkie pudło z dużego sklepu ze słodyczami na Broadway - Ramakrishna Lunch Home. Na Diwali przynosił tyle petard, że chłopcy nie posiadali się ze szczęścia. Obdarowywał nimi braci Akhili, a potem przyłączał się do nich na rogu ulicy, gdzie odpalali syczące, strzelające iskrami petardy, które napelniały powietrze kwaśnym odorem prochu strzelniczego. Prosił tylko, by czasami dali do potrzymania zimny ogień niewidomemu Srini, żeby nie czuł się wyłączony z zabawy. - Nie widzi, ale jego pozostałe zmysły są nienaruszone i pewnie pracują lepiej od naszych - mówił Subramani Iyer, mierzwiąc z czułością włosy syna.

Na jego wysokim czole tuż nad wysklepieniem nosa widniała blizna w kształcie półksiężyca. - Ale mam szczęście, co? Nawet jeśli zapomnę posmarować wibhuti, nikt tego nie zauważy... - chichotał, dotykając blizny. Miał wyłupiaste oczy, nadające jego twarzy wyraz nieustającego zachwyty dziecka, które po raz pierwszy w życiu zabrano do wesołego miasteczka.

Jego ubranie zawsze wyglądało niechlujnie i wisiało na nim, jakby zdjął je z kogoś innego. Rękawy koszuli łopotwały przy każdym ruchu, a spodnie kończyły się trzy cale powyżej kostek. Pracował jako goniec w biurze, biegał po kawę i herbatę, prznosił akta z biurka na biurko, opróżniał kosze na papiery i co rano sprzątał całe biuro, nie licząc nieskończonej liczby innych obowiązków, a mimo to nie otaczała go aura cierpienia, jaką obnosił Appa, piastujący przecież znacznie wyższe stanowisko.

- Niefrasobliwy facet - lubił mawiać posepny ojciec Akhili. - Chociaż nie rozumiem, jak może sobie na to pozwolić, mając dorosłą córkę, ślepego syna i jeszcze dwie młodsze córki.

Ale kiedy tamtego wieczoru karetka zajechała z piskiem opon i przenikliwym wyciem syreny przed ich dom i ktoś przybiegł do Sarasy Mami powiedzieć Akhili, że ma natychmiast wracać do domu, bo zdarzył się wypadek, to właśnie Subramani Iyer pobiegł wraz z nią, mamrocząc po drodze: - Nie martw się, nie martw się, to na pewno nic poważnego. Pattabhi Iyer jest dobrym człowiekiem. Nic złego nie mogło mu się przydarzyć.

Kim byli ci ludzie? Skąd się wzięli? Co oni wszyscy tu robią? Pytania bombardowały Akhilę, kiedy biegli w stronę jej domu. Przywitał ich widok łysiejącego czoła jej ojca, jednostajny pomruk wielu głosów i zawodzenie Ammy: - Jak to się mogło stać? Jak on mógł mi to zrobić?

Appa leżał na trzcinowej macie. Członki pod naciągniętym pod brodę prześcieradłem zostały starannie ułożone. Miał zamknięte oczy, a z nosa sterczała mu wata. Wyglądał, jakby spał. Zniknęło udręczone wyczerpanie, frustracja i gorycz, znaczące za życia jego twarz. Pograżony w śmierci, zdawał się całkowicie zadowolony i odprężony.

- To stało się przed samym dworcem. Na tym skrzyżowaniu między Central Station i Ripon Building... Bóg jeden wie, o czym on myślał, kiedy wszedł na jezdnię. Kierowca autobusu twierdzi, że miał prawo przejazdu... Będzie śledztwo i wszystko. Ale mam znajomości w policji i przed godziną oddali ciało. Zrobili sekcję, więc niech pan pilnuje, żeby rodzina za bardzo go nie ścisłała. Wszystko zostało zrobione w ogromnym pośpiechu, rozumie pan, i szwy mogą się okazać nie za mocne... - Ktoś z biura Appy przemawiał cicho do Subramani Iyer. Akhila próbowała dopasować twarz do głosu, ale przez mgłę łez widziała tylko fantomy rysów.

Czy był jednym z dręczycieli jej ojca? Jednym z tych, których nauczyli się nienawidzić za to, że sprawiali ich ojcu tak wiele cierpienia, iż zatracił umiejętność cieszenia się z małych triumfów swych dzieci?

I kiedy Narayan albo Akhila zdobywali szkolną nagrodę, nie potrafił zareagować inaczej, jak tylko zapnąć się w siebie i wzdychać: - Wszystko to bardzo ładnie, ale czy to wam pomoże w prawdziwym życiu? Co komu po dyplomie za angielską deklamację czy najładniejszy charakter pisma? Powinni was uczyć, jak ranić tych, którzy was ranią; jak deptać cudze nadzieje; to wam pomoże przetrwać, a nie to wszystko tutaj. Nie mówię, że się nie cieszę... - kończył, ocierając czoło gestem znużonej kapitulacji, w którym nauczyli się rozpoznawać preludium migreny.

To kolejna rzecz na temat Appy. Jego migreny. Nie trzeba było wiele, żeby je wywołać. Wystarczył upalny dzień. Pochmurne niebo. Megafon na sąsiedniej ulicy, nadający na cały regulator tamilskie pieśni reli-

gijne. Zapach kadzidełek. Rozstrój żołądka. Paplanina Padmy. Rozbite kolano Narsiego, który przewrócił się na ulicy. Migające światło. Brzęk talerza. Wycie psa. Motocykl, zwiększający obroty akurat przed ich domem. Zły dzień w pracy. Zatłoczone pociągi. Wspomnienie jakiejś dawnej urazy. Niepokojący list od kóregoś z krewnych...

Nauczyli się chronić Appę przed większością rzeczy, od których bolała go głowa, ale mimo to często miewał ataki. A wtedy usuwał się do ciemnego pokoju w głębi domu i zamykał za sobą drzwi. Parę godzin później wynurzał się stamtąd cuchnący balsamem Amrutandżan, mrużąc oczy po tak długim przebywaniu w ciemności. Chociaż ból głowy już ucichł, znowu otwierał słoiczek z balsamem, wtykał do środka zakrzywiony palec i wybierał kolejną porcję gładkiej żółtej mazi, cuchnącej palczatką cytrynową, by przeciągłym ruchem wetrzeć ją w skronie, napełniając dom charakterystycznym, niemożliwym do usunięcia smrodem. Następnie rozcierał to, co zostało na palcu, o kciuk, i wdychał zapach. Raz. I drugi. I wreszcie ostatni głęboki wdech, który zaniesie piekącą woń do wnętrza czaszki. Na zakończenie wycierał palce o nozdrza.

Teraz Appę nie będą już więcej niepokoiły migreny. Leżał tam, nie zwracając najmniejszej uwagi na hałas, jaki robili szlochający obcy ludzie, zatrzymujące się i ruszające samochody, z których wysiadały kolejne osoby przybywające z kondolencjami i wyrazami współczucia, kłęby przyprawiającej o mdłości słodkiej woni całej wiązki kadzideł, tłących się tuż przy jego uchu... Appa znalazł wreszcie spokój.

Amma leżała zwinięta na podłodze. Kupka zranionych uczuć. Podniosła się na widok Akhili. Kobiety stłoczone przy jej boku otoczyły ją ramionami. Trzeba dobrze uważać na wdowę. Rozpacz popychała nawet skądinąd rozsądnych ludzi do nieprzemyślanych, niemądrych czynów. Amma strząsnęła je z siebie i podniosła twarz ku twarzy Akhili. - Jak mógł nam to zrobić? Jak coś takiego mogło nam się przytrafić?

Akhila patrzyła na nią bezradnie. Co miała powiedzieć? - Gdzie są dzieci? - bąknęła, siadając obok matki.

- Gdzieś tu są - powiedziała Amma, kładąc głowę na jej ramieniu. Po chwili Akhila zdjęła ostrożnie głowę matki ze swojego ramienia i poszła szukać braci i siostry. Narsi i Padma siedzieli na werandzie, grając w jakąś skomplikowaną grę, do której potrzebne były tablice rejestracyjne samochodów. Sprawiali wrażenie podniekcytowanych całym tym zamieszaniem i krzątaniną. Chyba jeszcze do nich nie dotarło, że ich ojciec nie żyje. A jeśli nawet dotarło, nie zastanawiali się, co z tego wyniknie. No ale Narsi miał dopiero osiem, a Padma sześć lat.

Akhila znalazła Narayana skulonego w kącie, obejmującego ramionami podciągnięte pod brodę kolana. Jego twarz była napięta od wysiłku powstrzymywania łez. Miał piętnaście lat; delikatny wiek pomiędzy mężczyzną i chłopcem. Nie wiedział, kim ma być. Mężczyzną dość silnym, by przyjąć śmierć, nawet tak przedczesną, jak ta. Czy chłopcem, przerażonym śmiercią i spowodowaną nią pustką. Akhila objęła go ramieniem. Czowała napięte mięśnie brata. - Akka - zapytał podłogę - jak myślisz, dlaczego to zrobił?

- Co zrobił?

- Dlaczego próbował przejść przez ulicę, po której jechały samochody? Wie przecież, jakie to niebezpieczne... - głos Narayana załamał się.

Po raz pierwszy Akhili zaświtało, że może to nie był wypadek. Przypomniała sobie nutkę podejrzliwości w głosie kolegi z pracy Appy. A teraz to: pytanie Narayana, z pozoru niewinne, ale wyczuwała przecież czającą się pod nim wątpliwość.

Czy Appa stojąc dziś rano na przejściu dla pieszych postanowił z tym wszystkim skończyć? Czy pomyślał, że to uleczy coraz częstsze bóle głowy? Czy bycie ojcem dorosłej córki i trójki innych dzieci stało się dlań ciężarem ponad siły? Czy nie mógł już dłużej znosić Kośiego i jego tortur? O czym myślał Appa, wstępując w rzekę ulicznego ruchu. *Quo vadis? Dokąd idziesz? Kim gacchami. Nee yenga selgirai.*

Czy zamknął oczy i skoczył przed siebie? Czy też szedł na spotkanie śmierci, nie wiedząc, dokąd niosą go stopy?

Och, Appa, dlaczego? Co było tak trudne do zniesienia, że musiałeś skończyć ze swoim życiem, żeby od tego uciec?

- Akka - odezwał się Narayan. - Co my teraz zrobimy?

- Skremujemy go, a potem... a potem znajdziemy jakiś sposób, żeby utrzymać się na powierzchni. - Ostrość jej głosu zaskoczyła ją nie mniej niż Narayana. Łzy wypełniające jej oczy wyschły w jednej chwili. Rozpacz ustąpiła gniewowi, a z nim Akhila lepiej umiała sobie radzić. Łzy zmuszają cię do rozpaczliwego rozglądania się za kimś, do kogo mogłabyś przyłgnąć, by zrzucić z serca swój smutek. Łzy czynią cię podatną na ciosy i zakłócają ostrość widzenia. Za to gniew dodaje sił. Zapewnia ci nietykalność. Gniew pomaga stawić czoła rzeczywistości.

- Skąd wzięli się tu ci wszyscy ludzie? Kto ich przyprowadził? - konsternacja Narayana przebiła się przez stalowy pancerz jej myśli.

Appa zawsze trzymał krewnych na dystans. Rzadko ich widywali, może czasem na weselu albo przy okazji jakiejś innej rodzinnej uroczystości. Wakacje szkolne, podczas których inni odwiedzali rodziny, spędzali w swoim domu w Ambattur. Tylko raz Appa skorzystał z dodatku urlopowego i zabrał ich w podróż do kilku ośrodków dla pielgrzymów. To wtedy Akhila zobaczyła Rameswaram, Maduraj i Palani. Nigdy nie mieli pieniędzy, żeby pojechać gdzieś jako turyści. Raz na cztery lata biuro Appy płaciło za podróż do dowolnego miejsca w kraju; ale pozostałe koszty musiałeś opłacić sam. Jeśli mogłeś zatrzymać się u rodziny, wszystko miałeś za darmo. Mieszkałeś u krewnych, którzy się o wszystko troszczyli. Pewnego roku Akhila i Narayan postanowili więc poprosić ojca, żeby zabrał ich do swojej rodzinnej wsi.

- Nie zostało tam już nic ciekawego do oglądania - powiedział Appa, kiedy Narayan i Akhila przyszli do niego ze swoim pomysłem.

- Ale nie moglibyśmy chociaż raz tam pojechać? Choćby po to, żeby zobaczyć, gdzie dorastałeś? - upierał się Narayan.

- Zostawcie ojca w spokoju. Nie widzicie, że jest zmęczony? - nakrzyczała na nich Amma. I, oczywiście, Appa już marszczył czoło i pocierał skronie.

Lecz śmierć Appy ściągnęła do ich domu krewnych, których nie znali nawet z imienia. A wraz z nimi przybyły zawodowe płaczki. Kto po nie posłał? I jakim cudem zjawiły się tak szybko?

Narayan i Akhila patrzyli, jak krewni i płaczki gromadzą się wokół ciała Appy, by go oplakiwać. Co oni wiedzą o Appie, żeby po nim rozpaczać? A jednak ich rozpacz wydawała się prawdziwa...

Amma, która ucichła wyczerpana wzruszeniem, teraz znowu zaczęła płakać. Podszedł do nich Subramani Iyer. - To krewni Pattabhi Iyer. Wszyscy przyjechali z Poonamallee. Idźcie do waszej matki - powiedział im. - Teraz wy dwoje jesteście za wszystko odpowiedzialni.

Amma z niedowierzaniem popatrzyła w suche oczy Akhili.

- Jak możesz nie płakać? Płacz, płacz, do cholery. Uroń kilka łez za tego człowieka, który tu leży. Nigdy więcej nie będziesz po nim płakać. Płacz, choćby tylko dla przyzwoitości!

Akhila zaczęła więc płakać. W ciągu następnych dziesięciu dni, kiedy odprawiali obrzędy śmierci i żałoby, Akhila wyplakała cały swój życiowy przydział łez. Płakała, patrząc na swoich braci, odprawiających pogrzebowe rytuały. Byli tacy młodzi i krusi. Jak mogłaby obciążyć ich jakkolwiek odpowiedzialnością?

Płakała, gotując co wieczór miskę ryżu, którą stawiała wraz z dzbankiem wody, by dusza Appy, która nie opuściła jeszcze domu, nie zaznała głodu ani pragnienia. Appa, płakała Akhila, jak dzisiaj zaspokajam twoje potrzeby, tak będę musiała zaspokajać potrzeby rodziny, którą tak bezwzględnie opuściłeś. Jak mam to zrobić?

Kiedy przed świtem dziesiątego dnia Amma ubrała się w strój panny młodej, a inne wdowy zgromadziły się wokół niej, by ją obedrzeć z oznak zameścia, Akhila płakała, ponieważ wiedziała, że to właśnie oznacza bycie kobietą.

A potem nigdy więcej nie przelała ani jednej łzy.

#

Pociąg wyhamował ze zgrzytem. Stację otulały ciemności. Akhila popatrzyła na zegarek. Prawie północ. Wyciągnęła szyję i spróbowała odczytać nazwę stacji, ale litery były ledwie widoczne. To była mała stacyjka; pociąg zatrzymywał się tu ledwie na półtorej minuty.

Akhila usłyszała, że ktoś otwiera drzwi wagonu. Wyjrzała przez okno, żeby zobaczyć kto to. Pociągi nie były już tak bezpieczne jak dawniej. Wsiadali do nich różni ludzie i popełniali wszystkie możliwe zbrodnie. To była bezpieczna okolica, ale i tak należało uważać.

Przy drzwiach przedziału stała dziewczynka. To pewnie ta pasażerka, o której wspominała Dżanaki, pomyślała Akhila. Weszła do środka i wsunęła torbę pod siedzenie. Rozejrzała się po przedziale, a potem zerknęła na Akhilę.

Wszystkie kuszетки z jednej strony były zajęte. Dziewczynka miała kuszettkę środkową.

- Chcesz się położyć? - spytała Akhila. - Możesz podnieść kuszettkę, jeśli chcesz.

- Nie, nie - powiedziała dziewczynka. - Tak jest dobrze. Nie jestem śpiąca.

Akhila czekała, żeby wyjęła walkmana albo powieść o miłości. Ale ona usiadła, przyciskając do piersi torebkę i wbiła wzrok w podłogę.

Mogła mieć czternaście albo piętnaście lat. W istocie jeszcze dziecko. Coś w tym, jak siedziała, przypominało Akhili jej brata Narayana, tamtego dnia, kiedy umarł ojciec. To samo wewnętrzne napięcie. Ten sam wysiłek, żeby nie dać się łzom i nie okryć wstydem. Ta sama godność. Ni dziecko, ni kobieta. W niebieskich dzinsach i bluzeczce w biało-czerwone paski.

- Dobrze się czujesz? - zapytała zaniepokojona Akhila.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała dziewczynka. - Dziękuję, że pani zapytała.

Akhila czuła, że coś jest nie tak.

- Jak ci na imię? - spytała.

- Sheela - odpowiedziała dziewczynka.

- W której jesteś klasie? - pytała Akhila, zaskoczona własną gadatliwością. Nieczęsto zdarzało jej się prowadzić towarzyską rozmowę i nigdy pierwsza nie odzywała się do obcych. Ale dzisiejszego wieczora zachowywała się zupełnie inaczej niż zwykle. Pragnęła wyjawiać sekrety. Wnikać w cudze życie. Chciała rozmawiać.

- Jestem w dziewiątej klasie w Holy Angels Convent - odpowiedziała dziewczynka.

- Podróżujesz sama? - pytała Akhila.

Dziewczynka potrząsnęła głową. - W sąsiednim wagonie jedzie mój ojciec.

- A twoja mama?

Popatrzyła na swoje nogi i zaszurała o podłogę obutymi w tenisówkę palcami prawej stopy. - Moja matka pojechała wczesnym popołudniem z... - jej głos załamał się - ...moją babcią.

- Moja babcia - powiedziała, szukając słów, które mogłyby wyjaśnić - moja babcia była bardzo chora. Umierająca. Umarła w drodze do swojego domu.

Akhila dotknęła łokcia dziewczynki. - Bardzo mi przykro.

- Była bardzo chora i cieszę się, że umarła. Myślę, że ona też cieszyłaby się, że umarła. I tak była już tylko żywym trupem - powiedziała Sheela.

4

IDŹ BABCIU, IDŹ

Dokładnie cztery miesiące po czternastych urodzinach Sheeli babcia przysłała list, informując, że zamierza przyjechać z wizytą. Odkąd Sheela pamiętała, babcia nigdy ich nie odwiedzała. Zawsze musieli jeździć do niej, wierni poddani przynoszący w darze wonny tytoń do zucia i paczki biskwitów „Marie”. Witała ich po królewsku, żądając pełnego hołdu. Tylko to mogło ją usatysfakcjonować.

Kiedy urodziła się Sheela i trzeba było nadać jej imię, to babcia je wybrała. Natknęła się na nie przypadkiem w jakimś czasopiśmie. - Podoba mi się jego brzmienie - powiedziała. - Zresztą mam prawo wybrać imię dla mojej wnuczki.

Przeto Sheela otrzymała na imię Sheela, a nie Mini ani Giridza, ani Nita, ani Sharmila, ani Aśa, ani Widja, z listy, którą rodzice spisali po jej urodzeniu.

Sheela nie pamięta żadnego tulenia się do kolan babci ani zasypiania w jej ramionach. Chociaż jej matka utrzymuje, że kiedy Sheela była małeńka, babcia wszędzie nosiła ją na rękach. Jej babcia wyrażała uczucie ściśnięciem za ramię, sturupowym banknotem, wsuniętym do ręki na koniec wakacji i obiadem w najlepszej restauracji w mieście. No ale przecież w ogóle nie była podobna do większości innych babci.

Sheela miała jeszcze jedną babcię. Aćammę. Matkę ojca. Odwiedzała ich raz na kilka miesięcy i zostawała na wiele tygodni. Aćamma była niska i chuda; mały szary wróbelek z drobniutką buzią i włosami zwinie-

tymi w koczek u nasady karku. Jej wizyty nie wymagały żadnych szczególnych przygotowań. Aćamma potrzebowała niewiele. Jadła jak ptaszek i większość czasu spędzała, leżąc pod kocem z książką w dłoni. Wieczorem odmawiała swoje modlitwy i wcześniej kładła się spać. Czasami jedyny ślad jej obecności stanowiła sztuczna szczeka, którą trzymała w plastikowym słóiczku obok umywalki w łazience.

Aćamma stapiała się z ich życiem. Według Sheeli, stapiała się tak doskonale, że wręcz zapominało się o jej istnieniu. Coś takiego było nie do pomyślenia w wypadku matki jej matki.

Sheela nazywała ją Ammumma zamiast Ammama. Babcia wołała tak, bowiem nienawidziła wszystkiego, co jej przypominało, że się starzeje. Ammumma brzmiało wieloznacznie, podczas gdy Ammama oznaczało tylko jedno - babcię. Nikt inny na to nie wpadł, ale Sheela wiedziała, że podmiana samogłoski ma dla jej babci pierwszorzędne znaczenie.

Ammumma miała sześćdziesiąt dziewięć lat, była właścicielką kilku domów w Alwaye, zagajnika drzew tekowych i paru poletek ryżu. Miała także sześć siwych włosów na brodzie, które wyszczypywała starannie co kilka dni.

Sheela mieszkała w domu, podzielonym na cztery apartamenty. Mieszkanie jej rodziców miało dwie sypialnie i kwadratowy balkon od frontu, wychodzący na park gęsto porośnięty drzewami mango. Ammumma lubiła stać na balkonie, obrzeżonym doniczkami z krocieniami, begoniami i sękatym krzakiem jaśminu. Patrzyła na drzewa mango, cichutko przesuując się to w prawo, to w lewo, na cylindryczne kawałki błękitnoszarego drewna, zaklinowane pomiędzy parapetem i balustradą. Czasami tęsknie wciągała powietrze i mówiła: „Zapach domu, mm...”.

Rodzice Sheeli spoglądali na siebie w jednomyślnym zachwycie. Fakt, że zaczynała czuć się w ich mieszkaniu jak w domu, stanowił dla nich coś w rodzaju osobistego triumfu. Ale Sheela wiedziała, że jedyną rzeczą, jaką babcia uważała u nich za znośną, była obfitość kwiatów mango. Sheela wiedziała o tym, tak jak wiedziała o wszystkim. Sheela wiedziała, że babcia jest tutaj, ponieważ umiera. Nie żeby Ammumma wiedziała, że umiera. W końcu narośl w jej macicy nie była nowym zjawiskiem. Siedem razy jej macica zakwitła i kiedy nadszedł czas, wypluwała dojrzały owoc. Dlaczego teraz miałyby być inaczej? Lecz tym razem w jej macicy zamieszkał ohydny karzeł o złośliwych zamiarach. Jego czerwona buźka i zachłanne macki sięgały chciwie w głąb jej ciała, żywiąc się jej życiem. Dziecko-pasożyt, które nie opuści świątyni jej ciała, dopóki nie rozłączy ich śmierć.

Sheela wiedziała, dlaczego Ammumma jest w tym mieszkaniu, a nie w swoim własnym ogromnym domu. Sheela wiedziała, dlaczego Ammumma uparła się, że w szpitalu w ich dzielnicy pracują lepiej wykwalifikowani lekarze niż gdziekolwiek indziej. Ammumma chciała, żeby jej synowie zrozumieli, że wygnali ją z jej własnego domu. Żeby skręcali się z poczucia winy za każdym razem, kiedy o niej pomyślą. Była na nich wściekła, że woleli od niej swoje żony. Że pozwolili, by te kobiety o miękkich twarzach i twardych sercach zamąciły im w głowie i zakłóciły ich miłość do niej.

Sheela wiedziała, że babcia rozumiała, iż Mama, ignorowana przez większość swojego dorosłego życia, będzie wdzięczna za rzucone jej okruchy czułości. Za to, że została wybrana spośród rodzeństwa. Sheela wiedziała, że Ammumma gra na jej braku pewności siebie. Ammumma wiedziała, że Mama będzie zachwycona powrotem do łask po oziębieniu stosunków, trwającym cały rok. Poprzedniego lata posprzeczały się ostro na

temat spisania testamentu. Przez resztę roku panował pomiędzy nimi chłód. Oczy nie spotykały się, dłonie nie ścisnęły, nie łączyły serca. Rzadko pisane listy były chłodne i uprzejme. Po raz pierwszy w życiu Mama nie odwiedziła domu Ammummy podczas wakacji szkolnych.

Sheela wiedziała, dlaczego Ammumma ociąga się ze spisaniem testamentu, z podzieleniem swojego majątku i zapisaniem go dzieciom. Sam pomysł musiał wydawać się jej przesycony zdradą i perfidią: Dzieci, czekające na jej śmierć i chcące żyć dalej, kiedy jej już nie będzie. Pragnienie budowania przyszłości na jej prochach. Jak śmiały choćby myśleć o szczęściu, kiedy ona odejdzie? Jak mogą tak łatwo się bez niej obyć? Poza tym, kiedy spisz testament, nie pozostanie jej już nic innego, jak tylko umrzeć.

Sheela wiedziała również, dlaczego Ammumma wyczekała chwili, kiedy jej rodzice będą w pokoju, żeby wyjąć złoty naszyjnik i włożyć go jej na szyję. Chciała mieć pewność, że lojalność Mamy nie zmieni się, jak lojalność jej braci.

Przez tydzień Ammumma panowała i rządziła. Wymogła, żeby kazano Sheeli siedzieć w domu po powrocie ze szkoły. - To już dorosła dziewczyna. Nie powinniście pozwalać jej na wałęsanie się. I kim są ci wszyscy mężczyźni, z którymi gra w badmintona? Może sobie do nich mówić „wujku”, ale nie są jej wujkami, i jak ten Naazar śmie obejmować ją ramieniem? Nie jest już małą dziewczynką. Widziałam, jak na nią patrzył... Zaczynaj jej pilnować, bo inaczej pewnego dnia pożałujesz swojej beztroski.

- Ammo - powiedziała Mama - to przyjaciele jej ojca. Traktują ją jak córkę.

- Już to kiedyś słyszałam. Nie pamiętasz, co przytrafiło się tej dziewczynie, która obok ciebie mieszkała? Takiej wysokiej pannicy o imieniu Celine?

Mama zakaszlała, żeby powstrzymać babcię od mówienia. Zauważyła, że Sheela słucha.

Lecz Sheela i tak dobrze знаła historię Celine, chociaż kiedy to się wydarzyło miała zaledwie pięć lat. Wszyscy na osiedlu wiedzieli o Celine. O tym, że chodziła bawić się do domu swojej przyjaciółki i ojciec przyjaciółki robił jej rzeczy, jakich nie powinien robić ojciec przyjaciółki. Celine zaszła w ciążę i obie rodziny, okryte hańbą, opuściły osiedle. Celine wyjechała z rodzicami gdzieś, gdzie nikt się nie dowie o jej skrobance. A ojciec przyjaciółki wyprowadził się do jakiegoś dalekiego miasta, gdzie, jak wszyscy mówili, znajdzie mnóstwo innych młodych dziewcząt, którym będzie mógł zrujnować życie.

Sheela wiedziała, jak łatwo byłoby stać się drugą Celine. Ulec atencji starszego mężczyzny. Naazar był ojcem jej przyjaciółki i przyjacielem jej ojca. Jego córka Hasina chodziła z nią do klasy. Pewnego niedzielnego popołudnia, kiedy Sheela przyszła do nich, uciekając od upału, z kropelkami potu na górnej wardze, Naazar wyciągnął rękę, by je otrzeć. Jeszcze długo czuła na skórze mrowienie wywołane dotykiem jego palców. Od tej pory Sheela zawsze wycierała twarz chusteczką, zanim weszła do domu Hasiny. Innym razem rozwiązały jej się kokardki przy rękawach bluzki i Naazar zawiązał je na oczach Hasiny i jej matki. Powoli, starannie. Sheela czuła, jak oddech więźnie jej w gardle, a kiedy spostrzegła wyraz bólu w oczach Hasiny i jej matki, ogarnął ją wstyd. Nigdy więcej nie włożyła tamtej bluzki.

Sheela wiedziała, dlaczego Ammumma powiedziała to, co powiedziała o przyjaciółkach jej ojca. Mama była zbyt ufna, zbyt naiwna. Ale Ammumma wiedziała lepiej i Sheela postanowiła, że nigdy więcej nie pójdzie do domu Hasiny.

A potem nadszedł ostatni dzień przed pójściem Ammummy do szpitala. Ammumma miała napad wilczego apetytu. Zaczęło się to zaraz po śniadaniu, od koszyka zielonych winogron. Zjadała je po jednym, wypływając pestki na dłoń. Kiedy już prawie nic nie zostało, wyszła na balkon i zawołała sprzedawcę owoców. Kupiła większość tego, co miał. Sapodille tak soczyście mięsiste, że wyczuwałaś ich dojrzałość w jej oddechu. Wybierała łyżeczką miąższ i pożerała go łapczywie. Do obiadu z owoców pozostał jedynie stosik omdlałych skórek i błyszczących czarnych pestek. Następnie zjadła wszystko, co było przygotowane na obiad dla nich czworga. Górę ryżu, całego kurczaka pokrojonego na kawałki i usmażonego z cebulą i przyprawami, puszkę papad, całą miskę gęstego jak śmietana jogurtu, duszone warzywa i krewetki w sosie curry, na które Sheela czekała od samego rana. Kiedy skończyła to, co było na stole, poszła do kuchni przejrzeć garnki i rondle, w których gotowało się jedzenie. Odrywała kawałki chleba, zagarniała nimi resztki i wpychała do ust. Jadła, dopóki nie wykończyła wszystkiego, co było w domu. Mama patrzyła na swoją splądrowaną kuchnię, wzdychając płaczliwie. Tata wymknął się chyłkiem, żeby kupić jakiś obiad, a Ammumma zapadła w sen. Chrapała nieprzerwanie przez całe popołudnie, wieczór i aż do zapadnięcia nocy, a Mama potrząsała głową i mamrotała do siebie: - Dlaczego? Dlaczego tak dziwnie się zachowuje? Co się z nią stało?

Sheela mogłaby to powiedzieć swojej matce, ale wiedziała, że nie potraktują jej poważnie. Jutro Ammumma przestanie być pełną kobietą i w ten właśnie sposób starała się zapomnieć o tym, co ją czeka. W szpitalu usuną część Ammummy i Ammumma wiedziała, że odtąd nigdy już nie będzie taka sama.

Ammumma była wybitną znawczynią przejawów kobiecości. Drobiazgowo szacowała każdą nowo napotkaną kobietę i u większości z nich stwierdzała braki. „Takie coś nazywacie kobietą! Prawdziwa kobieta ma z czego zapleść warkocz i czym oddychać”. I macię, chętnie wydającą owoce. Jutro kobiecość Ammummy pójdzie pod nóż.

Ammumma nie znosiła jakichkolwiek niedoskonałości. W jej domu nie było miejsca dla wyszczerbionych talerzy, poplamionych ręczników i spłowiałych poduszek. A teraz miała pójść do szpitala, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wytną część jej kobiecości, skazując ją tym samym na dożywotnią niedoskonałość. Sheela wiedziała, że czuje odrazę do swojego własnego ciała.

Późno w nocy poprosiła Sheelę, żeby wyskubała jej krzaczaste włoski pod brodą. Mama śmiała się: - Myślisz, że kto cię będzie oglądał?

Ammumma popatrzyła na nią chłodno i powiedziała: - To nie ma nic do rzeczy.

Kiedy Sheela siedziała na balkonie z pincetką i małym lusterkiem, w którym Ammumma mogła sprawdzić swój wygląd, Ammumma powiedziała: - Pamiętaj, żeby nie zostać jedną z tych kobiet, które dbają o siebie tylko po to, żeby zadowolić kogoś innego. Jediną osobą, którą musisz zadowolić, jesteś ty sama. Kiedy patrzysz w lustro, powinnaś radować się własnym odbiciem. Próbowałam nauczyć tego twoją matkę i ciotkę. Ale to głupie kobiety. Nie zrozumiały, co próbowałam im przekazać. Ale ty... mam nadzieję, że ty będziesz mądrzejsza.

Kiedy Sheela skinęła głową, Ammumma pogłaskała ją po włosach i powiedziała: - Przypominasz mi mnie, kiedy byłam w twoim wieku. Z tym, że ja byłam dorodniejsza i bardziej kobieca. Za mało jesz. Jesteś za chuda. Żaden mężczyzna nie zechce cię za żonę. Mężczyźni nie lubią w łóżku kości. Mężczyźni lubią krągłości.

Ale przecież powiedziałeś mamie, że nie podoba ci się, jak patrzy na mnie wujek Nazaar. Jeśli jestem chuda i brzydka, to dlaczego tak na mnie patrzy? Chciała zapytać Sheela. Tylko że ubiegła ją Mama.

- Nie nabijaj jej głowy głupstwami - powiedziała, stając w drzwiach.

- Dla ciebie to głupstwa. Zapominasz, że jestem jej babką i mogę jej mówić, co mi się podoba - odcięła się Ammumma.

Mama pokręciła się chwilę i wyszła, a Sheela wróciła do tropienia na podbródku Ammummy pojedynczych włosków, które jeszcze umknęły pincetce.

Sheela wiedziała, że Ammumma chce tej ostatniej nocy czuć się doskonała. Co wieczór, przed położeniem się do łóżka, Ammumma stawiała przed lustrem w swojej sypialni, żeby spryskać twarz i szyję tonikiem kalaminiowym. Potem pudrowała swoją wciąż gładką twarz, pomarszczoną szyję, pulchne ramiona i obwisłe piersi talkiem o zapachu lawendy. Na koniec otwierała pudełko z biżuterią, pieściła złoto i lśniące kamienie, wkładała ulubioną ozdobę i kładła się spać z ciężarem klejnotu na nagiej skórze; namiastką ciepłej pięści pomiędzy piersiami, które przesłaniały niemal całą klatkę piersiową. Sheela wiedziała, że Ammumma robi to po to, by nawet jeśli umrze we śnie, wyglądać możliwie najlepiej. Oczywiście jej dzieci uważały, że to objaw starczego dziwaczenia.

Dwa tygodnie później tata wrócił ze szpitala i powiedział: - Nowotwór jest nieoperacyjny. Chcą spróbować radioterapii.

Zwalili się do nich bracia i siostra mamy. Jak rój szarańczy, który zniszczył gładką materię ich życia.

Mama, zawsze zaradna Mama Sheeli, stała się nieco roztargniona. Lekarz rodzinny powiedział, że to skutek stresu. Powiedział, że to depresja, wywołana chorobą bliskiej osoby. Powiedział, że to nic takiego, czego nie uleczyłyby czas, odpoczynek i kuracja środkami przeciwdepresyjnymi.

Ale Sheela miała inne zdanie. Ammumma zapewniała Mamie poczucie ciągłości. Mama pragnęła płać się w pewności, że jest ktoś, kto zawsze powie jej, co ma zrobić i nigdy się nie pomyli. Ktoś, kto zna wszystkie odpowiedzi na tysięczne wątpliwości, napływające do jej głowy z najdalszych zakamarków zatroskanej duszy. I nagle zaczęło zanosić się na to, że tego kogoś zabraknie. Sheela wiedziała, że Mama czuje się zagubiona i bezradna. Sheela wiedziała, że po raz pierwszy Mama poczuła ciężar odpowiedzialności, która spadnie na nią wraz ze śmiercią Ammummy. Siostra i bracia u niej będą szukać mądrości i siły, którą dotąd szafowała Ammumma. Gdy tymczasem ona chciała być tylko córką. Chronioną, rozpieszczaną i zwolnioną do końca życia ze wszelkich macierzyńskich cnót.

Tata, zawsze taki dobry Tata Sheeli, zmienił się w potwora. Czego by Sheela nie zrobiła, wszystko było nie tak. Wciąż się jej czepiał i zawsze znajdował dziurę w całym: Za mało pomagasz matce. Twój przyjaciele nie pasują do nas, to zwykła hołota! Oglądasz za dużo telewizji. Wiecznie pałaszujesz się, nie wiadomo gdzie. Od kogo nauczyłaś się w każdym zdaniu mówić „gówno”? Co to za chłopak, z którym rozmawiałaś przy bramie parku?

Zarzutom nie było końca i w dużej części wzajemnie się wykluczały. Sheela nie próbowała sprzeczać się, jakby zrobiła dawniej. „Jak mogę cały dzień oglądać telewizję i równocześnie pałaszować się, nie wiadomo gdzie?”, zapytałaby, kiedy była młodsza.

Ale Sheela przestała już w ten sposób odzywać się do Taty. Teraz, ilekroć wydawało jej się, że jest dowcipna, ojciec lajał ją, że jest niegrzeczna.

„Myślałam, że chcesz, żebym była dowcipna. Że jesteś dumny z mojego poczucia humoru”, chciało jej się krzyknąć. Gdy była małą dziewczynką, zachęcał ją do mówienia jak dorośli. Podobał mu się jej ostry jak brzytwa dowcip i cięte odpowiedzi. Ale teraz, kiedy wyrosła, patrząc na nią, widział w niej kobietę, a nie swoją małą dziewczynkę i złościł się, myśląc, że kwestionuje jego autorytet.

Czasami, kiedy przychodzili do nich znajomi i kiedy była wśród nich jakaś mała dziewczynka, której ojciec dumny był z celnych ripost córki, Sheela miała ochotę przerwać popis i błagać: „Nie rób jej tego. Mój ojciec był taki sam. Podobało mu się, kiedy byłam zuchwałą. Uważał, że to zabawne. Tylko że teraz nazywa to pyskowaniem i wpada w gniew. Proszę, nie rób tego swojej małej córeczce. Wyrośnie, myśląc, że tak właśnie trzeba. Lepiej naucz ją połykać słowa i mówić grzeczne, miłe, niewinne rzeczy. Żeby, kiedy dorośnie, nie stała się taka jak ja i nie musiała wiecznie zastanawiać się, co znowu powiedziała nie tak i jaką strzeli gafę, kiedy następnym razem otworzy usta”.

Sheela wysłuchiwała gderania ojca, czekając, żeby wyszedł z pokoju. Kiedy był wściekły, zawsze wychodził z pokoju, jakby sam sobie nie ufał, że może zostać i nie zrobić nikomu nic złego. Sheeli było w to graj. Tak samo Tata zachowywał się w czasie wizyt w domu Ammummy. Sheela często stawała się obiektem jego gniewu.

Wiedziała, dlaczego zrobił się taki okropny. Był wściekły, że usunięto go z pozycji głowy domu, najważniejszego mężczyzny w rodzinie. Bogaci bracia żony przejęli prowadzenie gospodarstwa - rachunki, zakupy, zajmowali się wszystkim. Nie zadowalało ich jedzenie, które przynosił. Łaknęli wyszukanych delikatesów, na które tylko ich było stać. Kiedy Tata postawił butelkę wojskowego rumu, nawet na nią nie spojrzeli; pili tylko szkocką ze sklepu bezcłowego, którą ze sobą przywieźli.

Cały dom pachniał wnętrzami samolotów i cudzoziemskimi krajami. Bogata siostra rozpanoszyła się w ich życiu, sypiąc dobrymi radami, które były tyleż pełne samozadowolenia, co obraźliwe. Sheela była jedyną osobą, nad którą Tata miał jeszcze władzę. Wiedziała, że nie ujdzie jego zwierzęcej wściekłości, dopóki Ammumma nie wyjedzie albo nie umrze.

Babci Sheeli pomieszało się w głowie. Ammumma usiadła wyprostowana w pościeli, strząsając z siebie cienką bawełnianą tkaninę, którą nakrył ją najstarszy brat Mamy, a jej ulubiony syn. Omiotła wzrokiem wyblakłe różowe ściany i przemówiła do kąta przy łóżku. - Matko - powiedziała. A Mama i ciotka Sheeli wymieniły zdumione spojrzenia. Dlaczego ich matka mówiła do ich nieżyjącej babki?

Kobiety zwracają się do swoich matek, kiedy nie mają nikogo innego, do kogo mogłyby się zwrócić. Kobiety wiedzą, że tylko matka zdoła odgrzebać skorupy współczucia i miłości, które we wszystkich innych obróciły się już w proch. Sheela wiedziała, dlaczego Ammumma szukała matki.

- Matko - powiedziała Ammumma z naciskiem. - Spójrz na tę sukę, jak wchodzi do sypialni na tych swoich długich nogach. A on patrzy na jasną skórę po wewnętrznej stronie jej ud, na jej mleczną cerę, i jeszcze bardziej traci dla niej głowę. Zakochany dureń! - Miała na myśli żonę najstarszego wujka Sheeli; obiekt szczególnie zapiekłej nienawiści i nieustających jadowitych uwag. Według Ammummy, to ona była przyczyną wszystkich problemów, rzeczywistych i wyimaginowanych.

Mama uspokajała zrozpaczonego brata: - Nie powinieneś tak się tym martwić. To wszystko z gorąca. Radioterapia rozpała w jej organizmie niewyobrażalny ogień, dlatego mówi od rzeczy. Włącz klimatyzację i już. - A potem powiedziała do swojej siostry: - Gorąco obudziło wszystkie demony, uśpione w naszej matce.

Sheela wiedziała, że to nie ma nic wspólnego z gorącem. Do Ammummy dotarło wreszcie, że jej czas się kończy i nie zamierzała umrzeć, nie wypowiedziawszy wszystkiego, co leżało jej na sercu. Ale Sheela i tak poszła do szpitalnej kantyny i zamówiła szklaneczkę ostrego rasamu. Kelner obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem. Była jedyną osobą tego dnia, tego upalnego dnia, która poprosiła o buchającą ogniem potrawę zamiast czegoś chłodnego - badam khir albo basundi - jak wszyscy inni.

Sheela siedziała w kantynie, gotując się od upału, z czoła spływał jej pot, i małymi łykami piła gorący rasam, sprawdzając, czy uwolni uśpione w niej demony. Czy da jej odwagę, żeby powiedzieć ojcu: „Dlaczego nie odczepisz się wreszcie ode mnie? Przestań zachowywać się jak zwierzę. Ostatnio nie robisz nic innego, tylko marszczysz brwi i warczysz na mnie. To nie ja sprawiłam, że babcia jest chora. To nie moja wina. Czy tego nie rozumiesz?”.

Żeby powiedzieć złośliwej jak kocica ciotce: „Zamknij swoją tłustą buzię, idź terroryzować kogoś innego - twojego męża, twoje dzieci, twoich pół tuzina służących i zostaw w spokoju moją biedną matkę”.

I żeby spiorunować wzrokiem wujków, mówiąc: „Jeśli chcecie pokazać waszą hojność, wasze bogactwo, wynajmijcie kucharkę dla mojej zaharowanej matki i gońca, żeby kursował między domem a szpitalem i wykonywał wasze niezliczone polecenia, i przestańcie wreszcie traktować mojego ojca jak waszego prywatnego chłopca na posyłki”.

Płomienie szalały, ale demony pozostały w zamknięciu. Zamówiła więc dwie gałki lodów rumoworodzynkowych, żeby ugasić ogień. Wiedziała, że cały czas miała rację.

Sześć tygodni później Ammumma wróciła do domu. Bracia i siostra wyjechali po kilku dniach. Mama i Tata na zmianę pielęgowali chorą. Ale rak nie chciał wypuścić jej ze swoich szponów. Do tego wszystko, co mogło pójść źle, poszło źle - gwałtownie wzrosło ciśnienie krwi, nawaliły nerki, a przez cały czas karzeł w jej macicy rósł i rósł. Bracia i siostra znowu zostali wezwani do łóżka bóleści.

Sheela stała na balkonie, wyglądając na ulicę, czekając na powrót Ammummy ze szpitala. Świat przybrał nagle znużony wygląd. Drzewa mango oklapły ze zmęczenia. Żywopłoty pokryła błona kurzu i nawet krocieńce w doniczkach wyblakły i wyglądały, jakby uszło z nich życie. W głębi mieszkania Mama i jej siostra zalewały się łzami; tuliły się do siebie, zawodząc: „Matko, nie opuszczaj nas”.

Sheela zajrzała do środka i zobaczyła, jak ocierają jedna drugiej łzy, zanim kolejny atak bólu nie otworzy na nowo tam słonej wodzie. Patrząc na nie, nie uwierzyłbyś, że te kobiety toczą ze sobą nieustającą wojnę, w której raz jedna, raz druga bierze górę. Ale Sheela wiedziała, że to tylko chwilowe zawieszenie broni. Nowo odnaleziona siostrzana miłość nie potrwa długo.

Kiedy zielona furgonetka zajechała pod blok, Sheela wiedziała, że w środku jest Ammumma. Patrzyła, jak parkują wóz w wąskim cieniu drzewa Asioki. Czekiła, żeby w ślad za mężczyznanami wysiadła Ammumma. Ale nic nie wskazywało na jej obecność. Po raz pierwszy Sheela nie wiedziała, co się dzieje. -

„Gdzie ona jest?”, chciała krzyknąć. Poczuli, że Tata dotyka jej łokcia. Kiedy na niego spojrziała, powiedział cicho: - Idź z nią posiedzieć. Jest w furgonetce.

Bezradna istota, wielka góra mięsa pachnącego uryną i wodą kolońską, leżąca w tyle furgonetki. Jej usta były na pół otwarte, wargi spękane i suche. Skóra pomarszczyła się w fałdy szorstkiego pergaminu, a włosy przypominały pióra stalowej waty. Leżała, wysysając ochryple powietrze. Sheela popatrzyła na nią i od razu nabrała pewności, że babcia opuściła już swoje ciało. Przebywa, wiedziała Sheela, w jakimś niebiańskim królestwie, siedzi na chmurze z baldachimem, strojąc się w miriady gwiazd.

Mimo wszystko było to jednak opuszczone ciało Ammummy i Sheela wiedziała, jak bardzo jej babka byłaby niezadowolona z jego obecnego wyglądu. Kiedyś, kiedy Sheela była u niej na wakacjach, Ammumma wróciła ogromnie przygnębiona z pogrzebu jakiejś kuzynki. Dużo później wyjaśniła Sheeli, dlaczego. - Lakszmi była za życia taką zadbaną kobietą. Powinnaś zobaczyć, co dzisiaj z nią zrobili. Położyli ją zupełnie gołą na liściu bananowca; każdy pieprzyk, każda żyłka, każda krosta wystawiona na widok publiczny. Włosy rozczochrane, ciało wyglądało jak nie umyte, i ani grama złota. Jak mogli tak ją odrzeć z jej godności, z jej poczucia przyzwoitości. I zdałam sobie sprawę, że ja też tak skończę, kiedy umrę. I że nie mogę nic zrobić, żeby temu zapobiec.

Sheela wachlowała twarz tej istoty, wlewała łyżeczką wodę w jej usta i przemawiała do niej: - Nie martw się, nie pozwolę, żeby świat zobaczył cię w takim stanie. - Wyskubała twarde jak druty włoski na jej podbródku, ostrożnie uczesała łamliwe włosy i zaplotła je w warkocz, który związała brokatową gumką. Sheela wtarła podkład swojej ciotki w twarz, ramiona i dekolt babki. Tak jak lubiła, upudrowała ją drogim talkiem ciotki. Twarz, szyję, ramiona i pod piersiami, zwisającymi jak puste sakwy. Kiedy już pokryła ją patyna wonnej kredowej szarości, Sheela podkreśliła oczy antymonowym ołówkiem i tak jak zalecał podręcznik makijażu, pociągnęła brwi lekkimi jak piórko ruchami. Ciotka Sheeli zdążyła już skonfiskować całą biżuterię Ammummy. Sheela przyozdobiła ją więc sztucznymi świecidełkami. Na zwiotczalym biuście spoczął sierp księżycy. Z uszu spłynęły kryształowe kaskady.

Kiedy to zobaczyli, krzyknęli z przerażenia. - Niedobra dziewczyno - jęknęła matka - jak mogłaś?

Sheela zobaczyła, że twarz Taty tężeje złowrogo i poczuła, jak w niemej wściekłości zaciska palce na jej ramieniu. Sheela wiedziała, że ich zdaniem dopuściła się świętokradztwa. Wiedziała, że myślą, iż zrobiła z Ammummy odrażające stworzenie - ordynarną, wymalowaną, umierającą kokotę. Ale Sheela wiedziała również, że Ammumma wolałaby to niż obraz choroby i rozkładu.

Nie było już czasu, żeby ją umyć. Zawsze chciała umrzeć we własnym łóżku i mieli przed sobą długą drogę, żeby zawieźć ją do domu. Do jej domu. Sheela patrzyła poprzez mgłę bólu i upokorzenia, jak bracia i siostry wsiadają do furgonetki i otaczają umierające ciało swojej matki. Tata stał obok Sheeli z poważną miną, pełen gniewu i rozczarowania. Nie obchodziło jej to. Wiedziała, że Ammumma byłaby zadowolona.

Kiedy zmarł ojciec Akhili, wydarzyły się dwie rzeczy: niedziela stała się po prostu kolejnym dniem tygodnia i Akhila objęła w rodzinie miejsce mężczyzny.

Ponieważ Appa zmarł „podczas pełnienia obowiązków służbowych”, a Akhila zdała swoje pomaturalne egzaminy z najwyższymi notami, urząd skarbowy zaproponował jej posadę, a wraz z nią odpowiedzialność za dusze i ciała najbliższych. Akhila miała dziewiętnaście lat, ale nie wahała się, co ma zrobić, ani też nie czuła się przytłoczona tym, czego od niej oczekiwano.

Narayan, najstarszy z rodzeństwa, szedł w przyszłym roku do technikum. Narsi, który miał dopiero jedenaście lat, miał dalej chodzić do szkoły. Zostały mu jeszcze cztery lata, dość czasu, myślała Akhila, by zebrać pieniądze na naukę w college'u. Powiedziała: - Pomyślcie tylko, będzie pierwszą osobą z licencjatem w naszej rodzinie. Zdobędzie stopień Bachelor of Arts, albo of Science, zależnie od tego, jaką wybierze ścieżkę. Co do Padmy, na razie nie musimy się o nią martwić. Wystarczają jej wstążki do włosów i szklane bransoletki, które jej kupuje.

Została jeszcze tylko Amma, z czołem przeoranym poprzeczną zmarszczką i nowym nawykiem wiecznego wykręcania i załamywania rąk, jakby zaplątały się w misterne fałdy obszernego sari, którym owijała swoje ciało.

- Nie obchodzi mnie, co mówią ludzie - powiedziała jej Akhila. - Nie pozwolę ci ogolić głowy i zmienić twoich ślicznych madisari na szafranowe sari. Nie musisz robić z siebie potwora tylko dlatego, że nie ma już Appy.

Akhila ujrzała ulgę w oczach Ammy i poczuła się dumna. Tylko że później duma obróciła się w ciężar, zbijający mięśnie ramion w twarde węzły. Dla Ammy Akhila była głową rodziny. Kimś, kto wytyczy kurs i wprowadzi rodzinną łódź na bezpieczne wody.

Kilka następnych lat upłynęło bez większych niespodzianek. Prowadzili życie nacechowane wojskową precyzją. Akhila nie знаła innego sposobu na utrzymanie porządku i uchronienie rodzinnej łodzi przed zerwaniem się z cum. Poranki zbładły do pierwszego brzasku, a niedziele spędzły w dzień prania, krochmalenia i prasowania sześciu bawełnianych sari, składających się na jej biurową garderobę.

Co dzień rano, gdy ciężkie od krochmalu i słonecznego blasku sari szeleściło wokół jej nóg, jakby ktoś przewracał strony gazety, Akhila myślała o swoim ojcu. Gdy tylko ostatnia plisa została zatknięta za pas, a palu przerzucone przez lewą ramię, spód sari podjeżdżał wesoło w górę, więc tuż przed wyjściem Akhili z domu Padma kuciała u jej stóp i uczyła sari praw grawitacji. Szarpnięcie, szarpnięcie... co poszło w górę, musi zejść na dół, i tam już pozostać. Wieczorem sari nie miało już w sobie ani krochmalu, ani energii, by opierać się sile ciężenia. Wilgotne powietrze i parny upał niszczyły wszelki animusz, nie dając żadnych szans odrobienie krochmalu. Może to właśnie w tamtych latach krochmal wlał się w duszę Akhili. Powlekając każdy jej czyn i słowo delikatną błonką sztywności, która wkrótce stała się jej naturalnym sposobem mówienia i bycia.

Czasami w niedzielne popołudnie Akhila kładła się na huśtawce, jak niegdyś czynił to jej ojciec. Żelazne łańcuchy jęczały jak dawniej, tylko że teraz odbijały echem jej żal za tym, co było i nigdy już nie wróci.

Amma czesała jej włosy. Lekko szarpiąc supełki i rozplątując je z delikatnością, doprowadzającą Akhilę na granicę płaczu. To były jedyne chwile, kiedy czuła, że może zamknąć oczy, a życie samo się o siebie zatroszczy, nie czekając, aż ona obmyśli plan i przygotowuje strategię.

Narayan znalazł pracę w fabryce czołgów jako operator maszyny. Narsi zdobył licencjat, a później został pierwszym magistrem w rodzinie. Zaczął wykładać na uczelni. Akhila poczuła, że żelazna obręcz wokół jej piersi rozluźnia swój ucisk: Czy odważę się znowu oddychać? Czy odważę się znowu marzyć? Czy teraz, kiedy chłopcy stali się mężczyznami, mogę znowu zacząć czuć się kobietą?

Narsi postanowił się ożenić. Dziewczyna była córką rektora college'u i braminką. Jego wybór był bez zarzutu i nie można było niczego powiedzieć, może tylko: „Czy nie uważasz, że najpierw powinieneś poczekać, aż twoja starsza siostra wyjdzie za mąż, a dopiero potem samemu myśleć o żonie i rodzinie?”. Tylko kto miał wygłosić tę reprimendę?

Akhila czekała, żeby Amma i Narayan coś powiedzieli. Żeby poruszyli temat jej małżeństwa. Gdy tego nie uczynili, Akhila przełknęła poczucie krzywdy i pozwoliła sobie na wybuch gniewu. Zażądała, by znaleźć odpowiednią narzeczoną dla Narayana. - Wyprawmy od razu dwa wesela. W jednej sali, tego samego dnia, o tej samej godzinie... Narayan troszczył się o rodzinę i nieładnie zapominać o nim tylko dlatego, że pan profesor tak rwie się do ożenku.

Ale Amma i bracia nawet wtedy nie spytali: „A co z tobą? Od śmierci Appy byłaś głową rodziny. Nie chcesz mieć męża, dzieci, własnego domu?”.

W ich głowach Akhila przestała już być kobietą i przeobraziła się w starą pannę.

Oprócz tego była jeszcze Padma. Kiedy dostała pierwszego okresu, Amma ubrała ją jak pannę młodą i zaprowadziła do pobliskiego zakładu fotograficznego, gdzie zrobiono jej zdjęcie z lustrem w tle, żeby było widać misterne przybranie z kwiatów, wplecione w jej warkocz. Amma z dumą pokazała zdjęcie Akhili i stała zaglądając jej przez ramię.

- Moja maleńka jest już kobietą - powiedziała cicho.

Nie mogła tego ująć jaśniej. Wkrótce nadejdzie pora wydać ją za mąż, a posagi nie gromadzą się same, jak kurz na parapecie okna.

Padma miała dwadzieścia dwa lata, kiedy Akhila skończyła zbierać dla niej posag. Złotą biżuterię; brylantowy kolczyk do nosa; szafę ze stali nierdzewnej, stelaż i materac; srebrne lampy; złoty pierścień i drogi zegarek na rękę dla pana młodego; i dwadzieścia tysięcy rupii gotówką. Ale i tak nie poszło łatwo. Potencjalni narzeczeni obawiali się, że po ślubie nie będą mogli liczyć na dalsze dary. Wreszcie znaleźli kogoś, kto zechciał wierzyć Akhili, że nie zapomni o swojej Padmie.

Akhila miała trzydzieści cztery lata. Co samotna kobieta robi dalej ze swoim życiem?

Co dzień rano dojeżdżała z Ambattur do pracy pociągiem. Praca nie wymagała od niej wielkiego wysiłku; w końcu była zwykłą urzędniczką. Wieczorem wracała tą samą trasą i o siódmej była już w domu. Gdy wchodziła, matka stawiała na ogniu szybkowar. Jadły, słuchały radia i za kwadrans dziesiąta szły spać. Prowadziły spokojne, wykrochmalone i wyprasowane życie, w którym nie było miejsca na lekkie jak szyfon kwiaty uczuć ani ciężką jedwabną przesadę ze złotym zari.

Gdy dopadała je choroba, udawały się do szpitala Steadford. W trosce o duszę, co poniedziałek odwiedzały świątynię Śiwy w Thirumulavayil. Gdy Amma modliła się ze złożonymi dłońmi i zamkniętymi oczyma, poruszając bezgłośnie ustami, Akhila wpatrywała się urzeczona w Nandina, strzegącego wejścia do sanktuarium.

Akhila dotykała boku kamiennego byka, który w odróżnieniu od wszystkich innych Nandinów, stał tyłem do świętego świątyni. Odchylenie od normy, tak jak ja, z cierpkim uśmiechem powtarzała sobie co poniedziałek.

Gdyby Nandin stał prawidłowo, świątynia stanowiłaby jedno z najświętszych sanktuariów Śiwy, dorównujące nawet świątyni w Kailasa. Ponieważ na dziedzińcu w Thirumulavayil rósł rzadki kwiat linga i joni. Obecność Śiwy i Śakti przejawiająca się na każdej gałązce, przesycająca powietrze wonią mocy boskiego zespolenia.

Bez względu na to, ile razy Akhila widziała już Nandina, ciągle ją intrygował. Nandin, który odwrócił się tyłem do swojego pana i władcy, by strzec pielgrzymy przed śmiercią z ręki wrogów. Czy Nandin kiedykolwiek zastanawiał się, co jest ważniejsze - modlitwa czy obowiązek? Czy Nandin wiedział, iż swoim gestem zdesakralizował świątynię i zniweczył obecność Śiwy? Czy Nandin zdawał sobie sprawę, co takiego uczynił?

Raz w miesiącu Akhila zabierała matkę na obiad do Dasaprakash Hotel, gdzie zawsze zamawiały *Special Meals*. Gęstą, jadownicę czerwoną zupę pomidorową; dwa puri i miseczkę kormy z jarzyn; porcję ryżu z twarogiem; porcję sambaru z ryżem; miskę rasamu; trzy rodzaje jarzyn; appalam; dwie marynaty; tyle białego ryżu, ile dusza zapragnie; a na koniec sałatkę owocową, którą podawali z wisienką na czubku i śmietankowym wafelkiem wetkniętym w topniejące lody.

Akhila patrzyła ze skrywanym rozdrażnieniem, jak jej matka je. Dłubała w talerzu, jakby każdy kęs budził w niej odrazę, a jednak kiedy Akhila zasugerowała, by zmienić restaurację, Amma gwałtownie zaprotestowała. - Co ci się nie podoba w Dasaprakash? To jedyne miejsce, gdzie bramin może spokojnie zjeść, nie martwiąc się o to, kto kroci, gotuje i zmywa. Zauważyłaś, że nawet chłopcy, którzy nam podają, noszą świętą nić?

Dla Ammy wszyscy kelnerzy byli chłopcami, a wszyscy bramini poza podejrzeniem. Dlatego właśnie nawet kiedy spotykały Sarasę Mami, wdowę po Subramani Iyer, stojącą ze swoją najstarszą córką Dżają na przystanku autobusowym, Amma zbierała tylko fałdy swojego sari i udawała, że ich nie widzi.

Gdyby to był ktokolwiek inny, Amma użyłaby swojego języka jak kosa, bezlitośnie siekąc ich reputację, charakter, brak wstydu i kończąc swoim ulubionym: „Gdybym była na jej miejscu, prędzej otrulałabym moje dzieci i zabiłabym się sama. Wszystko jest lepsze od sprzedania własnego honoru”.

Ale Sarasa Mami była braminką. Łatwiej wybaczyć bramince, choćby popełniła najstraszniejszą zbrodnię, niż reszcie świata, złożonej z mięsożerców i kopaczy grobów.

Może jestem wobec niej niesprawiedliwa, myślała Akhila, przyglądając się swojej matce. Może Ammie łatwiej zaakceptować to, co zrobiła wdowa po Subramani Iyer, bo to samo mogło przytrafić się jej.

Kiedy pewnego ranka wzrok Subramani Iyer utkwiał w suficie, jakby o brzasku spadło na niego objawienie, Sarasa Mami podniosła oczy do nieba i zaniósł błaganie o ratunek. Co ja mam teraz zrobić, pytała, bijąc się w piersi. Jak sobie poradzić? Jak zadbać o trzy dziewczynki i ślepego chłopca?

Czego się spodziewała? Akhila patrzyła, jak Sarasa Mami błaga i zaklina rozmaitych bogów, których czciła od pokoleń jej rodzina. Czyżby naprawdę sądziła, że któryś z nich zstąpi na ziemię, by wydobyć ją z nędzy?

Przez jakiś czas Sarasa Mami radziła sobie. Sprzedała do ostatniej sztuki całą posiadaną biżuterię. Wreszcie, kiedy nie zostało już nic więcej do sprzedania i głód zajrzał im w oczy, podgryzając honor i odzierając ich z powszechnego szacunku, sprzedała swoją najstarszą córkę Dżają.

Wyjęła z metalowej skrzyni jedyne sari z Kanćipuram, jakie miała, i rozłożyła je delikatnie. Sarasa trzymała je na ostatnią podróż swojego życia. Jak wszystkie dobre hinduskie żony, modliła się co dzień, by pozwolono jej umrzeć przed mężem. Śniła, że wkroczy po schodach do nieba, opromieniona blaskiem czerwonego kółeczka kumkum na czole. Z włosami przyozdobionymi sznurami jaśminu, rozsiewającego wokół kwiatną woń, i wszyscy, którzy ją ujrzą, będą musieli pomyśleć, że świętą musiała być kobieta, skoro wygląda po śmierci jak panna młoda. A sari było takie, że wszyscy, którzy lekceważyli ją za życia, poskręciliby się z zawisłości. Teraz, kiedy to już nigdy nie miało nastąpić, Sarasa strząsnęła z sari swoje marzenia, jak kulki na mole. Kulki na mole, rozsypujące się w proch przy zetknięciu z powietrzem.

O czym myślała Sarasa Mami, pomagając Dżaji udrapować sari? Troszkę niżej na biodrze. Odsłoń linię talii. Ciaśniej na piersiach. Nie zakrywaj rowka pomiędzy nimi. Przerzuć je przez ramię, niech spłynie kaskadą po plecach, by podkreślać przy każdym kroku krągłość twoich bioder. Może czuła się, jakby pomagała oblu-bienicy, a może to zwłoki przychodziły jej na myśl, kiedy układała zalotnie warstwy wzorzystej tkaniny.

A Dżaja? Co pomyślała Dżaja, kiedy pewnego wieczora matka poprosiła ją, by wykapała się wcześniej niż zwykle? Czy wydawało jej się, że w brzuchu tańczy jej chmara motyli, kiedy Sarasa kładła na jej powiekach gęsty mrok i wplatała w warkocz pączki jaśminu? Dżaja musiała myśleć, że przynajmniej tego wieczoru nie pójdzie spać głodna. Odtąd nigdy więcej nie kładli się głodni.

Nie żeby Dżaja wystawała na rogach ulic, prowokując żądze. Sarasa zdołała powlec to, czego oczekiwano od Dżai, cienką warstewką przyzwoitości. Mężczyźni, mieszkający w barakach dla kawalerów, potrzebowali kogoś, kto by im gotował, mówiła. Dżaja nie robiła niczego więcej, oświadczała, gdy ktoś ją pytał. „Dobrze ją traktują i szczerze płacą”, dodawała.

Wkrótce wszyscy dobrze znali ten widok; ślepy Srini, udając samochód, co wieczór biegnie u boku siostry w drodze do mieszkań kawalerów. Parp... parp, trąbi, przechodząc przez jezdnię. Brum... brum, warczy, gdy ona przyspiesza kroku, by uciec przed ciężkimi jak kamienie spojrzeniami sąsiadów.

Co zmarli myślą o spustoszeniach, wywołanych ich nieobecnością? Subramani Iyer? Appa? Czy w jakimś nierzeczywistym królestwie, z którego nie ma powrotu, cierpią, wijąc się z bólu? A może to właśnie o to chodzi w śmierci? Umieć odejść. Przestać się troszczyć. Być wolnym.

Z początku cała dzielnica przyglądała się w pełnym zgrozy milczeniu. Potem, głosami drżącymi ze słusznego oburzenia, zaczęli mówić o cieniu, rzucanym przez bezwstydne postępowanie Sarasy Mami. Na dobre imię Subramani Iyera. Na społeczność bramińską. Na godność kobiety. Czyżby nie istniał żaden bardziej honorowy sposób, żeby utrzymać się przy życiu?

- Powiedz mi, jak - odpowiedziała Sarasa sąsiadce, która zdecydowała się na bezpośredni atak. - Chcę pracować. Wykonywać jakąkolwiek pracę, która pozwoli mi zarobić na życie. Obeszłam wszystkie domy w

okolicy, pytając, czy ktoś nie potrzebuje służącej. I wszyscy zachowali się tak samo, jak ty. Dawali mi garść ryżu, jakbym była żebraczką, i przepędzali precz.

- Ja tak nie zrobiłam - broniła się sąsiadka.

- Nie. Zrobiłaś coś jeszcze gorszego. Schowałaś się w głębi domu i poprosiłaś córkę, żeby powiedziała mi, że poszłaś na zakupy.

- Bo to była prawda. Poszłam na zakupy - upierała się sąsiadka.

Sarasa wzruszyła ramionami, nie chcąc spierać się o to, co było kilka miesięcy temu. W nadziei, że milczenie zmiecie z progu jej domu tę kobietę i jej złośliwą ciekawość, ukrytą pod płaszczykiem sąsiedzkiej troski.

- A jeśli nawet, to co? - nie ustępowała sąsiadka, wyrażając niesmak wzgardliwym skrzywieniem ust, rozdęciem nozdrzy i szerokim, wiele mówiącym gestem dłoni.

- Gdybym była młodsza, sama bym się sprzedała, żeby nakarmić i ubrać moją rodzinę. Ale moje ciało jest zmęczone. Żaden mężczyzna by go nie zechciał. Zresztą to nie jest tak, że zadaje się z wieloma mężczyznami. Jest tylko jeden. Stały klient. I jest bardzo szczęśliwa.

- Jesteś odrażająca - warknęła sąsiadka, odchodząc. - I nienormalna. Jaka kobieta opowiadałaby, że jej córka ma stałego klienta?

Tamtego wieczora lokatorki domu nr 21 raz na zawsze przestały istnieć dla lokalnej społeczności braminów.

Całe szczęście, że nie mieszkają w agraharamie, pomyślała Akhila. W bramińskim getcie, gdzie nawet powietrze z trudem przeciska się wąskimi zaułkami; gdzie cynobrowe pasy, namaszczone pobielenie wapnem ściany domostw, symbolizują sztywność myślenia i ciasne granice tolerancji; gdzie misterne kolamy z ryżowej mąki przed progiem bronią wstępu wszelkiej nowej myśli, a każde odbiegające od normy zachowanie egzorcyzuje się potępieniem i kompletną izolacją.

Akhila myślała często, że gdyby jakiś bóg zabłąkał się tam w swojej wędrówce po ziemi, rozpoznałby agraharam po samym widoku domów stojących w ciasnych rzędach. Niczym jakiś egzotyczny gatunek stonogi z milionem białych i czerwonych nóg, wydzielającej jedyny w swoim rodzaju odór asafetydy i korzenia mydlnicy.

Ale chociaż nie mieszkały w agraharamie, bramińska społeczność zachowywała się, jakby tak było. Zatem Sarasa, jej córka dziwka, niewidomy syn i pozostałe córki, które też wkrótce miały stać się dziewczynkami, zostali wyklęci. Dla Ammy oznaczało to los gorszy od śmierci. Albowiem czym był bramin, jeśli nie kimś uważanym za bramina przez bramińską społeczność?

- Popatrz, kto tu jest - powiedziała półgłosem Akhila. Ale Amma nie połknęła haczyka. Udając, że nie słyszy, stała ze wzrokiem wbitym w horyzont, pragnąc, żeby jak najprędzej nadszedł autobus, który zabierze je stąd, zanim Akhila uczyni coś ambarasującego, jak na przykład podejście i nawiązanie rozmowy.

- Tam stoi Dżaja ze swoją matką - nie ustępowała Akhila. - Nie chcesz porozmawiać z Sarasą Mami? Przecież kiedyś była twoją najlepszą przyjaciółką. Dlaczego nie chcesz? Nikt się nie dowie. Jesteśmy daleko od domu. Czy po prostu nie chcesz mieć nic wspólnego z kobietą, która zrobiła ze swojej córki prostytutkę?

Amma zacisnęła usta i zmarszczyła brwi. - Możesz zamilknąć?

- Nie bądź niemiła - dodała po namyśle.

- Kto tu jest niemiły? - syknęła Akhila, rozłoszczona niedopuszczającym dyskusji tonem matki. - Oskarżasz mnie o to, że jestem niemiła? To nie do mnie. To ty i twoje bramińskie kumoszki, bojkotujące tę biedną kobietę i jej rodzinę.

- Przykro mi, że tak się stało. Ale kiedy żyje się w społeczeństwie, trzeba dostosować się do jego wymagań. Nie jestem jedną z tych rewolucjonistek, które potrafią rzucić wyzwanie całemu światu. Jestem prostą kobietą. Wdową. I potrzebuję należeć do swojej społeczności.

- Zdajesz sobie sprawę, że to my mogłybyśmy tam stać, Ammo? - spytała cicho Akhila.

- Wiem, że to mogłyśmy być my. I dlatego właśnie nigdy nie powiedziałam o niej złego słowa, choćby inni nie wiadomo jak mieszała ją z błotem. - Amma odwróciła się twarzą do Akhili i położyła dłoń na jej ramieniu. - Ale ja miałam ciebie.

Akhila czuła, jak ciężar tej dłoni przygniata ją do ziemi. Amma miała Akhilę, która wybawiła ją od ubóstwa i upokorzeń. Amma miała Akhilę, która zastąpiła jej męża w roli głowy rodziny. Amma miała ją - Akhilę. Akhilandeswari. Panią wszystkich światów. Nie posiadającą na własność żadnego.

Najbardziej Akhili przeszkadzało to, że teraz nikt jej już nie nazywał jej własnym imieniem. Jej bracia i siostra zawsze zwracali się do niej Akka. Starsza Siostra. W pracy mówili do niej Madame. Wszystkie kobiety były Madame, a wszyscy mężczyźni Sir. A Amma zaczęła nazywać ją Ammadi. Jakby zwracanie się do niej po imieniu oznaczało brak szacunku dla jej pozycji w rodzinie.

Kim więc była Akhilandeswari? Czy w ogóle istniała? A jeśli tak, to jaka była naprawdę? Czy serce zamierało jej w piersi na widok obsypanego kwieciami drzewa mango? Czy krople deszczu na nagiej skórze przyprawiały ją o dreszcz rozkoszy? Czy śpiewała? Czy marzyła? Czy płakała bez powodu?

Akhila wspominała często tamilski film, obejrany przed laty. O kobiecie, której, tak jak jej, pisany był los roboczego wołu. O kobiecie, która poświęciła swoje życie i swoją miłość dla rodziny.

Amma i Akhila poszły obejrzeć ten film, kiedy zaczęto go wyświetlać w kinie nieopodal domu. Chociaż czytały recenzje i zdążyły wyrobić sobie wyobrażenie o fabule i postaci głównej bohaterki, obraz całkowicie je obie zaskoczył. Akhila mogłaby być jego bohaterką, a jej rozpacz rozpaczą Akhili. Patrzyły na ekran w milczeniu, a kiedy w przerwie zapaliły się światła, Akhila zauważyła, że matka unika jej wzroku. Tego wieczora prawie nie rozmawiały i wcześniej położyły się spać. Akhila nie mogła zasnąć. Patrzyła na Padmę, zwiniętą w kłębek przy jej boku. Padma wkrótce miała stać się kobietą. Jej twarz utraciła już dziecięcą okrągłość i powoli zaczynała przypominać twarz dorosłej osoby. Gdybym miała mężczyznę, który kochałby mnie do szaleństwa i pragnął się ze mną ożenić, czy poświęciłabym go dla Padmy, zastanawiała się Akhila. Nie, nie poświęciłabym, odpowiedziała sama sobie. Akhila wyrzuciła z myśli film, uznawszy go za sentymentalną papkę, i odwróciła się na drugi bok. W tamtych czasach wciąż była jeszcze dość młoda, by wierzyć, że nie całe życie tak będzie wyglądać. Pewnego dnia ona również będzie miała własny dom i rodzinę.

Ale dziesięć lat później na myśl o tym filmie Akhila zapadała się w ciemność. Czy jej życie skończy się tak samo, jak życie kobiety z ekranu?

Akhila nie pozwalała sobie na zagłębianie się w podobne rozmyślania. Gdyby to zrobiła, wkroczyłaby na niebezpieczny teren. Zamiast tego w dniu swoich trzydziestych czwartych urodzin postanowiła sprezentować sobie wykształcenie.

Zapisała się na otwarty uniwersytet na kursy na stopień Bachelor of Arts. Jako główny przedmiot wybrała historię. Nikt chyba nie nadaje się lepiej do studiowania historii niż stara panna, myślała. Do badania wielkości i zmięchu cywilizacji. Do rozplątywania zawitych motywów takiego, a nie innego postępowania danej dynastii. Do przyglądania się z boku, jak pruje się wątek życia. Do czytania o władcach i konkubinach; wojnach i bohaterach; do obserwowania, i do niczego więcej.

#

To Katherine Webber wprowadziła jajko w życie Akhili. Akhila nigdy nie zaprzyjaźniła się z nikim tak blisko jak z Katherine. Chociaż Akhila pracowała w tym samym urzędzie od ponad szesnastu lat, nadal nie miała tam żadnych przyjaciół. Koledzy z biura byli dla niej kolegami, z którymi dzieliła godziny pracy, i niczym więcej. Owszem, zdarzały się przyjazne gesty z ich strony, ale Akhila wolała zachować dystans, do każdego z nich z osobna, i do wszystkiego, wokół czego toczyło się ich życie. Akhila była jedyną samotną osobą w całym biurze, liczącym dwudziestu czterech pracowników. Nie miała z nimi nic wspólnego. Czy mogła pojąć cierpienie ojca, któremu stale chorowało dziecko? Albo radość matki, kiedy jej brzdąc postawił pierwszy krok? Świat życia rodzinnego nie był jej światem.

Od aśramy brahmaćarin bezpośrednio do wanaprastha. Nie chciała ocierać się o strumień cudzej karmy.

Akhila i Katherine spotkały się w tym biurze pełnym mężów i żon. Katherine Webber została przeniesiona z Bangaluru. Jej rodzina mieszkała w Madrasie, powiedziała, i z najwyższym trudem udało jej się załatwić transfer. Katherine spodobała się Akhili. Podobały jej się suknie do połowy łydki i sposób, w jaki niesforne brązowe włosy okalały jej twarz. (Przy tej jednej jedynej okazji, kiedy ją widziała, Amma szepnęła złowrogo: „Czy w jej domu nie ma oliwy? Gdybym to ja była jej matką, nasmarowałabym jej włosy i zaplotła je w ładny ciasny warkocz. Co sobie myśli jej matka, żeby pozwalać młodej, niezamężnej dziewczynie paradować z włosami spływającymi po plecach i nogami na widoku?!“).

Akhili podobała się niestrudzona paplanina Katherine, przerywana wybuchami śmiechu. Ale przede wszystkim Akhila polubiła Katherine dlatego, że była bodaj jedyną osobą, jaką знаła, która nie była wiecznie zaabsorbowana czterema kamieniami węgielnymi aśramy gryhastha - mężem, dzieckiem, domem i teściową.

- Czemu jesteś taka miła dla tej Anglo-Hinduski? - mruknęła pewnego dnia Sarala, urzędniczka z nadzoru, kiedy razem sprawdzały dokumenty.

- Dlaczego? Co w tym złego? - zapytała cicho Akhila.

- Nic. Ale wiesz, co mówią o Anglo-Hindusach. Jedzą wołowinę i ich ciało cuchnie. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni piją i palą. I w odróżnieniu od nas, hindusów, nie mają żadnych standardów moralnych. Skoro potrzebujesz przyjaciółki, w biurze jest tyle innych kobiet. Wszystkie z szanowanych rodzin, jak twoja - mówiła Sarala, przyciskając palec do nasączonej wodą gąbki i przewracając strony.

- Nie bądź niemądra! - odcięła się Akhila. - Katherine to dobra dziewczyna i jest równie godna szacunku, jak ja i ty. To, że nie jest hinduską, nie czyni z niej automatycznie osoby niemoralnej.

Sarala wykrzywiła usta w wyniosłym uśmiechu. - Prędzej czy później sama się o tym przekonasz.

Ostrzeżenie Sarali przypieczętowało ich przyjaźń. Akhila i Katherine zaczęły rozmawiać. I nie była to już zwyczajna paplanina, miarkująca ich wcześniejsze kontakty. Zaczęły mówić o rzeczach naprawdę ważnych. Katherine opowiedziała Akhili o swoim Tacie; o swoim Tacie, nauczycielu gry na fortepianie, odurzonym

szczęściem, kiedy grał i tanim alkoholem przez resztę czasu. Opowiedziała Akhili o swojej Mamie, po której odziedziczyła jasną skórę, brązowe włosy i słabość do mężczyzn z dolkiem w brodzie i wąsami (Tata posiadał jedno i drugie). Opowiedziała Akhili o swoich braciach i siostrze, którzy uciekli od zaduchu alkoholowych oparów Taty i cierpienia Mamy, żeby zacząć żyć własnym życiem. A potem opowiedziała Akhili o Raymondzie, swoim chłopcu, który wyjechał do Melbourne i zapomniał o niej. W jakiś dziwny sposób podniosło to Akhilę na duchu. Oto znalazła bratnią duszę, która wiedziała, jak to jest być Akhilą - samotną i bez pary.

Wymieniały zwierzenia W przerwie na lunch. Katherine smakowała kuchnia Ammy - ryż z cytryną i ryż z twarogiem, idli i wady, puri i korma. Za to Akhila delectowała się kanapką z masłem i dżemem, którą osobno dla niej pakowała Katherine. A potem pewnego dnia Katherine otworzyła pudełko na lunch i wyjęła z niego jajko.

Akhila patrzyła, jak Katherine stuka jajkiem o stół i na skorupce pojawia się zygzakowata rysa. Patrzyła, jak Katherine zdejmuje kawałki skorupki i pomyślała wtedy, że to musi być najprzyjemniejsza rzecz pod słońcem. A potem, jak w rosyjskiej matroszce, pod skorupką ukazała się kolejna warstwa bieli. Co było pod nią? Jak pachniał środek? Jaki był w dotyku?

Akhila poczuła nieprzeparłe pragnienie, żeby się tego dowiedzieć i zanim zdążyła się powstrzymać, wypaliła: - Dasz mi gryza?

Przez moment Katherine wpatrywała się w nią z otwartymi ustami. A potem powiedziała: - Pewnie.

- Proszę, weź - powiedziała, podając Akhili jajko.

Ostrożnie wzięła je w dłoń. Było chłodne i gładkie w dotyku. Następnym razem sama je obierze. Ale teraz, kiedy trzymała je w swojej dłoni, Akhilę ogarnął lęk. Co powiedziałyby Amma, gdyby się o tym dowiedziała? Nigdy dotąd nie zrobiła czegoś podobnego.

- Zjedz to z tym - powiedziała Katherine, rzucając jej papierową tutkę z solą. A potem zachichotała. - Moja matka zawsze powtarza, że jedzenie jajka bez soli to jak całowanie mężczyzny bez wąsów.

- Naprawdę?

Katherine znowu zachichotała. - Och, zapomniałam. Nikt cię nigdy nie całował.

Akhila wzruszyła ramionami i wgrzyzła się w jajko. Pierwszy kęs nie pozostawił po sobie niczego. Ani smaku, ani obrzydzenia.

- Białko jajka jest bez smaku - powiedziała Katherine na widok zaskoczenia malującego się na twarzy Akhili.

Aż wreszcie doszła do żółtka. Kruszyło się w jej ustach, oblepiało język, przywierało do podniebienia, ześlizgiwało się w głąb przełyku, ciągnąc za sobą doznanie czystej rozkoszy.

- Widzę, że ci smakuje - powiedziała Katherine rozbawiona tym, co zrobiło z Akhilą zwykłe jajko. - Może powinnam przynosić od czasu do czasu jedno specjalnie dla ciebie.

Akhila kiwnęła głową, wciąż jeszcze trochę zakłopotana tym, co uczyniła. Naprawdę zjadła jajko.

Przez cały rok Akhila delectowała się w tajemnicy jajkami na twardo. Wbrew temu, w co wierzyła mama Katherine, nie potrzebowała do nich ani soli, ani pieprzu. Lubiała je bez niczego, smakowała przezroczyście biel białka, matową żółtość żółtka, złożone szczęście ukradkowych przyjemności.

A potem nadeszły papiery emigracyjne Katherine. Wyjeżdżała do Australii, gdzie jak mówiła, miała pięćdziesięcioro dwoje kuzynów, dziewięciu wujów i dwanaście ciotek. Zajmą się nią, pomogą urządzić, przedstawią swoim znajomym i wykują dla niej nowe życie.

Akhila wiedziała, że nic już nie będzie takie jak dawniej. Na pożegnanie kupiła Katherine wążutki złoty pierścionek z perłą. A Katherine podarowała jej parę sandałów z wąskich paseczków na wysokim obcasie i szminkę. - Akhilo, jesteś bardzo ładną kobietą. To tylko po to, żebyś wyglądała szalowo. Masz dopiero trzydzieści sześć lat. Więc przestań udawać, że masz pięćdziesiąt - powiedziała, kładąc na biurku Akhili zapakowaną w barwny papier paczkę.

Akhila podziękowała jej uśmiechem, wiedząc, że nigdy nie użyje żadnej z tych rzeczy. Wtedy Katherine położyła na biurku jutową torbę na zakupy i uśmiechnęła się przekornie. - Zobacz, co tam jest - powiedziała.

Akhila zajrzała do środka i ujrzała coś, co wyglądało jak zrobiony z zielonego plastiku pojemnik na jajka.

- W środku są cztery jajka - ciągnęła szeptem Katherine. - Do wzięcia do domu. Może uda ci się gdzieś schować i ugotować, kiedy twoja matka zaśnie albo coś w tym rodzaju. Wiesz, jak gotuje się jajko? Nalej do małego garnuszka tyle wody, żeby przykryła jajko i gotuj przez osiem minut. Potem zalej zimną wodą i będziesz miała piękne jajko na twardo. Jeśli będziesz je gotować przez pięć minut, białko ledwo się zetnie, a żółtko będzie troszkę maziowate. Takie też jest dobre. Spróbuj kiedyś jajka na miękko. Myślę, że ci się spodoba.

Akhila postawiła torbę z pojemnikiem obok swojej torebki i zaczęła zastanawiać się, co ma z nią zrobić. Może uda jej się zostawić ją w pociągu i na tym koniec. Ale kiedy trzeba było już wysiąść, Akhila zabrała torbę ze sobą. Idąc, zastanawiała się, czyby jej nie wyrzucić gdzieś w krzaki, ale kiedy skręciła w swoją ulicę, wiedziała już, że przyniesie jajka do domu. I powie o tym matce.

Amma zaakceptowała jej słabość do jajek tak samo, jak zносиła tabakę ojca. Tego się nie robiło, ale przecież mogło być gorzej. A gdyby Akhila zaczęła jadać mięso? Jajko można w zasadzie uznać za pokrewne mleku. Amma poprosiła tylko, żeby Akhila kupowała jajka w mieście i żeby pozbywała się skorupki dyskretnie i z dala od domu.

Akhila gotowała i jadła swoje jajka w kuchni matki. Amma wydzieliła jej garnuszek, łyżkę na długiej ręczce i małą miseczkę, które zostały relegowane do najdalszego kąta kuchni.

Wszystkie niezwykle poszukiwania i czarodziejskie odkrycia Akhili zamykały się we wnętrzu kruchej skorupki jajka. Najpierw było skończone ośmiominutowe jajko, które kroić w plasterki i układała na posmarowanej masłem kromce chleba. Potem odkryła jajko pięciominutowe. Akhila odcinała wierzch i wygrzebywała łyżeczką ledwo ścięte białko i rozedrgane, lejące się żółtko. Ale to jajko trzyminutowe dostarczyło Akhili najwięcej emocji. Gotowane przez trzy minuty, było niemal surowe i Akhila wrzucała je do gardła, nie krztusząc się nigdy. A musiało być bardzo gorące. Kiedyś spróbowała rozbełtać surowe jajko w szklance mleka, jednak o mało nie zwymiotowała. Dla Akhili jajko było jajkiem tylko w swojej skorupce i ochrzczone wrzątkiem.

Akhila - stara panna, urzędniczka na państwowej posiadzie, historyczka, amatorka jajek - wspominała minione lata. Jak łatwo tej nocy płynęły wspomnienia. Jak swobodnie pamiętało się, kiedy przedział kołysał i huśtał jak matka, głaszcząca czoło i zachęcająca: Myśl dalej, dziecko. Nie przestawaj marzyć...

Akhila uniosła się na łokciu i wyjrzała przez okno. Pędzili przez otulone mrokiem pola i wsie. Sheela powiedziała w końcu, że chce jej się spać. Razem podniosły środkową półkę i Sheela zwinęła się w kłębek, wciąż przyciskając do piersi swoją skórzaną torbę.

Sheela i Dżanaki. Dwa krańce spektrum. Młoda dziewczyna i stara kobieta, a jednak czy ich życie było tak bardzo różne od jej życia? Mogłyby być nią, pomyślała Akhila. A ona mogłaby być nimi. Każda stawiała czoła życiu i próbowała połapać się w jego pogmatwanych ścieżkach. Skoro one mogły to robić, tak jak najlepiej potrafiły, czemu nie mogłabym ja? Ta myśl obudziła w sercu Akhili narastającą powoli radość. Cieniutki strumyczek, który uruchomił dopływy sączącej się nadziei. Przeczucie, że to, co postanowiła uczynić, być może nie stanie się na próżno. Że w taki czy inny sposób Akhila zwycięży.

Akhila ułożyła się znowu na swojej kuszetce. Gwałtowne, hałaśliwe spółkowanie koła i szyny rozbrzmiewało echem w jej głowie. Naciągnęła pod brodę prześcieradło i zamknęła oczy. Po raz pierwszy czuła się chroniona. Osłonięta przed sobą samą. Pociąg wiedział, dokąd zmierza. Nie musiała mówić mu, co ma robić. Pociąg będzie czuwał, gdy ona zaśnie.

Akhila, otoczona opieką, chroniona, bezpieczna, czuła, jak otula ją sen. Powieki ciężkie jak ołów. Chwila wytchnienia od bycia Akhilą.

Akhila jest małą dziewczynką. W wagonie kolejowym. W przedziale pierwszej klasy. Są tam wszyscy - Appa, Amma, Narayan, Narsi i Padma. Jadą do Vishakapatnam. Dlaczego do Vishakapatnam, tego Akhila nie wie. Ale wie, że to daleko i nad morzem. Za oknem nieznanym pejzaż - piaszczyste wydmy i morze o prawie niemożliwej granatowej barwie. Appa jest szczęśliwy. Śmieje się. Amma też. Chłopcy bawią się samochodzikiem, a Padma śpiewa na cały głos. Akhila jest tak szczęśliwa, że niemal pęka jej serce.

Amma otwiera wielkie pudło na lunch, ustawione na stoliku przymocowanym do ściany przedziału. Stosy pysznego jedzenia. Ociekający ghi majsurpak i okrągłe, podobne do brązowych kamyków éeeda. Ryż z kokosem i pulijodaraj. Ryż z twarogiem, niczym klejnotami wysadzany lśniącymi pestkami granatu, szmaragdowymi paseczkami papryczek i strużynami kolendry.

Jedzą. Akhila czuje zapach oregano w murukku. Od słonego smaku ślina napływa do ust. Okruszek przyłgnał do kącika ust. Wysuwa język i zlizuje go.

Appa wstaje i przyczesuje grzebieniem włosy, patrząc w lustro nad stolikiem. Uśmiechając się do swojego odbicia mówi: „Utnijmy sobie drzemkę”.

Akhila zachwycona jest tym nowym Appą, który bez przerwy się uśmiecha.

Układają się do snu. To przedział pierwszej klasy. Są w nim tylko cztery kuszetki. Po jednej zajmują Amma i Appa. Zostaje jedna dla chłopców i jedna dla dziewcząt. Akhila obejmuje ramieniem talię Padmy i nuci jej kołysankę.

Akhila budzi się nagle. Przedział tonie w ciemnościach. Nikogo w nim nie ma. Jest zupełnie sama. „Amma, Appa”, woła. Ale nikt jej nie odpowiada.

„Narayan, Narsi, Padma, gdzie jesteście?”. Teraz już krzyczy. Schodzi na dół. Przedział jest pusty, myśli. I wtedy dostrzega siedzącego przy oknie mężczyznę. Odwraca się gwałtownie. Drzwi są zamknięte na zamek.

„Kim pan jest? Co pan tu robi?”, pyta. Głos, który wydobywa się z jej ust, jest głosem dorosłej osoby. Akhila nie jest już małą dziewczynką.

„Nie znasz mnie”, mówi mężczyzna. „Ale ja cię znam. Wiem o tobie wszystko”.

„O czym... o czym pan mówi?”, zaczyna się zmieszana.

„Jesteś Akhila”, mówi, podchodząc do niej. „Jesteś Akhila kobietą. Wszyscy inni może i zapomnieli o kobiecie, która w tobie tkwi. Ale ja ją widzę. Widzę pożądanie w jej oczach, żar w jej sercu”.

Jego głos jest cichy i zachrypnięty. Akhila czuje wokół siebie powietrzny wir. Zaciskające się zachłannie węzowe sploty.

„Nie znasz mnie, Akhilo?”, pyta. „Naprawdę mnie nie znasz? Pomyśl. Pomyśl uważnie”.

Ale Akhila nie może sobie przypomnieć. Wie tylko, że nagle ogarnia ją dziwne uniesienie. „Tak”, mówi. „Tak, pamiętam”, kłamie.

„A to pamiętasz?”, mówi, kreśląc wskazującym palcem prawej dłoni linię wokół jej ust. Akhila wsysa oddech. Wie, że powinna być oburzona. Ale nie jest. Czuje, jak jej ciało przeszywają elektryczne wstrząsy.

Jego palec sunie wzdłuż jej podbródka. Akhila zamyka oczy. On dmucha na jej powieki. Ona wygina w łuk szyję. Jego palce pełzną w dół. Wzdłuż jej ramienia. Pomiędzy palcami jej dłoni. Akhila jęczy.

„A to pamiętasz?”, mówi.

Nie pamięta. Te doznania są dla niej zupełnie nowe, ale boi się, że jeśli się do tego przyzna, on przestanie. „Tak, tak”, błaga.

Rozsuwa palcem jej sari. Sari z przezroczystego szyfonu. Opada lekko. Kałuża żółtego szyfonu u jej stóp. Dotyka jej piersi. Najpierw jednej, potem drugiej. Akhila chce rozedrzeć bluzkę i obnażyć przed nim swe ciało. Jej palce mkną do guzików. Ale on mruczy: „Szz, szsz, jeszcze nie”.

Poprzez tkaninę rysuje kółeczka wokół jej sutków. Akhila czuje jak jej ciało pręży się niemal do bólu. Pochyla się ku niemu.

Nagle otwierają się drzwi przedziału. Są tam wszyscy. Appa i Amma, jej bracia i siostra - tylko że teraz nie są już dziećmi. „Tybezwstydna kreaturo. Wstrętna zdziro”, grzmi Appa.

„Jak mogłaś?”, krzyczy Amma.

„Co robisz?”, wrzeszczą jej bracia odwracając się od niej, żeby nie widzieć pożądania tańczącego w jej oczach.

Akhila czuje, jak krew napływa do jej twarzy. „Masz, zakryj się”, mówi Padma, dorosła Padma, rzucając jej sari.

„Ja... ja...”, próbuje tłumaczyć Akhila.

„Nie pozwól, żeby cię dorwali”, słyszy w swoim uchu jego szept. I gdy oni patrzą, ujmuje w dłonie jej piersi. Bada ich ciężar, toczy brodawki pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. I Akhila nie dba już o nich wszystkich. Po prostu opiera się o jego ciało i zamyka oczy. Nigdy jeszcze nie było jej tak dobrze. Słyszy, że drzwi przedziału zatrząskują się z hukiem.

#

Akhila gwałtownie zerwała się ze snu. Gdzie ja jestem? pytała siebie, z przerażeniem rozglądając się wokół. Wszystko było takie nieznajome... w końcu powoli zaczęła sobie przypominać.

Pomyślała o swoim śnie i poczuła, że się rumieni. Przesunęła dłonią po piersiach. Sutki były twarde. Jak mogło mi się przyśnić coś podobnego?

Zobaczyła, że Margaret otwiera drzwi przedziału. - Muszę pójść do toalety - powiedziała młoda kobieta.

Pociąg stał. Akhila wyjrzała przez okno. Nieplanowany postój w szczerym polu. Akhila zerknęła na zegarek. Kwadrans po trzeciej. Ani noc, ani dzień. Godzina rachunków, gdy odpływają sny i na powierzchnię wychodzą lęki.

Wróciła Margaret. - Stoimy tu już od ponad dwudziestu minut. Obudził mnie jakiś jęk.

Akhila zakryła dłonią usta. Czyżby wykrzyczała na głos swe pożądanie ze snu?

- To ta dziewczynka. Jęczała przez sen - powiedziała Margaret.

- Wyglądało na to, że nikt oprócz mnie jej nie słyszy - powiedziała. - Więc zeszałam na dół i obudziłam ją. Teraz znowu zasnęła.

Akhila zerknęła na dziewczynkę, która spała zwinięta w kłębek.

- Chyba już nie będę się kładła. Pociąg staje w Kojambatur o piątej rano i jeśli teraz zasnę, na pewno zaspię i nie zdążę wysiąść.

Akhila kiwnęła głową. Cóż więc w takim razie zamierza zrobić?

Margaret oparła się o środkową kuszetkę. - Szkoda, że nie śpimy po tej samej stronie. Mogłybyśmy opuścić moją kuszetkę i usiąść wygodnie.

- Słyszałam twoją rozmowę z tą dziewczynką - mówiła dalej Margaret. Szeptala, jakby nie chciała, by je ktoś usłyszał. - Nie spałam jeszcze.

Akhila milczała. Margaret, myślała, i tak nie oczekuje od niej odpowiedzi.

- Myślałam... o nas, o kobietach w tym przedziale. Nie mówię o dziewczynce ani o tej z górnej kuszetki. One się nie liczą... w gruncie rzeczy. Myślałam o Dżanaki i o Prabha Dewi. O kobietach jak ja i ty, i nie mogłam zapomnieć, jaka byłam zła, nie, zła to chyba nie jest właściwe słowo, raczej zmartwiona, kiedy zobaczyłam twoją twarz, kiedy Dżanaki opowiedziała nam o sobie. Widziałam, jak niepewnie się czujesz. Jakbyś uznała, że popełniłaś błąd i... pomyślałam, że jeśli nawet Prabha Dewi opowie ci swoją historię, jak bardzo jej życie będzie się różnić od życia Dżanaki? To mnie zdenerwowało. Rozumiesz, co usiłuję powiedzieć?

Są bardzo miłe, ale należą do tych kobiet, które nie czują się pełne bez mężczyzny. Mogą mówić, że jest inaczej, ale ja znam takie kobiety. W głębi serca żywią przekonanie, że kobieta bez mężczyzny nie jest nikomu potrzebna.

Margaret zamilkła na chwilę, jakby zastanawiała się w jakim pójść kierunku. - Prawda, z mojego własnego doświadczenia, jest taka, że kobieta potrzebuje mężczyzny, ale nie po to, żeby czuć się pełną istotą. Zastanawiasz się, co ja mogę o tym wiedzieć? Zameżna kobieta rozprawiająca o tym, że można się obejść bez mężczyzny... Dlatego właśnie zamierzam opowiedzieć ci o Ebe i o sobie. A kiedy skończę, zrozumiesz, dlaczego mówię, że kobieta tak naprawdę nie potrzebuje mężczyzny. To tylko mit, który mężczyźni próbują wcisnąć w rzeczywistość. Wiesz, co robiłam w Bangalurze?

Akhila potrzęsnęła głową. Czuła się oszołomiona przejęciem w głosie Margaret. Jakąż to wstrząsającą rewelację usłyszy od niej?

- Zawoziłam mojego męża do kliniki. Do miejsca, gdzie się idzie, żeby odzyskać kontrolę nad swoją wagą. Ebe jeździ tam co roku. Potrzebuje tego. Nie wiem, jak u innych, ale w jego wypadku efekty kuracji nie trwają długo. Przez kilka dni jest prawie taki, jak dawniej. I wydaje mu się, że znowu jest panem swojego życia. Muszę więc zakasać rękawy i znowu mu to odebrać. Kiedy z tym się uporam, Ebe przestaje się liczyć.

6

OLEJ WITRIOLOWY

Bóg nie stworzył Ebenezera Paulraja grubasem. To ja go nim uczyniłam.

Ja, Margaret Śanthy, wiedziona wyłącznie żądzą zemsty. Pragnieniem podkopania jego poczucia własnej wartości, wstrząśnięcia samymi podwalinami jego jestestwa. Uwolnienia świata od istoty, która gdyby pozwolono jej pozostać taką, jaką była, szczupłą, gibką i arogancką, dalej żyłaby tylko po to, by siać smutek i zbierać rozpacz.

Spośród pięciu żywiołów tworzących życie, siebie klasyfikuję jako wodę. Wodę, która zwilża. Wodę, która zapomina. Wodę, która przyjmuje. Wodę, która płynie niestrudzenie. Wodę, która również niszczy. Albowiem moc rozpuszczania i niszczenia jest taką samą własnością wody, jak wilgotność.

W świecie substancji chemicznych woda stanowi uniwersalny rozpuszczalnik. Przejmujący charakter tego wszystkiego, co ją opanuje. Ale to, że tak dobrze mnie znacie, nie znaczy jeszcze, że wiecie o mnie wszystko. Taki właśnie błąd popełnił Ebe. Lekceważył mnie, jako kogoś bez znaczenia. Nie pozostawił mi wyboru, musiałam pokazać mu prawdziwą naturę wody i jak silne potrafi być jej działanie. To właśnie woda w swoich rozmaitych formach stanowi o kształcie ziemi, atmosfery, nieba, gór, bogów i ludzi, zwierząt i ptaków, trawy i drzew, i wszystkiego, co żyje, aż po najmniejszą glistę, muchę i mrówkę. Z wodą trzeba się liczyć, bo inaczej ona policzy się z tobą! To była pierwsza lekcja, jakiej musiałam go nauczyć.

Przez wszystkie te lata trwałam zastygła w stanie stałym. W tej formie miałam obniżoną zdolność wpływania na rzeczywistość.

Unosiłam się na powierzchni czasu, obojętna i nieczuła na to, co stało się z moim życiem.

W owym stanie zamrożenia zapomniałam, co znaczy być wodą. A potem coś we mnie pękło. Coś zaśzło. Jakaś chemiczna przemiana.

Istnieje fachowa nazwa wody, w jaką się zmieniałam. Woda w stanie nadkrytycznym. Zdolna rozpuścić niemal wszystko, o czym, jako zwykła woda, nie mogłabym nawet marzyć. Kipiąca namiętnością, trawiąca i niszcząca trucizny; trucizny, które inaczej zabiłyby wszystko, co naturalne i dobre.

#

Kiedy obudziłam się tamtego ranka, wydawało się, że to będzie dzień jak co dzień. Odbębniłam poranne obowiązki domowe i jak zwykle poszłam do szkoły. Na kilka minut przed dzwonkiem na apel poranny stanęłam przy oknie pracowni chemicznej. Rozciągał się stamtąd widok na prawie cały czworokąt dziedzińca, na

którym odbywały się apele, budynek mieszczący starsze klasy i w pewnym oddaleniu na bramę szkoły. Wlewała się przez nią zwyczajna strużka maruderów, pedałujących co sił na swoich rowerach.

Starsze dzieci rzadko się spóźniały. W rzeczywistości przychodziły wcześniej, niż tego od nich wymagano. Podczas owych bezcennych minut, zanim czujne oczy koterii zaczną niestrudzenie przeczesywać szkolne korytarze, wymieniano miłosne liściki, nieśmiałe pieszczoty i snuto młodzieńcze marzenia.

Młodszych dzieci hormony nie zmuszały jeszcze do zrywania się o świcie. Przyjdzie czas, kiedy i one poczują swoje naście lat, wyrosną z krótkich spodenek i spódniczek i zaczną przekraczać szkolną bramę na długo przed czasem. Ale teraz, spóźnione i zdyszane od biegu, musiały stawić czoła dyżurnemu nauczycielowi i prefektowi.

Trzy minuty przed dzwonkiem na poranny apel zamykano bramę szkoły. Prefekt zapisywał nazwiska uczniów, którzy utknęli po niewłaściwej stronie. Listę wywieszano na tablicy ogłoszeniowej i zależnie od częstotliwości spóźnień, wymierzano delikwentom kary.

Wyciągnęłam szyję, żeby lepiej widzieć pełniącego dyżur nauczyciela. Dzisiejszego boga szkolnej bramy i zmore młodszyc uczniów. Znajoma, trudna do pomylenia pozycja. Nogi w lekkim rozkroku. Złączone za plecami ręce, cienka trzcina, którą palce prawej dłoni oplatają z niezrównaną gracją, każda fibra ciała wyrażająca władzę, każdy oddech - przekonanie o własnej słuszności. Kwintesencja dyrektora szkoły. Mój mąż. Ebenezer Paulraj.

Niebo miało barwę świeżo odlanego cynku. Srebrzystobłękitna powierzchnia, która w ciągu dnia będzie się powoli utleniać, by ku wieczorowi pokryć się szarą ochronną błonką. Kłęby kurzu podnosiły się z rozległych połaci boisk sportowych. Ziemia, tratowana setkami stóp, nie dawała szansy nawet najsilniejszej trawie. Nieliczne źdźbła, które miały czelność podnieść swoje zielone główki, bezlitośnie wrywano i rzucono na kompost - z rozkazu Ebenezera Paulraja, niszczyiciela źdźbeł trawy i ludzkiego życia.

Stałam, patrząc, jak dokonuje inspekcji swojego królestwa. Trzcinka była jego berłem; symbolem sprawowanej władzy. Gdy nią potrząsnął, wyobraźnia podsunęła mi obraz pogardliwe skrzywionych ust i brzmienie głosu, który choć podniesiony zaledwie o kilka decybeli, potrafił w kilka sekund roztrzaskać dziecięce poczucie własnej wartości. I pojęłam, że nienawidzę go, jak jeszcze nikogo w życiu.

Wypowiedziałam na głos te słowa: NIENAWIDZĘ GO. NIENAWIDZĘ MOJEGO MĘŻA. NIENAWIDZĘ EBENEZERA PAULRAJA. NIENAWIDZĘ GO. NIENAWIDZĘ GO. Czekałam na uderzenie pioruna, na upadek meteoru, trąbę powietrzną, piaskową burzę... na jakieś niezwykle zjawisko, które powinno towarzyszyć takim doniosłym, a może i obrazoburczym objawieniom.

Niebo dalej jaśniało srebrzystobłękitnym blaskiem, wiatr osłabł i cichutko szeleścił liśćmi fikusa, a ja zrozumiałam, że literatura, mnożąca podobne hiperbole, po raz kolejny rozminęła się z prawdą.

Odwróciłam się od okna. W sali unosił się lekki zapaszek siarki. Na stołach leżały ułożone w równych rzędach lśniąca akcesoria - probówki, zlewki, pipetki, przygotowane do doświadczeń na pierwszej lekcji. Mój intymny mały świat. Świat podzielony schludnie na ciała stałe, ciekłe i gazy. Usystematyzowany i przewidywalny, gdzie skład danej substancji determinował jej zachowanie. Nie było w nim miejsca na przesadę i chaos. W moim królestwie panował porządek i spokój.

Ogarnęło mnie uczucie ulgi. Czystej, bezbarwnej, bezwonnej, gęstej ulgi.

Nie czułam się już zagubiona. Moje uczucia, które do tej pory nie chciały odsłonić swojej struktury chemicznej, wyklarowały się wreszcie.

Od tak dawna zastanawiałam się, co ja do niego czuję. Jak można stwierdzić, że kochasz, nienawidzisz albo po prostu jesteś obojętna wobec danego mężczyzny? Jak zmierzyć uczucie? Za pomocą probówki czy pipetki? Szpatułki czy wagi laboratoryjnej?

Ale teraz już wiedziałam. Kiedy zbiegałam po schodach, moje wnętrze lizał fosforyzujący spokój. Mijałam dzieci, schodzące karnie w równych szeregach. Na obu klatkach schodowych pełnili straż dyżurni, pilnując, żeby nikt się nie przepychał. W oczach Ebenezera Paulraja była to bardzo poważna zbrodnia, za którą groziły straszliwe kary.

Co nie znaczy, że stosował kary cielesne. Był przecież władcą dusz. Po prostu dowiadywał się, co uczeń najbardziej lubi robić, po czym zabraniał mu tego na tydzień albo na jak długo uznał za stosowne. Jednemu zabraniał korzystania z biblioteki. Innemu gry w hokeja. Udziału w rozgrywkach międzyszkolnych. Reprezentowania szkoły w konkursie wiedzy. Próbowалам sugerować, że może istnieją inne sposoby wpajania dzieciom dyscypliny, że nie trzeba posuwać się aż do tego. Ale udawał, że mnie nie słyszy. Ebenezer Paulraj nie słuchał nikogo oprócz siebie.

Wystarczyło na niego popatrzeć, żeby to pojąć. Na to, jak stoi na podium, obserwując swoich podopiecznych, ustawiających się do apelu. Niżsi z przodu, wyżsi z tyłu. Od klas młodszych do starszych. Bracia, siostry, sąsiedzi, koledzy. Posiwałe stare guzdrały, wesola rozbrykana młodzież... Nieważne, kim są, kiedy stają przed Ebenezerm Paulrajem, wszyscy zostają zredukowani do oniemiałych gąbek z szeroko otwartymi oczyma, spijających każde jego słowo, każdy niuans, każdą modulację głosu, którym wita ich co rano. Ebenezer Paulraj budził strach; wątpię, czy kiedykolwiek był uwielbiany, kochany, czczony, jak to się czasem zdarza innym nauczycielom. Co zaś się tyczy koterii, uważali go za swojego dowódcę: dowódcę dobrego i sprawiedliwego.

Koteria stała na podium dwa kroki za nim. Tylko mnie, Margaret Śanthy, wyznaczono osobne miejsce. Pełniłam straż za plecami dzieci; oddelegowana tam, by przywoływać do porządku wiercipięty, żartownisiów i cwaniaczków ze starszych klas. Ze swojej pozycji, przechylając głowę, widziałam tylko jego twarz. Widziałam Ebenezera Paulraja takim, jakim był naprawdę.

#

Był czas, kiedy powlekał moje myśli różem jubilerskim. Startym na pył tlenkiem żelaza; czerwonoróżowym kurzem, używanym do polerowania szlachetnych metali, brylantów i snów. Lecz jak żelazo obraca się w rdzę, tak w rdzę obróciły się moje nadzieje na nasze wspólne życie.

Kiedy poznałam Ebenezera Paulraja, miałam zaledwie dwadzieścia dwa lata. Płynełam na fali triumfu. Na uniwersytecie ogłoszono wyniki egzaminów końcowych; zdałam ze złotym medalem. „Złoty medal za magisterium z chemii. Zawsze była dobrą studentką, ale to...”, moi rodzice opowiadali z dumą każdemu, kto chciał słuchać. „Chcielibyśmy, żeby kontynuowała naukę. Zrobiła doktorat i może wyjechała do Ameryki, gdzie potrafią docenić takie umysły”, dodawali, pewni, że podzielam ich marzenia.

Tylko że ja nie byłam wcale przekonana, czy chcę studiować dalej albo opuścić Kodaikanal, gdzie mieszkaliśmy. Lubiłam przebywać w domu. Ogród, długie leniwe popołudniowe drzemki, no i był jeszcze Ebenezer Paulraj.

Przez całe studia na uniwersytecie tak ciężko pracowałam, żeby być lepszą od innych, że nie starczało mi czasu na chłopców ani miłość w realnym życiu. Od czasu do czasu czytałam jakiś romans z serii Mills & Boons i fantazjowałam o chwili, kiedy spotkam kogoś, kto będzie wszystkim tym, czym powinien być mężczyzna. Kogoś godnego kart romansu.

Zawsze myślałam, że subtelne rysy świadczą o wrażliwości. Ebenezer Paulraj posiadał subtelnie rzeźbione rysy twarzy, był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o ciemnej skórze. Zakochałam się w nim, kiedy go po raz pierwszy zobaczyłam na spotkaniu kółka młodzieżowego przy naszym kościele. Kim jest ten oszałamiająco przystojny mężczyzna?, zastanawiałam się, co i raz na niego zerkając. Nosił się skromnie, nie hołdował żadnej z tych mód, do których mieli słabość mężczyźni z mojego pokolenia. Stał z boku i ta jego rezerwa wydała mi się w jakiś sposób dostojna. Był kimś, kto znalazłby uznanie w oczach moich ulubionych autorów od Millsa & Boonsa, zapragnęłam więc poznać go bliżej. A kiedy zaczął śpiewać, wiedziałam już, że dla niego zrezygnowałabym ze wszystkiego. W połowie pieśni popatrzył mi w oczy i uśmiechnął się. Czuje to samo co ja, pomyślałam, promieniejąc radością.

Chodziłam w aureoli szczęścia. Fluorescencyjnej jak fosfor. Jaśniejac w mroku. Roztaczając blask i radosny śmiech.

Dwa miesiące później, zanim zaczęło się choćby zanosić na skandal, Ebenezer Paulraj zrobił to, co do niego należało. Doprowadził do spotkania naszych rodziców, na którym ustalono datę ślubu.

- Ależ z ciebie podstępne stworzenie! Dlaczego nic nam o nim nie powiedziałaś? - zganiła mnie moja starsza siostra Sara, ledwo rodzice Ebenezera Paulraja opuścili nasz dom. Siedzieliśmy w salonie, po raz drugi tego zimowego popołudnia pijąc kawę.

Uśmiechnęłam się z zakłopotaniem. - Nie wiedziałam, jak zareagujecie. Czy uznacie, że jest odpowiedni...

- Jak mogłaś myśleć, że wyda nam się nieodpowiedni? Sami nie znaleźlibyśmy ci lepszego narzeczonego - zarechotał mój szwagier.

- Będzie cudownie wyglądał w garniturze; ma takie szerokie ramiona i trzyma się idealnie prosto - moja matka rozplýwała się w zachwycie. Zawsze przywiązywała ogromną wagę do wyglądu. Większość swojej energii poświęcała domowi. Mój ojciec żartował, że moglibyśmy jeść z jej podłóg. Ale teraz nie żartował, mówiąc: - I jest taki inteligentny i czarujący. Ale to żadna niespodzianka. Wszyscy wiedzą, że Paulrajowie z Trichy to arystokratyczna rodzina. Wydała tylu prawników, sędziów, naukowców, wysokich urzędników; to ród ludzi myślących!

- Jeśli interesuje was moje zdanie, to znakomita partia. Dopiero dwadzieścia dziewięć lat i już wicedyrektor takiej prestiżowej szkoły - powiedział mój wuj.

- Będziecie wspaniale wyglądać razem. On, wysoki i ciemny, i ty, taka delikatna i śliczna. Jak rycerz i jego dama - szepnęła mi do ucha ciotka, darząca jednaką czcią Waltera Scotta i swojego męża.

Jakże go uwielbiała ta moja rodzina. A ja grzałam się w blasku uznania, jakim postanowili go obdarzyć. Należał do mnie, i to ja wprowadziłam tego niezwykłego mężczyznę w ich życie.

Wieczorem w przeddzień ślubu matka przysłała do mojego pokoju. Moja głupiotka rozszczebiotana matka stała się nagle poważna. Przysłała wypełnić lukę pozostawioną przez księdza, który wyjaśnił mi znaczenie świętego sakramentu zwanego małżeństwem. Opowiedziała mi, co to znaczy być żoną. O lojalności, która będzie moim obowiązkiem. O dochowaniu wierności. O tym, że muszę starać się znacznie mocniej niż mężczyzna, by nasz związek był udany. Opowiedziała mi, jak często kończy się rozwodem, kiedy kobieta nie wkłada tego dodatkowego wysiłku. O seksie, tyle tylko że wołała to nazywać fizyczną stroną małżeństwa. I że dobra żona nigdy nie odmawia, nawet jeśli nie jest w nastroju. Słuchałam cierpliwie, zastanawiając się, czy ona naprawdę myśli, że nie mam pojęcia, czym jest małżeństwo albo seks? Byłam dziewicą, jak wszystkie porządne dziewczęta z dobrych domów przed wyjściem za mąż, ale udało nam się z Ebenezerm Paulrajem wymienić kilka pocałunków i nieśmiałych pieszczot. Poza tym, w odróżnieniu od niej, wychodziłam za mężczyznę, w którym byłam zakochana, a nie za kogoś, kogo wybrano dla mnie tylko dlatego, że był odpowiedni.

Kilka minut po wyjściu matki zjawił się ojciec. Ciekawa byłam, co też on ma mi do powiedzenia. Mój powściągliwy ojciec, pozostawiający zazwyczaj wszystkie zachwyty, wyjaśnienia i gawędy swojej elokwentnej żonie. Odsunął na bok stos wyprasowanych i poskładanych sari, które miały mi towarzyszyć do mojego nowego domu, i usiadł na łóżku. Spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się.

- Jutro jest wielki dzień - zaczął.

Skinęłam głowę.

Ojciec wziął mnie za rękę. - To dobry człowiek. Ebenezer uczyni cię bardzo szczęśliwą.

Dlaczego próbował przekonać mnie o czymś, co do czego nie miałam cienia wątpliwości? Kiwnęłam jednak głowę i uśmiechnęłam się, bo jego słowa sprawiły mi przyjemność. Chciałam, żeby wszyscy kochali Ebe - tak go wówczas nazywałam - równie mocno jak ja.

- Sprawia wrażenie bardzo silnego i zaradnego. Ale ma miękkie serce. To człowiek o wrażliwej duszy - mówił cichym głosem mój ojciec. - Ktoś, kto tak płomiennie kocha literaturę, musi być wrażliwy - dodał mój ojciec, inżynier w ministerstwie energetyki i potajemny poeta.

Patrzyłam na niego w oszołomieniu.

- Musisz o niego bardzo dbać i uważać, by go nigdy nie zranić. Nie poradzi sobie, jeśli go zranisz.

Jeszcze raz przytaknęłam. Ja miałabym zranić Ebe? O czym on mówi?

Kiedy wreszcie zostałam sama, długo wpatrywałam się w fotografię Ebe, która w dniu naszych zaręczyn otrzymała oficjalne prawo pobytu na mojej toalecie. Moja rodzina kochała go równie mocno, jak ja. Mieliśmy być razem tacy szczęśliwi.

#

Miłość jest bezbarwną lotną cieczą. Miłość zapala i spala. Miłość nie pozostawia po sobie osadu - ani dymu, ani popiołu. Miłość jest trucizną podszywającą się pod wino.

Przez pierwszy rok moja miłość do Ebe działała jak rozpuszczalnik. Rozluźniała nieustępliwość, osłabiała zdecydowanie, które do tej pory stanowiły część mojego charakteru. Byłam tak pijana moimi uczuciami do niego, że jedyne, czego chciałam, to z nim być.

Dawać mu zadowolenie. Okazywać mu na tysiące sposobów, jak bardzo go kocham. Nic więcej nie było ważne.

Zupełnie jakby ktoś naciągnął mi na twarz maskę gazową i zmusił do wdychania chloroformu. Licz do tyłu. Pierwszy dzień małżeństwa. Noc poślubna. Ślub... Wszystko, co było wcześniej, zostało owinięte wieloma warstwami celofanu i odłożone na pawlacz.

Z tego pierwszego roku zapamiętałam tylko targi, na które pojechaliśmy do Kodaikanał. Spędziliśmy cały wieczór, kupując różne rzeczy dla domu. Wycieraczkę z włókna kokosowego przed drzwi wejściowe; szmaciany dywanik przed drzwi kuchenne; szklane talerze i narzutę na łóżko, która miała obie strony prawe. Na tę stronę albo na tamtą. Dwie w cenie jednej. Wgryzaliśmy się w cukrową watę i czuliśmy, jak jej różowość rozkłada się w naszych ustach na kryształki cukru. Trzymaliśmy się za ręce i uśmiechaliśmy promiennie. Miłość była płynnym paliwem, na którym nasze życie gnało do przodu.

Osiemnaście miesięcy po ślubie odkryłam, że jestem w ciąży. Kiedy wróciliśmy z kliniki ginekologicznej, byłam zbyt podekscytowana, by zauważyć, że Ebe ucichł i zamknął się w sobie. Chciałam zadzwonić do rodziców i podzielić się z nimi nowiną. Chciałam wejść na dach i krzyknąć: „Będę miała dziecko!”.

- Maragatham - powiedział miękcej niż zwykle. Ebe nazywał mnie wtedy Maragatham. Powiedział, że Margaret Śanthy mówią do mnie wszyscy. Że i Margaret, i Śanthy to pospolicie brzmiące imiona, i że ja zasługuję na coś bardziej lirycznego. To było więc jego specjalne imię dla mnie. Maragatham. Szmaragd po tamilsku. - Maragatham. - A ja promieniałam. Jaskrawozielonym wewnętrznym ogniem.

- Maragatham, nie jestem pewien, czy to dobry moment na dziecko - powiedział.

Czy to właśnie wtedy moje nozdrza po raz pierwszy uderzył zapach przypominający olejek wintergrinowy? Toksyczny, niszczący metanol, podgrzany z kwasem salicylowym i kilkoma kroplami stężonego kwasu siarkowego, tworzy salicylan metylu. Związek chemiczny o zapachu olejku wintergrinowego. Etanol czy też to, co uważałam za miłość, nie wytwarza takiej woni. Już wtedy powinnam się zorientować. Ale byłam tak zakochana, że chciałam tylko tego, co on.

Co za sens ma pisanie doktoratu? Zrób licencjat z pedagogiki, i który pozwoli ci uczyć w szkole, i wtedy zawsze będziemy razem.

Nieładnie ci w długich włosach. Zetnij je. Z fryzurą na pazia będzie ci o wiele bardziej do twarzy.

Czy naprawdę musimy co niedziela chodzić do kościoła?

Nie wydaje mi się rozsądne kupować bhelpuri na przydrożnych straganach. Zawsze przecież możemy pójść do restauracji...

Zaczekajmy z dzieckiem, dopóki oboje nie ułożymy sobie kariery. Mamy przecież siebie. Czego nam więcej trzeba?

Więc zgodziłam się na skrobankę.

- Nie będziesz nic czuła - powiedział, gdy szliśmy korytarzem półprywatnego skrzydła szpitala. Wszystko już załatwił. Musiałam tylko pójść tam razem z nim.

- Omówiłem wszystko z lekarką i powiedziała, że nie masz się czego obawiać. W siódmym tygodniu ta rzecz w twojej macicy to ledwie zygota.

Spojrzałam na niego zdumiona. Ebe rzadko posługiwał się terminami naukowymi. Wolał bardziej poetyckie i czasami nieścisle wyrażenia. I właśnie to, że użył słowa zygoty, wywołało z jakiegoś zakamarka mojej pamięci tekst z podręcznika: „W czasie zapłodnienia haploidalne komórki rozrodcze, plemnik i jajeczko, z których każde zawiera jedynie część materiału genetycznego potrzebnego do stworzenia człowieka, łączą się w nową jednostkę biologiczną. W odróżnieniu od plemnika i jajeczka, diploidalna zygoty posiada niepowtarzalny ludzki genotyp oraz zdolność pełnej indywidualizacji, bez której żadne ludzkie życie nie byłoby pełne. Zarówno haploidalny plemnik, jak i haploidalne jajo stanowią zaledwie część potencjalnego ludzkiego życia. Z punktu widzenia biologii, zygoty jest ludzkim życiem”.

Zatrzymałam się i pociągnęłam go za rękaw. - Ebe, nie jestem pewna. Czuję, że to nie w porządku. - Kiedy zobaczyłam, że zaciska usta, dodałam - Kościół chyba też tego nie pochwała.

Przeczesał palcami włosy i westchnął. - Po pierwsze, w Biblii nie ma ani jednej wzmianki na temat aborcji. Po drugie, jeśli przestudujesz historię kościoła, to zobaczysz, że zabrania on aborcji tylko od pewnego momentu. Po „wejściu duszy”, które następuje dopiero osiemdziesiąt dni po zapłodnieniu. Arystoteles mówi to samo. Że dusza wchodzi w ciało człowieka dopiero, gdy przetrwa ono osiemdziesiąt dni fizycznej egzystencji. W tej chwili komórka, którą w sobie nosisz, nie jest niczym więcej, jak właśnie tym - komórką bez duszy i bez uczuć. Gdybyś miała czyrak, który zaczął ropieć, czy nie kazałabyś go sobie wyciąć? Pomyśl o tym, jak o guzie, który trzeba usunąć.

Wsunęłam palce w jego dłoń. Bałam się. Nie byłam pewna. I czułam się winna.

Półprywatną salę dzieliła na dwie części zasłona z grubej zielonej tkaniny. Dostałam okno; nie żebym miała tu pozostać wystarczająco długo, by cieszyć się widokiem.

Leżałam, patrząc na niebo. Przez cały wczorajszy dzień organizowałam nasz dom i życie na następne trzy dni. - Może pani wypisać się po południu, ale lepiej niech się pani postara dobrze odpocząć - powiedziała lekarka.

Przez cały wczorajszy dzień przygotowywałam się na ten poranek. Kazałam służącej umyć okna i podłogi. Zmieniłam pościel na naszym łóżku. Nagotowałam taką masę jedzenia, że starczyłoby dla dwudziestu wygłodniałych Ebenezerów, i schowałam to wszystko do lodówki. I ciągle niezadowolona, posłałam służącą po rybę.

Wróciła z targu ze średniej wielkości barweną. Zaczęłam ją skrobać. - Ja to zrobię - ofiarowała się Kasturi.

Ale nie miałam zamiaru jej na to pozwolić. Musiałam zająć czymś ręce i umysł. - Nie, sama ją oskrobię. Zabierz się lepiej za pranie. Moczy się w wiadrze.

Słyszałam, jak Kasturi gdera w łazience. - Wybiera się na wakacje, czy co? Dlaczego musiała opróżnić cały kosz na bieliznę? Nigdy tego nie skończę...

Przerwałam na chwilę robotę i zastanowiłam się, czy nie powinnam jej powiedzieć. Kasturi, mieszkającej w lepiance z czwórka dzieci i mężem pijakiem. Co ona by zrozumiała z potrzeby ułożenia sobie kariery, zanim człowiek zdecyduje się na dziecko?

Wróciłam do ryby. Kiedy ją patroszyłam, wraz z wnętrznościami z brzucha ryby wysunął się mlecz; złocisty mlecz spływający po moich palcach...

Wpatrując się w wilgoć na rękach, usłyszałam głos, szepczący w moim uchu. Cichutki głosik, wywodzący się z wiary, która niegdyś stanowiła nieodłączną część mojego życia: Twoje dłonie ukształtowały mnie i stworzyły. Czy teraz zwrócisz się przeciwko mnie, by mnie zniszczyć?... Stworzyłaś moją najskrytszą naturę; uplotłaś mnie w swojej macicy... Mój kształt nie był ukryty przed tobą, gdy zostałem stworzony w tym sekretnym miejscu. Kiedy zostałem utkany w trzewiach ziemi, twoje oczy widziały me nieukształtowane ciało. Wszystkie dni, jakie mi przeznaczono, zapisane były w twojej księdze, nim nastał ten jeden, gdy...

Wolno spłynęła łza.

Pielęgniarka nie chciała być niemila. Ale nie miała cierpliwości do takich procedur. Pomogła mi włożyć szpitalną koszulę, zaplotła moje długie do ramion włosy i zwinęła je w ciasny węzeł na karku. - Proszę zdjąć całą biżuterię i oddać osobie towarzyszącej - powiedziała głośniejszym głosem, niż trzeba było, rzucając Ebe pogardliwe, jak mi się wydało, spojrzenie. Może widziała już wielu takich mężów, stojących w nogach szpitalnego łóżka, na których siedziały ich żony, powoli zdejmując biżuterię. Może towarzyszyła wielu takim kobietom - udreżonym żalem i poczuciem winy, podczas gdy ich mężowie kręcili się obok, ślepi na to, co się dzieje.

Moja ślubna obrączka. Zawahałam się. Jak mogłabym ją zdjąć? To przecież na nią przyrzekł mi miłość i szacunek w zdrowiu i chorobie, dopóki śmierć nas nie rozłączy. - To też proszę zdjąć - powiedziała, nie próbując nawet ukryć zniecierpliwienia w głosie. - Na sali operacyjnej nie wolno mieć żadnej biżuterii. Ani pomalowanych paznokci. Ani spinek do włosów. Niczego...

Ściągnęłam obrączkę i oddałam ją Ebe. Trzymał ją w otwartej dłoni i patrzył na mnie z wyrzutem. Co jeszcze mogłam uczynić? Czyż nie zrobiłam wszystkiego, czego chciał? Nie wiedziałam, czego teraz ode mnie oczekuje. I nagle poczułam się zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować.

- Proszę poczekać na korytarzu - powiedziała pielęgniarka, wyganiając Ebe z sali. - Musimy przygotować pacjentkę do zabiegu.

Położyłam się na poduszkach i czekałam, żeby do mnie wróciła. Żeby wzięła mnie za rękę i powiedziała, że w tym, na co się zgodziłam, nie ma niczego złego. Że mam jeszcze mnóstwo czasu, żeby zostać matką. Czekałam, żeby mnie uspokoiła i pocieszyła; żeby przygotowała mnie do zabiegu.

Zaciągnęła zieloną zasłonę, by ochronić mnie przed cudzym wzrokiem i postawiła tacę na szafce przy łóżku.

- Zdjęła pani majtki? - zapytała.

Popatrzyłam na nią, nie rozumiejąc. O co, u diabła, jej chodzi? Gdzie są pełne życzliwości i współczucia słowa, które miała wypowiedzieć?

- Proszę pani, pytałam, czy zdjęła pani majtki? Skinęłam głową.

Podciągnęła do góry szpitalną koszulę i zrolowała ją na mój brzuch. Potem nakryła moje uda ręcznikiem i powiedziała - Proszę się nie ruszać. Bo jeszcze panią zatnę.

Gapiałam się więc na wzorek na suficie, a ona goliła moje włosy łonowe. Tak ostrożnie i tak zimno.

Zza zasłony dochodził szmer głosów. Uspokajających. Pocieszających. Anioł opiekuńczy wybrał łóżko mojej sąsiadki. Po drugiej stronie zasłony leżała stara kobieta i to, co się działo z jej ciałem, nie było jej winą. Podczas gdy na mnie spoczywała wyłączna odpowiedzialność za rozmyślne zniszczenie życia.

Poprzez mgłę łez zobaczyłam, że twarz pielęgniarki łagodnieje. - Jeszcze nie jest za późno. Może pani zmienić zdanie. Dlaczego w ogóle pani to robi? Przecież nie jest pani niezamężna i w końcu to pani pierwsza ciąża - powiedziała, klepiąc mnie po ramieniu, ocierając łzy, opryskując salę słowami, które od kilku dni bezustannie rozbrzmiewały w mojej głowie.

Kiedy wyszła, wrócił Ebe. - Pewnie ci powiedziała, że to, co robisz, jest złe; że to grzech przed Bogiem - bąknął. Ale miał zacięte spojrzenie i choć mówił cicho, w jego głosie słychać było drwinę.

Jak się domyślił?

- Nie patrz na mnie z takim zdumieniem! To przecież katoliczka. Nie wiesz, co sądzą o kontroli urodzin i o aborcji? Nie ma prawa wciskać ci do głowy swoich przewrotnych przekonań. Poważnie myślę o tym, żeby na nią złożyć skargę.

Byłam wstrząśnięta tym nowym Ebenezerem. Bigotka? Czy może po prostu chodziło o to, że zakwestionowała jego autorytet. Nikt dotąd tego nie robił.

Ale nagle zmienił ton, a jego oczy złagodniały. - Maragatham, kochana, mam nadzieję, że rozumiesz, że to dla naszego dobra? Dla naszej przyszłości.

Jak zawsze, pozwoliłam, by jego głos uciszył moje obawy. To Ebe. Mój Ebe. Miał słuszość. Zawsze miał słuszość.

W pół godziny później zjawił się orszak szpitalnego personelu z wózkiem. - Czy oddała pani mocz? - spytała w swój opryskliwy sposób pielęgniarka.

Ebe odprowadził mnie do rzędu wind na końcu korytarza. - Powodzenia! - powiedział.

Po raz pierwszy poczułam gniew. Powodzenia! Co chciał przez to powiedzieć? Czy zamierzałam zdać egzamin albo deklamować wiersz? Wystartować w biegu albo przeprowadzić doświadczenie? Powodzenia w czym? Przecież nie miałam niczego robić, tylko leżeć, kiedy oni będą wyskrobywać mi z brzucha moje dziecko. Zygotę z wewnętrznej błonki mojej macicy, jeśli wolisz, Ebe.

W sali przedoperacyjnej gniew stopniał, a jego miejsce zajął niepokój. Dookoła krzątały się pielęgniarki i lekarze w zielonych kitlach i czepkach. Oprócz mnie na swoją kolejkę czekało sześć innych kobiet.

W powietrzu unosiły się głosy. Chaotyczne głosy, które przedzierały się przez moje zamknięte powieki niczym chłaśnięcia skalpela. Ale ja mocno zaciskałam oczy.

- Czyja to pacjentka?

- To długa procedura, ale nie ma się czego bać.

- Dlaczego nie ma tu siostry Sheeli? Czy nie miała mieć dzisiaj porannej zmiany?

- Proszę się odprężyć. Jeśli się pani odpręży, nie będzie bolało.

Różne głosy zbliżały się co chwila do mojego wózka. Słyszałam szelest sprawdzanej karty A potem osądzający, podszyty pogardą głos kwitował moją obecność krótkim: „Ach, ZPC!”.

Zabieg przerwania ciąży. Czytaj: krnąbrna kobieta. Nienormalne stworzenie. Buntowniczką przeciwko macierzyństwu i woli boskiej. Mówiłam sobie, że to nieważne, co oni myślą. Ebe wiedział, co dla mnie, co dla nas, najlepsze.

W końcu przyszła kolej na mnie. Chłodny spokój. Rurki i monitory. Ogromna, okrągła lampa wisząca nad moim ciałem. Wyglądała jak talerz z przegródkami, taki, na jakim serwują posiłki w małych wegetariańskich hotelach.

- Jak się czujesz, Margaret Śanthy?

Pod zielonym czepkiem rozpoznałam twarz mojej lekarki.

Jak się czuję? Nie wiem... mój język zaczął formować słowa. Czy zrozumiałaby, gdybym spróbowała wyjaśnić? Popatrzyłam na jej twarz i zrozumiałam, że to rutynowe pytanie. Pewnie zadawali je wszystkim, których wieźli na salę operacyjną.

Uśmiechnęłam się. - Dobrze - powiedziałam, wiedząc, że to właśnie chcieli usłyszeć.

Ktoś inny wkłuł mi w żyłę igłę i podłączył kroplówkę. Na twarz nałożono mi maskę i polecono: - Licz do tyłu, Margaret.

Liczyłam więc. Dzisiaj. Wczoraj. Dzień, kiedy zdecydowaliśmy się na skrobankę. Dzień, w którym dowiedziałam się, że jestem w ciąży...

Po wielu godzinach, a może latach później zdyszany piskliwy głos zawołał z wnętrza mojej czaszki: - Margaret, Margaret, obudź się!

Obudziłam się. Opornie wracając do przytomności. Pustka. Ból. Uczucie płaskości. Nisko w dole pleców wściekła pięść tłukła o mój kręgosłup. Zaciskające się węzowe sploty. Kłęb waty pomiędzy nogami. Ciche krwawienie.

Powoli skapnęła łza.

Miłość kusi wyszukaniem bukietem. Miłość domaga się, byś się z niej napiła. A potem pali język, pali zmysły. Miłość oślepia. Miłość sprowadza szaleństwo. Miłość oddziela myślenie od rozumu. Miłość zabija. Miłość jest alkoholem metylowym podszywającym się pod etylowy.

Tydzień później, około północy, obudziłam się, czując w sobie gmerające palce Ebe. - Co robisz? - spytałam na wpół śpiąca.

- Nic. Chcę cię tylko dotknąć. - W jego głosie zabrzmiała jakaś dziwna nuta.

Jego palce dotykały i badały. - Moja mała dziewczynka! - zaśpiewał jego głos. - Moje kochane dziecko.

Poczułam strach. Co w niego wstąpiło? - Ebe, Ebe - wyszeptałam, niezdolna ukryć paniki.

- Uwielbiam, kiedy mówisz do mnie Ebe, Ebe, tak jak przed chwilą. Jak mała dziewczynka. Taką cię lubię - mruczał Ebe. - Nieskalaną i czystą. Moje kochane maleństwo. Moja śliczna dziewczynka. Bez wielkich nadętych cycków i okropnego kobiecego krzaczora. Chcę, żebyś się nigdy nie zmieniła. Żebyś pozostała taka przez całe życie.

Gdzie w tym wszystkim byłam ja? Margaret Śanti, kobieta? Czyżbym w oczach Ebe przestała istnieć? Jako co mnie postrzegał? Jako małą dziewczynkę, którą mógł kierować i wychowywać, z którą mógł się kochać i bawić? To było tak, jakby zanegował wszystko, co we mnie dorosłe i kobiece... Co się z nami stanie, kiedy się zmienię? Kiedy dogoni i pozaczy mnie czas. Kiedy nie będę już jego małą dziewczynką z krótko ostrzyżonymi włosami, pączkami zamiast piersi, nagim sromem i delikatnymi kostkami nóg... W ciemności moje gardło ścisnął szloch.

Przede mną leżał stos dzienników. Pora wystawiania ocen na koniec semestru. Jednak po raz pierwszy od wielu lat nie potrafiłam się skupić. Myślałam o nim, o nas, o tym, co mam teraz zrobić. Jeśli go opuszczę, dokąd pójdę? Kto mnie zapewni, że postąpiłam słusznie, że to, czego teraz potrzebuję, to odciąć się od przeszłości i zacząć wreszcie własne życie? Kto potrzyma mnie za rękę, na którym ramieniu będę mogła się wypląkać?

Miłość i podziw, jakim darzyła go moja rodzina, rosły z upływem lat. Widzieli w nim człowieka sukcesu, poważanego członka społeczności i dobrego męża i uważali, że ja, z moimi licznymi wadami, nadwagą i bezpłodnością, skłonnością do popadania w ponure milczenie i melancholijnym usposobieniem, powinnam codziennie dziękować na kolanach niebiosom za to, że on, mój mąż, wciąż jeszcze się mnie trzyma.

Kiedy próbowałam porozmawiać z matką o smutku, który rozdał moje ciało, spowił cieniem myśli i zawiązał język, zbywała mnie, mówiąc: - To normalne, że człowiek klóci się ze swoim mężem. Po tylu latach małżeństwa nie można mieć samych dobrych dni. Zdarzają się lepsze i gorsze. Sztuka polega na tym, żeby pamiętać tylko te dobre. I jak już ci wiele razy mówiłam, to na kobiecie spoczywa odpowiedzialność za udane małżeństwo. Mężczyźni mają tyle zajęć, że może nie starczyć im czasu, ani ochoty, na pielęgnowanie związku. Ebenezer bardzo dużo pracuje. Jest dyrektorem takiej dużej i prestiżowej szkoły. Musisz to zrozumieć i dostosować do tego swoje postępowanie. A nie witać go, kiedy wraca z pracy, ponurym milczeniem i gorzkimi słowami.

A co ze mną?, chciałam zapytać. Czyżbym nie miała prawa niczego od niego oczekiwać? Czy nie pracuję równie ciężko, co on, a nawet ciężiej, bo mam jeszcze na głowie prowadzenie domu? Dlaczego uważasz, że on jest zapracowany, a ja dysponuję nieograniczonymi zasobami wolnego czasu? Czy jako moja matka nie powinnaś stanąć po mojej stronie? Poznać mój punkt widzenia? Co się stało z tym czymś, zwanym bezwarunkową miłością, którą rodzice darzą podobno swoje dzieci?

Zrozumiałam wtedy, że moja matka, jak i mój ojciec, nie chce słyszeć niczego, co mogłoby zburzyć idylliczny świat, który sobie stworzyli. Dostatnie życie z pokaźnej emerytury we własnym domu z pięknym ogrodem; obie córki wydane za wybitnych ludzi i dobrze urządzone; najstarszy wnuk zbierający pierwsze miejsca na wszystkich egzaminach... Jakżebym mogła wnieść do ich domu, w którym rządził spokój i porządek, moją gorycz, mój gniew, moją nienawiść i rozpacz?

Oprócz tego było jeszcze piętno rozwodu. W mojej rodzinie jeszcze nikt nigdy się nie rozwiódł. Co Bóg połączył, żaden mężczyzna ani kobieta nie ważyli się rozłączyć. W szanowanych rodzinach, takich jak nasza, nie rezygnowano z małżeństwa. Zaciskano tylko zęby i podwajano wysiłki, by je zachować. Jeśli odejdę od Ebenezera Paulraja muszę być gotowa na to, że stracę również rodzinę.

Co mam zrobić?, powtarzałam w kółko to samo pytanie.

Kiedy zadzwonił dzwonek, wybiegłam z pracowni. Szkoła znajdowała się zaledwie parę minut drogi od naszego domu i co wieczór wracałam piechotą wysadzaną drzewami aleją, wstępując do małego sklepiku warzywnego na rogu. Robiłam zakupy tylko na jeden dzień. Ebenezer Paulraj nie pochwalał przechowywania warzyw w lodówce. Ale tamtego wieczora postanowiłam obejść się tym, co zostało z poprzedniego dnia. Gonił mnie jakiś niepokój. Potrzeba przełamania rutyny. Zrobienia czegoś inaczej.

Po przyjsciu do domu nastawilam czajnik i wlaczyłam telewizor. Cisza w mieszkaniu dzialala mi na nerwy. Zaludnialam puste pokoje muzyka, smiechem, dzinglami reklamówek. Przebrałam się i nalalam sobie herbaty.

Nie mieliśmy dzieci. Nigdy więcej nie zaszłam w ciążę. Lekarze mówili, że wszystko jest z nami w porządku. Że pewnego dnia może się udać... Staralam się o tym nie myśleć. Ale czasami dziecko wpełzało do mojej głowy; dziecko, czepiające się ścianek mojego umysłu, by stanąć na własnych nóżkach; dziecko, wyciągające do mnie rączki...

Postanowiłam wziąć się za gotowanie. Był drugi piątek miesiąca, dzień, kiedy na kolację przychodziła koteria. Podczas tych wieczorów w Ebenezerze Paulraja zawsze wstępował diabeł. Staralam się ze wszystkich sił wtopić w ściany i zasłony, ale nie trzeba było wiele, żeby sprowokować Ebenezerza Paulraja do wybuchu. Koteria stanowiła jego publiczność, którą lubił czarować swoim melodyjnym głosem i złośliwością, ukrytą pod maską humoru.

Kiedy cztery lata temu Ebenezerowi Paulrajowi zaproponowano posadę dyrektora S. R. P Trust School, opuściliśmy Kodaikanal i przenieśliśmy się do Kojambatur. Jako jego żona, a także magister chemii z dostatecznym doświadczeniem w pracy pedagogicznej, otrzymałam propozycję objęcia Działu Chemii. Miałam uczyć starsze klasy. - Ale ponieważ to dopiero pierwszy nabór i na razie jest tylko jedna taka klasa, być może będziesz musiała wziąć także kilka młodszych - powiedział Ebenezer Paulraj, opowiadając o szkole, nauczycielach, wyzwaniu i wielkiej szansie, jakimi będzie dla niego ta praca. Słuchałam w milczeniu, zastanawiając się, po co w ogóle zwraca sobie głowę. Przecież i tak już postanowił.

Koteria uformowała się w pierwszym roku panowania Ebenezerza Paulraja. To nie było tak, że postawił sobie za cel stworzenie ugrupowania władzy. Ebenezer Paulraj, w nowej roli Głowy Państwa, bo tak właśnie postrzegał swoją pozycję w szkole, ustanowił comiesięczne obiady w naszym domu. Nauczycieli poproszono o przyprowadzenie swoich małżonków i przyniesienie jakiejś potrawy. Na początku mieliśmy pełen dom gości. Ale z czasem przychodziło coraz mniej osób, aż wreszcie została sama koteria. Z obiadu zrobiła się kolacja, a władza Ebenezerza Paulraja stała się władzą absolutną.

Teraz, kiedy zostało już tylko sześć gąb do nakarmienia i sześć umysłów do zabawienia (nikt z członków koterii nie miał żony ani męża), to na mnie spadło przygotowywanie kolacji. Koterii nie można było niczego zarzucić. Zawsze coś przynosili - a to pudełko ciasteczek, a to paczkę chipsów, czasami jakieś owoce. W oczach Ebenezerza Paulraja wywiązywali się ze swojego zadania, a ja miałam wywiązać się z mojego.

- Nigdy cię o nic nie proszę. Ale jeśli to dla ciebie taki kłopot, poproszę Premillę albo Dafne, żeby przygotowały jedzenie. Tylko zastanów się, jak będziesz wtedy wyglądać - powiedział, kiedy po kilku kolacjach poskarżyłam się po raz pierwszy.

- Ale dlaczego musimy zapraszać ich co miesiąc? Przecież widzisz ich codziennie - powiedziałam, rozdrażniona, że muszę przyjmować w swoim domu ludzi, o których wiedziałam, że uważają mnie za kulę u nogi pana dyrektora.

- Nie mam wielu przyjaciół. Musisz wymawiać mi nawet tych kilkoro? - powiedział cicho, wychodząc z pokoju.

Ebe nigdy się nie spierał. Ebe nigdy nie tracił panowania nad sobą. Ebe nigdy nie podnosił głosu. Zamykał się w sobie i ze stoickim spokojem czekał, aż się złamię, zacznę się przed nim płaszczyć i zgodzę się na wszystko, czego chce.

Na początku, zaraz po ślubie, Ebe chciał bawić się w Tatusia. Chciał spełniać swoją część obowiązków domowych. Nalegał, kiedy odrzucałam proponowaną pomoc. Do cięższych prac miałam służącą, a on, jak wszyscy mężczyźni, plątał się tylko pod nogami.

Ale kiedy między nami zaczęło się psuć, zorientowałam się, że Ebe traktuje dom jak hotel. Oczekiwał, że wszystko zrobi się samo bez żadnego udziału z jego strony, jeśli nie liczyć płacenia rachunków. Jedzenie podane na stół. Uprane i wyprasowane ubrania, czekające tylko, żeby je włożył. Posłane łóżka, odkurzone regały, zmienione ręczniki, wyczyszczone łazienki, załatwione sprawy, a wszystko przez niewidzialne ręce. Od czasu do czasu tłumiałam w zarodku wybuch irytacji wywołanej jego egocentryzmem i pozwalałam, żeby trwało tak dalej. Ale bolało mnie, że nie chciało mu się nawet docenić, jak gładko wszystko idzie.

Wszystko się zmieniło, kiedy przeprowadziliśmy się do Kojambatur. Moje godziny pracy wydłużyły się i zaczęłam mieć więcej obowiązków w szkole. Jednak Ebe nie obchodziły zmiany w naszym życiu. Przestałam wyrabiać się, jak to było dawniej, bez jego pomocy. Rozdrażnienie, nad którym dotąd potrafiłam zapanować, zaczęło przebijać się na zewnątrz, w moich słowach, w tonie mojego głosu, w sposobie prowadzenia domu.

Narzekał na jedzenie, gdy odgrzewałam to, co zostało z poprzedniego dnia. Służące były do niczego: miały brudne paznokcie, wrzaskliwe głosy, zachowywały się podejrzanie i wszędzie zostawiały włosy. - Pozbądź się jej - żądał po kilku dniach urzędowania kolejnej.

- Kasturi była taka sama jak one. Ale wtedy nigdy nie narzekałeś - próbowałam się spierać.

- Kasturi nie było w domu, kiedy ja byłem. Nie plątała mi się pod nogami. A one się płaczą. Szczerze mówiąc, nie uważam, żebyśmy w ogóle potrzebowali służącej. Kupię pralkę i to załatwi większość roboty - powiedział, łypiąc spod oka na kobietę, która właśnie zamiatała podłogę.

A co ze zmywaniem? Z zamiataniem i myciem podłóg? Z niezliczonymi drobnymi pracami, które wykonuje służąca?, pomyślałam ze znużeniem. Ze złością.

W miarę jak rosło moje zmęczenie, nasze spory stawały się coraz bardziej małostkowe. Przestałam ukrywać irytację, jaką budziła we mnie jego bezdusność. On odpłacał mi sarkazmem. Im częściej szydził, tym więcej zrzedziałam. Byliśmy jak małe dzieci, licytujące się, które potrafi być bardziej przykre.

Kłóciliśmy się o jedzenie, które gotowałam, jego zdaniem tak proste, że równie dobrze moglibyśmy jadać surowe jarzyny i mięso z wody. - Wobec tego, dlaczego sam nie weźmiesz się za gotowanie? - odszczekiwałam. Wstawał od stołu z talerzem w ręku i widziałam, jak zgarnia do kosza niedojedzone resztki.

Kłóciliśmy się o pajęczyny, których nie zauważyłam i o brudne ubrania, które porzucał na podłodze, oczekując, że same zaniósą się do pralki. - Och, przestań zrzedzić. Powiedziałem, że włożę je do pralki. Dlaczego to takie ważne, żebym zrobił to akurat w tej chwili?

Były jeszcze dyplomy Ebe. Ze wszystkich zawodów, jakie wygrał, od przedszkola, gdzie już w maluchach zajął pierwsze miejsce w skokach przez plecy kolegów, do międzyuczelnianego konkursu dyskusyjnego, w którym otrzymał nagrodę dla najskuteczniejszego interferenta, oprawione i powieszzone na ścianie.

Dyplomy zajmowały całą jedną ścianę i zaczynały wdzierać się na sąsiednie. Ebe narzekał, że za rzadko je odkurzam. Że szkło jest poplamione, i że kiedy zdejmował je ze ściany, na górnej krawędzi ramki znajdował kurz. - Dlaczego sam tego nie zrobisz? - warczałam. - To głupie. Kto widział, żeby dorosły mężczyzna wieszał sobie dyplom za pierwsze miejsce w nawlekaniu igły w wieku trzech lat i drugie w wyścigu w workach, w wieku czterech? Czy nie widzisz, Ebe, że nawet twoi przyjaciele śmieją się z ciebie?

Na początku opowiadałam Ebe o każdej najmniejszej rzeczy, którą zrobiłam, nawet o myślach, które przyszły mi do głowy; sądziłam, że chce znać szczegóły mojego dnia, tak jak ja chciałam znać szczegóły jego. Pewnego dnia zauważyłam, że wcale mnie nie słucha. Tylko udaje. Dostrzegłam, że kiedy mówię, jego oczy zasnuwa mgiełka znudzenia. Zobaczyłam, jak machinalnie sięga po czasopismo i przerzuca kilka stron. Zamilkłam w pół słowa. Nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić. Tamtej nocy nie mogłam zasnąć. Wciąż na nowo zadawałam sobie pytanie: jeśli jemu nie mogę powiedzieć, to któż mi pozostał do rozmowy? Następnego dnia milczałam. Czekałam, żeby zauważył ciszę; żeby zapytał mnie, czy wszystko w porządku; żeby spróbował dociec, co mnie gryzie. Ale nie zrobił tego. Zrozumiałam wtedy, że Ebe nie obchodzi, co ze mną dzieje się pod jego nieobecność. Powoli przestałam więc z nim rozmawiać. Jeśli nie chce wiedzieć, powiedziałam sobie, to nie będę mu mówiła.

To, że przestaliśmy ze sobą rozmawiać, nie stanowiło dla mnie zaskoczenia. Zdumiewało mnie jednak, że aż tak ostro na siebie naskakujemy i że wszystkie nasze kłótnie kończą się moimi wymówkami, że za mało pomaga mi w domu.

- Nigdy nie masz czasu dla domu - gderałam. - Wiecznie te spotkania z radą nadzorczą albo komitetem pomocy społecznej. Dlaczego nie możesz wygospodarować trochę czasu na pomoc własnej żonie? Jak nazywa się to coś, co z takim zapałem propagujesz w szkole? PSU - Praca Społecznie Użyteczna? Ha! A może by tak trochę PSU we własnym domu?

Dławił mój bunt w zarodku. - Nie bądź śmieszna. Wykonuję bardzo odpowiedzialną pracę. Nie ma mowy o żadnych półśrodkach. W odróżnieniu od ciebie, traktuję moje obowiązki odpowiedzialnie i wypełniam je.

Zatkało mnie. Jakich to niby obowiązków ja nie traktuję poważnie?

- Zresztą o co to całe gadanie? Mieszkamy tylko we dwoje. Co może być trudnego w prowadzeniu domu dla dwojga?

Nie trwało długo, zanim się poddałam. Zabrakło mi energii, żeby próbować dojść z nim do porozumienia. A może straciłam nadzieję. Już to powinno było dać mi do myślenia. Że kiedy zrozumiałam, że nie zdołam go zmienić, rozstałam się z wszelkimi oczekiwaniami wobec naszego małżeństwa, naszego związku...

Już nie protestowałam. Uśmiechałam się i przyłączałam do ogólnego rozbawienia. Stałam się tym, czego ode mnie oczekiwała równym kompanem i graczem zespołowym. Uniwersalnym rozpuszczalnikiem.

#

Zawsze, kiedy poznaję kogoś nowego, po kilku minutach ten ktoś przestaje być dla mnie osobą. Staje się substancją chemiczną. Kimś, kogo naturę można zidentyfikować, zapisać i odpowiednio do tego postępować. Pomaga mi to lepiej zrozumieć daną osobę, określić własne zachowanie w jej obecności, redukując tym samym niebezpieczeństwo przypadkowego wybuchu. To dziwactwo; szczególne, ale nieszkodliwe. I zawsze działało. Czymże jest bowiem wszelkie stworzenie, jeśli odebrać mu jego chemiczną naturę?

Ebenezer Paulraj uśmiechnął się z wyższością, kiedy spróbowałam objaśnić mu moją teorię. - Wydaje ci się, że jesteś oryginalna? Pozwól sobie powiedzieć, iż Wirginia Woolf wymyśliła to na długo przed twoim urodzeniem. Tyle tylko, że ona wykorzystała zwierzęta. To tylko świadczy o twojej wyobraźni. Jedyne ktoś kompletnie pozbawiony wyobraźni mógł pomyśleć o chemikaliach. Wredne cuchnące paskudztwa!

Nie obchodzi mnie, jak Wirginia Woolf radziła sobie z aspektami ludzkiego zachowania. Dla mnie moje substancje chemiczne były wszystkim. Przyjaciółmi, towarzyszami, przewodnikami, trwającymi przy mym boku przez większą część moich trzydziestu pięciu lat. I to właśnie o nich myślałam, obserwując Ebenezera Paulraję i jego koterię, manifestujących swoją jedność i koleżeństwo.

Nie byłam pewna, czy wszyscy członkowie koterii odczuwali jednakowo czołobitne przywiązanie do Ebenezera Paulraję. Nigdy się tego nie dowiem. Sądziłam, że skoro jestem jego żoną, moja lojalność wobec niego nie ulega wątpliwości. Nie ufali mi. Przeto zawsze, kiedy wchodziłam do pokoju nauczycielskiego, wraz ze mną wślizgiwała się, lawirując na czworakach pomiędzy stolikami, niezręczna cisza.

Przez wiele lat spędzałam wszystkie swoje okienka w pracowni chemicznej. Czasami zaglądał do mnie któryś z członków koterii. Ale unikałam ich z całą zręcznością, na jaką mnie było stać. Jeśli nie odstręczyło ich moje milczenie, pilnowałam, żeby zrobić to zapach laboratorium. Wystarczyło otworzyć słoje z siarkowodorem żeby powietrze zatruł smród zgniłych jaj. Nie mam pojęcia, po co mnie szukali. Być może powodowało nimi jakieś chybione poczucie lojalności wobec ich kapitana.

Koteria nie należała do dużych. Ale kręciła całą szkołą.

Była tam Premilla Madhav, nauczycielka ekonomii w starszych klasach. Pierwiastek chemiczny brom. Ciężka, o włosach farbowanych na kasztanowo. Niestabilna i wydzielająca intensywny nieprzyjemny zapach. Niezbyt aktywna sama z siebie, ale łatwo wiążąca się z innymi. Trzeba było na nią uważać. Umiała bowiem powodować ciężkie obrażenia; zadawać rany, które niemal nigdy się nie goiły. Należało więc obchodzić się z nią z najwyższą ostrożnością.

Następnie Daphne, nauczycielka angielskiego. Lekka i srebrzysta jak lit, oślepiała wszystkich swoim urokiem i uśmiechami. W chwilach podniecenia na policzki występowały jej czerwone plamy, dodając tylko powabu. Czasami, kiedy myślałam, że nikt na niego nie patrzy, Ebenezer Paulraj gapił się na nią, oczarowany. Była kimś wyjątkowym, to nie ulegało wątpliwości. Decydowały o tym nie tylko jej wdzięk i uroda, lecz przede wszystkim zdolność sprawiania, że człowiek czuł się mniej nieszczęśliwy. Jednak nie cieszyła się zbyt dużą sympatią wśród kobiet; czuły się przy niej zaniebane.

Dalej był Śankar Narayan, profesor języka hindi. Istniał tylko jeden pierwiastek chemiczny, który można mu było przyporządkować - kobalt. Chochlik. Twardy i ostry, ale przybierający pozę przyjacielskiego żelaza i niklu. Można było na niego liczyć, że wytropi wszystko, co dzieje się w szkole, od kradzieży, przez graffiti w toaletach, po romans. Dzieciaki powiedziały mi, że nazywają go Wujek Promienie Gamma i że po szkole krążył nawet, przekazywany z klasy do klasy, sprośny limerik na jego temat:

Drogi wujek Promienie Gamma Pewnie trafi kiedyś do mamra Bo chodzi bez piżamy Strasząc nadobne damy Widokiem swojego banana

Nie wszyscy członkowie koterii stanowili pierwiastki chemiczne. Niektórzy z nich posiadali znacznie bardziej złożoną naturę i można ich było sklasyfikować jedynie jako sole, kwasy czy gazy; pochodne objawia-

jące kilka cech charakterystycznych. Po pierwsze, był tam Xavier, profesor historii. Bezbarwny, przyjemny, słodki i kompletnie zawodny w chwilach próby. Ale wystarczył jeden łyk alkoholu, by stał się innym człowiekiem. Śmieszny i zabawny, redukowałam całe otoczenie do spazmatycznego śmiechu. Xavier, podtlenek azotu, gaz rozweselający. Był wielkim entuzjastą spalania, ale sam nie potrafił rozpaścić niczego, nie mówiąc już o umyśle dziecka,

Arszenik. Na imię miała Kalawati. Siwe włosy i twarz barwy szafranu. Nauczycielka matematyki i trucicielka umysłów. Cuchnący czosnkiem, skłonny do krańcowych zachowań, arsenik nie znał stanów pośrednich ani dróg kompromisu. Była albo twoją najlepszą przyjaciółką, albo największym wrogiem

I wreszcie siarczek azotu. Najbardziej podstępny z nich wszystkich. Nawaz, wicedyrektor. Prawa ręka szefa, zaufany pomocnik, zmieniał barwę zależnie od temperatury panującej w pomieszczeniu. Krzykliwy w ferworze ogólnej dyskusji; niezdecydowany, gdy zdania były podzielone i niemal niewidoczny, kiedy spór osiągał swój punkt szczytowy. Chociaż był raczej stabilny, potrafił eksplodować w reakcji na nagłe tarcie, może więc i lepiej, że trzymał się z daleka od kontrowersyjnych tematów i był po prostu nadprzewodnikiem teorii Ebenezera Paulraja.

No i jeszcze on. Ebenezer Paulraj. Gryzący. Jadowity. Bezbarwny. Oleisty jak wazelina. Gęsty. Kwaśny. Wybuchowy. Ze skłonnością do skrajnych zachowań. Zdolny unicestwić wszystko, co było wodą, cieczą i życiem. Zwęglić to, co organiczne - drewno, papier, cukier, marzenia. Stężony kwas siarkowy. H_2SO_4 . Siarczan wodoru. Król substancji chemicznych. Olej wiotriolowy.

Ebenezer Paulraj występował w różnych odcieniach. Czasem był niebieskim wiotriolem nasyconym miedzią. Emanującym dobrocią i pozytywną energią; swoją obecnością łagodził cudze niedostatki; pomagał, oczyszczał, leczył. Innym razem stawał się zielonym wiotriolem, owładniętym żelazem. Zdolnym samą siłą swojej osobowości zredukować każdego i wszystko do nic nieznaczącej błahostki. Czynił to nieświadomie i naturalnie. Kiedy rządził nim kobalt, był różowym wiotriolem. Chroniącym wszystko, co słabe i bezbronne. Zdarzało się też, że brał go we władzę cynk, i wtedy był białym wiotriolem. Żrącym i niszczącym wszystko, co uznał za nieistotne. Ale nic nie mogło zmienić jego podstawowej własności, decydującej o tym, czym był - olejem wiotriolowym.

Ebenezer Paulraj lubił biegać. Ebe podobał się jego wizerunek biegacza. Kiedy go poznałam, nosił ze sobą wszędzie książkę zatytułowaną *Samotność długodystansowca*. - To jedna z najwspanialszych książek, jakie kiedykolwiek napisano - mówił Ebe. - Posłuchaj tego...

Nie miałam pojęcia, co autor miał na myśli, ani dlaczego Ebe tak się tym podniecał. Ale przyjmowałam za dobrą monetę twierdzenie Ebe. Że to jedna z najwspanialszych książek, jakie kiedykolwiek napisano.

Dopiero później, znacznie później, kiedy ją przeczytałam, uświadomiłam sobie, że z całej książki Ebe najbardziej podobał się tytuł. Lubiał się z nią pokazywać. Jeden jej egzemplarz stał na regale w domu, a drugi spoczywał na biurku w jego gabinecie, z okładką wystawioną prowokująco na pokaz, żeby każdy, kto tam wejdzie, zobaczył ją i wyciągnął swoje własne wnioski. Była niekonwencjonalna. I gniewna. I była dokładnie we właściwym wieku; zbyt nowa, by stać się klasyką w prawdziwym sensie tego słowa i za stara, by uchodzić za powieść awangardową czy współczesną. Ebe taki właśnie był: każdego, kto był mu współczesny i osiągnął sukces, traktował jak zagrożenie. Nieważne, że najpewniej mieszkał w zupełnie innym kraju.

Ebe zabierał tę książkę wszędzie. Nauczył się cytować z pamięci całe fragmenty. Ale wątpię, żeby kiedykolwiek miało dla niego znaczenie, o czym ta książka naprawdę jest. Po prostu był to sposób zamieniania siebie i swojego biegania. Dokładnie tak jak z filmem *Rydwany ognia*. Ebe uwielbiał ten obraz. Poprosił przyjaciela, żeby przywiózł mu ze Stanów kasetę wideo i oglądał ją na okrągło. Ci wszyscy gibcy młodzieńcy, ścigający się ze sobą. Ebe uważał się za jednego z nich. Biegacza. Samotnego biegacza. Biegacza, który biegał, ponieważ to właśnie robił najlepiej.

Ebe lubiłby biegać po plaży. Albo górską ścieżką. Ale Ebe lubił również publiczność, która mogła mu dać swoją niepodzielną uwagę, dlatego wybrał szkołę. Zostawał po lekcjach, czekając na ostatni dzwonek, i dopiero wtedy przebierał się i zmieniał buty. Dzieciaki kręciły się po boisku, przyglądając się zawodnikom i trenerom szkolnych drużyn, piłkarskiej i hokejowej, gotującym się do wieczornego treningu. Ebe wiedział, że będzie miał komplet - czekający, obserwujący. Szedł na boisko, na bieżnię i biegał przez następne czterdzieści pięć minut. Czasami nawet dłużej. Kiedy się wreszcie zatrzymywał, z czoła ściekały mu strużki potu i z trudem chwycił oddech. Dzieciaki i trenerzy patrzyli na niego z podziwem. - Bieganie - przypominał im Ebe - to najlepsze ćwiczenie. Nic nie może mu dorównać, nawet pływanie i tenis - dwa inne moje ulubione sporty.

Bieganie, twierdził Ebe, pomagało mu skoncentrować się i jasno myśleć. To właśnie bieganie, pozostawiało niedopowiedziane, zrobiło z niego człowieka, którym był.

Ebenezer Paulraj kochał ustalony porządek i ściśle przestrzegał harmonogramu. Co wieczór wracał do domu za kwadrans siódma, o ile nie miał jakiegoś spotkania albo nie był zajęty gdzie indziej. Kiedy słyszałam samochód przy bramie, nastawiałam czajnik. Popijał herbatę i spacerował po domu. Często zatrzymywał się przed lustrem w złoczonej ramie, wiszącym przy drzwiach wejściowych, i muskał piórka. Nadal był niezwykle przystojnym mężczyzną o twardych mięśniach i gładkiej jak jedwab skórze. Kiedyś sam jego widok wystarczał, by ogarnęło mnie pożądanie. Teraz czułam jedynie pogardę dla jego próżności. Starzejący się paw!

Kiedy wziął prysznic i przebrał się w świeże ubranie, włączał stereo. Jego gusta muzyczne, podobnie jak apetyt na jedzenie, charakteryzowała powściągliwość.

Jeśli Ebe miał jakąś słabość, było nią jedzenie. Uwielbiał jeść; im bardziej wysokokaloryczna potrawa, tym bardziej mu smakowała. Tłusty bekon, ociekające mleczem sardynki, kurza wątróbka, kulki sadła, które rzeźnicy dorzucają do baraniny, żeby wyrównać wagę kości, jajka z podwójnym żółtkiem, mango ze śmietaną i dojrzałe sapodille, puri, racuchy, chipsy - ciężkie od oleju, gęste od kalorii. Ale jeszcze bardziej Ebe kochał swoje ciało. Powściągał więc swoją naturalną skłonność do jedzenia. Nigdy nie nabierał dokładki, raz w tygodniu pościł przez cały dzień i zakazał mi gotowania czegokolwiek, co mogłoby wystawić na próbę jego silną wolę.

To ja byłam ta słaba. Pozwalałam sobie na wszystko, na co nie powinnam. Czasami tylko to potrafiło mnie pocieszyć. Kupowałam największą tabliczkę czekolady, jaką mogłam dostać i chowałam ją. Za każdym razem w innym miejscu. W lodówce; w szafie na ubrania; na szczycie regału z książkami... już sama wiedza, że jest gdzieś w domu, budziła we mnie tajemne radosne podniecenie, które pozwalało mi zapomnieć, jak bardzo jestem niezadowolona z życia. Ebe wściekał się, kiedy przyłapywał mnie na podjadaniu. Czekałam więc, aż wyjdzie z domu i dopiero wtedy wyjmowałam moją tabliczkę czekolady. Z rozkoszą odwijałam purpurowy papier i zdzierałam złotko, kawałek po kawałku, w miarę jak odgryzałam czekoladę. Były takie dni, kiedy nie

wystarczała mi czekolada i wtedy otwierałam puszkę skondensowanego mleka i wyjadałam je łyżką, dopóki nie zaczęło mnie mdlić. Ale moje „mleczne” dni nie zdarzały się często. Zazwyczaj tabliczka czekolady i paczka chipsów, żeby zjeść słodycz, zaspokajały moje łaknienie.

Skutki były widoczne: w podwójnym podbródku, w wałeczkach tłuszczu wokół talii; w otłuszczonych kostkach nóg i nabrzmiąłych nadgarstkach. Nienawidziłam swojego odbicia w lustrze. Ale przynajmniej nie byłam już córeczką tatusia.

Ebe lubił zachodnią muzykę klasyczną. Nie wiem, czy naprawdę ją lubił, czy też nakazał sobie ją lubić, ponieważ takiej właśnie muzyki powinni słuchać dyrektorzy prestiżowych szkół. Dla mnie brzmiało to jak muzyka, którą puszczają w windach i westybulach luksusowych hoteli.

Ebe wielbił mistrzów. Ale skrupulatnie klasyfikował swoje uwielbienie. Wybierał kompozytora i czytał wszystko, co mógł znaleźć na jego temat. Kiedy czytał, puszczał jego muzykę. Znosił do domu nagrania magnetofonowe i dostawał z zagranicy płyty kompaktowe. Tego wieczora był to Bach.

Dlaczego nie mogliśmy słuchać takiej muzyki, jak większość ludzi? Simona & Garfunkela, Beatlesów, Madonny, Chicago, gazeli i tamilskich piosenek... Nie, to musiał być Bach albo Beethoven, Szopen albo Mozart. Czasami głos w mojej głowie pieklił się z taką pasją, że myślałam, że ją rozsadzi.

Tego wieczora Ebe odłożył książkę i stanął w drzwiach kuchni. - Co ugotowałaś? - zapytał.

- Pilaw z warzywami; wady z twarogiem. Curry z kalafiora; jajka masala. Są jeszcze papady i marynaty - powiedziałam podnosząc pokrywki garnków, żeby obejrzał potrawy.

Skrzywił się z niezadowoleniem. Udałam, że tego nie widzę.

- Przecież dokładnie to samo było poprzednim razem. Dlaczego nie wymyśliłaś czegoś innego? Wszyscy pomyślą, że nie masz za grosz wyobraźni.

Przełknęłam. Dlaczego wciąż jeszcze to bolało? I właśnie dlatego, że poczułam się zraniona, warknęłam: - Jeśli nie podoba ci się to, co ugotowałam, możesz zamówić jedzenie z restauracji. To wszystko, co mogłam zrobić. Na kim zresztą chcesz wyrzucić wrażenie? To ta sama stara menażeria, która doskonale wie, jacy jesteśmy. Żadni książęta krwi...

Ale Ebe zdążył już wyjść, zostawiając mnie samą z moją urazą, gniewem i poczuciem wstydu. Jak mogłam być taka małostkowa? Ale pozwoliłam sobie tylko na króciutką chwilę skruchy.

To moja nienawiść przepchnęła mnie przez ten wieczór. Olej wiotrołowy niszczy wodę. Wyciąga każdą drobinę wody z dowolnego związku chemicznego. Tylko że tego wieczora byłam Aqua Regia. Wodą królewską. Całą z kwasu i nienawiści. Zdolną rozpuścić nawet złoto, o czym dobrze wiedzieli alchemicy. Zdolną rozpuścić wstyd i skruchę, zachowując moją nienawiść do niego w nienaruszonym stanie.

- Mmm, co za smakowity zapach! - zabręczał w drzwiach srebrzysty głosik Daphne.

Dziewczyna lit. Z całej koterii ją właśnie lubiłam najbardziej, mimo iż wiedziałam, że Ebe się w niej durzy. Uśmiechnęłam się do niej

Pozostali - Premilla Brom, Xavier Gaz Rozweselający, Siarczek Azotu Nawaz i Śankar Narayan Promienie Gamma - uśmiechali się do mnie i z rozanielonymi minami wciągali zapachy, dochodzące z kuchni. Tylko Arsenikowa Kala zacisnęła usta. Ledwo weszła, manifestacyjnie wyraziła nadzieję, że mój pilaw nie jest za mocno przyprawiony ani za tłusty, bo inaczej przez całą noc będzie ją dręczyć niestrawność.

Daphne usiadła obok mnie i powiedziała: - Myślałam, że nigdy nie złapię autorykszy w tę stronę. Będzie pan musiał odwiedzić mnie do domu, panie dyrektorze. - Następną salwa śmiechu.

Ebe uśmiechnął się cło niej z uwielbieniem. Zauważyłam podziw w jego oczach i poczułam ukłucie bólu. Kiedy ostatni raz patrzył z takim zachwytem na mnie?

Co się pomiędzy nami zmieniło? A może to ja się zmieniłam? A wraz ze mną moje oczekiwania wobec niego?

- Znowu rozwiązał pan całą krzyżówkę - powiedziała Daphne, przerzucając gazetę, którą przed chwilą odłożył.

- Jak on to robi, że codziennie udaje mu się rozwiązać całą krzyżówkę? Maggie, powiedz nam, gdzie leży sekret - Daphne zrobiła nadąsaną minę.

Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głową. W dniu, kiedy na kolację przychodziła koteria, wstawał wczesnym rankiem, obkładał się słownikami i przystępował do rozwiązywania krzyżówki na wieczór. Nic więc dziwnego, że wchodząc, musieli zobaczyć jak nonszalancko wpisuje ostatnią literę. Mogłam opowiedzieć im o tym, ale zamiast tego uśmiechnęłam się i powiedziałam: - Mnie go nie zdradził.

- Nie ma tu tajemnic. Zdaje się, że mam po prostu naturalną predyspozycję do rozwiązywania krzyżówek - powiedział Ebe chcąc ściągnąć z powrotem na siebie uwagę gości.

- Daphne, masz dla nas coś nowego? - zapytał Śankar Narayan. Daphne pisywała poezje. Wiersze o dłoniokształtnych drzewach i o chmurach, szybujących przez przestworza niczym ptaki o pączkach, których nikt nigdy „nie muśnie, nie zerwie, nie pokocha”. Daphne była całkiem do rzeczy z wyjątkiem tych chwil, kiedy odpowiednio polechtana wyciągała z torebki oprawny w skórę koloru burgunda notes i zaczynała czytać na głos swoje ostatnie dzieło.

Teraz przerwała w połowie, co tam akurat robiła i powiedziała: - Istotnie mam nowy wiersz, ale nie jestem go jeszcze całkiem pewna.

- Prosimy, prosimy. Nie bądź taka skromna - powiedział Ebe.

Oprócz specjalnego notesu Daphne miała również specjalny głos dla poezji. Zadyszany i ochryply. Głos słodkiej młodziutkiej Istotki, rozedrgany rzekomym liryzmem zwrotów w rodzaju „nieruchawe odmęty”. Ten głos wprawiał mnie w zakłopotanie. Jej poezje wprawiały mnie w zakłopotanie. Kiedy Daphne odgrywała małą dziewczynkę, nie wiedziałam, gdzie się podziąć ze wstydu. Ale zamiast tego wstrzymywałam oddech i próbowałam przywołać na twarz wyraz zainteresowania. Bałam się, że ktoś wybuchnie śmiechem i cała komedia wyda się, bezpowrotnie kompromitując Daphne.

Kiedy czytanie poezji dobiegło szczęśliwego końca, koteria zaczęła rozmawiać o szkole. Promienie Gamma odchrząknęły, żeby przeczyścić gardło. Widziałam, że mają w zanadrzu jakąś nową historyjkę i nie mogą się doczekać, kiedy nas nią urczą.

- Nie wiem, czy ktoś z was zauważył, ale w szkole kroi się nowy romans.

Ebe zmarszczył czoło. Nie cierpiał, żeby ktoś wiedział na pewno o czymś, czego on nawet jeszcze nie przeczuwał.

- I któż to jest tą parą turkaweczek?

Daphne zachichotała. Ebe uniósł brew i powtórzył pytanie:

- Któż jest tą parą turkaweczek?

- Niśa z IXd...

Daphne głośno wciągnęła powietrze. Wszyscy wiedzieli, że Daphne lubiła tę dziewczynę i że przygotowywała ją do reprezentowania szkoły w międzyszkolnej debacie.

- ...i Mansur z XIa. Obserwuję ich od pewnego czasu. Od początku semestru kryją się po różnych zakamarkach i gadają Bóg wie o czym. Któregoś razu ostrzegłem ich. Powiedziałem, że jeśli jeszcze raz nakryję ich na rozmówkach na korytarzu, pošlę ich do ciebie. Niśa zaczęła więc przychodzić do jego klasy, gdzie zawsze otacza ich grupka uczniów. Wezwałem ją i zapytałem, co ma takiego do roboty w sali klasy XIa, a ona miała czelność powiedzieć, że przyjaźni się z niektórymi dziewczętami i czy istnieje przepis zabraniający posiadania koleżanek w starszych klasach? Musimy coś z tym zrobić.

- Ta mała to snobka - dodała Arszenikowa Kala. - Kiedy zwróciłam jej uwagę, że powinna poświęcać więcej czasu na podciągnięcie się z matematyki, odpowiedziała, że jak tylko zda egzaminy państwowe na koniec dziesiątej klasy, nie zamierza mieć więcej nic wspólnego z tym przedmiotem.

- To dobra dziewczyna - Daphne stanęła w obronie swojej ulubienicy.

- Może i tak - powiedział Ebe - ale nie możemy pozwolić na coś podobnego. Następnym razem - zwrócił się do Śankara Narayana - kiedy zobaczysz ich razem, natychmiast daj mi znać. Raz na zawsze zrobię z tym porządek.

Chcąc zmienić temat, Daphne zaczęła mówić o międzyszkolnym festiwalu kulturalnym, który miał zacząć się w następnym miesiącu. Słuchałam rytmicznego potoku słów i myślałam o wiążących się i rozpadających molekułach.

- Maggie, dlaczego nic nie mówisz? - Nikt oprócz Daphne nie nazywał mnie Maggie.

Wszystkie oczy zwróciły się ku mnie.

- Ona nigdy nie bierze udziału w dyskusji. Nie ma zdania na żaden temat. Raz tylko widziałem, żeby się ożywiła, a było to wiele lat temu, w Kodaikanal. Był tam ten uczeń, Alfred... - wtrącił się Ebe, kierując uwagę na wspomnienie; jeszcze jeden fragment historii pokazujący, jakim to błyskotliwym człowiekiem był Ebenezer Paulraj.

Alfred Arokiaswami. Dziewięciolatek z dołeczkami w policzkach i chochlikami w oczach. Miał kręcone sprężyste włosy, którym jego matka pozwalała rosnąć odrobinę za długo, jak na gust Ebenezera Paulraja.

Ebenezer Paulraj posłał matce Alfreda liścik. Ale ona go zignorowała. Więc Ebenezer Paulraj zabronił Alfredowi udziału w treningach szkolnej drużyny piłkarskiej i dołączył go do grupy PSU, opróżniającej kosze na papiery w salach lekcyjnych. Ale Alfred dalej obnosił swoje loki.

W następny poniedziałek po porannym apelu Ebenezer Paulraj wezwał Alfreda do swojego gabinetu. I tam złapał garść jego włosów i ściągnął je gumką na czubku głowy, upodobniając ją do ananasa.

- Masz to nosić aż do ostatniego dzwonka. Zrozumiałeś? - Ebenezer Paulraj rozkazał pochlipującemu Alfredowi. - Skoro tak bardzo lubisz swoje włosy, nie pozostawiasz mi wyboru. W mojej szkole tylko dziewczętom wolno nosić długie włosy - oświadczył Ebenezer Paulraj, odsyłając Alfreda do klasy.

W czasie dużej przerwy zobaczyłam grupkę chichoczących uczniów, otaczających dziecko w IVb. Usłyszałam stłumione łkanie. W jego oczach zobaczyłam upokorzenie, ból i zmieszanie. Wpadłam we wściekłość.

- Jak wam nie wstyd? - zapytałam i grupa natychmiast rozpierzchła się.

Zdjęłam gumkę, w której rozpoznałam moją własność i wygładziłam loki Alfreda. Otarłam mu oczy i powiedziałam, że to, co mówią inni, jest bez znaczenia. Jest dobrym małym chłopcem, powtórzyłam kilkakrotnie, podkreślając słowo „chłopiec”, bo słyszałam, jak dzieciaki przezywały go „Alfreda”, i wyszłam.

A potem ściskając w dłoni gumkę, wpadłam jak burza do gabinetu Ebenezera Paulraja.

- Co to ma znaczyć? - zapytałam od progu.

Ebenezer Paulraj podniósł wzrok znad sterty papierów i powiedział: - Co to ma znaczyć?

Cisnęłam gumkę na biurko i powiedziałam chłodno: - Jak mogłeś zrobić dziecku coś takiego? Jak mogłeś tak go poniżyć? Zdajesz sobie sprawę, co mogłeś mu zrobić? Mogłeś go okaleczyć na całe życie. I za co? Za dodatkowy cał włosów?

Ebenezer Paulraj dotknął w zamyśleniu błękitnych koralików, zdobiących gumkę do włosów. - Przypuszczam, że ją zdjęłaś z włosów Alfreda. To było bardzo głupie z twojej strony.

- Odpowiedz mi, Ebe. Nie mów mi, że jestem głupia. Dlaczego tak okrutnie potraktowałeś to dziecko? - Gniew uczynił mój głos ostrzejszym, niż tego chciałam.

- Madame - powiedział Ebenezer tonem, jakiego nigdy dotąd u niego nie słyszałam. - Chciałbym pani przypomnieć, że to ja tu rządę. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek podważał moje decyzje i jeśli zrobi to pani jeszcze raz, będę zmuszony wyciągnąć konsekwencje. Czy to jasne? To jest moja szkoła i wiem, co jest najlepsze dla moich uczniów.

Pochylił głowę i zaczął udawać, że jest zajęty swoimi papierami, zrozumiałam więc, że skończył ze mną.

Alfred nakłonił matkę, żeby zabrała go do fryzjera, który ogolił go na zapalkę. Życzeniu Ebenezera Paulraja musiało stać się zadość.

I Alfred. Zaczął znęcać się nad młodszymi dziećmi; zachowywać niegrzecznie na lekcjach i przyjmować każde wyzwanie, od wdrapania się na czubek drzewa po zjechanie po poręczu. Ale Ebenezer Paulraj nie poczuwał się do odpowiedzialności za to, co zrobił. Kiedy zwróciłam mu uwagę na zachowanie Alfreda, powiedział tylko: - Chłopcy to chłopcy.

I ja. Być może właśnie wtedy zaczęłam podawać w wątpliwość moje uczucie do Ebenezera Paulraja. Ebe stał się nagle obcym człowiekiem, a do tego zasługującym na pogardę. Despotą i tyranem.

Ale Ebe nie zapamiętał tego w ten sam sposób, co ja. Jako przerażający epizod. Przeciwnie, dla niego był to jeszcze jeden przykład psychologicznej wojny, toczonej z małoletnimi szubrawcami, którym trzeba było przytrzeć rogów. - Spuścisz dzieciakowi lanie i po tygodniu nie będzie już o tym pamiętał. Ale czegoś takiego nie zapomni do końca życia - powiedział Ebe, kończąc swoją wersję opowieści i puszczając w ruch talerz fistaszków.

- Tylko pan mógł wpaść na taki błyskotliwy pomysł - zapiała Kala, biorąc orzeszek i natychmiast odkładając go z powrotem.

- Uważam, że trzeba używać swojej wyobraźni - powiedział Xavier z ustami pełnymi fistaszków.

- Wyobraźnia! - Ebenezer Paulraj klepnął się w udo. - Oto słowo-klucz. Nie chciałbym nikogo z was urazić, ale czy zastanawialiście się kiedykolwiek, dlaczego wśród dyrektorów szkół jest tak wielu nauczycieli angielskiego albo historii? Oczywiście mam na ten temat własną teorię: jedynie nauczanie przedmiotów, które wymagają lub wręcz rozwijają wyobraźnię, pozwala ci wykorzystać ją potem w zarządzaniu szkołą. Potrzeba wyobraźni, żeby zdołać zainteresować dziecko poezją albo ogarnąć konsekwencje bitwy, stoczonej przed setkami lat... to nie to samo, co nauczanie algebry czy biologii. Jeśli chcecie znać moje zdanie, nie ma bardziej drętwego i nudnego przedmiotu niż chemia. Ale te małe czorty lubią to, bo dla nich to gra. To dodać to równa się tamto! Szczerze mówiąc, kiedy myślę o chemii, przychodzi mi do głowy jedynie zapach zgniłych jaj...

Śmiech. Chrzęst fistaszków. Szelest chipsów.

Popatrzyłam na moje zaciśnięte na podołku dłonie. Co on wiedział o chemii i poezji pierwiastków?

O magii testu papierkiem lakmusowym: niebieski lakmus zanurzony w kwasie zmienia barwę na czerwoną, czerwony zaś, zanurzony w roztworze zasadowym, na niebieską. O liryzmie fosforu, który po wyjęciu z wody zapala się samoczynnie, spala i zmienia w gaz. O potędze azotanu potasu połączonego z siarką i węglem - o eksplozji, która wstrząsa ziemią. O iluzjach, jakie potrafi stworzyć przezroczysty kalcyt. O barwach - ceglanej czerwieni węgla berylu; metalicznej żółci chalkopirytu; srebrzystej bieli uranu... Słowa same formowały się w moich ustach.

Chciałam wstać i krzyknąć: - Tak się szcyci swoją wyobraźnią. Proszę bardzo, powiem wam, co to za wyobraźnia. Pójdźcie do biblioteki szkolnej i zajrzyjcie do lektur starszych klas albo do Biblioteki Okręgowej i Biblioteki Publicznej na sąsiedniej ulicy, a zobaczycie dzieło rąk człowieka obdarzonego wyobraźnią.

Ebe był sprytny. Ostrożnie wybierał książki i dzielił swój wandalizm pomiędzy trzy biblioteki, do których należał. Żeby nie można było wytropić, że to on niszczy książki. Zresztą, któż by go podejrzewał o takie świństwa? Bo Ebe z najwyższą skrupulatnością rysował ludzkie genitalia - penisy, jądra, odbyty, pochwy, sygnowane szczecina włosów łonowych. Ludzkie genitalia, przyczepione do ludzi albo i nie. Subtelne, szczegółowe szkice organów rozrodczych, stworzone przez Ebenezera Paulraja, Leonarda książkowych marginesów. Ebenezera Paulraja, człowieka z wyobraźnią.

Histeryczny śmiech podszedł mi do gardła. Ale przełknęłam go, jak przez te wszystkie lata przełykałam moją dumę. Nagle poczułam, że dławię się moim małżeństwem.

Tego wieczora, kiedy już pozmywałam po wyjściu gości, leżałam po mojej stronie łóżka i patrzyłam, jak Ebe odprawia swój conocny rytuał. Kipiała we mnie złość, ale jedyne, co mogłam zrobić, to pozwolić jej kipieć. Myślałam o tym, jak przekuł ten wieczór w swój kolejny triumf. Myślałam o Alfredzie Arokiaswami i o poezji substancji chemicznych. Myślałam o wszystkim, co dobrego i szlachetnego zniszczył w moim życiu. Myślałam o dziecku, które umarło, zanim zdążyło osiąść duszę. Myślałam o tym, że nie mam już o czym marzyć i znowu na powierzchnię wy dostały się słowa: NIENAWIDZĘ GO. NIENAWIDZĘ GO. Co ja teraz zrobię?

Pod oknem stał słój, w którym Ebe trzymał parkę złotych rybek. Kolejna teoria, której hołdował: obserwowanie dwa razy dziennie po piętnaście minut złotych rybek, rozpaczliwie kręcących się w kółko w swoim słoju, redukuje stres i poprawia samopoczucie. Jego. Nie złotych rybek.

Ebe z niezadowoleniem cmoknął językiem. Co znowu było nie tak? Zastanawiałam się. Czyżby rybki nie chciały robić obligatoryjnych rundek?

- Biedny James. Zrobił się zanadto łakomy. Wiedziałem, że nie jest z nim dobrze. W ostatnich dniach wyraźnie zwolnił, niemal się włókł. Wielka szkoda. Teraz będę musiał znaleźć nowego Jamesa.

Uniosłam się na łokciu. Zdechła rybka.

Ebe nazwał swoją parkę James i Joyce. Prywatny żart, mówił, niemniej jednak pilnował, żeby każdy się o nim dowiedział i mógł się pośmiać z poczucia humoru pana dyrektora. A teraz James zdechł. Na jakąś rybią zarazę. Albo może na skutek łakomstwa i przejedzenia.

James pływał po powierzchni wody z rozerwanym brzuchem. Zapatrzyłam się na martwego Jamesa i żywą Joyce, która wydawała się w lepszej formie i dokazywała weselej niż kiedykolwiek dotąd. Maleńka łuska podejrzenia połaskotała mnie w gardle. Czyżby to wszystko sprawka Joyce?

Poczułam, że moje usta rozciągają się w uśmiechu. Beztroska. Uczucie spokoju.

Czy jestem niesprawiedliwa? Czy pozwoliłam, by nienawiść odebrała mi poczucie wstydu? Jeśli nawet, niech będzie. W miłości i wojnie nie ma sprawiedliwości, powtarzał często Ebe. A to była wojna.

#

Jestem dobrą kucharką. Kiedy zechcę. Jestem kucharką wrażliwą i kiedy tego pragnę, składniki są posłuszne moim rozkazom. Ale przez długi czas gotowałam tak, jak moi artystycznie uzdolnieni uczniowie przeprowadzają doświadczenia chemiczne. Trzeba je zrobić, to się je robi. Bez cienia radości czy dumy z rezultatów. Koniec z tym, pomyślałam. Odtąd mojemu gotowaniu będzie przyświecał wyższy cel. Ale najpierw musiałam przekonać Ebe, by osłabił swój opór. By otworzył dla mnie swe zmysły i kubki smakowe.

Kiedy Ebe przyszedł do łóżka, jak zwykle udałam, że śpię. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio mieliśmy stosunek. Nie pamiętam nawet, które z nas pierwsze odwróciło się tyłem. Czy on, przejęty odrazą do mojego ciała; wałków tłuszczu, nieczystych linii, sflaczałych mięśni i mojego babskiego krzaczora? Czy ja, pragnąca partnerstwa w łóżku i zmęczona udawaniem małej dziewczynki?

Ale tamtej nocy, kiedy Ebe ułożył się do snu, odwróciłam się do niego i musnęłam językiem jego szyję. Moje palce drażniły i pociągały włosy na jego piersi. Bardzo delikatnie, jak mała dziewczynka... Zalecałam się do niego, a wiedziałam jak to robić. Ukradkiem i przebiegle. Muskaniem warg i śmiałymi pieszczotami. Z dziecięcą naiwnością, która układała w O moje usta i wygoloną skórę. Z żelaznym zdecydowaniem i rozłożonymi nogami.

Rano wstałam o świcie i pobiegłam do kuchni. Biorę się za ciebie, Ebe, powiedziałam śpiącemu Ebe. Biorę się za ciebie, poczynając od dzisiejszego śniadania. Puri smażone na ghi, ziemniak, groszek i korma z kalafiora. Dwa jajka sadzone żółtkiem do góry i duża szklanka zimnego tłustego mleka, wymieszanego z dwoma łyżkami cukru.

Ebe powiedział, wpatrując się w zastawioną naczyniami tacę, którą postawiłam przed nim na stole: - Co to ma być? Spodziewasz się, że to wszystko zjem? Zabierz to.

Och, przestań - droczyłam się z nim. Jak łatwo było udawać swawolną małą dziewczynkę, teraz, kiedy wolność zamajaczyła na horyzoncie. - Jesteś dużym mężczyzną. Potrzebujesz porządnie jeść. Przecież ćwiczysz. Poza tym przyda ci się trochę siły - uśmiechnęłam się zalotnie.

Łatwo było wziąć go na pochlebstwa. Zawsze brał je za dobrą monetę. Dla niego pochlebstwa były szczerą prawdą. Tak więc Ebe zjadł swoje pierwsze obfite śniadanie z apetytem i smakiem.

Ebe jadł. Śniadania. Obiady. Kolacje. Wieczorną przekąskę, zaraz po przyjściu ze szkoły do domu. Nocną przekąskę, kiedy pracował do późna nad swoimi papierami. Nie oczekiwałam, że cudowna przemiana dokona się z dnia na dzień. To nie miało być tak łatwe i proste, jak w wypadku Joyce. Ale byłam gotowa poczekać.

Po niespełna roku tłuszcz znalazł drogę do domu. Co było moje, stało się jego. Piękne linie zaczęły się rozmywać. Oddech stał się krótszy, a krok wolniejszy. Pojawiły się fałdy na karku. Podwójny podbródek. Podrygujący brzuszek. Ebe nie przechadzał się już dumnym krokiem. Dreptał. Dostawał zadyszki przy wchodzeniu po schodach. Nie przemierzał już szkolnych korytarzy, kiedy mu tylko przysłała na to ochota. Ograniczył się do dwóch rundek, porannej i popołudniowej.

Powoli Ebe stał się grubym człowiekiem. Człowiekiem spokojnym. Łatwym w pożyciu. Człowiekiem, który nie potrzebował już koterii ani niszczenia książek. Któremu zamięłowanie do jedzenia stępiło ostre krawędzie. Coraz bardziej mnie potrzebował, ponieważ to właśnie ja dbałam o zaspokajanie jego apetytu. Podsycałam jego apetyt na jedzenie, a od czasu do czasu także na seks, wszystkimi znanymi sobie sztuczkami. Potrzebował mnie, jak nigdy przedtem. I tak oto Ebe stał się człowiekiem, z którym znowu mogłam żyć.

Po raz drugi zaszłam w ciążę i urodziłam dziecko. Dziewczynkę. Od tej chwili niedopuszczenie, by Ebe powrócił do dawnej formy, stało się imperatywem. Ponieważ gdyby powrócił, posypałyby się na nas nieszczęścia, o jakich nie potrafiłam nawet myśleć, Musiałam myśleć o mojej małej córeczce.

Póki Ebe był gruby, nie było żadnych zastrzyków adrenaliny, żadnej walki o władzę. Wszystko w naszym życiu było ciche, spokojne i rozwodnione.

Kiedy dodasz wodę do kwasu siarkowego, najpierw burzy się, Ale szybko traci swoją moc; gubi zjadliwość. Sztuka polega na tym, żeby wiedzieć, kiedy dodać wodę i ile.

7

Jestem lampą bez knota. To mnie lękają się matki nowo narodzonych. To dla ochrony przede mną malującą czarną kropkę na policzku dziecka. To ja przygaszam wzrok ojca. To ja każę młodszym siostronom bać się, że ich życie może stanąć w miejscu. Przechodzę przez łzy płaczącej matki. Napelniam swoją obecnością wnętrze domu i obciążam krokwie moim niewypłakany smutkiem.

Jestem tą, która jest już nie pierwszej młodości. Jestem zimnymi fusami na dnie filiżanki. Niechcianym towarem. Zapomnianą puszką w głębi szafki.

Od mojego oddechu kwaśniej mleko. Potrafię zetlić na popiół wszystko, co zielone i płodne. Błoto wysycha, kiedy po nim stąpam. Ziemia osuwa się na mój widok. Deszczowe chmury rozpraszają się, gdy podnoszę na nie swe oczy. Dzieci płaczą, gdy dotknę palcem ich czoła. Nie krwawię; zamiast tego odkładam w sobie nasiona tysięcy nienawiści. Jestem nocnym koszmarem, z którego budzą się młode żony. Jestem szelestem spódnicy,

napawającym lękiem wszystkie kobiety. Jestem przekleństwem. Jestem cieniem zła. Jestem upiorem, który pieczętuje pulę genów i karmi się ciałem mężów.

Dźwigam na swoim grzbiecie wszystkie lęki, wszystkie mroczne szepty i udręczone myśli, jakie nawiedzają ludzki umysł. Moja skóra jest matowa. Moje oczy - zamalowane lustra. Mój głos zabarwiony ostrym smrodem goryczy. Rozsiewam woń kulek na mole. Moje imię, wymówione na głos, brzmi: klęska.

Akhila leżała na plecach. Powieki ciążyły jej jak ołów, lecz mimo to nie mogła usnąć.

Margaret wysiadła w Kojambatur. Przed wyjściem przeciągnęła po włosach grzebieniem i poprawiła fałdy sari, a potem powiedziała: - Akhilo, jeśli posiadam jakąś zaletę, to jest nią odporność na to, co myślą o mnie ludzie. Naturalnie, przez to jeszcze bardziej mnie nie lubią. Ludzie nie lubią myśleć, że ich zdanie na czyjs temat nic dla tej osoby nie znaczy. A kiedy jeszcze jest to kobieta... nie mogą tego znieść. Jak powiedziałam, nie dbam o to. Nie mówię, że masz myśleć tak jak ja. Ale kiedy przestaniesz martwić się, co myśli o tobie cały świat, odkryjesz nagle, że życie stało się o wiele łatwiejsze.

Powiedziała: - Po prostu pamiętaj, że musisz o siebie zadbać. Nikt tego nie robi za ciebie.

Akhila uśmiechnęła się, nie znajdując w sobie dość odwagi, by się odezwać. Co miałyby powiedzieć tej kobiecie, co do której nie była nawet pewna, czy ją lubi? Która w rzeczywistości trochę ją nawet przerażała. Jak ktokolwiek może być aż tak obojętny na to, co myślą o nim inni? Czy to była prawda? Czy zwykła brawura, mająca pokryć cierpienie, spowodowane tym, że ludzie uważali ją za odmieńca?

Akhilę uderzyła nagle pewna analogia w życiu ich wszystkich. Wszystkie te kobiety, pomyślała, wszystkie te kobiety, Dżanaki, Sheela, i nawet Margaret, obnosząca swoją samowystarczalność jak aureolę, próbują wprowadzić jakiś sens w swoją egzystencję, opowiadając o niej każdemu, kto zechce słuchać. Jestem taka sama, pomyślała. Próbuję zdefiniować realia własnego życia, uzasadnić moje niepowodzenia i poczucie beznadziejności, wykorzystując do tego materię ich życia, poszukując podobnej nici, która połączyłaby w jakiś sposób ich życie z moim, osłabiając moje poczucie winy za to, kim jestem i do czego się doprowadziłam.

Akhila przewróciła się na bok i wtuliła głowę w zagłębienie ramienia. Metalowa ściana przedziału była chłodna w dotyku. Co powiedziała Margaret?

Miłość jest bezbarwną lotną cieczą. Miłość zapala i spala. Miłość nie pozostawia po sobie osadu - ani dymu, ani popiołu. Miłość jest trucizną podszywającą się pod wino.

Jak miłość może tak zwyrodnąć? Czy ona też wydałaby się na pastwę goryczy, gdyby zdecydowała się poślubić mężczyznę, którego pokochała? Czy ona też, odkochawszy się, zaczęłaby szukać dróg zanegowania jego roli w swoim życiu? Po czym poznać, że się już nie kocha?

Margaret mówiła o miłości, jakby to była dzika bestia, którą udało jej się obłaskawić. Potulne stworzenie, leżące u jej stóp, którym mogła kierować wedle swojej woli. Tylko czy tego właśnie chciała od swojego życia? Rozwodnionej miłości?

Nagle Akhila odwróciła głowę i popatrzyła na kobietę na kuszetce po drugiej stronie przejścia. Na Dżanaki, która całe życie udawała, że miłość to bezpieczeństwo, by u jego kresu zmierzyć się ze swoim wewnętrznym ja i chwycić ostatnią szansę kochania i bycia prawdziwie kochaną. I ta dziewczyna, Sheela... nawet ona usłuchała instynktu zamiast postępować tak, jak tego od niej oczekiwano - w zgodzie z trzeźwymi nakazami dobrego wychowania.

I wtedy, po raz pierwszy od wielu lat, Akhila pomyślała o Harim. O narodzinach tego, co było jej pierwszą szansą...

#

W pierwszych latach pracy zawodowej, poza którą wszystko inne wydawało się podlegać nieustannym przemianom, Akhila szukała pociechy w rutynie. Dopóki trzymała się tego, co codzienne i przewidywalne, czuła, że ma jaką taką kontrolę nad biegiem swojego życia.

Co dzień rano wsiadała do pociągu, odjeżdżającego z Ambattur o 7.20, co oznaczało, że musiała wyjść z domu punktualnie o siódmej. Z jakiegoś powodu ta ranna pora napelniała ją zachwytem. Godzina spokoju i nowych początków. Nawet słońce i księżyc patrzyły na siebie z przeciwnych stron nieba, nie pragnąc zająć całego dla siebie. Delikatny wiaterek z ojcowską czułością mierzwił wierzchołki drzew. Przed świeżo zamiecionymi schodami domów lśniły linie kolamów.

O tej godzinie poranka ulice były puste. Towarzystwa dotrzymywali jej gazeciarze i roznosiciele mleka, handlarz naftą ciągnący swój wózek i pozdrawiający ją podwójnie gromkim „Olej Kryszny!” i sprzedawca soli kamiennej, który dźwigał swój towar na głowie i burczał „uppu”, obchodząc po kolei ulice. I mężczyzna z ręcznikiem wokół bioder, który przy pompie na rogu ulicy pokrywał włosy i skórę warstewką mydlanej piany, podczas gdy jego żona pompowała zawzięcie wodę do wiadra. Wszyscy oni znali ją z widzenia i zawsze mieli dla niej spojrzenie, uśmiech i skinienie głową albo jakiś dźwięk. Wiedzieli, że nie należy do porannych spacerowiczów dla zdrowia. Wiedzieli, że jeśli nie wyjdzie rano z domu, jej rodzinę czeka głód. To stanowiło łączącą ich więź.

- Dlaczego musisz wychodzić tak wcześnie? - gderła Padma, niezadowolona, że zmuszają ją do wstawania o pierwszym brzasku. Albowiem Akhila, która wstawiała z łóżka o piątej rano, nalegała, by inni budzili się wraz z nią. A jeśli nawet nie o piątej, to w każdym razie dostatecznie wcześnie, by nie marnować dnia. Akhila nie lubiła wychodzić z domu, kiedy pozostali domownicy wciąż jeszcze mieli sen na powiekach.

- 7.20 nie jest taki nabity. W późniejszych pociągach jest tłok i musiałabym stać aż do Central - odpowiadała.

W tych pierwszych latach jazda pociągiem stanowiła element rutyny. Akhila znała na pamięć każdą stację, każdy punkt orientacyjny, każdy przejazd i rów, jakie mijali po drodze. Zanim pociąg wjechał do Korattur, nabierała głęboko powietrza i marszczyła nos, by ustrzec się przed fetorem z zakładów pasteryzacji mleka. Wsiadała na Madras Central i przechodziła przez ulicę, by złapać autobus do Nungambakkam, zatrzymujący się na przystanku obok Madras Medical College. O 8.45 siadała przy swoim biurku. Zawsze punktualnie.

Nawet kiedy chłopcy i Padma opuścili już dom, Akhila wciąż jeszcze kurczowo trzymała się ustalonej rutyny. Nie wiedziała, jak inaczej miałyby zorganizować swój dzień.

Kiedy myślała o tym później, nie mogła przypomnieć sobie, dlaczego po raz pierwszy od prawie szesnastu lat nie zdążyła wtedy ani na pociąg o 7.20, ani o 7.35. Poszła piechotą na przystanek autobusowy i zmusiła się do wciśnięcia w nabity ludźmi wóz. Było już za późno, żeby czekać na mniej zatłoczony autobus. Akhila musiała przepychać się, by znaleźć sobie miejsce, aż wreszcie stanęła przyciśnięta do stalowego słupka. Objęła go, by nie dać się ponieść dalej i stała tam, usiłując odciąć doznania, wywołane kontaktem ze zwartą masą ciał.

W tym morzu skóry i zapachów było kilka kobiet. Ale to wonie pomady do włosów i oleju kokosowego, mydła Lifebuoy i tytoniu chwyciły ją za gardło i zawładnęły zmysłami. Akhila nie wahała tych męskich zapachów z tak bliska od śmierci Appy. Zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze.

Kiedy jej talię musnął grzbiet dłoni, w pierwszej chwili uznała, że to przypadek. Autobus był nabitý ludźmi i ciągle ktoś na kogoś wpadał.

Akhila poczuła to znowu. Tym razem dłoń, ośmielona poprzednim wypadem, spoczęła na jej przeponie. Akhila wciągnęła powietrze, jakby to miało odepchnąć zuchwalca. Dłoń uniosła się, odstraszona napięciem mięśni, krzykiem tysięcy porów: zostaw mnie w spokoju! Po to tylko, by po kilku sekundach powrócić.

Akhila, jak wszystkie kobiety w jej wieku, nosiła sari cał poniżej pępka. Tylko staruszki i kobiety w ciąży zasłaniały brzuch. Pomiędzy bluzką i spódnicą sari widniało prawie osiem cali nagiej skóry, okrytej jedynie cienką warstwą tkaniny. I właśnie to miejsce wybrała dłoń, by igrać i swawolić w bezpiecznym schronieniu pod warstwą materiału.

Pięć palców. Odrobinę szorstka skóra. Krótko obcięte paznokcie, z wyjątkiem paznokcia małego palca, długiego mniej więcej na cał, lekko zakrzywionego, dzikiego chichotu tej delikatnej poza tym dłoni. Kreślił linie, dryblując po skórze jej brzucha. Akhilę ogarnęła fala gorąca... To było dla niej coś zupełnie nowego. Rozchylenie. Krople potu. Ochryply poświst tłumionego oddechu. Ciche rozkwitanie.

Akhila stała tam, jak najbardziej chętna, pozwalając dłoni po tysiakkroć przesyłać wiadomość do jej martwych już niemal zmysłów: Zbudźcie się, zbudźcie się.

Akhila i dłoń spotykali się przez dwa tygodnie. Zaczęła jeździć autobusem, dzień po dniu. Nieważne, gdzie stanęła, dłoń zawsze ją odnalazła. Z początku delikatna. Potem badawcza, i wreszcie domagająca się. Dowiedziała się więc, co to znaczy czuć ucisk kciuka na dolny odcinek kręgosłupa. Kościsty łuk knykci, obrysowujących linię talii. Wydłużony paznokieć małego palca, kreślący kółka i ósemki. Koniuszek palca wskazującego, zataczający koła wokół jej pępka, by nagle, na krótką chwilę, weń zanurkować...

Czasami Akhila pozwalała sobie oprzeć się o stojące za nią ciało i wtedy dłoń przerywała wędrówkę i kładła się nieruchoma, pocieszająca, pożądana już teraz obecność.

Wysiadając z autobusu, Akhila odsuwała od siebie rozbudzone przez dłoń doznania i nie myślała więcej o tym, co robi. Wiedziała, że postępuje tak, jak nie postąpiłaby żadna szanująca się kobieta. Ale miała też z tego satysfakcję. Czuła się pożądana. Czuła, że zaspokaja czyjś głód. Czuła się jak kobieta.

Czasami myślała, że chciałaby poznać właściciela dłoni. Ale czym prędzej dusiła w zarodku tę myśl.

Pewnego poranka, kiedy Akhila stała z szeroko otwartymi zmysłami i spuszczonej oczyma, a dłoń miłowała jej ciało, autobus gwałtownie zahamował. Podniosła oczy i napotkała wzrok obserwującego ją mężczyzny. Konduktora. Dostrzegła malującą się na jego twarzy odrazę i czym prędzej opuściła powieki. Widział łazikującą dłoń i widział, że łazikowanie to było mile widziane. Co z niej za kobieta, że pozwala na coś takiego obcemu mężczyźnie?

- Tu jest wolne miejsce. Dlaczego pani nie siada? - powiedział wskazując pusty fotel.

Akhila oblała się rumieńcem i próbowała udawać, że jest wdzięczna za ratunek z łap łazikującego potwora.

Kiedy przesuwała się w kierunku wolnego miejsca obok jakiejś kobiety, odezwał się znowu: - Naprawdę nie musi pani stać w ścisku pośród tych wszystkich mężczyzn, kiedy są wolne miejsca. Niech pani spróbuje złapać wcześniejszy autobus. Nigdy nie ma w nim tłoku.

Akhila usiadła, udając, że tego nie słyszy. Do ust napłynęła jej wodnista żołą wstydu. Co ja robię? Jak mogłam oddać się we władzę rozpasanym zmysłom? Jak mogłam tak się zapomnieć?

Akhila wróciła do pociągu o 7.20, a ponieważ nie mogła znieść wspomnienia o tych dwóch tygodniach szaleństwa, kupiła bilet miesięczny na pierwszą klasę i podróżowała odtąd w niemal pustelnicznym luksusie. Bez żadnych ciał, które mogłyby szydzić lub kusić.

Z początku Akhila w ogóle nie zauważyła mężczyzny wybierającego zawsze miejsce przy oknie. Ponieważ pociąg zaczynał swój bieg na Central, wieczorem wszystkie miejsca były puste. Siadała przy oknie, a on naprzeciw niej. Ale Akhila nie zwracała uwagi na niego ani nikogo innego. Jedyne, o czym potrafiła myśleć, to wyraz twarzy konduktora autobusu. Kiedy go wreszcie dostrzegła, miała ochotę zwiesić głowę i zasłonić twarz. Denerwowała się: Czy on też zorientuje się, jaka z niej rozpustnica?

Któregoś wieczoru Akhila troszkę się spóźniła i myślała, że jej miejsce przy oknie będzie już zajęte. W pociągach podmiejskich nie było rezerwacji, ale wśród pasażerów obowiązywał niepisany zwyczaj, że jeśli na siedzeniu leży książka, albo choćby chusteczka do nosa, oznacza to, że miejsce jest już zajęte i lada moment ktoś tu się zjawi. Akhila zobaczyła czasopismo i chusteczkę na zajmowanym zwykle miejscu, lecz kiedy odwróciła się, żeby poszukać sobie innego, głos zawołał: - Madame, pani miejsce jest tutaj.

Akhila odwróciła się zaskoczona. Mężczyzna przy oknie uśmiechnął się, wskazując gestem fotel naprzeciw siebie. - Kiedy zobaczyłem, że pani jeszcze nie ma, pomyślałem, że coś musiało panią zatrzymać i położyłem tu moje rzeczy, żeby nikt nie zajął pani miejsca - wyjaśnił.

- Dziękuję panu - powiedziała Akhila, siadając. - Niepotrzebnie robił pan sobie tyle zachodu - dodała.

- Może i niepotrzebnie - przyznał. - Ale od wielu tygodni widuję panią zawsze na tym samym miejscu i pomyślałem, że pewnie je pani lubi. Poza tym trudno nazwać zajęciem miejsca położenie chusteczki na siedzeniu - uśmiechnął się szeroko.

Był od niej młodszy. Dużo młodszy. Przypuszczalnie w wieku jej młodszego brata, Narsiego. Ale jego twarz promieniowała szczerością, której brakowało Narsiemu. Narsi przypominał szakala; ze zwężonymi oczyma i spiczastą twarzą, wiecznie węszącą okazję do zysku. Ten chłopiec miał szeroką, otwartą twarz i zniewalająco sympatyczne obejście. Akhila odetchnęła z ulgą. Bała się mężczyzn, nie chłopców.

- Jak ci na imię? - spytała, przyjmując ton starszej siostry.

- Hari - odrzekł.

- Po prostu Hari. Nie Hari Prasad albo Hari Kumar?

- Po prostu Hari - powiedział. - A tobie?

Zastanowiła się przez chwilę, co mu odpowiedzieć. Akhila? Akhilandeswari? Easwari?

- Akhila - powiedziała w końcu, ponieważ to najbardziej przypominało Akkę. Akhila chciała od razu wyznaczyć granice ich znajomości. Akka. Starsza siostra. Traktuj mnie jak starszą siostrę. Tak właśnie o sobie myślę. Nie chcę być postrzegana jako kobieta. Bo to znowu otworzyłoby puszkę Pandory, którą w sobie noszę.

Zaprzyjaźnili się. Tak po prostu. Błyskawiczne koleżeństwo, pielęgnowane podczas tych trzydziestu pięciu minut, które spędzali, siedząc naprzeciw siebie. Wkrótce również rano zaczęli jeździć tym samym pociągiem. Opowiedziała mu o sobie, a on namalował dla niej słowny obraz swojego życia.

Miał dwadzieścia osiem lat. Pracował jako kreślarz w kolejowym biurze projektowym. Pochodził z północy Indii, z małego miasteczka w Madhya Pradesh, ale prawie całe życie mieszkał w Avadi, sąsiadującym z Ambattur. Jego ojciec miał sklep ze słodyczami, a jego siostra uczyła się w Queen's Mary College. Powiedział, że mówi równie dobrze po tamilsku, jak po hindusku. Jego rodzicom zależało, żeby się szybko ożenił. Co i rusz przedstawiali mu kolejną kandydatkę na żonę. Ale jego to wszystko napawało wstrętem. - Jak możesz zdecydować, że kogoś poślubisz, tylko na niego patrząc? - zapytał Akhile.

Wzruszyła ramionami. - Zawsze to tak się odbywało. Jedyny inny sposób, to zakochać się w dziewczynie, poznać ją, a potem powiedzieć o niej swoim rodzicom...

Hari skrzywił się. - Gdybym tak zrobił, moi rodzice natychmiast znaleźliby sto ważnych powodów, żeby powiedzieć, że się nie nadaje.

- W takim razie, powinieneś poślubić dziewczynę, którą ci wybiorą. Mnóstwo ludzi tak robi i mimo to udaje im się stworzyć szczęśliwe małżeństwo.

Dzień Akhili zyskał nagle jaśniejszy punkt. Hari. Co wieczór przychodzili na dworzec na kilka minut przed odjazdem pociągu. Hari wprowadził rytuał do spędzanej wspólnie czasu. W wegetariańskim bufecie na peronie kupowali talerzyk pierożków samosa i kawę w plastikowych kubeczkach. Stali obok siebie na pełnym ludzi peronie i jedli z jednego talerza pierożki. Hari maczał swoje samosy w miętowo-tamaryndowym ćatni. Akhila wołała je bez niczego. Pogryzali pierożki i sączyli kawę. Ostre przyprawy i gorący napój. Łuszcząca się skórka i płynne modlitwy.

Opowiadał jej o swoich kolegach, o niezadowoleniu z pracy, o odwiedzinach ciotki, próbującej uparcie wyswatać go z siostrzenicą swojej przyjaciółki, o filmie, który oglądał poprzedniego wieczoru... I sprawił, że ona też zaczęła się otwierać. Kiedy więc pociąg zatrzymywał się na jej stacji, wysiadła niechętnie. Pocieszała ją jednak pewność, że będzie następny dzień. To wystarczy, myślała Akhila.

Stopniowo zaczął wypełniać wszystkie jej myśli. Przerzywała jakąś czynność i zaczynała chichotać, bo przypominała sobie jakiś jego niemądry żart. Slogan na afiszu przywodził jej na myśl zwrot, którego kiedyś użył. Patrzyła, jak matka wyłamuje palce i myślała o tym, że to zawsze była pierwsza rzecz, którą robił, kiedy tylko usiadł na swoim miejscu w pociągu. Uśmiech na twarzy obcego mężczyzny przypominał jej, jak mruży oczy, kiedy się uśmiecha...

Rzadkie przypadki, kiedy nie zdążył na pociąg i musiała podróżować samotnie, kładły się cieniem na całym dniu. Wieczorem był zazwyczaj na peronie wcześniej niż ona i na jego widok spowijało ją złociste ciepło.

Akhila mówiła sobie, że jest niemądra. Był od niej znacznie młodszy. Powinna pamiętać, że prawdopodobnie traktuje ją jak starszą siostrę. Kogoś, z kim można wesoło spędzać czas bez obawy, że zechce go złowić i uczynić z niego swoją własność.

Pewnego wieczoru wagon był niemal pusty. Gawędzili przez kilka minut, gdy nagle Hari zamilkł, co było do niego zupełnie niepodobne.

- O co chodzi? - spytała Akhila.

- O nic - odpowiedział.

- Nie, wiem, że o coś chodzi. Nie możesz mi powiedzieć?

- Akhilo - powiedział - musisz przestać traktować mnie, jakbym był twoim młodszym bratem.

- Jesteś młodszy ode mnie - zauważyła.

- To prawda. Ale to nie zmienia faktu, że jestem mężczyzną. Jak długo jeszcze mamy to ciągnąć?

- O czym ty mówisz? - zapytała Akhila, słysząc we własnym głosie ostrą nutę paniki.

- O tym, że powinnaś wreszcie dostrzec we mnie mężczyznę. Mężczyznę, który się tobą interesuje i który jest w tobie zakochany - Hari mówił półgłosem, by nie usłyszał nikt oprócz niej.

Powinna poczuć się szczęśliwa. Wokół tego właśnie obracały się wszystkie jej fantazje.

A jednak usłyszała, jak mówi ostrym głosem: - Przestań, Hari. Nie mów nic więcej, bo wszystko zepsujesz.

- Co zepsuję? - zapytał.

- Hari - powiedziała cicho Akhila. - Czy zdajesz sobie sprawę, co ty mówisz? - Kątem oka dostrzegła zbliżającą się stację. - Zapomnijmy o tej rozmowie.

- Nie mogę - powiedział głosem tak posępnym, że do oczu napłynęły jej łzy.

Gdy wysiadła z pociągu, zawołał za nią: - Pomyśl o tym. O nic więcej cię nie proszę.

Ludzie na peronie drgnęli, zaskoczeni. Akhila odeszła najszybciej, jak mogła, udając, że nie słyszy.

Kiedy nazajutrz rano wyszła z domu, sprzedawca nafty zatrzymał się na jej widok i zawołał przez ulicę:

- Idzie pani dzisiaj do pracy? Nie słyszała pani, co się stało?

- O czym nie słyszałam? - spytała Akhila, uderzona nagle niezwykłą jak na tę porę ciszą.

- Purat talajwar nie żyje. Umarł dziś rano. Będą kłopoty, więc niech lepiej zrobi pani zapasy. Pani tego na pewno nie pamięta, ale kiedy umarł Anna Durai, miasto oszalało. Teraz będzie tak samo albo jeszcze gorzej. Niech pani kupi, co będzie pani mogła, i niech pani szybko wraca do domu. Ja też muszę lecieć. - Sprzedawca nafty ujął rączki swojego wózka i ruszył przed siebie.

Akhila stała na chodniku, wahając się, co ma uczynić. Jak to możliwe, żeby człowiek, który nosił w pomieszczeniach futrzaną czapkę i ciemne okulary, mógł zmienić bieg jej życia, pomyślała. Purat talajwar. Wódz Rewolucji. Naczelnny minister. Może sobie nie żyć, ale ona musi jechać do pracy. Musi zobaczyć się z Harim. Musi powiedzieć mu, że nie powinien widzieć w niej kobiety; że są tylko przyjaciółmi.

Prowadząc swój rower, w ulicę skręcił roznosiciel mleka. Zobaczył Akhilę zdążającą w kierunku stacji i zawołał: - Niech pani nie jedzie do pracy, Madame. Utknie pani w mieście. Zjadą tam tłumy ludzi i po południu zaczną się zamieszki.

Handlarz solą dorzucił swoje trzy grosze: - Wszyscy wiedzieli, że był umierający, ale nikt się nie spodziewał, że to naprawdę nastąpi. My, biedacy, straciliśmy naszego jedyne go opiekuna. Nigdy nie będzie drugiego takiego człowieka. - Jego oczy napełniły się łzami. Odstawił worek z solą i przysiadł na piętach. Wbił wzrok w jakiś odległy punkt, jakby zbierał cały swój smutek, i po chwili zaczął płakać. - Co nam zostało w naszym życiu? Talajwar nie żyje. Utraciliśmy obrońcę i ojca.

Roznosiciel mleka, młody mężczyzna studiujący na politechnice inżynierię chłodnictwa, rzucił jej spojrzenie. Jego sens był zupełnie jasny: Oto, co będziemy oglądać dzisiaj i przez wiele następnych dni. Rozpaczyliwy żal, który szybko wyrwie się spod kontroli. Chce pani w tym utknąć? Niech pani idzie do domu. Niech pani zamknie za sobą drzwi i poczeka, aż to się skończy.

Akhila pomaszerowała do domu, kupując po drodze jarzyny i trochę jedzenia na zapas. Na rogach ulic zbierały się grupki mężczyzn, niektórzy z nich wymachiwali kijami. Kim oni wszyscy są?, zastanawiała się. Nagle Akhila pomyślała o Harim. Czy Hari zaryzykuje i pojedzie do pracy? Czy będzie czekał na nią w pociągu? Czy będzie zastanawiał się, co się z nią stało? W takich momentach, jak ten, wychodziły na powierzchnię ukryte antagonizmy. Czy motłoch spojrzy na niego i zobaczy, że pochodzi z północy kraju? Czy potną mu twarz i pobiją do nieprzytomności?

Miliony rozpaczły po umarłym. Rozpacz szybko przerodziła się w przemoc. Rozbijano wystawy i plądrowano sklepy. Opozycyjni politycy przyczaili się, obawiając, że wściekłość tłumu może zwrócić się przeciw nim. Kilka osób popełniło samobójstwo, nie mogąc znieść myśli, że ich talajwar nie żyje.

Gazety wypełniały doniesienia o aktach przemocy i podpaleniach. Radio nadawało piosenki z filmów, w których grał talajwar. Tylko że wtedy nazywał się Makkal Thilagam. Idol ludu. Mimo że Akhila nie darzyła go bynajmniej podziwem ani jako aktora, ani jako polityka, smutek wdarł się także w jej życie, splatając z uczuciami do Hariego, tak że nie wiedziała już, czy oplakuje tego, co umarł, czy tego, co żyje. Czy jest bezpieczny? Czy nic mu się nie stało?, martwiła się. Dlaczego nigdy nie przyszło jej do głowy zapytać go o adres albo o numer telefonu wuja, który mieszkał obok i miał sklep z wyrobami włókienniczymi? Jak zdoła dotrzeć do chwili, kiedy zobaczy go znowu?

Rok dobiegał powoli końca. Minęły dni rozpacz i zdecydowanie Akhili osłabło. Pragnęła zobaczyć Hariego, być z nim. I nic nie było ważniejsze od tego.

Tydzień po śmierci talajwara życie wróciło do normy. Akhila w pośpiechu odbębniła poranne obowiązki, chcąc zdążyć na stację przed czasem. Kiedy nadjechał pociąg, wskoczyła do wagonu pierwszej klasy. Omiotła spojrzeniem jego wnętrze, i on był tam. Kiedy ją zobaczył, uśmiechnął się i wstał, i ledwo zdołała się powstrzymać, żeby nie rzucić mu się w ramiona.

Akhila powoli szła w jego stronę. Serce waliło jej młotem, a wszystkie niewypowiedziane słowa splątały się w supeł. Zrobiła więc jedyną rzecz, jaka jej przyszła do głowy. Zamiast usiąść, jak zawsze, naprzeciwko, usiadła obok niego.

- Czy to oznacza, że zmieniłaś zdanie? - zapytał.

Akhila skinęła głową, wciąż jeszcze niezdolna wyrazić słowami, co do niego czuje.

- I co teraz? - Jego oddech owionął jej ucho.

Akhila popatrzyła na niego. Nie знаła odpowiedzi na żadne z jego pytań. Nie miała pojęcia, co teraz ani co będzie dalej. Jego oczy spotkały jej wzrok i zatopiły się w nim. I to wystarczy, pomyślała. Zobaczyła w jego oczach wszystko, o czym mogła marzyć kobieta.

Siedzieli w milczeniu, oparci o siebie, ich myśli tworzyły jeden wir. Obłok robaczek świętojańskich, powiązanych niewidzialnymi nićmi.

Ich związek przeszedł na inny poziom. Chwile milczenia przygniatały ich teraz ciężarem niewypowiedzianych uczuć. Przelotne spojrzenie wyrażało tysiące znaczeń, a zwykle muśnięcie dłoni rozpalało płomień. Strzelający snopem iskier, od których topniał rozsądek: Dotknij mnie, przytul mnie, kochaj się ze mną...

Co wieczór przychodził po nią do biura i zabierał na spacer po Sterling Road. Wkrótce pozwoliła mu trzymać się za rękę. Pewnego wieczora Hari objął ramieniem jej talię. Poczwała dotyk jego ciała; nacisk palców na skórze. Zapragnęła odwrócić się i przywrzeć do niego, wyprzeć ze świadomości wszystko poza nim, niech cały świat roztopi się we mgle. Kiedy skręcali za róg, minął ich policjant na rowerze. Zatrzymał się, mierząc ich podejrzliwym wzrokiem. Pokiwał zgiętym palcem. - Kto to jest? - spytał Hariego.

Mimo ciemności Akhila dostrzegła, jak podskoczyło mu jabłko Adama, kiedy przełykał ślinę. - Moja żona - powiedział.

Policjant przyjrzał jej się badawczo. Akhila widziała, że jego wzrok spoczął na czarnym wisiorku na złotym łańcuszku, który nosiła na szyi. Mógł ująć za tali. Chronił ją przez długi czas; chociaż nie było to tradycyjne tali, zniechęcał ludzi do spekulowania, czy jest zamężna, czy nie.

- To twoja żona?

Niedowierzanie w głosie policjanta, drwina w jego oczach sprawiły, że Akhila skuliła się ze strachu. Dlaczego Hari nie mógł powiedzieć, że jest jego starszą siostrą, ciotką, sąsiadką.

- Cóż... - powiedział policjant. - Jeśli jesteście mężem i żoną, powinniście robić to, co robicie, w zaciszu waszego domu, a nie na ulicy, przy ludziach.

Na kilka dni powrócili do przytulania się w pociągu. Ale wkrótce Hari i Akhila zaczęli szukać miejsc, w których mogliby być razem, nie wystawiając się na potępiające spojrzenia ludzi i policjantów.

Jak wielu innych w tym mieście, wybierali na swoje randki plażę i odludne parki. W cieniu wieczora, zagłuszani hukiem fal, osłonięci piaskiem, skrzepowani ubraniami, zostali kochankami. Tyle tylko, że w odróżnieniu od ich wcześniejszej przyjaźni, był to trudny związek, nabrzmiały ciemnością.

Kochanie go przyszło jej naturalnie, i kiedy przynosił swoje pożądanie, jej ciało czekało na niego, by dawać radość i upojenie. Akhila znajdowała rozkosz w jego upojeniu, wiedząc, że chociaż jest starsza od niego, jej ciało nadal jest jędrne i młode, i że potrafi go zadowolić.

Z początku to im wystarczało. Niespieszne wypady, powolne odkrywanie, ale wkrótce chcieli więcej i kiedy rozstawali się, by wrócić do domu, towarzyszyło im zawsze poczucie czegoś niedokończonego. Kładąc się na tych kradzionych zmierzchach ciemnym fioletem niespełnienia, potęgującego jedynie gorączkę następnego spotkania.

Czasami Akhila żałowała, że nie mogą wyjechać gdzieś razem i spędzić ze sobą całej nocy. Chciałaby spać w jego ramionach i obudzić się, czując na policzku szorstkość jego zarostu. Tak wielu rzeczy o nim nie wiedziała: Czy wolał sypiać na prawym czy na lewym boku? Mył zęby przed czy po kąpieli? Iloma łyżeczkami cukru słodził kawę? Zaczynał czytać gazetę od pierwszej czy od ostatniej strony? Zasympiał, ledwo przyłożył głowę do poduszki, czy też sen przychodził do niego dopiero po długich namowach?

Zamierzali kiedyś się pobrać, ale Hari powiedział, że będą musieli poczekać, dopóki nie wyjdzie za mąż jego młodsza siostra. Zostało jej jeszcze tylko kilka miesięcy do ukończenia college'u i rodzina zaczęła już roz-

głądać się za odpowiednim mężem. Akhila rozumiała to. Wiedziała, że wystarczy cień skandalu, by wypłoszyć ewentualnych narzeczonych. A jednak.

- Jesteś pewien? Jesteś pewien? - płakała, ale zapominała o tym szybko, gdy jego usta i dłonie znajdowały sposób, by uspokoić szalejące demony.

Tydzień przed dwudziestymi dziewięciami urodzinami Hariego siedzieli w ustronnym zakątku Marina Beach Park. Słońce już prawie zaszło i silny wiatr podrywał skraj jej sari.

Zanim zostali kochankami, rozmawiali bez wytchnienia. Wypowiadała na głos wszystkie swoje myśli. Lecz teraz starannie dobierała słowa. Bała się, że jeśli nie będzie stąpać ostrożnie, potknie się i wszystko utraci.

Kilkakrotnie Akhila próbowała powiedzieć mu, jak wiele dla niej znaczy; jaką wagę ma dla niej ta miłość. Ale Hari patrzył na nią, nie rozumiejąc. Ludzie zakochiwali się; ludzie pobierali się i żyli razem. Jego miłość była uczuciem nieskomplikowanym i nie potrzebowała wyjaśnień ani uzasadnienia. To tylko Akhila ciągle na nowo próbowała poddawać to uczucie drobiazgowej analizie, nie dochodząc jednak do żadnej definitywnej konkluzji.

- Za dużo myślisz - powiedział, kiedy patrzyła w horyzont ogarnięta nagle ogromnym smutkiem. Akhila nie wiedziała, dlaczego czuje się, tak jak się czuje. Powinnam być szczęśliwa, myślała. Ale nie potrafiła czuć się inaczej, zmiażdżona ciężarem tej miłości.

- Nie zapytałaś mnie, co chcę dostać na moje urodziny - powiedział z przebiegłym uśmiechem.

- Co chcesz dostać na urodziny?

Wolno przesunął palcem po jej łokciu. - Wiem, co chcę dostać, ale myślę, że mi tego nie dasz.

- Przestań się droczyć. Co to jest?

- Chciałbym ujrzeć cię nagą.

Twarda pięść uderzyła ją w piersi. Nagle zdała sobie sprawę z dzielących ich lat. To mówił chłopiec. Mężczyzna miałby więcej taktu...

- Wyjedziesz ze mną na weekend? Po drodze do Mahabalipuram jest taka przyjemna miejscowość wypoczynkowa. Możemy pojechać tam w piątek wieczorem i wrócić w niedzielę po południu - powiedział. - To wszystko, czego chcę od ciebie na urodziny.

Kiedy Akhila nie odpowiedziała, zmienił ton na żałośnie przymilny.

- Proszę, Akhilo. - Czując, jak jego spojrzenie wwierca się w jej oczy, poddała się, jak zwykle. Taki był ciężar tej miłości.

Dwa dni później Akhila powiedziała Ammie, że wybiera się na weekend z grupką kolegów z pracy.

- Jedziemy do Mysore - powiedziała, myśląc, jak łatwo jest kłamać.

- Nie wiem, po co chcesz wyjechać z obcymi ludźmi - powiedziała Amma. - Może powinnaś najpierw spytać o pozwolenie swoich braci.

- Ammo, jestem ich starszą siostrą. Dlaczego miałabym prosić ich o pozwolenie na wyjazd na wycieczkę z pracy?

- Może i jesteś starsza, ale jesteś kobietą, i to oni są mężczyznami w naszej rodzinie - powiedziała Amma, nie próbując nawet ukryć niezadowolenia.

- To śmieszne. Nie będę prosić ich o pozwolenie, żeby pojechać na wycieczkę. Wolę w ogóle nie pojechać - powiedziała Akhila, wychodząc z pokoju.

Następnego poranka milczała jak głaz, dopóki Amma nie poddała się. Akhila wiedziała, że tak będzie. - Jeśli jesteś pewna ludzi, z którymi wyjeżdżasz, to chyba nie ma problemu. Ale bądź ostrożna. Jesteś niezamężną kobietą, a przecież wiesz, jak niewiele trzeba, żeby ktoś dodał dwa do dwóch i wyszło mu pięć.

Ammo, chciała powiedzieć Akhila, Ammo, jestem zakochana w tym chłopcu. Musi być w wieku naszego Narsiego, ale kocha mnie prawdziwą miłością. Naprawdę, Ammo. Pamiętasz, jak to było z tobą i Appą? Tak właśnie jest teraz z nami. To z nim wyjeżdżam. Jedziemy nad morze. Specjalnie wybrał noc, kiedy będzie pełnia i powiedział, że będziemy siedzieli na plaży i kapali się w blasku księżyca. Jest romantyczny, Ammo, tak jak Appa. Jestem przy nim taka szczęśliwa, jak dawno przy nikim nie byłam. Zapomniałam już, co to znaczy być kobietą, a on sprawił, że znowu się nią poczułam. Żałujesz mi tej miłości, Ammo? Zakażesz mi jej?

Ale jak Akhila mogła powiedzieć to Ammie? Amma nigdy by tego nie zrozumiała. W jej świecie mężczyźni poślubiali kobiety młodsze od siebie. Kobiety nie ofiarowywały swego ciała mężczyznom, dopóki ich związku nie uświęcił święty węzeł małżeństwa. Kobiety nie wyjeżdżały z mężczyznami, którzy nie byli ich mężami. Kobiety nie wiedziały, co to pożądanie.

Księżyc lał dla nich swój blask. Dla Akhili i Hariego. Pełny i złocisty, srebrzył grzebienie fal. Siedzieli na plaży i Akhila myślała: To musi być najszczęśliwsza chwila mojego życia.

Troszkę później wrócili do jednej z chat, ustawionych na palach na piasku. Akhila słyszała brzęk szkła i męski śmiech. - Zajdę na drinka. Nie masz nic przeciwko temu? - zapytał Hari.

Potrząsnęła głową. Wszyscy młodzi mężczyźni piją dzisiaj alkohol. Akhila wiedziała o tym, a poza tym bała się, że jeśli go poprosi, by tego nie robił, pomyśli sobie, że znowu zachowuje się jak starsza siostra.

W czterech ścianach pokoju Akhilę ogarnęło uczucie skrępowania. Co ja tu robię? Dlaczego to robię?, zawodził monotony głos w jej głowie. Hari stał na balkonie, paląc papierosa. Akhila zgasiła światło i przebrnęła przez wieczorne ablucje przy świetle księżyca. Wsunęła się do łóżka kompletnie ubrana. Kiedy Hari usiadł przy niej, poczuła zapach alkoholu w jego oddechu. Podnieciła ją ta obca woń, wywołując dreszcz w kręgosłupie.

- To nie fair - powiedział. - Gdzie mój urodzinowy prezent?

- Co... masz na myśli? - wyjąkała Akhila.

- Wiesz, co mam na myśli - powiedział i czekał, z błyszczącymi oczyma patrząc, jak Akhila powoli rozbiera się dla niego.

Tej nocy po raz pierwszy uprawiali miłość. Prawdziwą, dorosłą miłość, a nie wstępne pieszczoty, które składały się dotąd na całkowitą sumę ich kochania. Na początku bolało, ale potem zatraciła się w upojeniu bycia z nim i ból ustąpił miejsca zadowoleniu.

Rano Akhila obudziła się pierwsza. Słoneczny blask lał się strumieniem na ich twarze. Patrzyła na swoje i jego ciało, zaplątane w prześcieradła, na rozrzucone po podłodze części ubrania... Jego twarz była taka młoda i gładka. Lustro nie kłamało w jasnym świetle dnia. Akhila widziała ślady, jakie wiek pozostawił wokół jej oczu. Zmarszczki, świadczące o latach. Akhila zrozumiała, co ich czeka. Młody mężczyzna i starsza kobieta. A pędzący czas będzie to tylko pogarszać.

Akhila pomyślała o oderwanych komentarzach, fruujących w powietrzu poprzedniego wieczora. Znoszonych przez wiatr do jej uszu.

„To musi być jego starsza siostra”.

„Zwariowałaś. Czy mężczyźni zabierają w takie miejsca swoje siostry?”.

„Po prostu starsza kobieta, która znudziła się swoim mężem i poszukała sobie młodego byczka, żeby się trochę rozerwać”. „Chyba coś więcej niż tylko rozerwać”.

Akhila skuliła się ze wstydu. Zabołały ją te słowa. A teraz bołały nawet bardziej. Pomyślała o policjancie na rowerze. Pomyślała o wszystkich zdziwionych spojrzeniach, rzuconych w ich stronę w restauracjach, w kinach, w pociągu. Stanowili anomalię, Hari i Akhila, i nic, co mógłby powiedzieć, nie zdoła tego odmienić.

Czy tego właśnie chce?, pytała siebie Akhila. Ciągłego bólu. Ciągłego strachu, że zestarzeje się przed nim i że się od niej odwróci. Że pewnego dnia zacznie żałować, że z nią jest, że dla niej odtrącił rodzinę, że jest do niej przykuty, zamiast być z kimś młodszym bardziej odpowiednim. Brzemienia zbyt ciężkiej miłości, która zniszczy wszystko i zostawi ją z niczym, odbierając nawet szacunek dla samej siebie.

Akhila patrzyła, jak śpi, na prawym boku, wtulony w jej ciało. Akhila patrzyła, jak się budzi. Jak otwiera oczy, obraca się na plecy i przeciąga. Akhila patrzyła, jak myje zęby i zobaczyła, że najpierw goli lewy, a potem prawy policzek. Że najpierw bierze prysznic, a dopiero potem pije kawę, którą słodzi dwoma łyżeczkami cukru. Że zaczyna czytanie gazety od stron ze sportem. Akhila patrzyła na niego przez cały dzień i przez całą noc, i za każdym razem po miłości zasypiał jak dziecko. Błyskawicznie.

W pociągu, który wiozł ich z powrotem do domu, ujęła jego dłonie i powiedziała: - Hari, to jest pożegnanie. Nigdy więcej się z tobą nie spotkam.

Na jego twarzy odmalował się szok. - Dlaczego? Co ty mówisz? Akhilo, co jest nie tak? Co zrobiłem źle?

- Wszystko jest nie tak, Hari - powiedziała Akhila. - Przez cały ten czas próbowałam wmówić sobie, że to nie ma znaczenia. Że potrafimy zasypać miłością przepaść dzielących nas lat. Ale ja nie potrafię. Za każdym razem, kiedy widzę, że ktoś na nas patrzy, wiem, że się zastanawia, co on robi ze starszą od siebie kobietą? To mnie męczy, Hari. To mnie bardzo męczy. Że jestem od ciebie starsza i że wyglądam starzej, i nie mogę żyć z myślą, że pewnego dnia zaczniesz żałować, że jesteśmy razem, że możesz się ode mnie odwrócić i że zostanę z niczym; nie będę miała ani ciebie, ani mojej rodziny.

- Skończyłaś? - zapytał Hari. Akhila widziała, że jest wściekły. Wściekły, a także zmartwiony. Ale to ona była starsza i to ona musiała przeciąć łączące ich więzy.

- Tak - powiedziała. - Skończyłam i już nigdy więcej się z tobą nie zobaczę. Proszę, nie dzwoń do mnie do pracy i nie próbuj się ze mną spotkać. Bo inaczej będę musiała wyjechać z miasta. Kocham cię, Hari. I może już nigdy nie pokocham nikogo innego, ale to nie jest nam pisane.

Nie dasz mi żadnej szansy?, błagały jego oczy. Ale Akhila wstała i wysiadła z wagonu.

Tego wieczora napisała list do Katherine. Przez jakiś czas pisywały do siebie regularnie. Ale Akhila trzymała Hariego w tajemnicy nawet przed nią. Teraz pisała do niej o swojej miłości, o smutku, który rozsiadł się jej na piersi, i pisząc, próbowała wyjaśnić, dlaczego musiała zrobić to, co zrobiła. Czy Katherine zrozumie?, zastanawiała się. Czy pochwali jej decyzję? Czy Katherine postąpiłaby tak samo?

Rano Akhila zrozumiała, że nawet Katherine nie potrafi opowiedzieć o tej miłości. Podarła list, zadzwoniła do koleżanki z pracy i powiedziała, że jej matka jest chora i że bierze dwutygodniowy urlop. Powiedziała Ammie, że musi wykorzystać zaległy urlop, i została w domu. Przez następne dwa tygodnie rozpamiętywała każdą spędzoną razem chwilę, a potem wróciła do pracy. Jeździła pociągiem o 6.55, a wracała później niż dotąd. Ich ścieżki więcej się nie zeszły.

Czasami Akhila dostrzegała w tłumie linię policzka albo łuk czoła, i jej serce przyspieszało swój rytm: Hari. Ale to nigdy nie był Hari, a nawet gdyby był, Akhila udawała, że go nie widzi.

#

Akhila zwinęła się na boku, przyciągając kolana do piersi. Nagle poczuła się samotna i opuszczona. Czy popełniła błąd, zrywając z Harim? Czy może jednak zrobiła to, co należało? Co ją właściwie hamowało? Jak strząsnąć z siebie okruchy żalu, który tak uparcie się jej trzyma?

Jeśli dam sobie do tego prawo, może ja też osiągnę szczęście? Gwałtowne ogrzanie, magiczne zadowolenie, wewnętrzny spokój, płynące z wiedzy, że dotychczasowe lata nie upłynęły na próżno i że w przyszłości czeka ją coś więcej niż to, co nauczyła się uznawać z rezygnacją za swój los. Może nie jest jeszcze za późno, myślała Akhila. To, co straciła, jest nie do odzyskania, ale może życie rzuci jej drugą szansę. Tak jak to było z Dżanaki. I z Margaret też, na swój pokręcony sposób.

A potem Akhila przypomniała sobie, że przecież były zadatki na drugą szansę, tylko że ich nie rozpoznała we właściwym momencie...

#

Kiedy pięć lat wcześniej umarła Amma, życie Akhili znowu poplątało swój rytm. Co powinna zrobić? Jak ma żyć sama?

Po wielu dyskusjach postanowiono, że Akhila poprosi o przeniesienie do Trichy, gdzie mieszka Narsi, albo do Bangaluru, gdzie mieszka Padma. Narayana często przenoszono z miejsca na miejsce, zamieszkanie wraz z nim nie wchodziło więc w grę.

Kierowniczka działu Akhili załatwiła jej przeniesienie do Bangaluru i tak się skończyło jej życie w Ambattur. Należało jeszcze tylko spakować tych kilka drobiazgów, które stanowiły jej własność, i oddać klucze Narayanowi. Dom nie należał do nich i wszystko, co musieli zrobić, to podzielić pomiędzy Narayana i Narsiego trochę mebli i sprzętów gospodarstwa domowego.

Wieczorem Akhila opróżniła stalową szafę, która stała w rogu środkowego pokoju. Pamiętała dzień, kiedy ją przywieziono. Amma od dawna marzyła o takiej szafie; wszystkie sąsiadki już taką miały. Obrzucała pogardliwym spojrzeniem drewniany mebel, który wniosła w posagu, i powtarzała: „Nie musi być zaraz od Godreja, może być nawet coś tańszego. Nasze ubrania śmierdzą stęchlizną, a twoje papiery zjadają robaki. Gdybyśmy mieli stalową szafę, wszystko pozostałoby w nienaruszonym stanie...”.

Appie udało się znaleźć sklep meblowy, który zgodził się sprzedać szafę w systemie ratalnym, bez zadatku. Chcieli tylko sześć rat miesięcznych z góry, a potem mógł zabrać szafę do domu i spłacić resztę w ciągu następnych osiemnastu miesięcy.

Kiedy stalowa szafa przybyła na miejsce, każdy miał jakiś szczególny skarb, który chciał w niej schować. Amma przepędziła ich, udając, że się gniewa. - To nie jest miejsce na wasze głupstwa. Będziemy w niej trzymać tylko naprawdę ważne rzeczy. Jak moje jedwabne sari i koszule Appy. Jasne?

Zamykany na klucz schówek stanowił niepodzielną własność Appy, który oświadczył, że będzie trzymał w nim wszystkie swoje ważne papiery. Po śmierci Appy schówek przypadł Akhili.

Pod dokumentami związanymi z jej pracą leżała mała szara koperta z pięcioma kartami noworocznymi. Akhila długo wpatrywała się w nią w milczeniu. Ma je zatrzymać czy wyrzucić? Dlaczego w ogóle je przechowywała?

Akhila otworzyła kartę z datą sprzed pięciu lat. Podpis Hariego, nabazgrany na całą szerokość. Tylko Hari i nic więcej. Co roku posyłał jej kartę, jakby pragnął przypomnieć jej o swoim istnieniu. Ale Akhila nigdy nie chciała podążyć za tą myślą. Co jest skończone, to jest skończone, mówiła sobie.

Ostatnia karta zawierała adres i numer telefonu. Wyprowadziłem się z domu, napisał. Kiedy Akhila dostała tę kartę, ogarnęła ją pokusa, żeby zadzwonić. Ale oparła się jej. Jej życie biegło teraz według ustalonego wzoru i nie chciała go zakłócać. Pięć lat to dużo czasu. Nie dosyć jednak, by zasypać przepaść, która ich dzieli. Teraz może nawet głębszą niż przedtem.

Akhila zaczęła drzeć karty. Spali je, postanowiła. I wtedy, pod wpływem chwilowego kaprysu i dlatego, że nie potrafiła tak zupełnie z nim zerwać, wyjęła malutki notes, który kupiła, żeby zapisywać w nim nazwiska i adresy kolegów z pracy, i starannie zapisała adres i telefon Hariego. Oto jego miejsce w jej życiu, powiedziała sobie. Nazwisko pośród kilku innych. Nagle Akhila pomyślała o Sarasi Mami i Dżai.

Nieco później tego samego wieczoru Akhila poszła do domu Sarasy Mami. Już dawno powinnam była to zrobić, mówiła sobie, idąc ulicą. Nie powinnam była zostawiać Sarasy Mami i dzieciaków. To nic, że Amma byłaby zła, należało ich odwiedzić, żeby wiedzieli, że nic się nie zmieniło.

Stanąwszy przed domem Sarasy Mami, zawahała się. Drzwi, zawsze ozdobione girlandą plastikowych liści mango, były nagie i zamknięte. Zniknął biały kolam, namalowany na schodach. Co się stało z Sarasą Mami? Czyżby już całkiem porzuciła swoje poprzednie życie? Przez jedno z otwartych okien Akhila dostrzegła niebieskawy blask telewizyjnego ekranu. Patrzyła w zdumieniu. W końcu nacisnęła dzwonek, jeszcze jedną osobliwość tych drzwi, które przedtem zawsze stały otworem.

Otworzył obcy mężczyzna. - Tak? - zapytał.

Akhila poczuła, że na czoło występują jej kropelki potu. Czy to jeden z mężczyzn Dżai?

- Sarasa Mami... - powiedziała. - Czy zastałam Sarasę Mami?

Mężczyzna przyglądał jej się przez chwilę, jakby próbował wysondować, kim ona jest. Wreszcie westchnął. - Nikt taki tu nie mieszka. Wprowadziliśmy się do tego domu cztery lata temu. Stał już wtedy pusty od jakichś sześciu miesięcy. Właściciel nie mógł znaleźć porządnym lokatorów. Kiedy zaczęliśmy tu mieszkać, zrozumieliśmy dlaczego. Przyjechałem tutaj, bo dostałem przeniesienie i nie miałem pojęcia o historii tego domu.

- Nie wie pan, co się z nimi stało? - zapytała Akhila, której nic innego nie przyszło do głowy.

Mężczyzna wzruszył ramionami. - Nie... ktoś mówił mojej żonie, że dostali eksmisję i że przenieśli się do... - zawahał się - do Kodambakkam.

Akhila spuściła z zakłopotaniem głowę. Zrozumiała, co oznaczała ta chwila wahania. Pytanie: co możesz mieć wspólnego z rodziną, która przeniosła się do dzielnicy słynącej z prostytutek?

- Ale skąd pani ich zna? - spytał mężczyzna, nie mogąc ukryć zaciekawienia. Wyglądasz zbyt szacownie, żeby mieć coś wspólnego z rodziną o takiej reputacji, mówił wyraz jego twarzy.

Akhila popatrzyła mu w oczy, zastanawiając się nad odpowiedzią. Co by o niej pomyślał, gdyby powiedziała, że rodzina Sarasy Mami i jej własna stanowiły niegdyś niemal jedną rodzinę? Potem, w przystępie bezczelności, powiedziała: - Nasze rodziny przyjaźniły się ze sobą - lecz nagle opuściła ją odwaga i dodała - ale już dawno straciliśmy z nimi kontakt.

- To wszystko wyjaśnia. Wobec tego nie wie pani, co się z nimi stało. Ani że córka została, no wie pani... - przerwał, niezdolny wypowiedzieć słowa „ prostytutka”.

Akhila odwróciła się na pięcie i odeszła. Dlaczego tak długo zwlekałam? Dlaczego aż dotąd brakło mi odwagi? Lecz gdybym nawet ją miała, co mogłabym dla nich zrobić?

Ostatniej nocy przed opuszczeniem domu Akhila leżała, nie śpiąc. Nigdy już tu nie wróci. Czy tak właśnie czuje się panna młoda w przeddzień ślubu? Albo ciężarna, gdy jej trzewiami wstrząśnie pierwsza fala bólu? Lęk. Podniecenie. Zwariowana huśtawka, od kompletnego odrętwienia myśli do eksplozji napiętych zmysłów.

Moje życie zmieni się bezpowrotnie. Moje życie nigdy już nie będzie takie samo - powtarzała monotonnie Akhila, jakby to była mantra do bogini. O ochronę. O bezpieczeństwo. O błogosławieństwo. O nowy początek.

#

Mieszkanie zostało zaprojektowane z myślą o rodzinie. Złożonej z męża, żony i dwójki dzieci, zgodnie z wyobrażeniami rządu.

Akhila pomyślała, ile wysiłku wkładają władze w utrzymanie w korbach rosnącej populacji i zachichotała. Zaczynało się od cikliwych sloganów, zachęcających do planowania rodziny. Odwrócony czerwony trójkąt słał z pak ciężarówek, z pojemników na śmieci i z daszków przystanków autobusowych to samo radosne przesłanie - Nas dwoje, nasza dwójka; mała rodzina, szczęśliwa rodzina. Następnie były urlopy macierzyńskie. Kobietom zatrudnionym w budżetówce urlop macierzyński przysługiwał tylko dwukrotnie. Potem mogły skorzystać jedynie z urlopu na zabieg przerwania ciąży. A teraz jeszcze te mieszkania. Ale co by nie mówić, było to zdrowsze od tego, co robili kilka lat wcześniej: od zmuszania mężczyzn, by wbrew swej woli poddawali się w ośrodkach planowania rodziny zabiegowi przecięcia nasieniowodów. Słyszała, że w nagrodę, albo może tytułem rekompensaty za niezdolność do zaludniania świata kolejnymi dziećmi, otrzymywali plastikowe wiadro i pięćdziesiąt rupii.

Głównym pomieszczeniem mieszkania był duży pokój, mogący bez trudu pomieścić trzyosobową kanapę, dwa fotele i stolik do kawy. A jeśli komuś naprawdę na tym zależało, pod ścianą dawało się jeszcze wcisnąć stół. Tutaj rodzina mogła spędzać wspólnie czas, oglądać telewizję i przyjmować gości. Były jeszcze dwa sąsiadujące ze sobą pokoje, do których wchodziło się z dużego. Dwie sypialnie, wyposażone w otwarte szafy i ogromne okna. Kuchnia, długa i wąska, biegła przez całą szerokość domu na tyłach dużego pokoju. Miała werandę, częściowo osłoniętą kratą. Do werandy, w tylnej części domu, przylegały też toaleta i łazienka. Z trzech

stron mieszkanie otaczał niewielki ogródek. Czwartą zajmowała jego dokładna replika. Wewnętrzna ściana biegnąca przez całą szerokość domu łączyła bliźniacze mieszkania, niczym bliźnięta syjamskie zrosnięte ze sobą biodrami. Na górze były dwa identyczne mieszkania, ale jako że nie miały ogrodu, rozumiało się samo przez się, że taras należy do nich.

Być może zbudowanie całego bloku mieszkań było tańsze. Albo może rząd uznał, że przydzielenie pracownikowi nie na takim znowu wysokim stanowisku samodzielnego domu zachęci go, lub ją, do wynoszenia się ponad swoją pozycję społeczną. A może myśleli, że wspólna ściana i kuchenne zapachy sprzyjają narodowej integracji.

Akhili było zresztą wszystko jedno. Była zachwycona samą perspektywą posiadania domu tylko dla siebie. Myślała o tym, że jej życie zaczyna wreszcie nabierać kształtów. I wtedy usłyszała, jak Padma mówi: - Jest trochę staroświeckie. I ma podstawowy standard. Widziałas kuchnię? Nie spodziewałam się zlewu ze stali nierdzewnej, ale myślałam, że będą chociaż kafelki. I blaty ze zwykłych cementowych płyt... nawet nie mozaikowych.

Akhila milczała. Nieważne, co mówiła Padma, ona była zakochana w swoim nowym małym mieszkanku. I wtedy Padma dodała: - Ale ma swój urok. I doskonale nadaje się dla nas.

Jakich „nas”? chciała spytać Akhila. Czy nie nadszedł czas, żebyś pozwoliła mi żyć moim własnym życiem?

- Wiem, że będziemy tu bardzo szczęśliwi. Będę mogła na piechotę odprowadzać dziewczynki do szkoły. Sklepy są tuż za rogiem, a sąsiedzi wydają się bardzo sympatyczni.

Akhila patrzyła na nią w osłupieniu. Wyobrażała sobie, że Padma ucieszy się, że odzyska wreszcie swój własny dom. Akhila mieszkała z nią przez ostatnie dziewięć miesięcy, czekając na zatwierdzenie przydziału mieszkania, i nie był to łatwy czas. Wiele razy musiała sobie powtarzać, że ta kobieta, podgryzająca jej nerwy niczym nieustraszona mysz, jest jej siostrą. Z krwi i kości. Powinna więc wybaczyć Padmie, że małżeństwo i macierzyństwo uczyniły z niej istotę gruboskórną i apodyktyczną. Która teraz oto zamierza wprowadzić się do niej.

Akhila myślała o kluchach pasty do zębów i włosach w umywalce, o śladach brudnych łapek córeczek Padmy na jej nieskalanie białych ścianach i na kartkach czasopism, o zabawkach, o które bez przerwy się potykała, o rozrzuconej pościeli na jej starannie posłanym łóżku, o pożyczanych bez pytania sari, o nieustannym jazgocie telewizora, o zapachach, o hałasie, o bałaganie, o wtrącaniu się... i zdusiła drapiący w gardle szloch.

- Ale czy to spodoba się Murthy'emu? Na pewno poczuje się urażony pomysłem, że ma zamieszkać pod moim dachem - powiedziała Akhila, usiłując zapanować nad paniką w głosie. Murthy, mąż Padmy, był całkowicie pozbawiony ambicji. Ale Akhila w rozpacz chwytała się najdrobniejszej słomki.

- Och, nie będzie miał nic przeciwko temu. Kiedy już dostanie awans, będzie musiał podróżować po całym południu. Dzisiaj w Madrasie. Dwa dni później w Hyderabad. A za tydzień w Hubli... a ja wcale nie mam ochoty zostawać sama z dziewczynkami. Po co zresztą prowadzić dwa domy, skoro możemy mieszkać razem? Poza tym, jak mogłabyś mieszkać sama? - ucięła stanowczo Padma i Akhila wiedziała, że planuje już, gdzie co postawi i jaką tkaninę wybierze na zasłony.

- Ale... - zaczęła Akhila. I wtedy Padma wyciągnęła z rękawa swoją atutową kartę, która jak wiedziała, usunie wszelkie obiekcje: - Akka, sama sobie nie poradzę.

Akhila żałuje, że wtedy się nie odezwała. Akhila żałuje, że nie przyznała się przed sobą do tego nieprzepartego pragnienia i nie powiedziała Padmie, jak bardzo pragnie zamieszkać sama. Zamiast to zrobić wycofała się w milczeniu.

Nieprzyjemne milczenie, które co i raz pryskało, zasypując wszystko odłamkami szkła. Raniąc skórę i tocząc krew. Akhila niemal zawsze po fakcie żałowała tych wybuchów. Bo też ponosiła za nie winę w nie mniejszym stopniu niż Padma. Trzeba było zebrać się na odwagę i przemówić. A nie dać namówić się Padmie na wspólne mieszkanie. I pozwolić, by sączący się żal lizał jej stopy, sycząc: Byłoby inaczej, gdybyś mieszkała sama. To wszystko nie było konieczne.

Potem pojawiła się kwestia jajka. Może to właśnie wtedy Padma zaczęła starannie dobierać jedwabne nici, którymi haftowała jej reputację.

Na dziewięć miesięcy Akhila musiała wyrzec się rozkoszy jajka. W końcu mieszkała przecież w domu Padmy i nie miała bynajmniej zamiaru denerwować siostry. Ale teraz, kiedy żyła w swoim własnym rzekomo mieszkaniu, postanowiła powrócić do codziennego jajka.

- Co to, u licha, tu robi? - pełen niedowierzania głos Padmy zaszumiał wokół Akhili, kiedy wyjęła pojemnik do jajek od Katherine.

- A na co to, twoim zdaniem, wygląda? - mruknęła Akhila, niezdolna powstrzymać się od kaśliwości.

- Wiem, co to jest. Pytam, co pojemnik na jajka robi w tym domu, w domu braminów? - odparowała Padma.

- No cóż, w tym domu braminów jest ktoś, kto je jajka.

- Kto? - zapytała Padma i nagle zamilkła z otwartymi ustami. - Chcesz mi powiedzieć, że jesz jajka?

Akhila zignorowała ją.

- Jak możesz? Nie wstyd ci? - zaczęła, dotknięta milczeniem siostry.

- Czego mam się wstydzić? To w końcu tylko jajko.

- Jak możesz? - naciskała Padma. - Jesteśmy braminami. Nie wolno nam. To wbrew regułom naszej kasty.

- A jak to było, kiedy lekarz powiedział, że zdrowie twoich dzieci wymaga wzmocnienia i dawałaś im jajko ubite z mlekiem? Wtedy to nie było świętokradztwo? - powiedziała Akhila, dając się wciągnąć w spór.

- To było dla zdrowia. A ty jesz jajka, bo ci smakują. Czy pomyślałaś, co powiedziałyby Amma, gdyby o tym wiedziała?

- Amma wiedziała. I nic nie powiedziała.

- Biedna Amma. Jak bardzo musiało jej to przeszkadzać. Ale widocznie za bardzo bała się twojego ostrego języka, by cię próbować powstrzymać. - Słowa Padmy wbiły się w Akhilę jak nóż. Czy to dlatego Amma nic nie mówiła? Czy moja matka w końcu zaczęła się mnie bać? Czyżbym zmieniła się w potwora z kamienną twarzą i językiem jak brzytwa?

Akhila bez zastanowienia odwróciła się ku Padmie. Spójrz na mnie, chciała zawołać. Jestem twoją starszą siostrą. Dla ciebie i naszej rodziny zrezygnowałam z własnego życia. Czy zdajesz sobie sprawę, co powiedziałeś? Myślałam, że to z miłości traktujecie mnie z takim szacunkiem. A ty mi mówisz, że to był strach?

Ale w oczach siostry dostrzegła tylko błysk triumfu. Padma wiedziała, że zraniła ją w najgorszy możliwy sposób. Chmura wielkiego gniewu zmąciła jej wzrok i Akhila warknęła: - To mój dom i je śli będę miała ochotę jeść jajka albo paradować nago, to będę to robić. Jeśli się komuś nie podoba, może się wyprowadzić.

Usłyszała, jak Padma głośno wciąga powietrze i wiedziała, że tym razem to ona zdobyła punkt.

Przez następne cztery lata Akhila ledwo uchodziła z życiem z wielu podobnych potyczek. Padma zaprzyjaźniła się z kobietami z sąsiedztwa. Większość z nich, jak ona sama, była gospodyniami domowymi i często spotykały się to u jednej, to u drugiej. Padma zaczynała każdą znajomość od poinformowania nowej przyjaciółki, jakim to dziwadłem jest jej siostra. Sąsiadka zza ściany, żona pana Dharmappy, promienna niewiasta o szerokiej twarzy, z dumą opowiadała całemu światu, że jej mąż, nad wyraz kompetentny w swoim zawodzie, w domu wart jest tyle, co niemowlę w powijakach. - Nie potrafi nawet zaparzyć sobie herbaty - oznajmiała, dodając: - Wszystko muszę robić sama. Gdybym postawiła przed nim obiad, nie umiałby nawet nałożyć sobie na talerz.

Padma wydała pełen zrozumienia pomruk. Akhila podsłuchiwała w swojej sypialni. Czekala w rozba-wieniu, jakimż to występkiem Murthy'ego odwzajemni się jej siostra. I wtedy usłyszała:

- Z Akką jest dokładnie tak samo. Jest taka mądra w biurze, ale w domu... - zawiesiła głos. - To już moja Madhawi, chociaż ma dopiero siedem lat, lepiej od niej zna się na gospodarstwie. Wszystko muszę robić za nią. Gotować. Prasować jej ubranie, a nawet przyszywać guziki!

Co takiego jest z kobietami, które poślubiły garnki? Dlaczego nie mogą znieść myśli, że jakaś kobieta może radzić sobie zarówno w domu, jak i poza nim? Akhila zagotowała się z gniewu i oburzenia.

Z początku Akhila pocieszała się myślą, że może Padma nie potrafi jej wybaczyć, iż udało jej się uciec od garów. Może tęskniła za szerszym światem, za niezależnością finansową, którą posiadała Akhila. Ale wkrótce zdała sobie sprawę, że uczucia, jakie żywiła do niej Padma, nabrały złożoności, której nie potrafi już rozwikłać ani tym bardziej sobie z nią poradzić. Padma musiała uczynić z niej kalekę, by sama mogła czuć się kimś pełnym.

Inne popołudnie. Akhila leży w swoim łóżku, nakryta po brodę kocem. Ma grypę. Z dużego pokoju dochodzi szmer głosów. Padma zorganizowała grupę, do której oprócz niej należało pięć innych braminek. Co wtorek spotykały się w domu którejś z nich, by ćwiczyć śpiewanie bhadźanów. Tamtego popołudnia to Padma pełniła rolę gospodyni. Akhila usłyszała, jak jakiś głos pyta: - Może twoja siostra chciałaby się do nas przyłączyć?

- Nie bądź niemądra. Jest chora. Przecież nie może - odpowiedział inny głos.

- Chora czy nie, i tak by nie chciała. Ona jest zupełnie inna - ten głos Akhila rozpoznała od razu. Należał do Padmy.

- Co rozumiesz przez to, że jest inna? - spytał pierwszy głos.

Akhila poczuła do niego cień sympatii.

- Nie jest taka jak my. Nie interesują ją rzeczy, które nam, i wszystkim normalnym ludziom, sprawiają przyjemność. Potrafi być bardzo kąśliwa, kiedy ktoś próbuje wyciągnąć ją z jej skorupy. Nie mam najmniejszego zamiaru pytać jej, czy nie chce się do nas przyłączyć. Wybij więc to sobie z głowy. - Głos Padmy nabrał dokładnie takiej modulacji, że sugestywnie odmalowywał katusze znoszone z powodu nieczulej starszej siostry.

- Ale czy ona nie wierzy w Boga? - spytał niedowierzający głos. - Przecież to bhadźany. Pieśni sławiące Krysznę.

- Nie wiem. Czasami wydaje mi się, że już nawet nie wyznaje hinduizmu. Nie zapala lampy w pokoju poświęconym pudża, nie chodzi do świątyni ani nie odprawia żadnych obrzędów. Kiedy ma okres, dalej podlewa kwiaty. A jeśli spróbuję jej się przeciwstawić, gotowa mi odgryźć głowę.

- To dlaczego z nią mieszkasz? Dlaczego nie zostawisz jej i nie wyprowadzisz się? - spytał pierwszy głos.

Padma westchnęła. - Bardzo bym chciała to zrobić. Ale ona jest moją starszą siostrą, i do tego stara panną. Jeśli się wyprowadzę, zostanie zupełnie sama.

- Są przecież jakieś granice tego, co można znosić.

- To samo mówi mój mąż. Ale bez względu na to, jak okropnie się zachowuje, muszę robić to, co jest moim obowiązkiem. Tego nas przecież uczy nasza religia.

Akhila wiedziała, że nim zapadnie noc, przyjaciółki Padmy poinformują całą okolicę. O tym, jakie męki musi cierpieć biedna Padma. O dziwactwach Akhili. O jej bezbożności. I jakie to dla niej szczęście, że ma siostrę, która z nią mieszka, cierpliwie znosząc jej wszystkie kaprysy.

Akhila wytrzymywała jakoś, przyjmując różniczne formy, inwazję na swoją przestrzeń i prywatność. Najgorsze były jednak noce, które Murthy, mąż Padmy, spędzał w domu. Dziewczynki, Pridżę i Madhawi, przierzucano do sypialni Akhili, gdzie spały z nią w jednym łóżku. A kiedy zgasła światło - bo dziewczynki nie mogły zasnąć, jeśli w pokoju nie panowała całkowita ciemność, a przecież musiały się wyspać, żeby następnego dnia nie przysypiać na lekcjach - przez szparę pomiędzy drzwiami i podłogą zaczynały sączyć się stłumione dźwięki.

Wstrzymany oddech. Pieszczotliwe westchnienie. Szelest ubrania. Gorączkowe podniecenie. I czasami szept - Cii... bo nas usłyszysz...

Akhila odwracała się do okna i chowała głowę pod prześcieradło. W takie noce ogarniała ją paraliżująca tęsknota za Harim. Czyżby popełniła błąd, rezygnując z niego? Gdzie teraz jest? Gdyby go znowu spotkała, czy czułby do niej to samo, co wtedy? Hari, Hari, wołała... Gdybym tylko nie była takim tchórzem.

Wraz z tęsknotą przychodził gorzki żal. Uraza, która wbrew jej woli mroziła jej serce i żłobiła wąskie bruzdy, pełzące w dół od kącików ust.

Akhila nie patrzyła złym okiem na szczęście, którym jak się zdawało, przepojone było życie Padmy. Akhila nie zazdrościła jej niczego. Mężowskich objęć; ramienia oplatającego talie; piersi, na której można złożyć głowę; rodzącej owoce macicy; piersi nabrzmiątych mlekiem; gaworzenia dzieci ani ich śmiechu; czekania na powrót męża; wspólnego przeżywania zwyczajnych chwil...

Miała jednak za złe, że musi tkwić w samym środku tej zmienności, tego rozszerzającego się horyzontu, podczas gdy jej własne życie biegnie statecznym, nudnym, staropanieńskim, niezmiennym torem. Żadnych wzlotów. Żadnych upadków. Tylko gładkie przechodzenie od dnia do dnia.

#

Pociąg zatrzymał się, sapiąc. Napierające głosy. Obce dźwięki, które nie układają się w żaden sens. Akhila otworzyła oczy. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Wpadła w popłoch. Wreszcie przypomniała sobie i na jej twarzy powoli zakwitł uśmiech. Przekręciła się na brzuch i podparła na łokciach.

Jakie to dziwne, pomyślała. Wszystkie perony kolejowe wyglądają tak samo. Kałuża wody pod niedokręconym kranem. Pasażerowie z napięciem na twarzy i gorączką w oczach. Stosy walizek. Zajęte ławki. Traagarze. Sprzedawcy z termosami kawy i herbaty, paczkami herbatników i czasopismami w błyszczących okładkach. Przepelnione kosze na śmiecie. Niedopałki papierosów. Zgnieciony plastikowy kubeczek po kawie. Papierek od czekolady. Skórka banana. Różowe i zielone reklamówki zaplątane pomiędzy torami, nadymające się z wiatrem, flaczejące, gdy ucichnie. Niegdyś białe, lecz teraz srebrzystoszare słupki ogrodzenia otaczającego peron.

Palakkad. Akhila dostrzegła nazwę stacji. Przełęcz górską, prowadząca na drugą stronę Ghatów Zachodnich. Duży węzeł kolejowy, postój potrwa więc dłużej.

Odwróciła głowę i popatrzyła na współpasażerki. Spały wszystkie, z wyjątkiem Prabhy Dewi, która schodziła właśnie ze swojej kuszetki. - Dzień dobry - powiedziała. - Dobrze spałaś?

Akhila kiwnęła głową i usiadła. - Zamierzam kupić kubek herbaty. Ty też miałabyś ochotę? - A potem, wskazując na Dżanaki, spytała: - Czy nie powinnyśmy jej obudzić? Ma wsiąść w Ernakulam. Tak jak dziewczynka, a obie śpią jak zabite.

- Jeszcze jest czas. Obudzimy je troszkę później. Chcesz zjeść śniadanie? Po to jest ten postój. Jedzenie będzie ciepłe i świeże.

- Jak mogłabym? Nie myłam zębów - pokręciła głową Akhila.

- Zamierzasz głodować przez cały dzień? Po prostu wypłucz dobrze usta i to wystarczy.

Kiedy umyły twarze, wypłukały usta, uczesały włosy i ułożyły na nowo fałdy sari, zabrały się do kupowania śniadania. - Co będziesz jadła? - spytała Akhila.

- Mam zamiar zjeść appama, kormę z warzyw i banana w cieście. Wszystko inne sama potrafię przyrządzić, zresztą jaki ma sens podróżowanie w nowe miejsca, jeśli wszystko będziemy robić tak samo jak w domu? Równie dobrze mogłybyśmy wcale się z niego nie ruszać - powiedziała Prabha Dewi, wystawiając rękę przez okno i kiwając na stojącego nieopodal sprzedawcę.

Akhila zastanowiła się przez moment. - Dobrze, ja wezmę to samo - powiedziała.

- Tak już lepiej - pochwaliła z uśmiechem Prabha Dewi. Biały puszysty appam zawinięty był w liść bananowca i gazetę.

- Uwielbiam zapach jedzenia zawiniętego w liść bananowca - powiedziała Prabha Dewi, wciągając głęboko zapach. - A ty?

A ja?, zastanowiła się Akhila. Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Wciągnęła aromat i powiedziała:

- Tak, ja też. Ale nie wiedziałam o tym. Jakie to dziwne, że dopiero ktoś musi nam powiedzieć, co lubimy, a czego nie.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Większość z nas tak ma.

- Trudno mi uwierzyć, że ty też - powiedziała Akhila. - Sprawiasz wrażenie osoby, która doskonale wie, kim jest, co chce, co lubi, a czego nie.

Prabha Dewi przełknęła kęs, który miała w ustach i powiedziała w zamyśleniu: - Tak mnie widzisz?

- Jesteś jedną z najbardziej pewnych siebie i zadowolonych osób, jakie spotkałam - powiedziała Akhila, ostrożnie wkładając do ust kawałek banana w cieście.

- Nie było wcale takie złe, prawda? - zażartowała Prabha Dewi.

- Wiesz co - powiedziała Prabha Dewi, kiedy już skończyły jeść i umyły ręce - kiedyś byłam bardzo podobna do ciebie. Cicha, nieśmiała i lękająca się spróbować czegokolwiek nowego. A potem pewnego dnia odkryłam, że nie lubię osoby, którą się stałam, i zmieniłam się.

- Tak po prostu? - spytała z niedowierzaniem Akhila.

- Oczywiście, że nie. Istniała przyczyna i skutek, jak zawsze. Tylko że w moim wypadku, to ja sama byłam i skutkiem, i przyczyną.

8

POPŁYNAĆ

Pewnego wrześniowego popołudnia, tydzień po swoich czterdziestych urodzinach, Prabha Dewi uświadomiła sobie, że już nie pamięta dźwięku własnego głosu. Jak ja brzmi? Czy mój głos jest piskliwy czy ochryply? Czy przyjmuje niskie tony czy wysokie? Płynie jak wiatr czy spada jak cegła? Otworzyła usta i wymówiła swoje imię: Pra-bhaa-de-wi. Dźwięk, który się z niej wydobył, przypominał trochę beczenie, a jeszcze bardziej miauknięcie. Więc to jest mój głos, pomyślała. Coś pośredniego między zirytowaną owcą i duszonym kotkiem.

Prabha Dewi podniosła się z łóżka z wbudowanym materacem sprężynowym, okrytego narzutą z białego atlasu, i wyłączyła klimatyzator. Rozsunęła ciężkie zasłony, czyniące z pokoju pęcherz płodowy, do którego jawa nie miała wstępu, i otworzyła szeroko wychodzące na ogród francuskie okna. Trawnik promieniał, skąpany w wilgoci i blasku słońca. Prabha Dewi weszła na trawę. Żdźbła łaskotały jej stopy. Podniosła głowę ku wieczornemu słońcu i rozchyliła usta. Słoneczny blask spłynął w jej gardło. Oblizwała wargi i jeszcze raz spróbowała wymówić swoje imię. Tym razem z jej ust wydostał się cień poprzedniego życia. I Prabha Dewi poczuła, jak powoli budzi się w niej życie. Gdzie ja byłam przez ten cały czas?, pytała siebie. Z początku cichutko, z drżeniem, a potem ze wściekłą pasją. Co ja robiłam przez tyle czasu?

Kiedy Prabha Dewi przyszła na świat, z piersi jej ojca wyrwało się westchnienie. Miał nadzieję, że urodzi się syn. Zamierzał otworzyć piąty sklep jubilerski. Madras był dostatecznie dużym miastem, by zapewnić obroty pięciu takim sklepom i gdyby Prabha Dewi była chłopcem, wszystko dałoby się tak ładnie urządzić. Pię-

ciu chłopców, pięć sklepów, wszyscy zadowoleni. A teraz plan otworzenia piątego sklepu trzeba będzie odłożyć na półkę.

Za to matka Prabhy Dewi ogromnie ucieszyła się z córki. - Mam wreszcie kogoś, komu będę mogła zostawić moje przepisy. I kto będzie pieczołowicie przechowywał moją biżuterię. Kto będzie chciał być taki, jak ja. Kto będzie mówił: w domu mojej matki robiłyśmy to tak a tak...

Ojciec Prabhy Dewi popatrzył na nią z dezaprobatą i mruknął: - Czyżby ta mała nie tylko zrujnowała moje plany, ale jeszcze pomieszała ci rozum? Jeśli chcesz znać moje zdanie, córka to cholerne utrapienie.

Matka Prabhy Dewi westchnęła. Postąpiła niemądrze, obnażając przed nim swoją duszę. To ciało go przekona. Kremowe kule, pulchne i jędrne, po których wcale nie było znać, że wykarmiły czterech żarłocznych synów, teraz, kiedy znowu nabrzmiały mlekiem dla nowego dziecka. Jej córki. Matka Prabhy Dewi rozpięła guziki bluzki i przytuliła dziecko do piersi. Wystarczy przelotne spojrzenie, by jej mężowi minął zły humor. - Mamy czterech synów. Jedna córka nie zawadzi. Zresztą, kiedy przyjdzie pora wydać ją za mąż, będziesz mógł wybrać odpowiednią rodzinę z korzyścią dla twoich interesów - powiedziała do męża cichym głosem.

Popatrzył na nią w zamyśleniu i uśmiechnął się. Umieszczone we właściwej perspektywie, sprawy od razu wyglądały lepiej. Dotknął policzka dziecka, pogłaskał wypukłość żoninej piersi i wyszedł z pokoju, całkiem zadowolony z życia.

Prabha Dewi rosła. Jej matka dopilnowała, żeby miała prawie doskonale dzieciństwo. Dostawała drogie lalki, zamawiane w Singapurze, które miały jasne włosy i zamykały oczy, kiedy położyło się je na plecach. Pocięte na kawałki stare sari służyły jej do przebierania się i zabawy w nauczycielkę. Urządzono jej małą kuchnię, żeby mogła bawić się w mamę i w dom. Matka Prabhy Dewi przyłączała się czasem do tych zabaw, udając, że jest dzieckiem, podczas gdy jej córka próbowała udawać dorosłą. Ta jedna córka dała jej więcej radości niż wszystkich czterech synów razem wziętych. Ale nie mówiła o tym. Już dawno odkryła, że kobietę z własnym zdaniem traktowano jak brzydki zapach. Którego lepiej unikać. Więc matka Prabhy Dewi zachowała dla siebie tę myśl, jak to robiła przez całe swoje życie.

Kiedy Prabha Dewi miała piętnaście lat, ojciec przeniósł ją do szkoły klasztornej. Siostry okazały się tak surowe i wymagające, jak tego oczekiwał. - Zakonnice dobrze ją przygotowują. Zresztą, jeśli chcemy znaleźć jej dobrą partię, powinna mówić dobrze po angielsku i modnie wyglądać - tłumaczył matce, która chciała, żeby Prabha Dewi skończyła edukację na dziesiątej klasie.

Kiedy Prabha Dewi spytała, czy może pójść z przyjaciółką na poranek do pobliskiego kina, matka nerwowo pokręciła głową: - Nie sądzę, żeby to spodobało się twojemu ojcu.

Ale ku jej zaskoczeniu, ojciec wyraził zgodę. - Tylko żadnego włączenia się po lodziarniach po kinie. Ale może wychodzić na dwie godziny w każdą niedzielę rano. W naszych czasach chłopcy wolą dziewczęta, które są towarzyskie i radzą sobie z prowadzeniem rozmowy. Powiedziałem towarzyskie, a nie bezwstydnie czy rozwiązłe, rozumiano?

Pod każdym innym względem Prabha Dewi wyrosła na dokładnie taką kobietę, jaką sobie wymarzyła jej matka. Replikę jej samej.

Haftowała ścięciem tak drobnym, że niemal niewidocznym. Same cienie i kształty. Jej idli były lekkie i miękkie. Prawdziwą wizytówką kobiety jest jednak jej twaróg, a Prabha Dewi nawet w tym celowała. Słodko-

cierpki, z leciutkim posmakiem mango. W kamiennym naczyniu, które matka używała do nastawiania twarogu, drżał z rozkosznego podniecenia, kiedy to Prabsze Dewi powierzono to zadanie. Kiedy proszono ją, by przyłączyła się do śpiewów w pokoju poświęconym pudża, jej głos nabierał przyjemnej pełni. Idąc, drobiła kroczi i pochylała głowę, pokorna i kobieca.

Skóra Prabhy Dewi pozostała jasna i czysta, bez jednej krostki, kiedy inne dziewczęta w jej wieku skarżyły się na trądzik. Skutek zbytniego pobłażania sobie i niedbalstwa, wiedziała Prabha Dewi. Wystrzegając się czekoladek, zresztą nigdy ich nie lubiła. I raz na dwa tygodnie nakładała maseczkę kosmetyczną. Zielona mączka z grochu, skórka pomarańczy i proszek z drzewa sandałowego, zmieszane z twarogiem. Po zmyciu mazi z twarzy, przecierała ją połówką plasterka cytryny. Wokół ust. Policzki. Nos i czoło, a potem cała szyja. Tak, jak nauczyła ją tego matka.

Prabha Dewi miała osiemnaście lat, kiedy pewnego wieczora ojciec wrócił do domu w promiennym nastroju. Znalazł dla niej męża. Bracia Prabhy Dewi i ich żony też się rozpromienili. Niezamężna siostra, nawet uległa i dobrze ułożona, zawsze stanowi przedmiot troski. Na co ojciec tak długo czekał, przechodziło ich pojęcie. Ale ojciec Prabhy Dewi nie miał zwyczaju tłumaczyć, dlaczego robi to, co robi. O nic więc nie pytając, przyjęli jego decyzję wydania Prabhy Dewi za Dżagdiśa. Jedyne go syna i spadkobiercę bogatego kupca, handlującego brylantami. Zresztą będą mogli teraz poszerzyć dział brylantów w swoich czterech sklepach jubilerskich.

Jedynie matkę Prabhy Dewi zasmuciła ta nowina. Powinna czuć się szczęśliwa, wiedziała o tym. Dżagdiś był przystojny i elegancki; pochodził ze znamienitego rodu i jej córka miała wielkie szczęście, że wejdzie do takiej rodziny. Do tego Prabha Dewi przeprowadzi się do Bangaluru, odległego o zaledwie kilkaset kilometrów, a nie do takich dalekich miejsc, jak Bombaj czy Delhi.

Ale kiedy Prabha Dewi wyjedzie, nie zostanie jej nic do roboty. Wychowywanie córki pochłaniało mnóstwo czasu. Człowiek nigdy nie przestawał być matką dla swojej córki. Z synami było inaczej. Nieustannie zmieniali obiekt przywiązania. Z matki na ojca, na przyjaciół, na żony, aż w końcu na swoje własne sprawy. Ale przywiązanie córki pozostawało niezmiennie, dopóki mieszkała pod twoim dachem. Matka Prabhy Dewi już teraz czuła się osamotniona. Wkrótce jej życie rozedrze pustka, której nic na świecie nie zdoła wypełnić. A jednak zdawała sobie sprawę, że stanowi kuriozum. Inne kobiety nie mogły się doczekać, kiedy wreszcie pozbędą się swoich córek. - Czego ty właściwie chcesz? Zatrzymać ją przy sobie na zawsze? Czy kto słyszał kiedy coś równie bezbożnego? Zawsze byłaś dziwna - usłyszałaby, gdyby spróbowała wytłumaczyć, co czuje, którejkolwiek ze swoich przyjaciółek czy sióstr. Matka Prabhy Dewi płakała więc cichutko w obrębioną muszelkami chusteczkę, którą wyhaftowała dla niej córka i pozwalała wszystkim myśleć, że to ze szczęścia.

Prabha Dewi obrysowała usta różową kredką i kilkoma zręcznymi pociągnięciami wypełniła kontur kolorem. Przykleiła bindi pośrodku czoła, dokładnie dwa centymetry ponad punktem przecięcia brwi, i posypała przedziałek czerwonawą strużką kumkum. Dotknęła ciężkich złotych kolczyków wiszących na jej uszach, odsunęła do tyłu kosmyk włosów, który i tak był na swoim miejscu, i zarzuciła na głowę rąbek sari, tak by stworzył czarujące obramowanie dla jej twarzy. Spojrzała na swój nowy złoty zegarek. Pokazywał wpół do szóstej. Cały dom spał jeszcze. Jej mąż przewrócił się na drugi bok i naciągnął pod brodę prześcieradło. Cmoknął ustami i przez chwilę przeżuwał ślinę. Jabłko Adama podskakiwało mu w górę i w dół. Ogarnął ją potężny

przyплыw uczuć - miłości, lęku, nadziei, oczekiwania... była żoną dopiero niecały dzień. A potem zaczęła czekać.

To właśnie Prabha Dewi robiła przez wiele następnych lat. Czekala. Na powrót Dźagdiśa. Na narodziny dzieci. Na ich pierwszy krok, pierwsze słowo, pierwszy sukces... Żeby coś się wydarzyło, podczas gdy jej życie mknęło ze świstem, pozostawiając za sobą mglisty szereg nic nie znaczących dni.

Zdarzały się pojedyncze momenty, które wydzielaly się z gąszczy nicości i czepiały ścian jej umysłu. Pajęczyny przelotnego szczęścia; nabrzmiałe radością, która wypierała wszystkie myśli, poza tą jedną jedyną: Ale ze mnie szczęściara!

Kilka miesięcy po ślubie umarł ktoś z krewnych Dźagdiśa. Postanowiono, że jego rodzice pojadą na pogrzeb, pozostawiając młodą parę na gospodarstwie. - Służba wszystkim się zajmie. Musisz tylko mieć na nich oko - powiedziała matka Dźagdiśa, wciskając Prabsze Dewi ozdobione srebrnym filigranem kółko z kluczami.

Prabha Dewi umocowała je przy swoim sari, gdzie wisiało naciskając na dolną część jej brzucha, ocierając się o wewnętrzną stronę uda, ciężar odpowiedzialności i blask władzy.

Matka Dźagdiśa uśmiechnęła się z aprobatą. - Bądź ostrożna. Nie ufaj nikomu i pilnuj, żeby Dźagdiś jadł posiłki o właściwych porach. - Pożegnalne słowa teściowej przeleciały przez uszy Prabhy Dewi i z cichym pluskiem wylądowały w ogrodowej sadzawce z liliami.

Prabha Dewi odzepiła od pasa kółko z kluczami i złożyła je ostrożnie w górnej szufladzie toaletki. Potem zajrzała do kuchni sprawdzić, co robi służba. Była pochłonięta porządkami w szafkach. Prabha Dewi zamknęła za sobą drzwi i poszła nad sadzawkę, gdzie w odwiecznym wilgotnym zadowoleniu kwitły lilie, pływały złote rybki i mieszkaly żaby. Podciągnęła sari powyżej kolan i weszła do sadzawki. Woda poruszała się, chlupała, marszczyła i pluskała o stos głazów, za którym drzemał w ukryciu silnik. Wystarczyło pstryknąć włącznikiem, by zaczął mruścić i obudził wodospad. Ale Prabha Dewi nie zwracała uwagi na nic, poza rozkosznym dotykiem wody, przeciskającej się między palcami jej stóp i napierającej na skórę z zuchwałym zapamiętaniem. Płaskie liście lilii szturchały jej łydki, a złote rybki podplły do jej nóg, skubnąc na próbę mięsa, które niespodziewanie wpadło do ich królestwa.

Prabha Dewi uśmiechnęła się. A potem poczuła, że wymyka jej się zduszony śmiech. To tak, pomyślała, jakby wszystko zmówiło się, by ją rozbawić. Powiew wiatru unióś kosmyk jej włosów i połaskotał ją w nos. Łodygi lilii widmowymi palcami głaskały skórę pod kolanami, a ryby ocierały się brzuskami o palce stóp. Prabha Dewi podniosła twarz ku niebu i roześmiała się głośnym jasnym śmiechem.

Kiedy Dźagdiś wrócił wieczorem do domu, zaczekała, aż weźmie prysznic i przebierze się w świeże ubranie. A potem wzięła go za rękę i poprowadziła nad sadzawkę. - Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał, bojaźliwy i zaskoczony.

- Cii - szepnęła. - Po prostu zrób, co ci powiem.

Siedzieli na brzegu sadzawki, pluskając nogami w wodzie, zielonoczarnej o zmierzchu. Dźagdiś wyciągnął stopę i przyglądał się kroplom, odrywającym się od jego palców. - Ojciec byłby wściekły, gdyby dowiedział się, że taplamy się w jego bezcennej sadzawce z liliami - powiedział z łobuzerskim uśmiechem.

- Nie powiemy mu, co robiliśmy. Tylko ten jeden raz. Udawajmy, że jesteśmy w pięknym ogrodzie, jak na filmach. Gdzie bohater i bohaterka trzymają się za ręce i śpiewają pieśni o swojej miłości - powiedziała, wsuwając palce w jego dłonie.

Zajrzał jej w oczy, niepewny, co ma o tym sądzić. Czy w jej propozycji nie czai się aby zdrada? „Żony często sprowadzają mężów na złą drogę. Odciągając ich od rodziny i obowiązków. Nie chcemy przez to powiedzieć, że tak będzie z twoją żoną... - powiedziała jego matka kilka dni przed ślubem. - Ale dobry mąż musi sam decydować, czy przyjąć, czy odrzucić sugestie swojej żony. A nie dać się ponieść niewolniczej miłości, która każe mu spełniać każde jej żądanie”.

Czy kaprys Prabhy Dewi należało przyjąć, czy odrzucić? Dwudziestotrzyletnie ciało i chłopięcy wciąż jeszcze pociąg do przygód podpuściły Dźagdiśa. Tam do licha, to tylko przecież ten jeden raz...

Wyciągnął się ku kamieniom i przekręcił włącznik. Zapłonęły ukryte pod wodą lampy i ożył wodospad. Woda przybrała barwę złocistej zieleni; zatańczyły tłusciutkie rybki; lilie rozwinęły płatki; obudził się chór żab. Dźagdiś dotknął wskazującym palcem twarzy Prabhy Dewi i przesunął koniuszkiem języka po jej wargach. Zadrżała: Ale ze mnie szczęściara!

Miesiąc później. Prabha Dewi nie posiada się z radości. Dźagdiś zabiera ją ze sobą w podróż służbową do Nowego Jorku, a w drodze powrotnej zatrzymają się w Londynie. Prabha Dewi zdaje się, że dopiero teraz zaczyna naprawdę żyć. Siedzi w poczekalni międzynarodowego portu lotniczego w Bombaju i próbuje czytać magazyn. Dźagdiś załatwia ostatnie telefony. Nagle czuje na swoim ramieniu czyjeś palce. - Prabha Dewi? - pyta ostrożnie niepewny, nerwowy głos. - Przepraszam, czy pani jest Prabha Dewi?

Prabha Dewi odwróciła się zmieszana. Głos należał do dziewczyny, z którą chodziła do szkoły. Sharmili. Najzdolniejszej uczennicy, jaka kiedykolwiek uczyła się w tej szkole. Wszyscy mówili, że czeka ją wielka przyszłość. Zostanie lekarką albo naukowcem, na pewno kimś godnym uwagi. Ale teraz była tutaj. Z czołem mimo klimatyzacji zroszonym potem, zlepionymi włosami i przywiedłymi ustami; przykuta do marudnego dzieciaka w spacerówce i teściowej, rzucającej na wszystko i wszystkich podejrzliwe spojrzenia.

- To moja teściowa - powiedziała Sharmila, uzupełniając słowa szerokim gestem ręki. Z tego gestu Prabha Dewi wyczytała całą historię jej życia. A zwłaszcza niewypowiedzianą skargę: Oto kobieta, której syn został panem mojego przeznaczenia i moich marzeń. Moje myśli zostały zredukowane do tego, czy podać na obiad ryż czy ćapati, okrę czy bakłażany; załadować pralkę bawełnianymi białymi czy bawełnianymi kolorowymi...

Prabha Dewi uśmiechnęła się do starszej kobiety. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Lecicie do Nowego Jorku? - spytała. Głupie pytanie. W końcu wszyscy czekają na ten sam lot.

- Tak. A potem przez rzekę, do New Jersey - westchnęła Sharmila. - Daj mi minutę. Posadzę ich i zaraz będę z powrotem.

Prabha Dewi przyglądała się, jak Sharmila prowadzi teściową do fotela w kącie sali. Wpycha spacerówkę pomiędzy ustawione obok torby. A potem wraca do niej pospiesznie, zanim teściowa albo dziecko zdążą zaprotestować, że zostawia je same.

- Wspaniale wyglądasz - powiedziała Sharmila, zerkając na brzoskwiniowe spodnium, które Prabha Dewi miała na sobie. - Twojemu mężowi nie przeszkadza, że nosisz zachodnie ubrania?

- Jego rodzice są ociupinkę konserwatywni. Ale nie on - powiedziała Prabha Dewi, myśląc, jak długo musiała przypochlebiać się Dźagdiśowi, żeby pozwolił jej kupić nową garderobę na ten pierwszy wyjazd za granicę. Dopiero argument „Nikt przecież nie będzie wiedział, kim jestem ani dokąd jadę. Jakie więc ma znaczenie, w co się ubiorę?” przechylił szalę na jej korzyść.

- A co u ciebie? Nie miałam pojęcia, że wyszłaś za mąż - zaczęła Prabha Dewi. - Myślałyśmy wszystkie, że studiujesz w Stanach medycynę.

Sharmila wbiła wzrok w podłogę. - Moja rodzina oszukała mnie. Wysłali mnie do wuja, który miał się wszystkim zająć. Byłam już przyjęta na studia licencjackie, z pełnym stypendium. I wtedy na scenie pojawił się Nareś. Dobry znajomy mojego wuja. Znakomity materiał na męża, jak twierdził wuj. Nareś powiedział, że nie ma nic przeciwko temu, żebym po ślubie dalej studiowała.

- Jesteś więc teraz na uczelni? - spytała Prabha Dewi, zastanawiając się, jak jej udaje się połączyć studiowanie z prowadzeniem domu i wychowywaniem dziecka.

- Żartujesz? - W głosie Sharmili zabrzmiał leciutki cień amerykańskiego akcentu. - Z dzieckiem i teściową na głowie? Masz pojęcie, mieszka w Stanach od dziesięciu lat i nie mówi ani słowa po angielsku. Jak mogłabym zostawić z nią dziecko...

Jak na sygnał, dzieciak podniósł lament. Sharmila napisała na kawałku papieru swój numer telefonu i wsunęła go w dłoń Prabhy Dewi. - Przekreć do mnie, kiedy będziesz miała czas. Musicie przyjść z mężem do nas na obiad.

Prabha Dewi kiwnęła głową. Obie wiedziały, że to jeden z tych gestów, które nigdy nie doczekają się realizacji. Niemniej należało go uczynić.

W samolocie Prabha Dewi szła przejściem w ślad za Dźagdiśem. To on był odpowiedzialny za wszystko, wymachiwał kartą pokładową i kontrolował bagaż. Wszystko, co miała do zrobienia, to ścisnąć torebkę i plik czasopism, które dla niej kupił, żeby miała co czytać w czasie lotu. Kątem oka dostrzegła Sharmilę, jak z wyrazem udręki na twarzy stara się uspokoić dziecko, posadzić teściową, znaleźć miejsce na bagaż podręczny, który za nic nie chciał zmieścić się w szafce pod sufitem, i jeszcze przy tym wszystkim nie stracić panowania nad sobą.

Jak to możliwe, że to, co dla niej było przygodą, dla Sharmili stanowi jedynie kolejny dopust boży na długiej liście życiowych udręk?

Prabhę Dewi zalało uczucie ulgi.

Dźagdiś wybrał miejsca w ogonie samolotu. Na moment przed startem wziął ją za rękę. - Nie bój się - powiedział. - W pierwszej chwili poczujesz, jakbyś leciała do góry na huśtawce, a potem wszystko się uspokoi...

Uśmiechnęła się. Dotyk jego dłoni dodał jej otuchy, chociaż wcale się nie bała, czuła tylko radosne podniecenie. Ale ze mnie szczęściara.

Było jednak pewne wspomnienie, o którym Prabha Dewi z całej siły starała się nie myśleć. Próbowwała wymazać je z pamięci, ale jak drzazga pod skórą, jak niemal niewidoczna ość w gardle, nie dawało się usunąć. Tkwiło tam, wżerając się w ciało, powodując sporadyczny spazm bólu, wywołując dyskomfort i wieczne poczucie wstydu.

Zawdzięczało swój początek amerykańskiej przygodzie. Prabha Dewi powróciła z wakacji z całym zestawem nowych nabytków. Należał do nich nietłukący się serwis obiadowy w kolorze jabłkowej zieleni; butelczki perfum; przybornik do makijażu; zwiewna bielizna z pianką sztucznej koronki i marzeń tajwańskich kobiet. Bibeloty do domu i na prezenty. Nabyła jednak coś jeszcze, co zapakowała w swoje ciało z tą samą zrećznością, z którą spakowała swoją walizkę.

Prabha Dewi chciała być taka jak kobiety, które widziała w Nowym Jorku. O rozwianych włosach i ruchach zdradzających całkowitą pewność siebie. Sprawiały wrażenie, jakby wiedziały dokładnie, dokąd idą i co mają zrobić, kiedy tam już dotrą. One, i tylko one, rządziły swoim życiem. Co za wytworność, co za zimna krew, jakież celebrowanie życia i urody. Prabha Dewi zapragnęła tego samego dla siebie.

Ćwiczyła chodzenie: wyprostowane plecy, ściągnięte łopatki, wciągnięty brzuch i lekkie, acz prowokujące, kołysanie biodrami. Potem Prabha Dewi odkryła, że trzyczalowe szpilki znacznie ułatwiają cały proces. Nie można garbić się w pantoflach na takim obcasie.

Następnie zajęła się twarzą. Trzykrotnie odwiedziła dział kosmetyczny domu towarowego Macy's, żeby nauczyć się, jak nakładać makijaż. Jej oczy nabrały jeszcze bardziej rozmarzonego wyrazu, a usta wyglądały, jakby ukąsiła je pszczoła, wstrzykując w nie odcienie różu.

Prabha Dewi oglądała talk-showy i opery mydlane i ćwiczyła leniwe potrząsanie głową, powolne rozszerzanie oczu i towarzyszące im dramatyczne wciągnięcie powietrza, które stosowała, kiedy chciała umieścić w środku zdania naładowaną znaczeniem pauzę.

Ostatnim nabytkiem, jaki Prabha Dewi poczyniła dla dopełnienia swojej transformacji, były ubrania. Odłożyła na półkę sari i zaczęła nosić jedwabne kaftany, ozdobione wokół szyi i na rękawach wyszukаныmi haftami. Z początku obawiała się reakcji swojej teściowej. Ale skończyło się na tym, że teściowa dotknęła haftu i powiedziała: - Słyszałam, że to wszystko robi maszyna. Bardzo ładne. Przypuszczam, że wszystkie młode kobiety tak się dzisiaj ubierają. Muszę przyznać, że to się wydaje rozsądne. Nie trzeba trudzić się dopasowywaniem bluzek i halek. Ale kiedy pokazujesz się mężczyznom, pamiętaj, żeby wziąć chustę, albo jakiś kawałek tkaniny, i zasłonić piersi.

Prabha Dewi czuła się teraz nareszcie kobietą światową, bez przygarbionych ramion, spuszczonego oczu i pallu sari, przygniatającego do ziemi jej młodość.

Dźagdiś zuł dolną wargę i martwił się tą zmianą. Zastanawiał się, co o tym wszystkim myślą jego rodzice? I czym to się skończy. Wkrótce się tego dowiedział.

Prabha Dewi powiedziała mu, że nie chce dziecka. - Jeszcze nie teraz - dodała, widząc wyraz przerażenia na jego twarzy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał, zbyt mocno wstrząśnięty jej słowami, by zdobyć się na coś więcej niż tylko czysto retoryczne pytanie.

Prabha Dewi wbiła wzrok w róg prześcieradła. Po raz pierwszy pożałowała, że nie nosi sari. Co by nie mówić, miało swoje dobre strony. Wystarczyło przerzucić je przez ramię, jak szal, żeby zamaskować źle leżącą bluzkę albo brak guzika. Służyło jako chustka na głowę dla ochrony przed palącymi promieniami słońca. Jako kaptur, w razie nagłej mżawki. Jako woal przyzwoitości, osłaniający przed przenikliwymi spojrzeniami. Oprócz tego były jeszcze jego końce. Do wycierania łez; do ocierania potu z czoła; do gniecienia, marszczenia i zwija-

nia w kulkę, żeby zająć czymś ręce w trudnych chwilach. A teraz dysponowała jedynie rogami prześcieradła. Gniotła je więc i marszczyła, usiłując skonstruować odpowiedź na pytanie męża.

- Istnieją sposoby na uniknięcie ciąży - zaczęła.

- Na przykład, jakie? - wychrypiął.

- Nie mógłbyś używać prezerwatywy?

Dźagdiś zeszytniał ze wstydu i zażenowania. Co z niej za kobieta? Seks to coś, co mężczyzna i kobieta uprawiają pod osłoną nocy i cienkich prześcieradeł. A nie temat do rozmowy. Czy jej się wydaje, że usiądzie na łóżku i zacznie z nią o tym dyskutować? Po raz setny pożałował, że zabrał ją z sobą za granicę. Wróciła z tej wycieczki kompletnie odmieniona.

Popatrzył na nią. W nocnej koszuli na ramiączkach, odsłaniającej ramiona i większą część piersi. Miejsce pożądania zajęła niechęć. Odwrócił się na bok i udał, że śpi.

Niedługo jednak. Jej oddech owionął mu kark. Leżeli przytuleni do siebie. Dwie łyżeczki na tacy z prześcieradeł.

Jęknął i odwrócił się do niej. Poczuł, jak do niego przywiera i obejmuje go w pasie. Położył nogę na jej nodze. - Rodzice zaczynają się niecierpliwić. Ciągłe mówią o wnukach. Jesteśmy już prawie rok po ślubie - powiedział, gładząc jej szyję.

- Ja też chcę mieć dziecko. Ale jeszcze nie teraz. Kiedy zjawi się dziecko, nic już nie będzie takie samo. - Odgarnęła mu włosy z czoła i kołysała go w swoich ramionach. - Dzisiaj pójdziemy spać, a jutro, kiedy będziesz przygotowany, będziemy się kochać - wymruczała, zamykając pocałunkami jego oczy.

Przez następne trzy miesiące Prabha Dewi frunęła przez życie jak na skrzydłach. Udawała, że nie widzi ścigających ją pełnych podziwu spojrzeń. Ale wiedziała, że gdziekolwiek pójdzie, przyciąga powszechną uwagę. Upajała się tym. Jestem młoda. Jestem piękna. Budzę pożądanie. Ale ze mnie szczęściara.

Gdy więc Pramod pozostawał obojętny na jej obecność, odebrała to jako zniewagę dla swojego nowego wcielenia. Widywała go w każdy weekend w klubie, gdzie Dźagdiś rozgrywał swój cotygodniowy mecz tenisa. Siedząc na trawniku, sącząc mrożoną lemoniadę i przerzucając strony czasopisma, Prabha Dewi zaczęła czekać na Pramoda. Jeśli był z nią Dźagdiś, podchodził, żeby pogadać. Ale jeśli była sama, ograniczał się do kiwnięcia głową na powitanie, poza tym całkowicie ją ignorując. Prabha Dewi to się nie podobało. Jak on śmie?, myślała. Czy mam być traktowana jak przedłużenie innej osoby? Pani Dźagdiśowa i nic więcej.

Gdy Pramod dalej uparcie zdawał się jej nie zauważać, nieświadomie zaczęła próbować na nim swoich sztuczek. Przechylenie głowy i rozszerzenie oczu; nabrzmiałe znaczeniem pauzy i tajemnicze uśmiechy.

Gdyby ktoś zarzucił jej, że flirtuje, byłaby zdumiona. „Przecież tylko rozmawiam. Co w tym złego? Zresztą mam przecież męża, prawda?”.

Jednak nikt tego nie uczynił. A już na pewno nie Dźagdiś, który po skończonej grze rzucał się na fotel zlany potem, zbyt zmęczony, by zauważyć, co się dzieje.

Co zaś się tyczy Pramoda, był tylko zwykłym śmiertelnikiem, uległ więc atencjom Prabhy Dewi, z nietowarzyskiego obcego zmieniając się w płaszczącego się niewolnika. A Prabha Dewi, triumfująca po kolejnym podboju, napawała się jego podziwem. Aż do pewnego popołudnia, kiedy złożył jej wizytę.

Było kwadrans po trzeciej. Pora, kiedy Prabha Dewi wstawała po poobiedniej drzemce. Wykąpała się, kubelkami letniej wody splukując ze skóry sen. Czyste ubranie. Popołudniowy makijaż. Kiedy Pramod zobaczył, jak schodzi po schodach, wydała mu się świeża i kusząca, i tak bardzo pociągająca.

Kiedy Prabha Dewi ujrzała Pramoda, zadrżała lekko ze strachu. Pokojówka przyszła do jej sypialni i oznajmiła: - Ma pani gości. Jakiś pan z dzieckiem.

- Do mnie? Nikogo dzisiaj nie oczekuję - powiedziała Prabha Dewi, badając swoje odbicie w lustrze. - Nie wiesz kto to? - spytała, zastanawiając się, czy jest odpowiednio ubrana, by przyjmować gości.

Pokojówka pokręciła głową. - Wyglądają bardzo porządnie. Ten pan powiedział, że panią zna - dodała tytułem usprawiedliwienia, że wpuściła ich do salonu.

Wstał, kiedy ją zobaczył i podszedł do niej z otwartymi ramionami. Prabha Dewi wymknęła się z jego objęć. Przywołała na twarz serdeczny uśmiech i rozejrzała się po pokoju. - Co za niespodzianka. Powiedziano mi, że przyszedł pan z dzieckiem. Co się z nim stało?

- To moja siostrzenica. Jest na dworze. Siedzi na huśtawce i czyta komiks. Nie będzie nam przeszkadzać - wymamrotał, ujmując jej dłonie.

Wysunęła ręce z jego uścisku i opadła na fotel. Nogi drżały jej tak bardzo, że bała się, iż ją zawiodą.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem i usiadł w fotelu naprzeciwko. - Nie wyglądasz na uszczęśliwioną moim widokiem - powiedział, ścisząc głos.

- Przyjaciele zawsze są mile widziani - powiedziała sztucznie serdecznym tonem, usiłując zapanować nad paniką.

- Jak bardzo mile widziani?

- Czy ma pan ochotę na filizankę herbaty lub sok ze świeżych owoców? - zapytała, próbując nadać tej wizycie pozory normalności. - Mam w lodówce pyszne winogrona. Zrobienie soku zajmie mi tylko chwilkę. A co dla małej? Może przynieść jej herbatniki?

- Nie chcę herbaty ani soku z winogron. Chciałem cię zobaczyć... Czy wiesz, jak długo czekałem na ten dzień? - powiedział cicho Pramod, zaglądając jej w oczy. Prabha Dewi odwróciła wzrok. Westchnął.

- Kiedy wczoraj zobaczyłem na dworcu twoich teściów, zrozumiałem, że wreszcie nadszedł. Że wreszcie będę mógł spotkać się z tobą sam na sam. Że to, czego tak długo pragnąłem, będzie moje.

- Czego pan chce? - spytała. Pauza. Spojrzenie z ukosa. Ciężki uśmiech.

- Nie rób mi tego - jęknął. - Nie wiesz, że cię pragnę? Że jestem w tobie zakochany?

Prabha Dewi zrozumiała nagle ku swojemu przerażeniu, że rozpałała coś, czego nie będzie potrafiła ugasić. Poczula, że kręci jej się w głowie od natłoku myśli, biegnących po jednej nici niedowierzania: Skąd, u licha, przyszło mu do głowy, że przyjmę jego awanse? Czy nie wie, że mam męża? Za jaką kobietę on mnie ma?

I wtedy to się stało. Błyskawicznie znalazł się u jej stóp, obejmując ramionami jej talię. - Jesteś taka śliczna - ledwo słyszała, co mówi. Jedyne, o czym mogła myśleć, to dotyk jego dłoni poprzez jedwab kaftana. Rozcapierzonych palców, szukających, poruszających się, jak pająk polujący na ofiarę. Kiedy jego dłonie znalazły się na jej piersiach, gwałtownie wciągnęła powietrze.

Prabha Dewi chciała krzyczeć, wrzeszczeć, poorać paznokciami jego twarz, zwinąć palce w pięść i rozkwasić mu nos, wałnąć kolaniem w krocze, kopnąć w piszczel... Ale szok, wywołany tym, co jej się właśnie przytrafia, zmroził ją, odbierając głos i zdolność ruchu. Jego dłonie dalej ugniatały jej ciało. Jego usta mamrotały słowa, których nie rozumiała. To się nie dzieje naprawdę. Ten gwałt na moim ciele wcale nie ma miejsca. To tylko zły sen. Śpię w moim łóżku i za chwilę się obudzę...

Zegar wybił godzinę. I nagle Prabha Dewi ożyła. - Jak śmiesz?

- krzyknęła, odpychając gwałtownie jego ręce. - Jak śmiesz nachodzić mnie w domu i... - nie mogła znaleźć słowa - i pozwalać sobie na coś takiego? Nie masz żadnego poczucia przyzwoitości? Wynoś się z mojego domu. Wynoś się, zanim każę cię wyrzucić.

- Och, daj spokój - powiedział Pramod, oplatając palcami jej nadgarstki i przyciągając ją do siebie. - Przestań odgrywać dobrą żonę, dobrze? Przypomnij sobie, że to ty pierwsza zaczęłaś mnie uwodzić. Kusiałaś mnie swoim uśmiechem i nieśmiałymi spojrzeniami. A teraz oskarżasz mnie, że robię ci nieprzyzwoite propozycje. Prabho, pragniesz mnie tak samo, jak ja ciebie. Możesz się tego wypierać tak długo i tak głośno, jak tylko chcesz, ale ja i tak to wiem.

Prabha Dewi wyszarpnęła ręce z jego uścisku, uniosła dłoń i uderzyła go w twarz. - Wynoś się. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

Zrobił ruch, żeby jej oddać. Ale z werandy zawołała go dziewczynka. Zatrzymał się w pół kroku, popatrzył na nią i powiedział:

- Jest nazwa dla takich kobiet, jak ty. Nie muszę jej wymieniać. Myślę, że ją znasz. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Dopiero teraz do Prabhy Dewi dotarła cała potworność tego incydentu. Jakby ktoś uderzył ją potężnym młotem w pierś, opadła na fotel, przyciągając kolana do brody. Co będzie, jeśli ktoś ze służby wszedł w nieodpowiednim momencie i zobaczył ją w jego ramionach? Co będzie, jeśli słyszeli całą tę ohydną wymianę zdań? Co będzie, jeśli któreś z nich postanowi poinformować o wszystkim Dźagdiśa albo jego rodziców? Co będzie, jeśli nikt nie uwierzy w jej wersję? Co będzie, jeśli okrzykną ją bezwstydnicą i wyrzucą z domu i rodziny?

Plakała z twarzą ukrytą w dłoniach, zawstydzona i przerażona. Może to naprawdę jej wina. Może go do tego sprowokowała. Może jej ciało wysyłało mu niewłaściwe sygnały. Te „co będzie, jeśli” i „może” skreślały się i wirowały w jej głowie, niszcząc jej marzenia i nadzieje i wysysając całą jej pewność siebie. Kiedy wypłakała już wszystkie łzy, podjęła decyzję. Zacznie maskować swoje ciało, wysyłające światu tak niebezpieczne sygnały. Zamknie na klucz tę wesołą, pełną życia kobietę, która sprawiła jej tyle cierpienia, i odczyty się wszystkich wypracowanych z takim wysiłkiem manieryzmów. Stanie się znowu tym, czym była, poślubiając Dźagdiśa. Kobieta bez zarzutu i poza podejrzeniami.

Prabha Dewi stała się taką kobietą, jaką chciałyby widzieć jej matka. Zawsze spuszczone oczyma i dłońmi zajęte pracą; haftującą, marynującą, ścierającą kurze, rodzącą dzieci, utrzymującą porządek i szczęśliwość w czterech ścianach swojego domu, i przez cały czas recytującą mantrę: to właśnie jest moja rola, to jest sposób, by być szczęśliwą.

W niektóre noce Dźagdiś leżał z otwartymi oczyma, gdy ona już spała. Odwracał się do niej i patrzył w jej uśpioną twarz. Co stało się z kobietą, która oplatała go swoimi nogami i rozpalala ustami jego zmysły? W

końcu wyszło na to, że miała rację. Po przyjściu na świat pierwszego dziecka wszystko się zmieniło. Faktycznie zmieniło się w momencie, kiedy zdał sobie sprawę, że stara się zająć w ciąży. Jednego dnia była pewną siebie dziewczyną, domagającą się zaspokojenia swoich pragnień i potrzeb. Następnego na powrót posłuszną nieśmiałą dziewczyną, z którą się ożenił, proszącą o niewiele i dającą całą siebie.

Był zadowolony, że tak się stało, mimo że czasami brakowało mu namiętności, którą dawniej napędzała ich wspólne życie. Była dobrą żoną i doskonałą matką. Czego jeszcze mógłby żądać mężczyzna?

Czegóż jeszcze mogłaby pragnąć kobieta, oprócz szczęśliwego małżeństwa i zdrowych dzieci?, myślał, zasypiając.

#

Tamtego wrześnieowego popołudnia Prabha Dewi stała przed dużym lustrem w swojej sypialni. Do jej myśli wkradło się nieproszone wspomnienie dziecięcej wyliczanki.

„Prabho Dewi, Prabho Dewi, gdzie się podziewałaś?”.

„Wyrosłam na kobietę, kiedy nie widziałaś”, rymując zaciekle, odpowiedziało lustro.

„Prabho Dewi, Prabho Dewi, cóżeś tam porabiała?”.

„Czekałam, czekałam, aż w końcu posiwiłam”.

Prabha Dewi uśmiechnęła się. Wąskim, niewesołym uśmiechem. Upływ lat zmieniał kobiety we własne posiwiące cienie. A koty dręczyły myszy nawet pod tronem królowej. Takie są reguły życia, jej życia, mówiła sobie, gdy sól znaczyła jej oczy. Łzy żalu nad sobą samą. Nad kobietą, którą się stała. Nad tym, że przestała chcieć dla siebie czegoś więcej.

Otarłszy oczy, Prabha Dewi uświadomiła sobie, że czas odebrać syna z lekcji tenisa. Dzieci przyszły na świat jedno po drugim. Najpierw dziewczynka, potem chłopiec. Dzieci, które od samego urodzenia zdawały się dzielić poczucie przyzwoitości i zrównoważony temperament Dżagdiśa. Kiedy więc przyjaciele i krewni mówili: „Ale masz szczęście, że masz takie cudowne dzieci”, Prabha Dewi nie wiedziała, czy ma się martwić, czy cieszyć, że żadne z nich nie odziedziczyło żadnego z jej kaprysów, które na krótką chwilę przejęły panowanie nad jej życiem.

Nitja uczyła się w college'u i miała tak napięty rozkład dnia, że zostawało jej niewiele czasu, by pobyć z Prabha Dewi. Nitja nie potrzebuje mnie tak, jak ja potrzebowałam mojej matki, kiedy miałam osiemnaście lat, myślała często Prabha Dewi, patrząc, jak córka wybiega z domu do przyjaciółki, do szkoły, do kina albo na lekcję muzyki. Ale mam przynajmniej Wikrama. Piętnastoletniego Wikrama, który nie może zdecydować się, czy jest mężczyzną, czy chłopcem, wciąż jeszcze dostępnego dla miłości i czulej opieki swojej matki.

Wikram nie skończył jeszcze grać, więc Prabha Dewi postanowiła przejść się po terenie klubu. Długo unikała klubu z obawy, że mogłaby wpaść na Pramoda. Odkąd miała dzieci, nie musiała już szukać wymówek. Dzieci pochłaniały całą jej uwagę. Jej godziny i myśli po brzegi wypełniły kaftaniki i majteczki, przyrządy do geometrii i bloki rysunkowe, szkolne mundurki i witaminy, odrabianie lekcji i wakacje...

Tamtego popołudnia Prabha Dewi odkryła, że potrafi odsunąć od siebie myśli, czepiające się jej umysłu za każdym razem, kiedy opóźniał się posiłek jej dziecka: Na pewno jest głodny, na pewno jest zmęczony. Muszę natychmiast zabrać go do domu i nakarmić, wypędzić zmęczenie z jego kości i z jego twarzy. Tym razem

nie kręciła się więc, jak to miała w zwyczaju, w pobliżu kortu, modląc się w duchu, by trener skończył wreszcie lekcję. Zamiast tego poszła na spacer.

Pracowały spryskiwacze. O zmierzchu trawniki będą zielone i wilgotne; zagięcie każdego źdźbła trawy namaszczone nieustępliwą mgiełką. Prabha Dewi obeszła spryskiwacze i pomaszerowała ścieżką, która skończyła się nagle ścianą osłoniętą kaskadami białych i różowych kwiatów bugenwilli. W murze kusiła niewielka furtka. Budząc jeszcze jedno dziecięce wspomnienie. Czy tak właśnie czuła się Alicja, kiedy zobaczyła maleńkie drzwiczki? Do jakiejż to Krainy Czarów wiodą?

Prabha Dewi otworzyła furtkę i przeszła na drugą stronę. Basen bulgotał, odbijając swoim błękitem błękit nieba. Dotknij mnie, mówił.

Prabha Dewi ukucnęła przy jego brzegu i przesunęła palcami po wodzie. W pobliżu nie było żywej duszy. Z jednej strony rosła kępa bambusa. Pierzaste liście tworzyły chłodny podcień. Prabha Dewi weszła w cień i usiadła na brzegu basenu, spuszczając nogi do wody. Basen gruchał cichutko. Woda łaskotała jej kostki. Wejdz do mnie, mówiła.

Prabha Dewi poczuła, że budzi się w niej potężne pragnienie. Nigdy jeszcze nie doznawała niczego podobnego. Postanowiła, że nauczy się pływać.

Prabha Dewi żałowała, że nie może nikomu opowiedzieć, jak się czuje. O radosnym podnieceniu, o mrowieniu w stopach, o nagłym uderzeniu krwi do głowy na samą myśl, że wstąpi w rozedrgane wody basenu, że będzie w stanie pływać. Ale to musiało pozostać tajemnicą. Dżagdiś nigdy by nie pochwalił jej decyzji. Byłby nią wręcz przerażony, wiedział o tym. Może nawet jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy zaproponowała, żeby używał prezerwatyw, zachichotała w myśli. Już się czuła jak mała dziewczynka.

Więc ukradkiem i podstępem, które są równie potrzebne dobrej gospodyni, co umiejętność marynowania cebuli, przygotowywania mangowego ćatni, sprzedawania starych gazet i przerabiania wypełzłych ręczników na dywaniki do łazienki prostą metodą zwijania w rulonik i zszywania końców, Prabha Dewi zaczęła planować i knuć.

Kupiła kostium kąpielowy w tym samym sklepie, w którym zaopatrywała się w bieliznę. Granatowy, z falbanką na biodrach.

- A może życzy sobie pani do niego spodenki kolarskie? Większość pań wkłada je pod kostium - powiedziała sprzedawczyni, przesuając dłonią po stosiku lajkrowych szortów. A potem, ścisząc głos, dodała: - Mówią, że dzięki temu mają osłonięte uda i nie muszą obawiać się, że złapią w basenie jakąś infekcję.

Prabha Dewi skinęła głową. To samo działo się za każdym razem, kiedy kupowała bieliznę. Pomiędzy nią a sprzedawczynią błyskawicznie nawiązywała się nie koleżeńskiego porozumienia. Więż tak intymna, pomyślała, jak z siostrą albo najlepszą przyjaciółką. Pod tym, czym czyniło je ubranie, były takie same. Miały te same problemy. Wrzynające się ramiączko stanika. Wałki tłuszczu wokół talii. Pomarańczowa skórka na udach. Serce, wzdychające boleśnie, by być komuś potrzebne. Umysł, pragnący wzlecieć w górę.

Prabha Dewi przymierzyła kostium. Lustro nie kłamało. Przesunęła dłońmi wzdłuż boków, czując, jak materiał wpija się w jej ciało. „Przynajmniej nie masz bioder jak dwie dynie ani brzucha sterczącego dalej niż biust. A nawet gdybyś miała, to bez znaczenia. Robisz to dla siebie. Pierwszy raz od wielu lat robisz to, co chcesz, a nie to, co wszyscy uważają, że powinnaś chcieć”, oznajmiła stanowczo sama sobie.

Przy wystawianiu rachunku poprosiła, żeby wpisano zakupy tylko jako kolejne numery. Dźagdiś dawał jej tyle pieniędzy, ile chciała. Ale chciał, żeby rozliczała się z każdej rupii. - Rachunki! Kiedy coś kupujesz, nie zapominaj brać rachunków - powtarzał za każdym razem, wręczając jej plik banknotów.

Dyskretnie przeprowadzone rozpoznanie w klubie wyjaśniło, że mają tam trenera pływania, który przychodził jednak tylko po południu i uczył dzieci do czternastego roku życia.

- W lecie prowadzi specjalny obóz pływacki dla pań. Może wtedy się pani zapisze - poradziła recepcjonistka.

Prabha Dewi poczuła, jak wycieka z niej radosne podniecenie. Ale tylko na moment. Wróciło, gdy recepcjonistka zaproponowała: - Niech pani poprzygląda się przez kilka dni, jak pracuje trener. Pływanie nie jest wcale takie łatwe. Zeszłego lata wiele uczestniczek wycofało się w połowie obozu. Powiedziały, że to za trudne i zbyt męczące.

Prabha Dewi postanowiła, że sama nauczy się pływać. Nikt nie uczył jej przecież, jak ma przyjąć w siebie swojego męża. Nikt też nie pokazywał jej, jak karmić piersią. Zadziałał instynkt. Będzie musiała znowu odwołać się do instynktu. W końcu spędziła dziewięć miesięcy, pływając w macicy swojej matki.

Przez następne trzy tygodnie Prabha Dewi wychodziła o godzinę wcześniej, żeby odebrać Wikrama z lekcji tenisa.

- Po co jedziesz tam tak wcześnie? - zapytał pewnego ranka Dźagdiś.

- Jeśli mnie tam nie ma, wygłupia się zamiast grać - skłamała. Jak doszłam do tego, że muszę tłumaczyć się nie tylko z każdej rupii, ale jeszcze z każdej godziny? Dźagdiś nigdy przecież nie był despotyczny. To ja nauczyłam go rządzić sobą i teraz już nie potrafi traktować mnie inaczej, zrozumiała z bólem Prabha Dewi. To powinno być dla mnie nauczka. Pewnego dnia będę musiała powiedzieć o tym mojej córce. Jak kobieta nadaje ton swojemu małżeństwu.

„Córko”, będę musiała powiedzieć, „pokaż mu, że nie potrafisz nic zrobić poza domem, a zaczniesz zarządzać twoim życiem, poczynając od nadawania przekazów na pocztce, przez pilnowanie stanu konta i rezerwowanie biletów kolejowych, aż po prowadzenie domowych rachunków. Z początku będzie cię rozpieszczał i hołubił, bo w końcu zwracasz się do niego, jako do mężczyzny i opiekuna. Ale zanim się obejrzyysz, zmieni się w tyрана, który będzie chciał kontrolować każdą twoją myśl.

Masz wybór. Możesz zechcieć pokazać mu, jaka jesteś niezależna i jak świetnie radzisz sobie sama. Tylko że kiedy będziesz potrzebowała silnego ramienia, żeby się na nim wesprzeć, kogoś, kto cię przytuli i zaopiekuje się tobą, może się zdarzyć, że go nie znajdziesz, bo zawsze dawałaś mu do zrozumienia, że go nie potrzebujesz. Gdzie leży droga pośrednia, złoty środek? Sama chciałabym wiedzieć. Szkoda, że moja matka nie powiedziała mi, jak postępować. A może ona też tego nie wiedziała”.

Prabha Dewi stała nad brzegiem basenu, próbując uporządkować jakoś chaos w swojej głowie.

- Które z nich jest pani? - zapytał trener, szerokim gestem obejmując dzieciaki w wodzie.

- Żadne - uśmiechnęła się.

- W takim razie, co pani tu robi? - dopytywał się dalej, nie żeby szczególnie go to interesowało. Ale rozmowa z kimś, kto nie płacze i nie wołała mamusi - i nie ma czternastu lat - stanowiła miłe wytchnienie. Przełamywała monotonię desperackich wysiłków nauczania pływania dzieciaków, które nienawidziły wody.

- Próbuję nauczyć się pływać - powiedziała Prabha Dewi, nie spuszczać oczu z dzieci, kurczowo ścisnąjących stalowy drążek, biegnący wzdłuż płytkiego końca basenu i z furią kopiących wodę, usiłując przy tym rozpaczliwie nie wypuścić powietrza z płuc, utrzymać się na powierzchni, pokonać własny strach przed wodą i nie ściągnąć na siebie uwagi trenera, a wszystko to równocześnie.

- I co, nauczyła się już pani pływać - zakpił trener kilka dni później.

- Nauczę się - powiedziała z godnością, ignorując jego lekceważący ton.

Prabha Dewi obserwowała dzieci. Patrzyła, jak kopią powierzchnię wody, wzbijając lśniące tęcze. Jak prostują ramiona. Jak nimi poruszają. Jak odpychają się nogami. A wszystko to na pożyczonym powietrzu, utrzymywanym w płucach najwyższym wysiłkiem woli. Powietrzu domagającym się, by je wypuścić. Prabha Dewi wzięła głęboki wdech i przytrzymała powietrze w płucach. Wkrótce nadejdzie ten dzień.

Był taki moment, że Prabha Dewi zaczęła tracić nadzieję. Październik strawiły burze. Na miasto runął monsun, doprowadzając wszystko i wszystkich do stanu totalnego wyczerpania. Potem nadeszły święta, Daśahra i Diwali, i Prabha Dewi miała pełne ręce roboty. To Dźagdiś narzucał i kontrolował rozkład dnia. Była pułdą; musiała zamówić pudełka ze słodyczami dla pracowników, partnerów w interesach i klientów; kupić fajerwerki i nowe ubrania; składać wizyty w rozmaitych domach; odgrywać rolę gospodyni... Prabha Dewi wykonywała swoje obowiązki, myśląc tęsknie o basenie.

- Co się z tobą dzieje? - spytał Dźagdiś. - Źle się czujesz? Sprawiasz wrażenie, jakby nic cię nie interesowało.

Prabha Dewi w milczeniu pokręciła głową. - Nic się nie dzieje. Po prostu jestem trochę zmęczona - powiedziała.

Rzucił jej przenikliwe spojrzenie i poszedł zadzwonić. Prabha Dewi patrzyła na jego plecy, czując, że ogarnia ją przygnębienie.

Od wielu lat przybiera taki ton głosu, kiedy do mnie mówi. Coś pośredniego pomiędzy naganą i pocucaniem... dlaczego teraz nagle mnie to zabolalo, skoro dotąd nie zwracałam na to uwagi?, spytała siebie Prabha Dewi. Może przemawia przez niego rozczarowanie. Rozczarowanie kobietą, którą się stałam. Potulnym, przyziemnym cieniem mojej dawnej ja. Który mężczyzna nie czułby irytacji na myśl, że musi z taką kobietą spędzić resztę życia? Tylko że nie wiem, jak mam się zmienić; w jaki sposób przywrócić równowagę naszemu związkowi... Coraz częściej wydaje mi się, że w ogóle niczego nie wiem.

Tydzień później Prabha Dewi zdecydowała, że nadszedł ten dzień. Powiedziała Dźagdiśowi, że zapisała się na trzytygodniowy kurs pieczenia.

- Dlaczego? - spytał zaciekawiony.

- Dlaczego nie? - odparowała.

Dźagdiś przyjrzał jej się, zaskoczony. Przez moment wydawało mu się, że dostrzega kobietę, którą niegdyś była. Zmysłowe, pełne życia stworzenie, rozpalające jego zmysły oszałamiającymi uśmiechami, radosnym usposobieniem i wymagającym ciałem. Ta Prabha Dewi była gospodynią jego domu i matką jego dzieci. Słuchała. Wykonywała polecenia. Wegetowała na marginesie jego życia. Szczerze mówiąc, jej całkowity brak poczucia własnej wartości zaczynał go trochę złościć. Zastanawiało go, co ma oznaczać ta nagła fascynacja pieczeniem, pragnienie wypełnienia swojego czasu czymś więcej.

Prabhę Dewi nie interesowało, jakimi drogami błądzą myśli Dźagdiśa. Jedyne, o czym potrafiła myśleć, to chwila, kiedy otoczy ją woda basenu.

Prabha Dewi podeszła do basenu z uczuciem ssania w żołądku. Pół na pół lęku i radosnego podniecenia. Chichocząc w duchu jak mała dziewczynka, pomyślała, jak bardzo przypomina jej to dzień ślubu, kiedy prowadzono ją do przystrojonej kwiatami sypialni. Tam czekał na nią Dźagdiś. Tutaj zaś czeka basen.

Prabha Dewi stała w przebieralni niepewna, co ma zrobić. Czy ma zostać w majtkach i staniku? Czy raczej zdjąć z siebie wszystko i włożyć kostium na gołe ciało? Ostatecznie zdjęła bieliznę, posmarowała skórę emulsją przeciwsłoneczną i włożyła spodenki kolarskie i kostium. Owinęła się ręcznikiem, włożyła czepek, żeby nie zmoczyć włosów, zostawiła na czole samoprzylepne bindi i ściskając pod pachą deskę, poszła na basen.

Ratownik zmierzył ją zaciekawionym spojrzeniem. Zawahała się. Jak ma zdjąć z siebie ręcznik w jego obecności? - Czemu tak stoisz i się gapisz? Nie masz nic lepszego do roboty? - spytała najbardziej władczym tonem, na jaki było ją stać.

- Jestem ratownikiem, Madame - wyjąkał.

Nie było innego wyjścia jak tylko udawać, że go tu nie ma. Zaczęła iść w stronę basenu.

- Przepraszam, Madame - wymamrotał - przed wejściem do basenu musi pani wziąć prysznic. Takie mamy zasady - powiedział, wskazując na ścianę, na której widniały wypisane wielkimi czerwonymi literami zasady korzystania z basenu. Nakazy, dotyczące długich włosów i czepków kąpielowych; jedzenia i picia; właściwego stroju i zachowania; nurkowania i pozostawionych bez opieki dzieci poniżej dwunastu lat; i że dyrekcja klubu nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne wypadki...

- Oczywiście, że zamierzałam wziąć prysznic - powiedziała Prabha Dewi ostrym jak brzytwa tonem. - Myśli pan, że pierwszy raz jestem na basenie? - Prabha Dewi ruszyła w kierunku pryszniców na wolnym powietrzu. Wzięła głęboki oddech i zdjęła ręcznik. Prysznic włączył się automatycznie, tryskając strumieniami lodowato zimnej wody. Chłód zaparł jej dech w piersiach i sprawił, że zapomniała o zażenowaniu swoją niemal całkowitą nagością w obecności obcego mężczyzny.

Stanąła na brzegu basenu, przy jego płytkim końcu. Była tam metalowa drabinka, schodząca do wody. Jak po niej zejść? Tyłem do basenu? Czy tyłem do drabinki? Wszystko, co teraz uczynię, uczynię na własne ryzyko. Nie będę mogła nawet rzucić winy na dyrekcję klubu, myślała Prabha Dewi, schodząc po drabince.

Woda była zimna. Szczypała jej skórę, wywołując gęsią skórkę i posyłając lekkie elektryczne wstrząsy do mózgu. Na szczęście przypomniała sobie, co trener wrzeszczał do dzieci. „Zanurz się, szybciotko, wstrzymaj oddech i zanurz się pod wodę. Od razu przestanie ci być zimno...”.

Prabha Dewi to właśnie zrobiła i woda zamknęła się nad jej głową. Kiedy wynurzyła się, pryskając śliną i łykając powietrze, które nagle napłynęło jej do ust, poczuła się zupełnie nieprzygotowana do czekającego ją zadania. Co mam teraz zrobić?

Prabha Dewi chwyciła metalową poręcz, zanurzyła w wodzie twarz i spróbowała machania nogami. Kiedy nadszedł czas opuszczenia basenu, miała wrażenie, że jej nogi zrobiły się ciężkie jak dwa worki piasku i najchętniej wrosłyby w ziemię. Mięśnie, których istnienia dotąd nawet nie podejrzewała, dawały o sobie znać

lekkimi spazmami bólu. Wspięcie się po drabince, tak, żeby nie wpaść znowu do wody, okazało się nie lada wysiłkiem.

Przez trzy kolejne dni ograniczała się wyłącznie do kopania wody, robiąc pac pac pac i wzbijając łuki wodnej piany. Gdy się zmęczyła, zanurzała się pod wodę i próbowała utrzymać otwarte oczy. Piekły i czerwieniały od chloru, ale w końcu przyzwyczała się do tego, mówiła sobie, chwytając się metalowego drążka i unosząc ciało tak, że wydawało się, że prawie utrzymuje się na plecach na wodzie.

Czwartego dnia Prabha Dewi odkryła, że nie musi już trzymać się drążka. Utrzymywała się na powierzchni, dotykając go tylko koniuszkami palców, tak długo, jak długo udawało jej się utrzymać głowę pod wodą i powietrze w płucach.

Dzień piąty. Prabha Dewi zdecydowała, że nadszedł czas, żeby uniezależnić się od drążka. Oparła nogę o ścianę basenu, nabrała tyle powietrza, ile zdołały pomieścić jej płuca, i odepchnęła się, trzymając się gumowego koła, które dał jej ratownik. Przesunęła się kawałek do przodu. Spróbowała wypuścić koło. Poszła pod wodę. Na ułamek sekundy wpadła w panikę. Tonę. Umieram, wrzeszczał głos w jej głowie. Wreszcie wynurzyła się na powierzchnię. Prabha Dewi złapała podskakujące na wodzie kółko i wróciła do drążka. Uznała, że nie jest jeszcze gotowa.

Dzień szósty. Prabha Dewi próbowała spenetrować całą szerokość płytkiego końca basenu. Kiedy skończyło się jej powietrze, poszła pod wodę. Wynurzywszy się, zobaczyła trenera, który przyglądał się jej z rozbawieniem z brzegu basenu. - Niech pani zostawi to koło - powiedział.

- A jak bez niego utrzymam się na powierzchni? - spytała.

- Przecież już pani to robi - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Och - powiedziała Prabha Dewi, uradowana jego słowami. I wtedy coś przyszło jej do głowy. Łatwo mu tak mówić. A co będzie, jeśli utonie? - Mogę się utopić. Dopóki mam koło, zawsze mogę się go przytrzymać - próbowała wyjaśnić.

Trener ukucnął nad wodą i zapytał: - Ile ma pani wzrostu?

- Pięć stóp i dwa cale - powiedziała Prabha Dewi, zastanawiając się, co to ma wspólnego z gumowym kółkiem. Słyszała, jak Wikram mówił, że w tenisie ciężar rakiety zależy od wagi zawodnika. Czyżby w pływaniu obowiązywała podobna zależność, o której nie miała pojęcia?

- No to czego pani się boi? - wypalił trener. - Przecież basen w tym miejscu ma cztery stopy głębokości. Jakim cudem mogłaby się pani utopić? Nawet jeśli zabraknie pani powietrza i pójdzie pani pod wodę, pani stopy natychmiast dotkną dna. Wynurzy się pani - powiedział, wyciągając do niej rękę. - Proszę oddać mi ten bezużyteczny przedmiot.

Prabha Dewi bez słowa oddała mu kółko. To, co mówił, miało sens. Uśmiechnęła się. - Dziękuję - powiedziała.

Przez pozostałą część godziny Prabha Dewi próbowała utrzymać się na wodzie. I woda pozwalała jej na to, jak długo udawało jej się nie wypuścić powietrza. Zanim jej godzina dobiegła końca, trzy razy pod rząd przeplnęła całą szerokość basenu.

Siódmego dnia Prabha Dewi odpoczywała. Tej nocy poczuła, że otwiera się w niej malutka piątka pożądania. Rozkwitanie zmysłów. Śpiew zakończeń nerwowych. Podszyta brawurą namiętność, która kazała jej

przywrzeć ciałem do ciała męża. Dźagdiś, na pół już śpiący, poczuł ciepło jej ciała. Zmysłowość nabrzmiała, grożąc wybuchem. Od tak dawna nie było między nimi czegoś takiego. Kiedy Dźagdiś chciał, łączyli się cicho i szybko. Dla niego było to proste zaspokojenie cielesnej potrzeby. Dla niej akceptacja wyznaczonej przez życie roli.

Dźagdiś poruszył się. Powoli budziło się w nim pożądanie.

Trzymanie jej w ramionach było inne niż dotąd. Ani śladu rozlazłości. Nowe napięcie. Cień mięśni. Elastyczne ścięgna. Wstrząsy elektryczne.

- Co ze sobą zrobiłaś? - spytał, z chłopięcym entuzjazmem badając dłońmi to niemal obce ciało.

- Nic. Pływałam tu i tam - wymruczała zgodnie z prawdą, upojona przebudzeniem na zawsze pogrzebanych już, jak sądziła, pragnień.

Kiedy ostatni raz doświadczała takiego nadmiaru wrażeń?

Skóra na skórze. Palce. Usta. Łuk powieki. Krzywizna ucha. Szorstkość jego wąsów. Pukiel jej włosów. Oddychanie jego oddechem.

Stwardniałe brodawki kreśliły wzory. Zaciśnięcie się wewnątrz: jeszcze nie, jeszcze nie teraz. Badające palce u stóp. Dreszcze wzdłuż kręgosłupa; dreszcze w całym ciele... Szmer pożądania. Szaleńczy przypływ namiętności. Strumień wilgoci. Ciała wygięte w łuk. Zwarte. Rozdzielone. Tylko po to, by znów się ze sobą zewrzeć.

Huk w uszach, gdy nagle zamknęła się nad nią woda. Tonę. Umieram. Gdy w płucach nie stało już powietrza, głowa wystrzeliła nad powierzchnię, a stopy dotknęły gruntu.

Dźagdiś zasnął z uśmiechem na ustach. Bóg jest sprawiedliwy. Życie jest piękne. A Prabha Dewi sprawiła, że poczuł się, jakby znowu miał dwadzieścia jeden lat.

Ale Prabha Dewi leżała nie śpiąc. Kiedy to ciało, które przed chwilą mknęło, wirując, przez korytarze czystych doznań, nauczy się utrzymywać na powierzchni wody?

Następnego ranka Prabha Dewi stała w basenie głęboko pogrążona w myślach. Ubiegła noc nauczyła ją wielu rzeczy. Przez całe swoje zameżne życie zastanawiała się, co by się stało, gdyby okazała Dźagdiśowi, że chce się kochać. Czy nagość jej pragnień wzbudziłaby w nim odrazę? Czy odwróciłby się do niej plecami? Straciłby dla niej cały szacunek?

A teraz odkryła, że pożądanie budzi pożądanie; spełnienie rodzi spełnienie. Pocałunek za pocałunek. Pieszczota za pieszczotę. To, co dajesz, wraca do ciebie zwielokrotnione. Od czasu Pramoda, od czasu, gdy jej życie nabrało gorzkiego smaku, zawsze się wstrzymywała. Paraliżowana strachem przed tym, co może się stać, jeśli coś pójdzie nie tak, jak tego chciała. Prabha Dewi spojrzała na połać wody. Wzięła głęboki oddech i odepchnęła się. Na kafelkach pod nią tańczyły refleksy światła. Woda była jak jedwab, zwijający się wokół niej z cichym szelestem.

Poczuła, że opadają z niej lata. Ciało, które przyczyniło jej tylu zgryzot, najpierw swoimi wygórowanymi żądaniami, a potem nagłym obumarciem zmysłów, teraz miękło. Była błękitem basenu i wodą była.

Czas stanął w miejscu. Nieważkość. Mgła wspomnień. Obłok niepowiązanych myśli. Od koniuszków palców u stóp po koniuszki palców u rąk, linia prosta, powolny triumf. Unoszę się na powierzchni. Płynę. Moje ciało przestało się liczyć. Teraz mam to. Pokonałam lęk.

Kiedy palce Prabhy Dewi dotknęły przeciwległego końca basenu, wyprostowała się. Prabha Dewi wiedziała, że odtąd jej życie nigdy już nie będzie takie samo. Że cokolwiek się jeszcze wydarzy, nie zdoła dorównać momentowi najwyższego zadowolenia, gdy pojęła, że unosi się na powierzchni wody.

9

Akhila patrzyła na mknący za oknem pejzaż. Od jego bujności piekły ją oczy. Nigdy jeszcze nie widziała tyłu odcieni zieleni. Pociąg pędził wzdłuż ryżowych poletek obrzeżonych palmami kokosowymi. Żółte snopki ryżowej słomy leżały płasko na brązowej, spragnionej wody ziemi. Żółte i brązowe, zielone i złote... Ileż spokoju miał w sobie ten pejzaż, choć przecież zasadniczą jego cechą była zmiana. Dlaczego to tylko my, ludzie, stawiamy opór zmianom? Dlaczego z nimi walczymy? Dlaczego rodzina nie potrafiła pogodzić się z jej decyzją?

#

Kilka tygodni wcześniej Akhila wypełniała w supermarkecie kupon loterii i kiedy doszła do rubryki „wiek”, machinalnie wpisała liczbę 45. I nagle Akhila zatrzymała się. Miała czterdzieści pięć lat i nic, czym by się mogła pochwalić. Nawet wspomnień.

Akhila popatrzyła na inne kobiety z koszykami wypełnionymi po brzegi, tak jak ich życie. Spojrzała na swój własny koszyk. Tak w nim pusto, że aż serce się kroi. Krem do twarzy, obiecujący pokonać wiek; szampon zapewniający, że wróci sprężystość jej osłabionym włosom; i opakowanie błyskawicznego krochmalu. Wszystko to mogła nabyć w sklepiku na rogu nieopodal stacji kolejowej, ale nie uśmiechała jej się myśl o robieniu sprawunków w towarzystwie Padmy, odkręcającej wieczka słoików i wachającej zawartość. Nie miała też ochoty słuchać, jak Padma obwieszcza wszem i wobec: Kiedy ja dobiję czterdziestki, zestarzeję się z godnością. Bez żadnych takich kremów czy farb do włosów. Powiadam wam, nic nie dorówna blaskowi zadowolenia na twarzy kobiety.

Miała absolutne prawo tak uważać, ale raniło to uczucia Akhili, zgodnie zresztą z intencją Padmy. Teraz Akhila starała się zawsze myśleć o dwa kroki naprzód, by chronić się przed zranieniem. Jednak bynajmniej to nie obawa, że starość pogłębi jej zależność od siostry i uczyni jeszcze bardziej podatną na ciosy, skłoniła wreszcie Akhilę do podjęcia decyzji, że chce żyć na własny rachunek.

Po pierwsze, uświadomiła sobie, że dobiła czterdziestu pięciu lat, egzystując na marginesie życia. Ale przede wszystkim z powodu Karpagam.

Karpagam, która wcisnęła się w wąskie przejście przy kasie, i z powrotem do życia Akhili, z łatwością zaprawionego w bojach kolejkowicza. - Akhilandeswari, to ty? - zakrzyknęła, owiewając oddechem kark Akhili.

Głos z przeszłości. Z czasów, gdy życie było szeregiem kwadratów narysowanych na piasku pod drzewem mango. Nie musiałaś nic robić, tylko skakać, skakać i skakać po zwycięstwo.

Miara poufałości, brzmiącej w tym głosie, brała się z więzi zadzierzgniętej pod łukiem skakanki. Przesuwającym się pod stopami, podnoszącym pył i wzlatującym w górę, wiążącym je ze sobą pojedynczym rytmem i obsesyjną potrzebą nieprzerywania skakania, dopóki nogi nie odmówią im posłuszeństwa.

Przyjaźń, rozkwitła podczas wspólnej drogi do szkoły i z powrotem, kiedy dzieliły się tajemnicami i pięciopajсовym toffi. Związek, który skończył się wraz z dzieciństwem, kiedy Karpagam została żoną, a Akhila głową swojej rodziny.

Akhila stężała. Od niemal dwudziestu pięciu lat nikt nie nazwał jej pełnym imieniem. Ogarnął ją strach. Poczowała suchość w ustach, a język zmienił się w jęzor starego buta. Zesztywniała i nieposłuszny.

- Kto? Jak? - wyjąkała.

- Czyżbyś mnie zapomniała? - zawołała kobieta, trącając ją w łokieć. - Jestem Karpagam. Nie pamiętasz mnie?

Akhila wzięła głęboki oddech, osłaniając nerwy poduszką powietrza. - To ci niespodzianka. Prawdziwa niespodzianka!

Rzuciwszy jej zdumione spojrzenie, Karpagam energicznie odstawiła koszyk na kontuar kasy. - No pewnie. Nie widziałyśmy się od dwudziestu pięciu lat. Chociaż ty nic się nie zmieniłaś.

- Co to jest? To wszystko, co kupiłaś? - spytała, zaglądając do koszyka Akhila.

Akhila czuła na sobie badawczy wzrok Karpagam. Co takiego zobaczyła?

Z lustra spogląda na Akhilę nieznajoma. Blady duch jej dawnej osoby. Kobieta o ziemistej cerze i zwiędłych ustach. Linie na szyi. Koncentryczne koła na pniu drzewa tekowego. I jedno, i drugie określają wiek.

Akhila dotyka swoich włosów. W ciągu dnia nosi je zwinięte w ciasny koczek na karku. Tylko w nocy, tylko kiedy była sama, rozpuszcza je, pozwalając im spływać na plecy. Akhila rozsuwa włosy na boki i czasami, może na skutek jakiejś sztuczki światła lub rozkwitu tajemnego pragnienia, dostrzega Akhilandeswari. Dziewczynę, która przemawiała dźwiękami miękkimi i krągłymi. Głos nieznajomej jest zgrzytliwy i ochrypliwy od ciężaru odpowiedzialności.

Wystarczy, że Akhila zrobi dwa kroki do tyłu, a nieznajoma w lustrze znika. Zna to ciało: ciało Akhilandeswari. Akhila wsuwa pod pierś ołówek. Ołówek wypada. Jej brzuch jest płaski i gładki. Nie poznały go srebrzyste rybki. Przesuwa dłońmi wzdłuż ciała.

Akhila waha się. Kim jest ta istota, przez której uda zielono-błękitną wstęgą płynie wiek? Jak to możliwe, by czas stanął i ułożył się do spoczynku w błękitnych żyłkach na jej łydkach? To nie ja. Nie prawdziwa ja. Akhilandeswari.

W oczach Karpagam Akhila zobaczyła nieznajomą. Ciche stworzenie pozbawione życia i energii. Bez jakichkolwiek oznak bycia żoną - bez błyszczącego na piersi tali, bez krwawej strużki kumkum wzdłuż przedziałka, bez pierścionków połyskujących na palcach u stóp, przykuwających do małżeńskiego szczęścia. Bezbarwna, pozbawiona znaczenia kobieta, która nie ma nic lepszego do roboty od krążenia bez celu po alejkach supermarketu i udawania, że kupuje niepotrzebne jej rzeczy.

- Usiądźmy gdzieś - zaproponowała Karpagam, biorąc Akhilę pod ramię i prowadząc ją do supermarketowej kawiarni.

Akhila usiadła przy stoliku i patrzyła, jak Karpagam nakłada na tacę bułeczki z dżemem, talerz pierożków samosa, i dwa parujące kubki kawy. Promieniała zadowoleniem. Biło z wałeczków sadła w talii; z zarysu podwójnego podbródka; z tłusciutkiej pulchności nadgarstków. Biło z kolorów, które nosiła: chromowej żółci bluzki; żółci i zieleni sari z bengalskiej bawełny; złota biżuterii i jaskrawo rdzawego proszku kumkum, którym

posypała przedziałek. Iskry radości w oczach i dołeczki w policzkach. Parę siwych pasem we włosach. Dojrzałość we wszystkim.

- Nie mogłam się oprzeć - uśmiechnęła się, wskazując podbródkiem wyładowaną tacę. - Nie rozumiem, jak ktoś się może odchudzać. Moja córka wiecznie się odchudza. Przez cały tydzień żyje na samych sokach owocowych - słyszałaś większą bzdurę? A przez następny tydzień jada wyłącznie surowe jarzyny. Bez sensu. Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę, żyje się tylko raz. Trzeba więc żyć dobrze.

Akhila uśmiechnęła się niepewnie, zastanawiając się, czy nie kryje się w tym aby wymówka pod jej adresem.

Karpagam wgrzyła się w pierożek i otarła z brody okruszki.

- Wszyscy ogromnie cię podziwialiśmy, kiedy po śmierci twojego ojca zajęłaś się rodziną. Matka często o tobie mówiła, niemal z nabożnym respektem, a potem zawsze wspominała Dżaję. Pamiętasz ją?

Akhila skinęła głową, niezdolna wydobyć z siebie głosu.

- Ciekawa jestem, co się stało z Dżają. Gdzie teraz jest, i co się stało z Sarasą Mami i resztą dzieciaków. Kiedy umiera głowa rodziny, rodzina umiera wraz z nią, mawiała moja matka, chyba że znajdzie się taka córka, jak Akhila.

Akhila uśmiechnęła się. Nic innego nie przyszło jej do głowy. Upłynęło wiele czasu, odkąd ostatni raz myślała o Dżaji.

- Opowiadaj więc, co porabiasz? Wiem, że po śmierci matki wyjechałaś z Ambattur. Postanowiłaś na stałe przenieść się do Bangaluru? - zapytała Karpagam.

- Nic ciekawego. To, co zwykle. Praca, dom, praca... Padma - pamiętasz ją, moja młodsza siostra - mieszka ze mną, wraz ze swoją rodziną, i prowadzi mi dom. - Akhila zbyła pytania, na które zresztą i tak nie знаła odpowiedzi.

Karpagam wyciągnęła rękę i uściśnięła dłoń Akhili. - Myślałam, że dorobiłaś się już własnego życia. Ale widzę, że nie. Czy twoja samolubna rodzina nie rozumie, że zasługujesz na odrobinę własnego szczęścia?

Kęs pierożka stanął Akhili w gardle. - Co mogliby zrobić? Jestem już na to za stara.

- Za stara na co? - spytała Karpagam, zwięzając oczy. Przez chwilę mierzyła Akhilę szacującym spojrzeniem. A potem poprosiła cicho: - Powiedz, czym jest dla ciebie szczęście? Co uczyniłoby cię szczęśliwą?

Akhila czubkiem palca kreśliła wzory na laminowanej powierzchni blatu kawiarnianego stolika. Jak miała zdefiniować szczęście? Czy w ogóle by je rozpoznała, nawet gdyby natknęła się na nie twarzą w twarz?

Pomyślała o noworocznych kartach, które przysyłały sobie co roku z Katherine. - Szczęście jest wtedy - powiedziała Akhila, papugując sentencje drukowane na kartkach - kiedy człowiek może decydować o własnym życiu; żyć tak, jak chce. Szczęście jest wtedy, kiedy wiesz, że ktoś cię kocha i masz kogoś, kogo możesz kochać. Szczęście jest wtedy, kiedy czekasz z nadzieją na jutro.

Karpagam westchnęła. - Akhi - zaczęła, powracając do dziecięcego imienia Akhili - czy jesteś szczęśliwa?

- Nie wiem. - Tym razem Akhila mogła odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

- Czemu? Czy dlatego, że nie masz męża ani dzieci?

- Nie, nie - wyszeptała Akhila, zastanawiając się, czy ktoś ich nie podsłuchuje. - To nie dlatego.

Czasami Akhila myślała, że najbardziej ze wszystkiego mierzi ją to, iż nie posiada własnej indywidualności. Zawsze była przedłużeniem kogoś innego. Córką Ćandry; starszą siostrą Narayana; ciotką Pridzi; szwagierką Murthy'ego... Akhila chciałaby, żeby ktoś wreszcie dostrzegł w niej pełną istotę ludzką.

Tylko czy Karpagam by to zrozumiała? Czy kobieta, obnosząca małżeństwo jak kanćipuramskie jedwabie, potrafiłaby zrozumieć, że najbardziej w świecie Akhila pragnie być odrębną osobą? Być u siebie. Robić to, co się jej podoba. Żyć wedle własnego wyboru, bez skrępowania i strachu przed potępieniem.

Że chociaż rzeczywiście z całego serca chciałaby być z mężczyzną, odkrywać własne zmysły i szukać spełnienia, że marzy o tym, by być kochaną przez kogoś, kto wypełni chwile milczenia i podzieli się z nią swą duszą i ciałem, nie pragnie bynajmniej męża. Akhila nie chciała być znowu przedłużeniem innej osoby.

Karpagam słuchała, jak Akhila próbuje wytłumaczyć rzeczy, których nigdy dotąd nie odważyła się wypowiedzieć na głos.

- No więc dlaczego nie mieszkasz sama? Twoja siostra jest już dorosła i może sama o siebie zadbać. Zresztą ma przecież męża i rodzinę. Akhi, jesteś wykształcona. Masz pracę. Zorganizuj sobie swoje własne życie - powiedziała Karpagam, poprawiając spinę we włosach z tą samą zdeterminowaną uwagą, z jaką zajęła się życiem Akhili. - I - dodała po chwili - przestań wreszcie bez przerwy rozglądać się na boki. Czego się boisz - co powiedzą ludzie? Akhi, poproś swoją siostrę i jej rodzinę, żeby wyprowadzili się z twojego domu. To pierwsze, co powinnaś zrobić.

Akhila rozejrzała się po kawiarni. Pito kawę, jedzono ciastka; każdy był z kimś.

- Jak mogę mieszkać sama? Jak jakakolwiek kobieta może mieszkać sama? - spytała z rozpaczą.

- Spójrz na mnie - głos Karpagam przedarł się przez gęste warstwy żalu. - Jeśli ja mogę mieszkać sama, to dlaczego ty byś nie mogła?

- Ale przecież ty masz męża. Nie mieszkasz sama - powiedziała ze złością Akhila. Jak Karpagam może się z nią porównywać.

- Miałam męża - poprawiła Karpagam, patrząc w oczy Akhili. - Umarł kilka lat temu.

- Tak mi przykro. Ale przecież... - wymamrotała Akhila.

- Wiem, o czym myślisz. Zastanawiasz się, jak to się dzieje, że nadal używam kumkum i noszę kolorowe ubrania? Wolałabyś, żebym ubierała się na białe i snuła po świecie, wyglądając jak gotowe do spalania na stosie zwłoki?

- Nie, oczywiście, że nie - bąknęła Akhila. - Tylko co na to wszystko twoja rodzina?

Karpagam wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Mam w nosie, co myśli o tym moja rodzina albo ktokolwiek inny. Jestem, kim jestem. I mam takie samo prawo, jak każdy inny, żyć tak, jak mi się podoba. Powiedz mi, czy kiedy byliśmy młodymi dziewczętami, nie nosiłyśmy kolorowych ubrań, biżuterii i bottu? To nie jest wyłącznie przywilej, uświęcony małżeństwem. Tak jak ja na to patrzę, to naturalne, że kobieta chce być kobieca. To nie ma nic wspólnego z tym, czy jest zamężna, czy nie, ani czy jej mąż żyje, czy umarł. Zresztą, kto ustanowił te prawa? Jakiś mężczyzna, który nie mógł znieść myśli, że po jego śmierci jego żona nadal będzie atrakcyjna dla innych mężczyzn.

Słowa płynęły z jej ust z łatwością nabytą w drodze wielokrotnego wypowiedzania. I Akhila uświadomiła sobie ze wstydem, że gdy ona z wdziękiem potulnego bawołu tapła się w sadzawce żalu nad samą sobą, wystawiając grzbiet na łup pasożytów, Karpagam poszła do przodu i nauczyła się przetrwania.

- Mieszkam sama. Już od bardzo dawna. Moja córka, która ma dwadzieścia trzy lata, też mieszka sama. Jesteśmy silne, Akhi. Jesteśmy, jeśli tylko tego chcemy.

- Co więc radzisz, żebym zrobiła? - spytała Akhila.

- Zrób to, na co masz ochotę. Zamieszkaj sama. Zbuduj sobie własne życie, w którym na pierwszym miejscu staną twoje własne potrzeby. Powiedz twojej rodzinie, żeby wyniosła się do diabła. - Karpagam uśmiechnęła się i nabazgrała na odwrocie rachunku swój adres. - Napisz do mnie. Bądźmy ze sobą w kontakcie.

Akhila wsunęła karteczkę do torebki. Na zewnątrz, dotknęła ramienia Karpagam. - Karpagam, to naprawdę ty, czy jakaś bogini, która zstąpiła na ziemię, żeby wyprowadzić mnie z tego... - przerwała, myśląc o ciemnych, posępnych barwach świata, w którym od tak dawna już egzystuje.

- Nie bądź niemądra - roześmiała się Karpagam. I właśnie wspomnienie owego śmiechu, śmiechu mówiącego „a myślcie sobie, co chcecie”, Akhila wzięła za symbol tego, co zamierza uczynić ze swoim życiem.

#

Co niedzielę Padma natłuszczała włosy swoich córek. Podgrzewała olej sezamowy i wcierała go w skórę głowy, dopóki włosy nie przylgnęły do czaszki, lśniące i ciężkie. Następnie myła dziewczynkom głowy proszkiem z korzenia mydlnicy. To Padma powinna być starszą siostrą, a nie ja, myślała Akhila.

Od spotkania z Karpagam minął miesiąc. Miesiąc szalonego planowania, gorączkowych działań i ukradkowych myśli. Miesiąc, przez który wnikliwie badała każdą swoją myśl i wszystkie dokumenty. Miesiąc, w którym Akhila zebrała rozliczne motki swojego życia i zaczęła splatać z nich swoją przyszłość. Kiedy dobiegł końca, była gotowa.

- Padmo - powiedziała, przyglądając się palcom siostry, obrabiającym głowę córki, jakby to była kula ciasta. Ugniataj, aż stanie się całkowicie plastyczna. Ugniataj, dopóki nie wyprzesz z niej ostatniej myśli o opozrze. Ugniataj, by była ci posłuszna, gdy nadejdzie czas. - Myślę o kupieniu domu.

Padma popatrzyła na nią z zaciekawieniem. - Ja też zastanawiam się nad tym od pewnego czasu. Dziewczęta niedługo już dorosną do małżeństwa, a jak im znajdziemy porządnych mężów, jeśli nie mamy nawet domu?

- Padmo - powiedziała Akhila najłagodniej, jak potrafiła. - Kupuję mieszkanie; mieszkanie z jedną sypialnią.

- Ale jak my się wszyscy tam pomieścimy? Nie stać cię na nic większego?

- Padmo - Akhila powtórzyła imię siostry, czując, jak słowa w jej ustach powlekają się stalą. - Ile sypialni potrzebuje jedna osoba?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - w głosie Padmy zgrzytnęła podejrzliwość.

- Chcę być sama. Najwyższa pora, żebym zamieszkała oddzielnie. Zresztą, dla ciebie również - powiedziała Akhila, patrząc jej w oczy. Ich spojrzenia zwały się i ku ogromnej satysfakcji Akhili, Padma pierwsza odwróciła wzrok.

- Dobrze się czujesz? - zapytała, wycierając zatłuszczone dłonie o własne stopy. - W twoim wieku kobieta przechodzi trudny okres. To ma coś wspólnego z hormonami. Czytałam o tym niedawno w jakimś czasopiśmie. Pisali tam, że menopauza potrafi kobiecie porządnie namieszać w głowie.

- Zamknij się, Padmo - warknęła Akhila. - Mam już po dziurki w nosie twojego wszechwiedzącego tonu. Jeśli chcesz znać prawdę, mam was dosyć. Hałasu, który robią w moim domu twoje dzieci. I tego, jak ty i twój mąż pasożytujecie na mnie przez całe życie.

Akhila przerwała, ujrawszy przerażenie malujące się na twarzy siostry. Ale natychmiast tego pożałowała, bo usta Padmy trysnęły potokiem słów. Słów o rozdwojonych językach, bluzgających jadem.

- Za te wszystkie lata, kiedy gotowałam i sprzątałam dla ciebie... odpłacasz mi, mówiąc, że masz nas po dziurki w nosie. Jesteś zawistną starą kobietą. Oto czym jesteś. Przepelnia cię zazdrość i mściwość, że ja mam męża i dzieci, a ty nie masz nic.

- Jeden więcej powód, dla którego powinniśmy się rozejść - odparowała lodowato Akhila.

- Myślisz, że nasi bracia zgodzą się na to? Myślisz, że pozwolą ci zamieszkać samej? - zawołała triumfująco Padma, przeświadczona, że Narayan i Narsi ją poprą.

- Na miłość boską, nie potrzebuję niczyjej zgody. Spójrz na mnie, mam czterdzieści pięć lat. Jestem najstarsza z was wszystkich. Zrobię dokładnie to, co będę chciała i nic mnie nie obchodzi twoje ani czyjekolwiek zdanie na ten temat...

- Tak ci się tylko wydaje. To oni są mężczyznami w tej rodzinie - sztychł głos Padmy.

Dlaczego stoję tu i tego słucham?, zapytała siebie Akhila. Odwróciła się na pięcie i odeszła. Czowała teraz spokój i jeszcze większą pewność tego, co zamierzała zrobić.

Przez kilka następnych dni panowało napięte milczenie. Dzieci głośno i często strofowano w obecności Akhili. - Pridża - syczała Padma - czy musisz recytować na głos ten wiersz, żeby nauczyć się go na pamięć? Zamknij książkę i odłóż ją na półkę. W końcu, co może zdarzyć się najgorszego... Najwyżej dostaniesz dwóję z klasówki. Nie chcę, żebyś przeszkadzała ciotce.

- Madhawi - warczała - przestań tłuc talerzami. Nie wiesz, że hałas irytuje Akkę?

Akhila znajdowała swoje posiłki, pozostawione pod przykryciem na stole w jadalni. Ubrania, które rozwiesiła do wyschnięcia, wyprasowane i ułożone w schludne stosiki na swoim łóżku. Padma karała ją swoim milczeniem. A równocześnie pilnowała, by Akhila dobrze rozumiała, jak sprawnie prowadzi jej dom. I jaki chaos i zamieszanie zapanuje w nim bez niej. Ale udało jej się jedynie rozżłościć Akhilę. Jak Padma śmie raczyć ją swoim pełnym wyrzutem milczeniem, swoim namacalnym gniewem i goryczą, i to wszystko w domu, za który płaci Akhila?

Dlaczego żałuje mi wolności?, bez ustanku zastanawiała się Akhila.

- Dlaczego powzięłaś taką decyzję, Akko? - Narayan zadał to pytanie swoim zwykłym przyciszonym tonem. Akhilę zalała fala miłości do młodszego brata. Z całego rodzeństwa on jeden nie oceniał i nie uzależniał od niczego swojego przywiązania. Pozostali - Padma i Narsi - byli impulsywnymi dziećmi, na których życiu tragedia nie odcisnęła żadnego piętna, i wyrosli na impulsywnych dorosłych. Egocentrycznych i przeświadczonych, że świat istnieje tylko po to, by zaspokajać ich potrzeby.

Oboje zdążyli już się wypowiedzieć.

Narsi: - To niestosowne, żeby kobieta mieszkała sama. Co powie społeczność? Że twoja rodzina cię opuściła. Poza tym pojawią się pytania na temat twojej reputacji. Wiesz przecież, jak ludzie dodają dwa do dwóch i wychodzi im sześć. Rodzina Nalini będzie zgorzonna, kiedy się o tym dowie. Czy pomyślałaś o tym, w jak trudnym postawi mnie to położeniu?

Padma: - Dlaczego musisz mieszkać sama? Czy nie dbam o twój dom? Oprócz tego wszystkiego, o czym powiedział Narsi Anna, zastanowiłaś się, ile to będzie kosztować? Mam dwie córki, a mój mąż nie zarabia kokosów. Liczyłam, że pomożesz mi wydać córki za mąż i urządzić je w życiu.

- Słyszysz ich, Narayanie? - Akhila powlekła swój głos opanowaniem; spokojem, którego wcale nie czuła. - Przez dwadzieścia sześć lat bez reszty poświęcałam się rodzinie, nie prosząc o nic w zamian. A teraz, kiedy chcę zacząć żyć na własny rachunek, czy któreś z nich przyszło i powiedziało: - Tak, Akko, czas, żebyś to zrobiła. Zaslugujesz na to, żeby mieć własne życie. Nie, martwicie się tylko o to, jak to wpłynie na wasze. Powiedz mi, Narayanie, dlaczego nie miałabym zamieszkać sama? Jestem zdrowa na ciele i umyśle. Potrafię o siebie zadbać. W miarę dobrze zarabiam. - Akhila przerwała, gdy zaczęły ją dławić łzy, ale po chwili podjęła na nowo.

- Czy któreś z was chociaż raz zapytało, czego pragnęłam i o czym marzę? Czy kiedykolwiek myśleliście o mnie jako kobiecie? Kimś, kto ma swoje potrzeby i tęsknoty, jak każde z was?

- A więc to o to chodzi! - przebiła ją Padma. - Ona ma romans. I nie chce, żebyśmy się o tym dowiedzieli. Dlatego chce się wyprowadzić. Kto to jest? I skąd go wzięłaś?

Akhila wyciągnęła rękę i zrobiła to, o czym marzyła od dawna. Uderzyła Padmę w twarz. Mocny, twarde policzek, w którym odbiła się cała pogarda i uraza, jakie wobec niej żywiła.

Milczenie. Ciężka cisza, rozbrzmiewająca echem wymierzonego policzka.

- Nie muszę tłumaczyć się przed wami z mojego postępowania. Niczego nie jestem wam winna. Mam nadzieję, że wyraziłam się jasno.

- Nie jesteś nam niczego winna. Za to my zawdzięczamy ci nasze życie - przemówił Narayan, próbując pocieszyć, załagodzić i uleczyć jątrzące się rany. - Dlatego właśnie boję się o ciebie. Jak sobie dasz radę? To nie jest krytyka pod twoim adresem. Jak jakakolwiek kobieta może dać sobie radę sama?

Jego troska wzruszyła Akhilę, ale miała przygotowaną odpowiedź. - Wiem, że sobie poradzę. Radziłam sobie, kiedy byliście dziećmi. Teraz zrobię to dla siebie samej, dla Akhilandeswari. Nie czyjejs córki. Nie czyjejs siostry. Nie czyjejs żony. Nie czyjejs matki.

- Akko, proszę, wysłuchaj mnie - prosił łagodnie. Pozostali odwrócili już od niej głowy. Kiedy dotarło do nich, że podjęła decyzję, stracili wszelkie zainteresowanie.

- Akko, proszę, porozmawiaj z paroma osobami, a usłyszysz, jak ciężko kobiecie żyć samej - błagał, trzymając w dłoniach jej rękę.

Akhila zobaczyła łzy w jego oczach. Zrozumiała, jak bardzo się o nią boi. Wiedziała, że myśli, iż stanie się łatwym łupem dla pierwszego mężczyzny, który przyniesie jej złudne nadzieje i puste obietnice. W jego wyobraźni jej przyszłość naznaczona była rozczarowaniem. A może nawet poniżeniem i samotnością. Poczwała lekkie ukłucie strachu: Czy jestem po prostu uparta? Czy jestem niemądra?

- Dobrze, zrobię tak, jak mówisz, i porozmawiam z paroma osobami. I dopiero wtedy podejmę decyzję.

Po kolei opuścili pokój, przekonani, że w końcu się opamięta. Każda kobieta, z którą zechce porozmawiać, powtórzy jej uniwersalną prawdę, której ona jedna zdaje się nie znać - jak absolutnie straszną rzeczą jest dla kobiety bycie samą. I na powrót stanie się łagodną, nieśmiałą starszą siostrą, i będzie można o tym wszystkim zapomnieć jako o chwili przelotnego i niepojętego szaleństwa Akhili.

Został z nią tylko ten śmiech. Mówiący „a myślcie sobie, co chcecie”, śmiech Karpagam.

#

Naprzeciw Akhili siedziała ostatnia z pasażerek, z którymi poprzedniego wieczora rozpoczęła podróż. Wszystkie pozostałe już wysiadły. Jedna po drugiej, żegnając się z nią, dając jej dobre rady.

Dżanaki w Ernakulam. - Cokolwiek masz zrobić, przemyśl to dobrze, i zrób. A kiedy już to uczynisz, nie myśl więcej o przeszłości ani za nią nie tęsknij - powiedziała i pogłaskała Akhilę po włosach.

Prabha Dewi nabazgrała na skrawku papieru swój numer telefonu i zapisała adres Akhili. - Spotkajmy się kiedyś. W końcu mieszkamy w tym samym mieście. Pamiętaj więc, żeby się do mnie odezwać. - Nawet młodziotka Sheela uśmiechnęła się do niej na pożegnanie i powiedziała: - Dziękuję, że mnie pani wysłuchała.

Została tylko ta jedna. Szósta pasażerka. Akhila zastanawiała się, kim ona jest. Patrzyła, jak wyciąga z torby czasopismo i zaczyna czytać. Tamilskie czasopismo. Akhila powróciła do wyglądania przez okno.

W pociągu panował tłok. Nawet przedziały z miejscami z rezerwacją nie zostały oszczędzone. Ludzie dobijali się do drzwi, jeśli były zamknięte od wewnątrz i wpychali do środka, kiedy ktoś je otworzył, by wysiąść. Pasażerowie na dziennej trasie stali w przejściach i upierali się, że na miejscu przewidzianym dla trzech osób spokojnie zmieszczą się cztery. Żebracy i sprzedawcy przeciskali się przez zatłoczone wagony z łatwością świadczącą o długiej praktyce. Na podłodze wały się skórki pomarańczy, opakowania po ciasteczkach i lupinki orzeszków ziemnych. Kiedy pociąg zatrzymywał się i ruch powietrza ustawał, z toalet rozchodził się słaby zapach moczu. Akhila westchnęła z ulgą. Jej przedział był pełny, ale przynajmniej czysty. Oaza spokoju.

Akhila otworzyła torebkę orzeszków nerkowca, kupioną na stacji w Kottayam. Słodkawy smak wypełnił jej usta. Nie jestem tą samą Akhila, która wczorajszego wieczoru wsiadła do pociągu. Tamta Akhila zadowolonyby się fistaszkami. Orzeszki nerkowca sugerowały przesadę, rozmach, a tamta Akhila nie ośmieliłaby się wystawiać na taką pokusę. Lecz ta Akhila tak. Czuła, jak w jej wnętrzu puszcza jakiś węzeł; pewność, że się nie myliła; uderzające do głowy radosne oczekiwanie, będące następstwem odkrycia Prabhy

Dewi. Prabha Dewi była jej bliższa od innych kobiet również z racji wieku i charakteru. Skoro więc Prabha Dewi potrafiła pokonać wrodzoną bojaźliwość, wznieść się ponad tradycję i popłynąć, ja mogę zrobić to samo, myślała Akhila. Ja też muszę nauczyć się płynąć z prądem życia i nie pozwolić więcej wyrzucić na jego obrzeża.

Po jakimś czasie Akhila odwróciła oczy od okna i napotkała spojrzenie tamtej kobiety. Czasopismo leżało na jej kolanach. Akhila uśmiechnęła się. - Dokąd pani jedzie? - spytała po tamilsku.

- Do Nagarkoil - odrzekła tamta.

- Ja jadę do Kanyakumari - powiedziała Akhila, chociaż nikt jej nie pytał. - W Nagarkoil mieszkają pani rodzice?

Kobieta pokręciła głową. - Pracuję dla jednej cudzoziemki. Dla doktorki, Angielki. Skierowali ją do Nagarkoil, więc pojechałam przodem, żeby przygotować dla niej dom. Sprzęty już są w drodze. Ona i mój syn przyjadą samochodem. Wyruszą jutro rano.

- Ile lat ma pani syn?

- Trzynaście - odpowiedziała kobieta.

- A pani mąż? Czym się zajmuje? - spytała Akhila.

Twarz kobiety stężała na krótką chwilę. - Bardzo pani ciekawa - powiedziała.

Akhila oblała się rumieńcem. Pozostałe kobiety tak chętnie dzieliły się swoim życiem, że zaczęła sobie wyobrazać, że wszyscy będą tacy sami.

- Przepraszam - powiedziała kobieta. - To było niegrzeczne. Ale w nocy wyłączyście mnie ze swojej rozmowy tylko dlatego, że uznałyście, że jestem inna. Zobaczyłyście moją twarz i ubranie, i zdecydowałyście, że nie należę do was.

Akhila zaczerwieniła się.

- Przepraszam. Nie chcieliśmy... - zaczęła.

Kobieta patrzyła na nią twardym wzrokiem. - Niech pani nie przeprasza. Miałyście rację, nie należę do waszego gatunku. To prawda. Jestem inna. Nie dlatego, że jestem biedna czy niewykształcona. Ale dlatego, że wszystkie życie pod kloszem, tak, nawet pani. Słuchałam, jak po kolei opowiadają pani o swoim życiu, i myślałam, te kobiety robią tyle zamieszania z powodu zupełnych drobiazgów. Co by poczęły, gdyby spotkała je prawdziwa tragedia? Co one wiedzą o życiu i prawdziwej cenie, jaką trzeba za nie płacić? Co one wiedzą o tym, jak okrutnie świat potrafi potraktować kobietę?

Akhila nie spuszczała wzroku z nieznajomej. Kim jest ta kobieta, z której gniew bluzga niczym strumień lawy?

Szósta pasażerka zwinęła czasopismo w trąbkę i powiedziała: - Nie mówię wcale, że kobiety są słabe. Kobiety są silne. Kobiety umieją robić wszystko tak samo, jak mężczyźni. Kobiety umieją zrobić dużo więcej. Ale kobieta musi odnaleźć w sobie źródło siły. Samo z siebie się nie objawi.

SIOSTRA PRAWDZIWEJ RZECZY

Nazywam się Marikkolundu. Mam trzydzieści jeden lat. Urodziłam się w małej wiosce Palur niedaleko Kanćipuram. Mam syna i nie mam męża. Moi rodzice od dawna już nie żyją, a z braćmi zerwałam stosunki. Pracuję jako salowa w szpitalu prowadzonym przez misję.

Mój ojciec był rolnikiem. Nie miał rodzeństwa, więc po śmierci dziadka odziedziczył i rolę, i dom. Moja matka pochodziła z innej wioski; była sierotą wychowaną przez ciotkę. Nie mieliśmy żadnych krewnych ani dużo pieniędzy, ale byliśmy szczęśliwi. Moi dwaj bracia, Easwaran i Siwakumar, i ja. Ale kilka dni po moich dziewiątych urodzinach zmarł ojciec. Chorował na coś, czego nawet lekarze ze szpitala w Welurze nie potrafili wyleczyć.

Nie mieliśmy nikogo, do kogo moglibyśmy zwrócić się o pomoc, więc Amma stanęła przed bieloną wapnem ścianą Ćttiar Kottaji i do niej zaniósła błaganie. Była to ogromna budowla o niezliczonych pokojach i oficynach. Wznosiła się na trzy piętra w górę i z zewnątrz sprawiała wrażenie niezdobytej. Chociaż naprawdę nazywała się Radż Wilas, wszyscy mieszkańcy naszej i sąsiednich wiosek mówili o niej Ćttiar Kottaji - Twierdza Ćttiara.

Ćttiar był bogatym człowiekiem; nadal to najbardziej majątna rodzina w okręgu. Ćttiar zbil swój majątek na jedwabnikach. Hodował je, napychając liśćmi morwy, dopóki nie zrobiły się takie tłuste, że rozsadały skórki. By ukryć swą hańbę, biedne nagie robaki przedły jedwab i nawijały go na swoje ciała. Ale Ćttiar i na to im nie pozwalał. Gotował je we wrzątku i odzierał z jedwabiu. Motków jedwabiu, uncji jedwabiu. Nikt z naszej wioski nie oglądał tego na własne oczy, ferma jedwabników znajdowała się gdzie indziej, ale ci, co widzieli, opowiedzieli nam o wszystkim.

Często myślałam o jedwabnikach i było mi ich szkoda. - Masz szczęście, że jesteś tym, czym jesteś - mówiłam każdej wijącej się glistce, którą wzięłam do ręki.

Wtedy byłam jeszcze dzieckiem. Rozmawiałam z glistami, drzewami i kamieniami. Wierzyłam nauczycielowi, kiedy narysował na tablicy kółko i powiedział: - To jest świat. Jedna jego połowa znajduje się w blasku światła, druga zaś pogrążona jest w ciemnościach. To samo odnosi się do życia. Jest w nim dobro i zło, a naszym obowiązkiem jest trzymać się światła, być dobrym.

Pokiwałam głową, jak wszystkie dzieci i postanowiłam, że nigdy nie wstąpię na drogę ciemności. Jak mówiłam, wtedy jeszcze byłam dzieckiem. Do Ćttiara należały również tkalnie, gdzie tkano jedwabne sari z prawdziwym złotym zari, sprzedawane następnie w sklepach w Madrasie, Kojambaturze, Salem, Maduraju i dalekich miastach, takich jak Delhi.

Nasz dom był mały; jeden z wielu w szeregu domów, ciągnących się po obu stronach ulicy wiodącej do świątyni. Dwie ulice dalej znajdował się mangowy sad, za którym wznosił się Ćttiar Kottaji. Zdolności kulinarne mojej matki były znane w całej wsi i często, przy specjalnych okazjach, wzywano ją do pomocy do Ćttiar Kottaji. Tylko że teraz stało się to naszym jedynym źródłem utrzymania.

Co dzień rano wychodziła z domu przed siódmą i wracała dopiero po szóstej wieczorem. Większość obowiązków domowych spadła na mnie. Nie miałam nic przeciwko temu; było to jak zabawa w dom.

Lubiłam czerpać wodę ze studni we wsi i nosić ją do domu w wielkich mosiężnych dzbankach, opartych na biodrze. Zamiatałam i myłam podłogi, i zmywałam brudne naczynia. Wracając ze szkoły, obchodziliśmy z braćmi wioskę i zbieraliśmy krowie placki. Lubiłam lepić z nich kule, które potem spłaszczano się dłońmi. Rzucaliśmy nimi o ścianę z tyłu domu, do której przylepiały się, tworząc długie szeregi. Zielonkawoczarne kółka, jak paczka samoprzylepnych bottu, które schnąc zmieniały barwę na szarzieloną. Dopóki schły na ścianach naszego domu, ogień pod garnkami nigdy nie wygasał.

Czasami Amma przygarniała mnie do piersi i wybuchała płaczem: - Kogo ja z ciebie zrobiłam, moje dziecko? Ukradłam ci dzieciństwo.

Lecz ja nie rozumiałam, o co jej chodzi. Czemu zamartwia się czymś, co mi sprawia tyle frajdy?

...Powiadają, że kiedy Brahma zapisuje nasze przeznaczenie, przydziela każdemu z nas określoną liczbę lat na doświadczenie każdego aspektu życia. Ja wykorzystałam mój czas na prowadzenie domu, zanim jeszcze zdążyłam dorosnąć. W domu mojej matki robiłam wszystko to, co kobieta robi we własnym gospodarstwie. Może tak właśnie miało być. Nawet gdy opuściłam już dom, przejmowałam jego prowadzenie za każdym razem, kiedy do niego wracałam, dopóki po śmierci matki nie przeszedł on na własność moich braci, a ja nie miałam już żadnego domu, który mogłabym nazwać własnym... Ale mówię tu o rzeczach, które wydarzyły się dopiero dużo później. Zanim to nastąpiło, zaczęłam pracować w Ćettiar Kottaji...

Mój ojciec, rolnik, nie pochwalał tego, co robił Ćettiar. - Kto to widział, żeby zarabiać w taki sposób! - powtarzał często, zapalając bidi i zaciągając się dymem.

- Dzień po dniu uśmiercać stworzenia boże i ciągnąć zyski z ich śmierci. Cieszę się, że jestem rolnikiem. Z mojej przyczyny giną tylko te stworzenia, które zabije mój pług, a i to bez mojej wiedzy.

Poletko ojca leżało daleko od wioski, nigdy jednak nie utyskiwał ani nie nużył się pracą na roli. Ludzie ze wsi wyrażali się o nim ze zdumieniem, rezerwowanym zazwyczaj dla szaleńców, ważących się na z góry przegrane przedsięwzięcia. - Tylko Sanmugam traciłby tyle energii na ten kawałek skały.

Wszyscy pozostali, w taki czy inny sposób, pracowali dla Ćettia. Ćettiar był Bogiem, mówili, był łaskawy i wspaniałomyślny. Ale dla mojego ojca był Królem Niewolników. - A ja nie mam najmniejszej ochoty zostać jednym z jego wdzięcznych sług - powtarzał Ammie, kiedy narzekała, że tego, co rodzi ziemia, ledwo starcza na życie.

Ojciec posiadał niewielki kawałek gruntu, na którym sadił różne rośliny stosując płodozmian. Po kolei, orzeszki ziemne, chilli i ryż. Ale zawsze zostawiał jeden zagon na kwiaty kanakambaram. Pielęgnowanie go należało do mnie i do mojej matki. O brzasku witała nas orgia pąków, których płatki zdawały się spijać barwy budzącego się słońca. Zrywałyśmy kwiaty, zanim upał wyszał z nich wilgoć, odbierając im cały blask ich urody. Na każde zerwane dwa trzeci zostawiałyśmy na krzaku, na nasiona. Część zachowywałyśmy dla siebie, a resztę sprzedawałyśmy handlarzowi kwiatów spod świątyni.

Czy ojciec hodował kanakambaram dlatego, że tak właśnie nazywała się Amma? - Szkoda, że nie daliście mi na imię Rodża albo Ćempakam - zawołałam pewnego dnia, rozdrażniona tym, że całe pole delikatnych pomarańczowych kwiatów składa codziennie hołd mojej matce, gdy dla mnie nie ma nic.

- Wtedy też miałabym pole róż, jak Amma ma swoje kwiaty. Marikkolundu? To tylko garść ostrych zielonych liści!

Ojciec roześmiał się w głos i posadził mnie sobie na kolanach.

- Niemądra dziewczynka - powiedział pieszczotliwie. - Pytasz mnie, czym jest marikkolundu? Nie widziałaś, jak w każdą girlandę z kwiatów kanakambaram wplatają kilka liści marikkolundu? Bez woni marikkolundu kwiaty kanakambaram są martwe. Jeśli to cię uszczęśliwi, w przyszłym roku zasadzimy poletko marikkolundu.

Ojciec uprawiał skałę, zmuszając ją, by się zieleniła i pachniała, dopóki choroba nie zapuściła w nim swych korzeni. Trzymał się swojej roli, jak długo mógł, lecz rachunki za lekarstwa, prześwietlenia, specjalistów i specjalne jedzenie rosły i rosły. Więc w końcu sprzedał ją Ćettiarowi, zapadł się w sobie, i umarł.

Dwa lata później matka uznała, że jestem jej potrzebna w domu Ćettiar. Zresztą, gdybym chciała dalej się uczyć, musiałabym jeździć do miasta. Szkoła w naszej wiosce miała tylko pięć klas.

- Kiedy przyjdzie czas, wyślemy twoich braci do szkół w mieście, ale nie damy rady zrobić tego tylko z mojej pensji - powiedziała Amma. - Rozumiesz przecież, prawda, że nie mogę posyłać cię codziennie do miasta autobusem. Nie chodzi tylko o pieniądze, ale jak mogę pozwolić, żeby dziewczyna sama... to zbyt ryzykowne.

Nie pojmowałam, o jakie ryzyko jej chodzi. Mimo to skinęłam głową. W czarno-białych filmach, które oglądałam w kinie pod namiotem w naszej wiosce, dobre dziewczęta zawsze słuchały swoich matek. Słuchały ich moje ulubione bohaterki - Sawitri i B. Sarodża Dewi, Widżajakumari i nawet Dżajalalitha.

- Skoro tak sobie życzysz, Ammo. Moim obowiązkiem jest uczynić wszystko, co w mojej mocy, dla ciebie i moich braci - powiedziałam, papugując bohaterki filmów, zachwycona, że mam okazję zadeklamować filmowy dialog.

- Ćettiar to dobry człowiek - powtarzała często Amma. Ale ja potrafiłam myśleć tylko o tym, jak gotuje we wrzątku jedwabniki, by okraść je z ich ubranek.

- Nie bądź głupia - ofuknęła mnie matka, kiedy zawahałam się przed bramą Ćettiar Kottaji. - Twój ojciec lubił przesadzać.

Ćettiar Kottaji był ogromny. Znajdowało się w nim mnóstwo pokoi i mnóstwo rzeczy, jakie dotąd oglądałam jedynie na filmach.

Lodówka, brzęcząca, jakby ktoś uwięził w niej rój pszczół; wentylatory wirujące niestrudzenie pod sufitem; krzesła, wyglądające jak trony i łóżka, które sprawiały wrażenie wypchanych wszystkimi kwiatami świata.

Pierwszego dnia zrozumiałam, dlaczego moja matka znienawidziła zapach gotującego się jedzenia. Jej praca w tym domu polegała wyłącznie na gotowaniu. Codziennie przyrządzała śniadanie, obiad i kolację dla dwunastu osób. I jeszcze dla gości, którzy zjawiali się niemal na każdy posiłek. - Dzisiaj zatrzymam ją przy sobie, żeby poznała rozkład dnia, a jutro zaczniesz swoje obowiązki - powiedziała Amma, myjąc ręce przed przystąpieniem do przygotowania pierwszego posiłku dnia. Zanim skończą śniadanie, będzie trzeba zabrać się za gotowanie obiadu.

- Każda, tylko nie twoja matka, dawno już by to rzuciła - sarkała podręczna Ammy, też wdowa. - Oni nie robią nic, nie kiwną nawet palcem, choćby na ich oczach miało wykipieć mleko. Wszystko jest na głowie twojej matki i mojej.

„Oni” pojawiali się często w przemowach Rukmini Akki.

- Sądzisz, że oni dali nam tę pracę, bo zrobiło im się nas szkoda? Myślą, że jako wdowy, umiemy pokroić swój apetyt. Obchodzić się bez chilli, bez owoców tamaryndowca, bez przypraw... myślą, że nasze zmysły są martwe, jak nasi mężowie. Że nie zechce nam się skosztować ich jedzenia ani choćby go pragnąć, zadowolimy się miską ryżu i szczyptą soli.

- Ciii - syknęła Amma. Ale Rukmini Akka dopiero zaczęła litanie swoich skarg, która z dnia na dzień stawała się coraz dłuższa. Z kolei Amma nie skarżyła się nigdy.

Patrzyłam, jak moja matka kroi i sieka, obsmaża prawie bez tłuszczu i smaży w głębokim, miele i uciera... Patrzyłam, jak wykonuje swoje obowiązki, nie okazując choćby cienia emocji. Czym smakuja te wszystkie cudowne potrawy, przyrządzane przez moją matkę? Łzami i goryczą; gniewem na niesprawiedliwy los i strachem?

Jednak lubiłam moją pracę. Lubiłam małego Prabhu-papa i lubiłam Sudżatę Akkę. Czasami, kiedy bez końca opowiadałam o Sudżacie Akce, Amma rzuciła ostro: - Zbyt łatwo oddajesz swoje serce, dziecko. Rozbiją ci je na tysiąc kawałków i zostawią na ziemi, żeby inni wdeptali je w proch.

- Czy serce to szklana bransoletka? - spytałam rozbawiona własnym zuchwalstwem. B. Sarodża Dewi byłaby ze mnie dumna. Easwaran i Siwakumar też zachichotali.

Moja matka westchnęła.

Od tego dnia chłopcy witali mnie co wieczór, mówiąc: - Jak się ma nasza szklana bransoletka? Rozbita czy jeszcze cała? I znowu wybuchaliśmy śmiechem.

...Ale wie pani co, serce j e s t szklaną bransoletką. Wystarczy jedna chwila nieuwagi, by rozprysło się na tysiąc kawałków... wiemy o tym przecież, prawda? A mimo to dalej nosimy szklane bransoletki. A kiedy się tłuką, kupujemy nowe, łudząc się nadzieją, że starczą na dłużej niż poprzednie.

Jakże głupie jesteśmy my, kobiety. Powinniśmy nosić bransoletki z granitu, i w granit zmienić nasze serca. Ale wtedy nie chwyciłyby tak ładnie światła ani nie śpiewały tak wesoło...

Sudżata Akka uczyniła ze mnie swoją niewolnicę za pomocą swoich starych szklanych bransoletek. Nośła je przez kilka dni, a potem albo jej się nudziły, albo stłukła ich tyle, że musiała kupować nowy tuzin. Ale dla mnie stanowiły drogocenny skarb - czerwone, niebieskie i zielone, ozdobione plamkami purpury i srebrnym pyłem.

- Nie jest ci przykro, kiedy stłuczesz bransoletkę? - spytałam Sudżatę Akkę, zgarniając odłamki szkła, żeby je zabrać do domu. Grałiśmy nimi z braćmi w grę, którą sami wymyśliliśmy.

- Oczywiście że nie. To tylko szklana bransoletka. Zawsze mogę kupić drugą - odpowiedziała, otwierając szkatułkę, żeby wyjąć nowy komplet.

Sudżacie Akce nikt niczego nie żałował. Czy to było jej upodobanie do szklanych bransoletek, czy łakomstwo na specjalny majsurpak, ociekający ghi i błyskawicznie rozpuszczający się w ustach. Sudżata Akka często dawała mi kawałek i chociaż wiedziałam, że powinnam zanieść go do domu i podzielić się z braćmi, ani razu tego nie zrobiłam.

Ćettiar rozkazał, by bez zwłoki spełniano każdą zachciankę i każdy kaprys Sudżaty Akki. Była kimś szczególnym. Była dziewczyną z miasta; przyjechała z Kojambaturu, gdzie przez dwa lata chodziła nawet do college'u. No i Sudżata Akka urodziła syna. Sudżata Akka, po Ćettiarze, była najważniejszą osobą w domu.

Ćettiar miał trzech synów. Radżendran Anna sprawował pieczę nad warsztatami tkackimi. Jego żona, Rani Akka, była nieśmiałą kobietą, która stała się jeszcze bardziej nieśmiała na skutek tego, że nie udało jej się urodzić synów. Była siostrzenicą Ćettiera i pochodziła ze zubożałej gałęzi rodziny. Jak mogłaby choćby pomyśleć o tym, by stanąć w szranki z Sudżatą Akką? Pozwalała więc Sudżacie Akce rządzić, sama pozostając w cieniu, wyznając zasadę, że kto z oczu, ten z języka.

Sridhar Anna był drugim z kolei synem Ćettiera i jego ulubieńcem. To on powiększał i tak znaczne bogactwo Ćettiera, zdobywając zamówienia w odległych rejonach kraju. Kiedy więc przyszło do wyboru narzeczonej dla Sridhara Anna, Ćettiar dopilnował, by dziewczyna wniosła w wianie coś więcej niż tylko dobra materialne. Musiała być piękna i wykształcona, a do tego pochodzić z rodziny znanej ze skłonności do płodzenia synów. Sridhar Anna otrzymał w nagrodę Sudżatę Akkę.

No i Ranganathan Anna, który uczył się na doktora w Welurze.

Był jeszcze ktoś. Ćettiar Amma. Mieszkała samotnie na najwyższym piętrze zachodniego skrzydła i nigdy nie widywano jej poza nim.

Po urodzeniu ostatniego syna coś się z nią porobiło. Na widok Ćettiera zaczynała krzyczeć i nie chciała karmić dziecka. Sprowadzono więc mamkę, która karmiła małego i opiekowała się Ćettiar Ammą. To właśnie była Wadiwu. Nie należała do rodziny, ale Ćettiar traktował ją, jakby należała, no bo w końcu umiała zająć się Ćettiar Ammą. Tylko ona wiedziała, jak nad nią zapanować, kiedy wstępował w nią demon - opowiedziała mojej matce Rukmini Akka.

- W czasie pełni księżyca Wadiwu zamyka drzwi i okna w całym zachodnim skrzydle i nikogo nie wpuszcza do środka. Powiadają, że Ćettiar Amma drapie ściany, aż zaczynają krzyczeć, a potem wyje i rwie na sobie ubranie... łup, łup, łup, słychać jak tupie w podłogę, chodząc po pokoju, na ile pozwala jej żelazny łańcuch, którym przykuta jest za nogę - wzdrygnęła się Rukmini Akka.

- A co z innymi? Czy też boją się Ćettiar Ammy? - spytała Amma.

- Ćettiar i jego synowie od czasu do czasu ją odwiedzają. Rani Akka też ją kiedyś odwiedzała, aż raz zaniósła tam swoją małą, a Ćettiar Amma wyrwała jej dziecko i o mały włos nie wyrzuciła z najwyższego piętra. I wtedy skończyły się wizyty Rani Akki - odpowiedziała Rukmini Akka.

Z początku Sudżata Akka żałowała Ćettiar Ammy. Posyłała jej łakocie i często odwiedzała. Ale od czasu, kiedy urodziła dziecko, ciągle myślała o tym, co Ćettiar Amma nieomal zrobiła z córeczką Rani Akki, aż w końcu zaczęła jej się bać. Powiedziała więc Ćettiarowi, że potrzebuje kogoś do opieki nad małym, kiedy sama jest zajęta. I to właśnie byłam ja.

- Chociaż chciałabym wiedzieć, czym niby zajęta - powiedziała Rukmini Akka mojego pierwszego dnia w Ćettiar Kottaji. - Ona - powiedziała, wskazując podbródkiem moją matkę - gotuje, a ja robię całą resztę. Są jeszcze inni, co zamiatają i myją podłogi, piorą i wykonują wszystkie pozostałe prace. Ale Ćettiar nie ma o tym pojęcia. A nawet jeśli ma, to i tak powiedział: „Dobrze, dobrze, znajdź jakąś młodą dziewczynę. Spytaj Kankambaram, ona ma córkę”.

- Wybierał się właśnie do domu Sithalakszmi i bardzo się spieszył. No i stanęło na tobie - powiedziała mi trochę później, kiedy razem czyściliśmy ryż.

- Kim jest Sithalakszmi? - zapytałam.

- Krewną - wtrąciła pospiesznie moja matka.

- Konkubina Ćettia - poprawiła Rukmini Akka. Powiodłam wzrokiem od twarzy Ammy do twarzy Rukmini Akki.

- Nie nabijaj dziewczynie głowy idiotyzmami - powiedziała moja matka, ze zdwojoną energią siekając brindzale, raz wreszcie okazując swą złość.

Rukmini Akka wsunęła do ust ziarenko ryżu i powiedziała:

- Nie jest już małym dzieckiem. I tak dowie się, prędzej czy później.

Ćettiar miał konkubinę. Niektórzy powiadają, że to z jej powodu zwariowała Ćettiar Amma. A inni mówią, że to dlatego, że zwariowała, Ćettiar zaczął szukać pociechy w ramionach Sithalakszmi.

- Jeśli mężczyzna nie może zaspokoić swojego apetytu w domu, zawsze znajdzie sobie inne miejsce, żeby go nasycić - zaczęła Rukmini Akka, ale ja już jej nie słuchałam.

Usłyszałam płacz dziecka i pobiegłam zobaczyć, co się dzieje.

Sudzata Akka podbiła moje serce od pierwszego wejrzenia. Nigdy nie widziałam nikogo tak ślicznego, jak ona. Miała długie czarne włosy i ubrana była w pomarańczowo-zielone sari. Nosiła też bluzkę z krótkimi rękawami. W jej nosie iskrzył się brylantowy kolczyk, a na przegubach dłoni podzwaniały złote i zielone szklane bransoletki. Miała kwiaty we włosach i upudrowaną twarz. I nosiła okulary. Wyglądała jak gwiazda filmowa, a ja marzyłam tylko o tym, żeby ją czcić.

Sudzata Akka siedziała na łóżku, karmiąc niemowlę. Stałam w drzwiach, zbyt przestraszona, by wejść do środka bez wyraźnego zaproszenia.

- Podejdz tu - powiedziała Sudzata Akka. - Czy nie jesteś córką Kanakambaram Akki?

Uśmiechnęłam się. Wysunęła brodawkę z ust dziecka i podała mi je. - Masz, weź go na ręce. Jest najedzony, więc go nie kołysz. Poklep go delikatnie po plecach, żeby mu się odbiło.

Zrobiłam to, co mi kazała, a kiedy małemu odbiło się i na moje plecy pociekła strużka mleka, poczułam, że ogarnia mnie fala miłości - do dziecka, do Sudzaty Akki, do wszystkich domowników Ćettia, nie wyłączając Ćettiar Ammy w zachodnim skrzydle.

Za to kiedy urodził się mój własny syn, czułam do niego tylko wstręt. Moja matka przynosiła go do mnie i prosiła, żebym dała mu pierś, a mnie ogarniało potworne obrzydzenie. Odpychałam go, krzycząc: - Zabierz go ode mnie. Nie chcę go blisko siebie.

Moja matka podgrzewała krowie mleko, rozcieńczała je wodą i karmiła nim mojego syna, który pił łapczywie. Już wtedy był spokojnym dzieckiem, nie domagającym się wiele.

Byłam złą matką. Tyle wiem sama. Zużyłam całą moją miłość macierzyńską na dziecko Sudzaty Akki i dla mojego własnego nic już mi nie zostało. Może i to było zrzędzeniem Brahmy.

Ale odbiegam od tematu. Na czym stanęłam? Domownicy Ćettia...

Przez następne trzy lata mój świat obracał się wokół Sudzaty Akki i Prabhu-papy. Nie istniało nic ważniejszego od nich.

Kiedy Prabhu-papa po raz pierwszy przewrócił się na brzusek, pobiegłam do kuchni po kokosa i nowiotki moram, na którym położyłam dziecko. Rozbiłam orzech o próg i zmówiłam modlitwę do Bhumidewi: - Ammo, bogini ziemi, zawieram ci to dziecko. Przebacz mu, że chce po tobie stąpać. Nie karz go siniakami i złamanymi kośćmi. Kiedy się potknie, przyjmij go w swe ramiona, miękkie jak kwiaty, i złagodź upadek swym błogosławieństwem.

Sudźata Akka przyglądała się, mrużąc z rozbawienia oczy.

- Dziwna z ciebie dziewczyna. Kto cię tego wszystkiego nauczył?

Szarpnęłam kosmyk wsuniętych za ucho włosów i powiedziałam:

- Kiedy Easwaran przewrócił się na brzusek, patrzyłam, jak Amma to robi, a kiedy przyszła kolej Siwakumara, Amma pozwoliła mi odmówić modlitwę.

Sudźata Akka poklepała mnie po policzku i podarowała mi tuzin swoich nowych szklanych bransoletek. Purpurowych i srebrnych, z niebieskimi cętkami. Pobiegłam do kuchni pokazać matce mój nowy skarb. Amma popatrzyła i powiedziała: - Schowaj je w bezpieczne miejsce. Będziesz mogła założyć je na Diwali.

Rukmini Akka prychnęła pogardliwie. - Szklane bransoletki! Ależ z niej skąpiradło. Jakby nie było jej stać na nic lepszego. Choćby na bluzkę! Albo kilka rupii. Oto, co ci powinna dać. Szklane bransoletki, też mi co...

- Rukmini Akko - przerwała moja matka z niepokojem w głosie, obawiając się, by ton buntu i pogardy nie przeniknął poza cztery ściany kuchni. - Ciii.

- Posłuchaj, Marikkolundu - powiedziała Amma, odwracając się do mnie i wycierając ręce w pallu swojego sari - nie powinnyśmy niczego od nikogo oczekiwać. W ten sposób nie spotka nas rozczarowanie.

- Nabijasz dziewczynie głowę idiotyzmami. - Rukmini Akka przyoblekła twarz w gniewny grymas. - Co chcesz z niej zrobić? Jedwabnika? Żeby ją wykorzystywano za życia i po śmierci?

Zachichotałam, rozbawiona tą wizją, ale słowa Ammy dobrze zapadły mi w pamięć.

Kiedy Prabhu-papa zrobił pierwszy krok, uczyniłam, co do mnie należało, nie oczekując niczego w zamian.

- Czy mogłabym dostać kokos z całą brodą? - spytałam Rukmini Akki. Otworzyła usta, by trysnąć strumieniem pogardy, ale w porę zauważyła Sudźatę Akkę, stojącą w drzwiach kuchni.

- Proszę, proszę - powtarzała skwapliwie, patrząc, jak szperam w stosie kokosów w kącie kuchni. - Ten będzie dobry? Nie jest aby za mały?

Wzięłam ogromnego orzecha i zaniósłam go do głównych drzwi wejściowych domu. Potrząsnęłam nim i usłyszałam, jak w środku woda chlupie o białe chłodne jądro. Ślina napłynęła mi do ust.

Przed bramą dostrzegłam małego chłopca, bawiącego się kijkiem. - Hej, Piću - zawołałam - biegnij po kolegów. Będę rozbijać kokos, możecie pozbierać kawałki.

Kiedy chłopcy już się zebrali, poprosiłam Sudźatę Akkę, żeby pomogła Prabhu-papie po raz pierwszy przestąpić próg.

- Winajako, Wighneśwaro, Ganeśio, Ganapati - modliłam się, przywołując wszystkie Pillajjary, które potrafiły swą mocą usunąć wszelkie przeszkody z czyjejs drogi. - Oby każdy jego krok był łatwy. Oby każdy jego krok wiódł go ku szczęściu.

Trzykrotnie obwiodłam kokosem twarzyczkę Prabhu-papy, by odpędzić zły urok, i cisnęłam orzech o kamień na skraju zapylonej drogi.

Kokos rozpadł się na kawałki i chłopcy rzucili się na nie, walcząc o największy łup.

- Powinnaś była zatrzymać go dla siebie - powiedziała Sudżata Akka, gestem dając mi znak, bym wniosła dziecko z powrotem do domu.

- Jak bym mogła? Ściągnęłabym na siebie zły urok - powiedziałam, zastanawiając się, jak ktoś tak wykształcony, jak Sudżata Akka, może tak nic nie wiedzieć.

Później podarowała mi szeleszczący dziesięciorupiowy banknot - To dla ciebie - powiedziała, wciskając mi do ręki pieniądze. - Kup sobie za to, co będziesz chciała.

Ale Rukmini Akka znowu tylko się wykrzywiła. - Dziesięć rupii? Co to dla niej, dziesięć rupii? Gdyby ci dała piętnaście albo dwadzieścia rupii, to byłoby co innego!

Ale Amma i tak zdążyła już wyłuskać banknot spomiędzy moich palców. - Zgubisz to. Przyda się pod koniec miesiąca.

Wytrzeszczyłam oczy na matkę. To są moje pieniądze, chciałam powiedzieć. Dała mi je, żebym sobie za nie kupiła, co będę chciała. Ale nie powiedziałam ani słowa i wyszłam, połykając łzy. Nie będę niczego od nikogo oczekiwać, nawet od mojej matki, postanowiłam. A jeśli kiedyś ktoś znowu zechce mnie wynagrodzić, poproszę, by mi coś kupił, ale pieniądze - nie, dziękuję. W ten sposób uniknę rozczarowania.

Sudżata Akka zrozumiała. Na Diwali podarowała mi więc pozłacany łańcuszek z wisiorkiem z niebieskiego kamienia. Na Pongal dała mi nowe bawełniane pawadaj. Włożyłam pawadaj i łańcuszek, i poszłam pokazać się Sudżacie Akce.

- Spójrz na mnie, Akko - obróciłam się na pięcie, mało co się nie przewracając. Spódnica była za długa.

- Wyglądasz bardzo ładnie, ale musisz ją skrócić.

Milczałam, wstydząc się przyznać, że nie potrafię szyć. Sudżata Akka westchnęła i zaczęła szperać w szufladach komody z okrągłym lustrem. Na tej komodzie Sudżata Akka trzymała puszkę pudru, puderniczkę, słoiczki z talkiem i proszkiem kumkum, grzebień i spinki do włosów, okulary i szkatułkę ze szklanymi bransoletkami, a do moich obowiązków należało codzienne staranne odkurzanie tych wszystkich przedmiotów.

- Przyjrzyj się, jak nawlekam igłę i wiązę supełek na końcu nitki - wymamrotała Sudżata Akka, odgryzając zębami nitkę. Kazała mi usiąść na podłodze i unieść rąbek, po czym pokazała mi, jak go podwinąć i przyszyć drobnymi ściegiem.

- A co teraz? - spytałam, kiedy przód spódnicy był już skrócony.

- Rusz głową i przesunij spódnice tyłem na przód.

Kiedy pawadaj uniosło się dwa cale powyżej moich kostek, Sudżata Akka powiedziała: - Teraz już lepiej. Potrzebujesz jeszcze tylko kolusu i będziesz najładniejszą dziewczyną we wsi. - I wyjęła dwie bransoletki na nogi.

Poznałam je. Stare bransoletki Sudżaty Akki, w których brakowało kilku paciorków. Ale jakie to miało znaczenie? To były najpiękniejsze bransoletki na nogi, jakie kiedykolwiek widziałam, i należały do mnie. Włożyłam je i zrobiłam krok. Pokój wypełniły bręczące nutki...

Pobiegłam do kuchni, srebrzyste dzwoneczki dzwoniły przy każdym moim kroku, czerwone pawadaj w białe kwiaty wirowało wokół moich nóg, niebieski kamień wisiorka zataczał świetliste łuki.

- Ammo, zobacz, co dostałam od Sudżaty Akki - powiedziałam, wykonując kilka tanecznych kroków, by bransoletki na nogach mogły zaśpiewać swoją dźwięczną pieśń.

Rukmini Akka wybałuszyła oczy. - Kanakambaram Amma, ona dojrzeła. Czy ona już...? - przerwała w pół słowa, napotkawszy moje spojrzenie, ale moja matka najwyraźniej wiedziała, o co jej chodzi.

- Jeszcze nie.

Wtedy nie rozumiałam, o czym mówiły. Ale kilka miesięcy później już tak.

Jednego dnia byłam po prostu Marikkolundu - radośnie obnoszącą swoją niewinność. Aż nagle spadła na mnie kobiecość...

Siedziałam wieczorem na podłodze nad stosem paczków jaśminu. Sudżata Akka nie umiała wiązać kwiatów długim włóknem bananowca. Nizała je, jak koraliki, za pomocą igły z nitką. Ale włókna bananowca lepiej się do tego nadają; kwiaty nie więdną tak szybko i nie wplątują się we włosy, jak zwykła nić. Próbowałam nauczyć Sudżatę Akkę, jak to się robi; jak zrobić pętelkę wokół dwóch palców, wsunąć łądzkę jednego kwiatka - jeśli włożyć na raz więcej niż jeden, kwiaty szybciej więdną - i energicznie zaciągnąć. Ale jej to w ogóle nie wychodziło. Robiła za luźne węzły i kwiaty wypadały. Co wieczór spletałam więc dla niej girlandę jaśminu do ozdobienia włosów.

Ale tamtego wieczora moje ciało przeszył ostry ból. Od kilku dni poboлеwał mnie brzuch i Amma kazała mi utrzcć imbir z solą, i żuć to. Ból przychodził spazmami, rozkurczał się i zaciskał. Poczulałam słabość w nogach i zaczęło mnie łupać w krzyżu.

- Co ci jest? - spytała Sudżata Akka.

- Nic - powiedziałam, wstając. Coś spłynęło po mojej nodze. Czyżbym zbyt długo wstrzymywała siusiu? Zdarzyło mi się to kilka razy.

- Nie ruszaj się - powiedziała Sudżata Akka. Po chwili wróciła z moją matką i Rukmini Akką. Kobiety stały nade mną, uśmiechając się, wzdychając i znowu uśmiechając.

- Jesteś teraz kobietą. Nie będziesz już mogła biegać jak mała dziewczynka - powiedziała Rukmini Akka.

- Będziesz musiała nosić dawani, żeby zasłonić piersi - pospieszyła z pociechą Sudżata Akka.

- Dlaczego? - W mojej głowie kołatało sto innych pytań, ale potrafiłam pytać tylko: dlaczego.

- Ponieważ stałaś się kobietą, a przyzwoita kobieta strzeże swojej cnoty. - Sudżata Akka wypowiedziała słowa, które tyle razy słyshałam na filmach. Cnota. Skromność. Słowa pełzały, ślizgając się pod moją skórą, a po nogach ściekała mi krew.

W ciągu kilku następnych dni zrozumiałam, że moje życie nigdy już nie będzie takie jak dawniej. Nie wolno mi było obejmować braci ani przytulać się do nich w czasie snu; kiedy przychodziła krew, nie wolno mi było zapalać lampy ani ruszać słoików z marynatami i krzewu z liśćmi curry, rosnącego za domem, ani kuchenki, ani w ogóle wchodzić do kuchni; musiałam zawsze zasłaniać piersi dawani; w każdy piątek miałam myć włosy i smarować twarz zieloną pastą z kurkumy, dla ochrony przed pryszczami i włoskami wyrastającymi nie tam, gdzie trzeba; miałam unikać towarzystwa mężczyzn - zarówno młodych, jak i starych - bo

mężczyznom nie można ufać; miałam nigdy więcej nie siadać z rozsuniętymi nogami i nie oddychać pełną pierśią - stanik, który kazała uszyć dla mnie matka, opinał mnie tak ciasno, że każdy głębszy oddech sprawiał ból. Byłam teraz kobietą, i nic już nie miało być takie samo.

...Ale po co pani o tym wszystkim opowiadam? Jest pani kobietą i na pewno przeszła pani to samo. Tyle tylko, że ja miałam Sudżatę Akkę...

Oddała mi swoje bawełniane majtki; była za gruba, żeby się w nie zmieścić, ale były prawie nowiusieńkie. Kazała je sobie uszyć specjalnie do wyprawy ślubnej i obrzeżono je koronką. Oddała mi swoje znoszone biustonosze, nie musiałam więc nosić znieawidzonego stanika, który spłaszczał moje piersi i kradł oddech. Zaczęłam znowu oddychać.

Pozwoliła mi zapomnieć o tym całym byciu kobietą i kiedy dawani zsuwało mi się z ramienia, nie syczała ze złością, że jestem bezwstydną, jak to robiła moja matka. Nie jęczała ciągle, że trzeba znaleźć mi posag, i nie zmuszała, żebym chodziła z pochyloną głową, jak przystało na skromną kobietę. Dla niej byłam Mari-kkolundu - osobą, ani dziewczynką, ani kobietą.

Pewnego dnia Sudżata Akka zauważyła, że moje spódnice trzeba podłużyć, a moje piersi całkowicie już wypełniają jej stare biustonosze. Przyłapała swojego młodszego szwagra na rozbieraniu mnie wzrokiem i zobaczyła, że jej mąż podnosi oczy znad papierów za każdym razem, kiedy przechodzę. I Sudżata Akka nie mogła już dłużej uważać mnie po prostu za Marikkolundu. Nagle i dla niej stałam się kobietą.

Ciotka Sudżaty Akki mieszkała w Welurze. Miała lokatorkę - a właściwie dwie. Dwie doktorki zza morza. Które szukały młodej dziewczyny na służącą.

Kiedy nikt nie patrzył, Sudżata Akka wcisnęła mi do ręki sturupiowy banknot i powiedziała głosem zachrypniętym od łez: - Nie robiłabym tego, gdyby to nie było konieczne. Ale w tym domu są młodzi mężczyźni...

- Ale przecież ja nigdy z nimi nie rozmawiam - błagałam, łudząc się, że może zmieni zdanie i powoli mi zostać.

- Wiem, że jesteś dobrą dziewczyną, ale nikt mądry nie kładzie obok siebie bawełny i zapalek. Jeden niewłaściwy ruch i wszystko może pójść z dymem.

Wbiłam wzrok w podłogę, utraciwszy wszelką nadzieję. Dobrze znałam Sudżatę Akkę i wiedziałam, że ucieka się do przysłów tylko wtedy, kiedy chce rozwiązać trudną sytuację, i że już podjęła decyzję. To była trudna sytuacja.

Amma nie mówiła wiele. Wiedziałam, że nie podoba jej się, iż opuszczam wioskę. Za to dla Rukmini Akki była to wielka wspaniała przygoda. - Szczęściara z ciebie! Żeby móc zamieszkać w mieście, i do tego w doktorskim domu! Będziesz mogła zobaczyć najróżniejsze choroby. Pamiętaj, myj ręce przed każdym posiłkiem, bo się jeszcze czymś zarazisz. Słyszałam, że to cudzoziemki, z białą skórą i niebieskimi oczami. Musisz im się dobrze przyglądać, żeby mi potem wszystko opowiedzieć. Mówiono mi, że ich skóra cuchnie od całego tego mięsa, które pożerają. I że nie myją tyłków po sraniu, tylko używają papieru. Tylko nie zacznij zachowywać się tak, jak one, i uważaj, żebyś przez pomyłkę nie zjadła wołowiny zamiast baraniny. Opowiesz mi, co jedzą, czy kąpią się tak często, jak my, i czy nacierają oliwą włosy.

- Och, cicho bądź - warknęła Sudżata Akka. - Mówisz o nich, jakby to był wędrowny cyrk.

- To takie same kobiety, jak ty i ja - Sudżata Akka powiedziała do mnie, widząc, jak moje oczy rozszerzyły się z przerażenia. - Jedna z nich mieszka w Welurze już ponad pięć lat i całkiem dobrze mówi po tamilsku. Nie masz więc się czego obawiać. Zaopiekują się tobą jak trzeba.

#

Welur był przeludniony. Domy tłoczyły się jeden na drugim. I było tam tyle ludzi. Nie wszyscy byli mieszkańcami miasta. Niektórzy z nich byli krewnymi pacjentów tutejszego szpitala. Ciągłe było mi gorąco, pociłam się i chwilami ogarniała mnie lekka klaustrofobia. Po szerokich, otwartych wiejskich przestrzeniach, jak mogłam czuć się dobrze w mieście, gdzie wszystkiego było za dużo - za dużo domów, sklepów, dróg, ludzi i hałasu.

Dom doktorek stał przy małym zaułku na tyłach Barbara Street. Stary ogrodnik Periaswamy opowiedział mi, że ponad sto lat temu przy sąsiedniej uliczce mieszkała panna młoda, która nagle zachorowała i leżąc na łożu śmierci, poprosiła o miskę rasamu. Ale było już dawno po obiedzie i garnek był pusty. Panna młoda umarła, a jej ostatnie życzenie nie zostało spełnione. By to naprawić, jej teść rozkazał, by odtąd zawsze, w dzień i w nocy, przed drzwiami domu stał kocioł z parującym rasamem, i każdy mieszkaniec Weluru, który zapagnie tej potrawy, mógł o każdej porze dnia i nocy zaspokoić swoje pragnienie.

- Kiedy byłem małym chłopcem, codziennie tam chodziłem zapchać dziurę ziejącą w moim brzuchu miskami rasamu. Nigdy później nie jadłem równie smacznego rasamu - powiedział Periaswamy i zobaczyłam, jak podskakuje mu grdyka, a do ust napływa ślina. Poczekaj, aż spróbujesz mojego, pomyślałam. - Zabiorę cię tam któregoś dnia, ale nie jest już taki dobry, jak dawniej.

Periaswamy był nie wyższy ode mnie. Miał siwe, krótko przystrzyżone włosy, a jego ciało przypominało skórę starego buta, szarą i pomarszczoną. Oczy za grubymi szklami błyszcząły jak dwa kryształy górskie i często zanosił się chrapliwym kaszlem, który wsysał do środka jego policzki, a oddech zmieniał w świst. Zdawał się słaby i kruchy, i zastanawiałam się co z niego za ogrodnik. Przewróci się, jeśli tylko mocniej szarpnie za chwast, pomyślałam, chichocząc w duchu.

Pierwszego dnia nie mogłam oderwać wzroku od doktorek. Sudżata Akka dopilnowała, żeby odwieziono mnie pod sam dom.

- Nr 24, Willa Lekarzy, na tyłach Barbara Street; każdy pokaże ci to, miejsce, wystarczy, że spytasz. Wszyscy znają ten dom - powiedziała Muniandiemu, kierowcy, który odwoził mnie do Weluru.

- Nie rozmawiaj z nim, ani w ogóle z nikim w autobusie. Przykładaj się do pracy i zachowuj się jak porządna dziewczyna - brzmiały pożegnalne słowa mojej matki.

Powiedziały, że mam je nazywać Missy Vi i Missy Kej. Missy Vi była młoda, miała zielone oczy i włosy jak złota jedwabna przędza. Nosiła je splecione w warkocz i rozpuszczała tylko wieczorem, a wtedy opadały jej aż do pasa. Jak łąn kwitnących dżamandi, skłaniających przed wiatrem swoje złote główki. Za to Missy Kej mówiła bardzo dobrze po tamilsku, chociaż w jej ustach nabierał on szorstkiego brzmienia. Wszystko w Missy Kej było jakby trochę ostre. Jej oczy przypominały łupki brązowej skały, ciemnobrązowe włosy kończyły się prostą linią na wysokości uszu, jej stopy i dłonie o krótko przyciętych paznokciach były duże, jak u mężczyzny.

- Jak ci na imię? - Missy Kej zapytała po odejściu Muniandiego.

- Marikkolundu - szepnęłam, przytłoczona obcością otoczenia.

- Co to oznacza, Kate? - Głos Missy Vi miał modulację małej dziewczynki.

Missy Kej wyjęła z kieszeni spódnicy białą chustkę do nosa i otarła czoło. Zaczęła się już pora deszczów, ale mimo to było bardzo gorąco. Ja też czułam pot spływający po plecach. W naszej wiosce pora deszczowa przynosiła chłodny wiatr. Liście drzew ociekały wodą, ziemia była wilgotna i pachnąca... Nagle zapragnęłam poturlać się po trawie, zaczerpnąć pełne dłonie tego wilgotnego zapachu i napić się go jak wody.

- Marikkolundu to nazwa rośliny - wyjaśnienie Missy Kej wdarło się w moje myśli. - Przypomina trochę lawendę.

Tego wieczora poprosiłam sprzedawcę kwiatów, przechodzącego przed naszą bramą, o gałązkę marikkolundu. Zaniósł ją Missy Vi.

- Marikkolundu - powiedziałam, wręczając jej podarunek. Missy Vi powąchała gałązkę. - Kate, popatrz, co mi przyniosła.

Rzeczywiście przypomina lawendę, ale to nie lawenda. Więc to tym jesteś, Marikkolundu? Siostrą prawdziwej rzeczy?

Missy Kej przetłumaczyła słowa Missy Vi, a ja uśmiechnęłam się, nie dając im poznać, jak bardzo mnie to zabolalo. Kto chciałby być siostrą prawdziwej rzeczy?

- Ale nie możemy tak się do niej zwracać. To strasznie długie. Myślę, że powinniśmy nazywać ją Mari. Jak sądzisz, Kate?

Missy Kej mruknęła potakująco i moje imię zmieniło się w Mari, z „iii” rozbrzmiewającym jeszcze długo, kiedy skończyło się jej wypowiadać. Ale mnie się podobało, no i nie kojarzyło się z żadną prawdziwą rzeczą.

- Zrobiły z ciebie chrześcijankę? Co to za bzdura z tą Mari? - Tylko Periaswamy czuł się urażony moim nowym imieniem.

- Oczywiście, że nie. Czy z ciebie zrobiły chrześcijanina? Słyszałam, że nazywają cię Perry - zachichotałam, pochylając się, by wyrwać zielsko, które umknęło jego uwadze.

Periaswamy był stary i pomyłony, ale był jedynym przyjacielem, jakiego miałam. Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, ale we własnych oczach byliśmy sobie równi, a to było wystarczającą pożywką dla przyjaźni.

Tak naprawdę wcale go nie potrzebowały, ale lubiły go mieć - mężczyzna w domu, mówiły, chichocząc i zerkając jedna na drugą.

Nazywały go ogrodnikiem, ale był raczej człowiekiem od drobnych napraw, którego obowiązki w ogrodzie ograniczały się do pielienia i podlewania roślin doniczkowych.

Ogrodnictwem z prawdziwego zdarzenia zajmowała się Missy Kej. Spodobałaby się mojemu ojcu. Posiadała tę samą, co on, prymitywną moc przemawiania do ziemi i czynienia jej posłuszną swojej woli. Jej róże miały barwę najciemniejszej czerwieni i kwitnąc, napełniały powietrze wonią, przy której bladł zapach jaśminów.

- Musi mieć czarodziejskie palce - powiedziałam Periaswamy'emu, chowając nos w paku róży.

Missy Kej nie lubiła, żeby którekolwiek z nas mieszało się do jej róż. Ale w ciągu dnia miałam cały dom i ogród dla siebie i robiłam, co mi się podobało. Zwiedziłam pokoje doktorek, uważając, by każdy przedmiot odłożyć tam, skąd go wzięłam. Nie żeby posiadały dużo rzeczy. W porównaniu z zawartością pokoi i

szaf Sudzaty Akki, ich dom praktycznie świecił pustkami. Kosztowałam dziwnych wiktuałów, które trzymały w lodówce, i często zagłębiałam łyżkę w puszcze ze skondensowanym mlekiem, żeby ją potem wylizać. Pewnego dnia, kiedy będę miała pieniądze, kupię puszkę zagęszczonego mleka i sama ją całą zjem. Raz użyłam odrobiny szamponu Missy Vi, żeby zobaczyć, czy moje włosy też zrobią się od niego takie faliste. Ale pozostały proste, jak zawsze.

- Nigdy nie widziałam równie pięknych róż - powtórzyłam głośno. Periaswamy słabo słyszał, ale ukrywał swoją głuchotę pod maską udawanej zgryźliwości.

Periaswamy prychnął. - Takich róż nie zobaczysz nigdzie na świecie. A wiesz dlaczego? - ściszył głos i przysunął się bliżej. - Przynosi ze szpitala łożyska, sieka je jak wątróbkę i karmi nimi ziemię. Róże kwitną krwią, ludzką krwią. Więc powiedz mi, dlaczego nie miałyby być niezwykle?

Poczułam gorzki smak w ustach. Periaswamy patrzył na mnie czekając, czy odważę się zarzucić mu kłamstwo. Po raz pierwszy zaczęłam zastanawiać się, czy nie jest trochę szalony. Tylko ktoś niespełna rozumu mógł wymyślić podobną bzdurę.

- Nie wierzę ci - oświadczyłam.

- Nikt mi nie wierzy. Ale nie dbam o to. Widziałem to, co widziałem. Co ty wiesz o tym świecie? Ledwie dorosłaś do kolan krzakowi jaśminu, a wydaje ci się, że zjadłaś wszystkie rozумы. Głupie dziewczynisko! - Periaswamy wrócił do okopywania kokosowego drzewka.

Przez resztę poranka nie odzywaliśmy się do siebie, ale kiedy przyszła pora obiadu, zapomniałam, że się na niego gniewam. Zawsze jedliśmy razem. Po kilku pierwszych dniach zaczęłam gotować trochę więcej jedzenia dla Periaswamy'ego. Zobaczyłam, jaki nędzny jest posiłek, który przynosi sobie z domu i postanowiłam zaryzykować gniew moich doktorek. Tyle tylko, że kiedy to odkryły, popatrzyły na siebie i powiedziały: - Prawdziwe krwawiące serce!

Co to takiego, u licha, krwawiące serce?

Codziennie rano Periaswamy przychodził ubrany w białą koszulę i weszki. Ledwo zamknęła się za nim brama, zdejmował je i wieszał na gałęzi. A potem, w długich do kolan szortach khaki i starym podkoszulku, który miał więcej dziur niż materiału, brał się do roboty. Wieczorem opłukiwał się do czysta pod kranem w ogrodzie, wdziewał swoje ubranie i wychodził, wyglądając, jakby przez cały dzień nie robił nic innego, tylko się wachlował.

Jedliśmy lunch na podwórku za domem. Ryż, kara kozambhu albo mor kozambhu, jeden porijał i jakaś marynata, a do picia maślanka. Czasami odkładałam dla niego resztki ryby albo baraniny z obiadu doktorek.

- Nigdy nie jadłem smakowitszego kara kozambhu - oznajmił tamtego popołudnia, polewając curry górę ryżu. Przyjęłam jego przeprosiny i nigdy więcej nie mówiliśmy o różach.

Nie wiedziałam, ile prawdy jest w tym, co twierdził, wiedziałam jednak, że im bardziej potrzebował doktorek, tym bardziej go to gniewało. Wiedział, że nikt inny go nie zatrudni i że pieniądze, które tu dostawał, stanowiły zwykłą jałmużnę, ukrytą pod postacią pensji. Nie pozwalał sobie na nieuprzejmość czy opryskliwość, ale kiedy na niego nie patrzyły, słał im wrogie spojrzenia i mamrotał pod nosem komentarze na temat ich dziwactw.

Ale ja i tak bardzo lubiłam Periaswamy'ego. Nauczył mnie wiele o roślinach i jak zmieniać żarówkę. Pokazał mi, jak naprawić ciekący kran i czyścić szyby, używając do tego starych gazet. I sam o tym nie wiedząc, nauczył mnie obserwować.

Co noc obserwowałam, jak Missy Kej wychodzi ze swojego pokoju i mijając matę, na której spałam w korytarzu między pokojami doktorek, wchodzi do sypialni Missy Vi. Po cóż ta cała tajemnica, zastanawiałam się. Skoro Missy Kej boi się spać sama, nic rozsądniejszego niż żeby spały razem. Nie dostrzegłabym nic dziwnego w tym, że dwie kobiety dzielą łóżko. To zupełnie naturalne w domu bez mężczyzny. Że kobiety trzymają się razem. Może te cudzoziemki są inne, mówiłam sobie. Nie lubią przyznawać się do swoich lęków i wolą udawać, że są tak samo silne i samowystarczalne, jak mężczyźni. Co za głupota, pomyślałam.

Przez trzy lata wiedliśmy szczęśliwy żywot - trzy kobiety i zramolały starzec. Raz na kilka miesięcy odwiedzałam matkę, ale rzadko zostawałam na dłużej. Zawsze było mi spieszno powrócić do Weluru, gdzie o ileż więcej się działo. Pola i wieśniacy nudzili mnie. Dusiałam się wśród wąskich uliczek i granic, które były wszędzie. Pomiędzy polem i polem; domem i polem; mężczyzną i kobietą; kobietą i życiem; życiem i godnością...

Doktorki nauczyły mnie angielskiego alfabetu i kupowały mi książki do czytania, angielskie i tamilskie. Nie wszystko z nich rozumiałam. Czytałam na głos angielskie historyjki dla małych dzieci, w których mój skonfundowany umysł potrafił się jako tako połączyć. Ale doktorki były zadowolone z moich postępów. Zamiast szklanych bransoletek zaczęłam zbierać słowa, a słowa na zawsze pozostaną ze mną, powtarzałam sama sobie z pewną satysfakcją...

Kiedy skończyłam osiemnaście lat, powiedziały, że pomogą mi znaleźć pracę salowej w szpitalu.

- Powinnaś postarać się zdać eksternistycznie SSLC, a wtedy opłacimy ci kurs pielęgniarstwa - powiedziała pewnego ranka Missy Kej.

- Spytaj ją, czy to jest to, czego pragnie. Nie każdy ma ochotę pielęgnować pacjentów - powiedziała Missy Vi, wkładając do ust łyżkę uppumy.

Missy Vi lubiła uppumę i wady, idli i sambar, dosy i cebulowy ćatni. W odróżnieniu od Missy Kej. Ta wolała grzanki; dwie kromki. Pierwszą smarowała masłem, o którym mówiła, że bardziej przypomina ghi, a drugą dżemem, który jej zdaniem był zbyt słodki, by był z prawdziwych owoców. Missy Kej codziennie rano zjadała dwa banany. W odróżnieniu od Missy Vi. Ta wolała guawy i papaje, sapodille i mango, a latem jadała owoce palmy, delektując się ich przezroczystym miąższem.

Tak bardzo różniły się od siebie. Missy Vi uśmiechała się. Missy Kej rozciągała usta w grymasie. Missy Vi lubiła zmiany. Missy Kej nie cierpiała, żeby cokolwiek zakłócało bieg naszego życia. Missy Vi wolała wesołe kolory i nosiła mnóstwo koralików i łańcuszków. Missy Kej ubierała się na ciemno, a szyję, przeguby i płatki uszu pozostawiała bez ozdób. Missy Kej rozmawiała z Missy Vi, jakby ona była mężem, a tamta żoną. Czasami przyłapywałam Missy Kej, jak pieściła wzrokiem twarz Missy Vi. Przyprawiało mnie to o gęsią skórę.

- Pewnie, że chce pracować z pacjentami. Ma dwie ręce, i co ważniejsze, zadatki na dobrą pielęgniarkę.

- Missy Kej wgryzła się w grzanekę.

- Chcę - zgodziłam się. Powiedziałam sobie, że chcę. Nie brzydziłam się krwi, sików czy kupy. Tak przynajmniej myślałam. - Chciałabym zacząć pracować jako salowa i spróbować zdać SSLC eksternistycznie. - A kiedy wypowiedziałam to na głos, poczułam się, jakbym stanęła na progu zupełnie nowego świata.

- W takim razie postanowione - powiedziała Missy Kej z zadowoleniem w głosie.

Missy Vi wzruszyła ramionami. To jeszcze jedno. Missy Vi obrażała się, kiedy nie udawało jej się postawić na swoim. Ale nie Missy Kej. Ta nigdy nie dąsała się ani nie czuła się urażona.

Patrząc wstecz, zastanawiam się, czy tkanina mojego życia nie została utkana na całkiem innych krosnach, gdybym zrobiła to, czego oczekiwały ode mnie doktorki. Czy wówczas wszystko wyglądałoby inaczej? Pytanie to powracało jak refren w moich porannych rozmyślaniach w tamte okropne dni...

Moja matka upadła i złamała kość. Założono jej na nogę gips i zalecono kilka tygodni odpoczynku. Bracia przyjechali po mnie, żeby mnie zabrać do domu. Nie wiedzieć kiedy tak wyrosli. Cztery miesiące wcześniej byli małymi chłopcami, a teraz przewyższali mnie o głowę, a kiedy mówili, ich głosy trzeszczały z wysiłku stania się mężczyznami.

- Ależ zrobiliście się wysocy - powiedziałam, niezdolna pogodzić się z myślą, że ci chuderławi młodzieńcy to moi mali braciszki.

- Nie możesz już dłużej nazywać nas Kulla Kathrika i Odaču Kadala - pokazali w uśmiechu wszystkie zęby.

Mały bakłażan. I rozszczepiony groszek. Moje imiona dla nich...

- To prawda - westchnęłam. - Może powinnam was odtąd nazywać Sir Easwaran i Sir Siwakumar.

Zachichotałam. Nagle perspektywa powrotu do Ćettiar Kottaji przestała wydawać mi się taka okropna.

Amma bała się, że jeśli pozostawi puste swoje miejsce w domu Ćettia, ktoś je sobie przywłaszczy. Poproszą Rukmini Akkę, by ją zastąpiła, a chociaż usilnie starała się zachować w tajemnicy swoje przepisy, tyle godzin spędziły razem, że Rukmini Akka zdążyła poznać prawie wszystkie jej sekrety. - I co się wtedy z nami stanie? - spytała Amma, spoglądając na twarze chłopców.

Zrozumiałam. Miałam zająć miejsce Ammy. Nie byłam wprawdzie Ammą, ale byłam Marikkolundu. Siostrą prawdziwej rzeczy. Córką kucharki.

- Ale Ammo, jak ja temu podołam? Nie przywykłam do gotowania w takich ilościach - powiedziałam, wąpiąc, czy to się w ogóle uda.

- Będę tutaj, żeby ci doradzać. Musisz tylko pamiętać, że większość pracy wykonuje Rukmini. Bez ustanku miele ozorem, ale jest robotna. Może bez trudu robić wszystko to, co ja. Dlatego właśnie to takie ważne, żeby jej na to nie pozwolić. Rodzina Ćettia musi myśleć, że to w naszych rękach, i nigdzie indziej, spożywają sekrety, które tak długo zaostrzały i zaspokajały ich apetyt - oznajmiła Amma, odpędzając moje obawy, jakby były zabłąkaną muchą, którą wystarczy trzepnąć i rozduścić, żeby się jej pozbyć.

Poradziłam sobie, właśnie tak, jak przepowiedziała Amma. Ale nienawidziłam każdej minuty tej pracy. W Welurze lubiłam gotować. Gotowałam, by sprawić przyjemność. Tutaj gotowałam, żeby nakarmić. Nakarmić żarłoczne gęby, które gryzły, żuły, połykały, bekały i wołały o więcej...

Zapach przypalonego oleju wżarł się w moje włosy; moje palce śmierdziały czosnkiem; pory skóry wydzielaly zapach asafetydy. Co wieczór szorowałam się ile sił w rękach, by zetrzeć dotyk kuchni. Przez kilka krótkich minut pachniałam mydłem Lux, ale po chwili kuchenne zapachy znowu brały w posiadanie moje ciało.

Co wieczór przekreślałam datę w kalendarzu wiszącym na ścianie. W moim rodzinnym domu nie czułam się już u siebie. Cały dzień byłam zajęta; moje dłonie i stopy pracowały z mozołem. Ale głowę miałam pustą. W Welurze doktorki i Periaswamy karmili mój umysł. Czułabym się mniej samotna, gdybym mogła spędzić trochę czasu z Sudżatą Akką. Ale kiedy kończyłam pracę, marzyłam tylko o tym, by jak najprędzej znaleźć się w domu i umyć się.

Czasami przychodziło mi do głowy, że moja matka i bracia nieświadomie zerwali już ze mną więzy. Byłam córką i moje urządowanie w domu dobiegało końca. Moje prawa do tego domu ustaną, kiedy wyjdę za mąż.

Co wieczór powtarzałam sobie, że za sześć tygodni będę mogła wrócić do Weluru, gdzie doktorki pomogą mi wykuć moją przyszłość. Co noc śniłam o niezależności i godności.

Gdy pozostał już tylko ostatni tydzień, Amma zaczęła nalegać, żebym została dłużej. - Wrócisz po Pongal - powiedziała. - Bóg jeden wie, gdzie będziesz w następne Pongal.

- Chcę, żebyś włożyła to nowe sari, które dała ci Sudżata Akka - powiedziała pewnego wieczora. - Chciała wiedzieć, czy ci się podoba.

Zawsze chciałam mieć jedwabne sari z Kanćipuram. W kolorze papuziej zieleni, z brzeżkiem czerwonym jak papryczki chilli; ozdobione owocami mango i pawiami, kropkami i trójkątami z prawdziwego złotego zari. Kilka dni po moim powrocie z Weluru Sudżata Akka podarowała mi nowe jedwabne sari z Dharmavaram. Przykleiłam do twarzy uśmiech, a moje oczy odbijały blask fałszywego zari, ponieważ wiedziałam, że tego właśnie ode mnie oczekuje. Ale nie chciałam go. Każdy wie, czym jest sari z Dharmavaram, w porównaniu z sari z Kanćipuram - siostrą prawdziwej rzeczy, ostatnią rzeczą, jakiej chciałam.

Zwierzyłam się natomiast Ammie z planów, jakie miały wobec mnie doktorki.

- Wszystko to bardzo pięknie, ale ja już zaczęłam szukać ci męża. Ćettiar obiecał, że pomoże mi zebrać posag - powiedziała Amma, wplatając w mój warkocz pączki jaśminu.

Od śmierci mojego ojca Amma pilnowała zawsze, by mój warkocz zdobiły kwiaty. Jaśmin albo kadambam, chryzantemy albo nagietki... A kiedy nie można było dostać żadnego kwiatka, Amma wyciągała plastikową różę, którą dawno temu kupiła na wiejskim jarmarku, i zanudzała mnie, dopóki nie wpięłam jej we włosy. Zupełnie, jakby chciała sobie powetować fakt, że sama nie może już nosić kwiatów.

- Odkąd zamieszkałaś z doktorkami, całkiem przestałaś dbać o swój wygląd. Chcesz wyglądać tak jak one? Nieładna i wiedźmowata, z włosami jak włókno kokosowe i cerą jak stara skóra na buty. Dziewczeta w twoim wieku powinny pokazywać się z kwiatami we włosach, podkreślonymi oczyma, bransoletkami na przegubach i kostkach, brzęczącymi przy każdym kroku. Spójrz na siebie... jeszcze nie wyszłaś za mąż, a już wyglądasz jak wdowa - słowa mojej matki kłuły jak małe żądła.

W domu doktorek nie było miejsca na fatalaszki. Kwiaty wywoływały gniewne zmarszczenie brwi, chyba że były na krzakach, a bransoletki na nogach drażniły Missy Kej. Z początku Periaswamy śmiał się ze

mnie, że zaczynam przypominać zakonnicę. Ale wkrótce przywykł do szarej Mari z ciasno splecionymi warkoczami i nagimi przegubami dłoni; z niepodkreślonymi oczyma i ziemistą cerą.

Najbardziej ze wszystkiego doktorki nie cierpiały kurkumowej pasty, którą w każdy piątkowy poranek, po natarciu oliwą i wymyciu włosów, nakładałam na twarz. Za pierwszym razem, kiedy zrobiłam to w Welurze, Missy Vi wrzasnęła na mój widok: - Kate, myślisz, że ona ma zapalenie wątroby? Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak żółkł w ciągu jednej nocy. To musi być jakaś szczególnie złośliwa odmiana, jak sądzisz?

Missy Kej spojrzała na mnie i powiedziała jadowitym tonem:

- Mari, zmyj to paskudztwo z twarzy. Ona myśli, że masz żółtaczkę.

W Welurze, gdzie byłam Mari, podobałam się zwykła i bez ozdób. Ale Amma nie chciała o tym nawet słyszeć. Stałam się więc na powrót taką córką, jakiej pragnęła. Ładną i kwitnącą; z radosnym śmiechem i kokieterijnymi sztuczkami osiemnastolatki, pragnącej by świat ją podziwiał i upadł jej do stóp. Mówiąc, potrząsałam głową. Nauczyłam się rzucać powłóczyście spojrzenia. Szłam, kołysząc biodrami.

Może to właśnie ów żar, który rozpałała we mnie Amma, pograżył w mroku resztę mojego życia.

Kiedy Amma wróciła do kuchni Ćettiara, zostałam znowu służącą Sudżaty Akki. Przez cały dzień kręciłam się po pokojach i to pewnie właśnie wtedy wpadłam w oko bratu Rani Akki.

Na imię miał Murugesan. Często próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądał. Widziałam go przecież tyle razy. Ale potrafię przywołać jedynie twarz pozbawioną rysów. Twarz-widmo. Kiedy o nim myślę, widzę jego dłonie. Wielkie dłonie o mięsistych palcach...

...Nie wiem, czy powinnam opowiadać pani to wszystko. Wprawdzie jest pani starsza ode mnie, ale przecież jest pani niezamężna. Nie chciałabym wprawić pani w zakłopotanie... Pani się uśmiecha... Rozumiem ten uśmiech...

W naszej wsi był zwyczaj, że co roku w wilię Pongal na dziedzińcu Ćettiar Kotaji rozpalano wielkie ognisko. Wszyscy przynosili swoje stare rzeczy, wrzucali je w ogień i krzyczeli: Bogi! Bogi!

Precz ze starym! Spalić przeszłość! Wyrzucić zeszłoroczne śmieci! Bogi! Bogi!

Musiałam wrócić do domu, żeby wykapać się i przebrać w czyste ubranie. Spojrzałam na zegarek, który parę dni wcześniej dostałam od Sudżaty Akki, i zapytałam: - Ammo, mogę już iść? Akka chce, żebym spędziła wieczór tutaj, w domu Ćettiara.

- Tylko się nie zasiedź - powiedziała Amma, kiedy wychodziłam z Ćettiar Kotaji. - Weź z sobą jednego z chłopców.

- Nie przesadzaj - powiedziałam. - Idę do domu, dwie ulice stąd, a nie do Weluru.

- Czy tak się zwraca do matki? - warknęła Rukmini Akka. - Jesteś już dorosłą dziewczyną, a nie małym dzieckiem. Nie wiesz, że w każdym kącie, za każdym drzewem i krzakiem, czyha niebezpieczeństwo?

„Niby jakie?“, spytałam w duchu.

- Odkąd wróciła z Weluru, wydaje jej się, że zjadła wszystkie rozumy. Kiedy jej coś mówię, odpowiada mi: „Jestem już dorosła i potrafię sama się o siebie zatroszczyć“. Kiedy jej się coś stanie, to zrozumie... - Głos Ammy ochrypl z gniewu. To przez zmęczenie zrobiła się taka drażliwa, powiedziałam sobie i obiecałam, że wezmę ze sobą Siwakumara. Tylko że on nie chciał pójść. Chciał zobaczyć, jak rozpalają ognisko.

Nasza wioska nigdy nie była tak piękna, jak w styczniu. Wszystkie byki, woły i krowy chodziły ze świeżo pomalowanymi rogami. Dzieciaki żuły trzcinę cukrową, po brodach spływał im lepki sok. Drzewa były gęste od liści, wszędzie rosła trawa. Chłodny wiatr kołysał łany i rozwiewał rozpuszczone włosy. Kwitły kwiaty; tysiące kwiatów. To była pora jaśminu - puszystych zaokrąglonych gundumalli, kruchych mullaji o wąskich płatkach... Świeżo pobielone ściany domów połyskiwały w blasku księżyca; sznury jaśminu, nanizanego na nic ciemności.

W styczniu łatwo było zapomnieć o zapłacie, jaką odbierze lato, paląc na popiół ziemię i pozbawiając wieś wszelkiej obfitości.

W styczniu noc przychodziła wcześniej i wszędzie czaiły się cienie, strasząc i grożąc...

Biegłam przez mangowy sad, po trawie wilgotnej od rosy. Nigdy nie lubiłam tego miejsca. Na jednym jego krańcu rosło potężne drzewo tamaryndy. Kiedy byłam mała, stróż pilnujący dojrzewających kusząco owoców mango straszyl mnie i inne dzieciaki opowieściami o strzydze, mieszkającej w tamaryndzie i polującej w sadzie na swoje ofiary. Dorosłszy zrozumiałam, że to był tylko podstęp, mający zniechęcić nas do podkradania owoców, ale i tak ilekroć musiałam sama przejść przez sad, czułam się nieswojo.

I wtedy, jak w moich koszmarach z dzieciństwa, zza drzewa wysunęła się ręka i schwyciła mnie w pól. Czy krzyczałam? Musiałam krzyczeć. Jakże mogłabym nie krzyczeć? Ale cała wieś rozbrzmiewała wołaniem: Bogi! Bogi!

Jedną ręką zakrył mi usta, a drugą przyciągnął do siebie. Tluste mięsiste dłonie pozbawiły mnie głosu i wpiły się w moje ciało.

- Proszę, proszę - zawołałam, kiedy zobaczyłam, że to Murugesan. - Proszę, niech mnie pan puści.

- Och, nie mogę cię puścić. - Błyszczaly mu oczy. - Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim zaczęłaś drażnić mnie swoim ciałem.

Czułam w jego oddechu zapach alkoholu.

Wiłam się i błagałam, ale zacisnął dłoń na moich ustach, zaciągnął w głąb sadu i tam, w cieniu, zaczął zdzierać ze mnie ubranie.

- Dlaczego udajesz niewinną? Znam się na takich kobietach, jak ty. Skoro synowie Ćettiara mogą cieszyć się twoim ciałem... nie zapominaj, że jestem krewnym, to nic, że tylko ubogim, i jako pierwszy mam prawo do resztek po nich - warknął.

Wczepiłam się w jego ramię i zaczęłam błagać. - Niech mnie pan puści... Niech pan nie rujnuje mojego życia.

Spojrzał na mnie i uderzył mnie w twarz. - Zamknij się. Kim ci się wydaje, że jesteś? Małą księżniczką?

Nagle dostrzegł błysk metalu na moim przegubie i bluzgnął stekiem obelg: - Rozpieścili cię w tym domu... słyszysz? Kto to widział, żeby zwykła służąca nosiła zegarek. Czy wiesz, że moją siostrę odesłano na wiele miesięcy z powrotem do domu rodziców tylko dlatego, że w dniu ślubu, w całej swojej niewinności, poprosiła swojego męża, żeby nauczył ją odczytywać godziny? Powiedzieli, że jest niedouczona i nie nadaje się na synową Ćettiara. Ale popatrz na siebie. Masz w tym domu więcej praw niż moja własna siostra. Najwyższa pora przypomnieć ci, kim jesteś.

Zerwał bransoletkę z zegarkiem i cisnął ją w ciemność.

Nie rozumiałam, o czym mówi, ani dlaczego jest na mnie taki zły, ale wiedziałam, że jeśli nie spróbuję uciec, zaraz będzie za późno. Podrapałam jego twarz i rękę. A potem, w przystępie furii, kopnęłam go w łydkę i wrzasnęłam: - Myślisz, że ujdzie ci to na sucho! Powiem Ćettiarowi. Powiem starszyźnie! Wszystkim powiem, że mnie zgwałciłeś!

Wbił palce w moje ramię. - Nikt ci nie uwierzy. Może ci się wydawać, że jesteś mi równa, ale nie jesteś. Jestem powinowatym Ćettiara, bratem jego synowej, a ty tylko córką kucharki. Nikt nie ośmieli się podać w wątpliwość moich słów.

Na moment zawahałam się, uderzona prawdą tego, co powiedział. Co mam robić? Murugesan wykorzystał moją chwilową bierność. Rzucił mnie na ziemię i zwałił się na mnie, dociskając biodrami. Jego dłonie sięgnęły pod moją spódnicę i zdarły mi majtki.

- O, jak panienka z miasta? W majtkach i staniku? Lubisz to, prawda, ty mała kurewko?

Czułam, jak przygniata mnie do ziemi swym gorącym oddechem, swą chucią i całkowitą obojętnością na to, co się ze mną stanie... to nie dzieje się naprawdę, powtarzałam sobie... kiedy jego usta smakowały moje piersi, jego dłonie ścisnęły moje pośladki, kiedy brutalnie rozepchnął kolanem moje nogi, zaciskałam oczy i myślałam - to tylko zły sen, zaraz się obudzę i okaże się, że to wszystko wcale nie miało miejsca... i wtedy poczułam, jak się we mnie wdziera, napełniając mnie strasznym bólem, i z moich oczu popłynęły łzy. Ciężkie, kleiste łzy, płynące do środka. Błede, przezroczyste łzy, przeciskające się przez moje ciasno zaciśnięte powieki.

Gdzieś daleko słyszałam wołanie. Bogi! Bogi! Zaraz zapłonie ognisko, w niebo wystrzelą iskry i noc zatętni trzaskiem wysuszonych pniaków i jękiem ozywających gałązek. Wraz z moją przeszłością palono żywcem moją przyszłość.

Co powinnam była zrobić? Co pani zrobiłaby na moim miejscu? Teraz już wiem... Powinnam była pobiec na dziedziniec Ćettiara, tak jak stałam, w podartym ubraniu, z potarganymi włosami, z jego i moimi płynami ściekającymi po nogach, i z przerażeniem w oczach. Powinnam była zagrozić, że się zabiję i zażądać sprawiedliwości. Powinnam była płakać, awanturować się i pozwolić światu i Ćettiarowi zobaczyć we mnie ofiarę...

Poszłam do domu. Potrafiłam myśleć tylko o jednym: co powie Amma, kiedy dowie się, co się stało. Mówiłam ci przecież... nigdy mnie nie słuchasz, a teraz patrz, twoje życie legło w gruzach... kto się z tobą ożeni... błagałam cię, żebyś uważała, nie chodziła po wsi sama, ale nie chciałaś mnie słuchać...

Wykąpałam się. Cała kostka mydła i garść kokosowego włókna obróciły się w namokły kołtun... Szorowałam bez litości skórę, usiłując zmasać to, co mi się przytrafiło, usiłując zdusić szum w uszach... Jeśli będę udawać, że nic się nie stało, że nic się nie zmieniło, może wszystko pozostanie tak, jak było...

Na dziedzińcu Ćettiar Kottaji dogasało ognisko. Wieśniacy ociągali się z odejściem, nie chcąc porzucić zabawy. Dostrzegłam braci i moje usta wypełnił gorzki smak żółci. Gdyby tylko byli wtedy ze mną. Gdyby Amma wymogła na nich, że mają ze mną pójść.

Patrzyłam w dogasające płomienie. Nad dziedzińcem unosiła się gryząca Woń spalenizny. Nic się nie zmieniło, powtarzałam sobie zawzięcie... nic się nie zmieniło. Kiedy wrócę do Weluru, będę mogła wyrzucić z pamięci mangowy sad i tłustołapego upiora. Został mi jeszcze tylko tydzień. Nigdy więcej moja stopa nie poстане w tej wiosce, przysięgam sobie.

Ale tydzień później wciąż jeszcze byłam w Ćettiar Kottaji. Sudżata Akka zaczęła wymiotować; odmawiała jedzenia, mówiąc, że jego zapach przyprawia ją o mdłości. Jej oczy nabrały żółtej barwy kurkumy, a kiedy wreszcie wysiusiała kilka ziarenek gotowanego ryżu, one też były żółte. Sudżata Akka miała żółtaczkę. I ktoś musiał zaopiekować się Prabhu-papą.

Chłopcy, których posłałyśmy z wiadomością do doktorek, wrócili z Weluru mówiąc, że Missy Kej jest niezadowolona z mojej przedłużającej się nieobecności. Służąca, którą przyjęły w moim zastępstwie, nie spełnia ich oczekiwań i Missy Kej powiedziała, że powinnam postarać się wrócić najszybciej, jak to możliwe.

Odetchnąłam z ulgą. Przynajmniej nadal mnie chciały. Bałam się, że nie zatrzymają dla mnie mojego miejsca.

- Jak się czuje Periaswamy? Widzieliście go?

- Skąd mamy wiedzieć?

- Nie widzieliście go? To ogrodnik. Stary człowiek w okularach i z zapadniętymi policzkami - powiedziałam, zaniepokojona, że coś musiało mu się stać.

- Wiemy, kto to jest. Nie było go tam. Może zachorował. Albo pojechał kogoś odwiedzić - powiedzieli chłopcy. „Albo umarł”, czytałam z ich twarzy.

Patrzyłam na nich w napięciu. Nie podobała mi się myśl, że Periaswamy'ego tam nie ma. Nie podobała mi się myśl o innej służącej wykonującej moje obowiązki. Nie chciałam żadnych zmian. Po powrocie do Weluru chciałam zastać wszystko dokładnie tak, jak było. W ten sposób moje życie również pozostałoby nienaruszone.

Kilka tygodni później, kiedy Sudżata Akka zaczęła wracać do zdrowia, ja poczułam się źle. Przez cały dzień coś ze mną było nie tak. Widok jedzenia przyprawiał mnie o mdłości. Byłam apatyczna i zmęczona. - Chyba też złapałam żółtaczkę - powiedziałam Ammie.

- Mówiłam ci, żebyś uważała. Ale ty nigdy mnie nie słuchasz - powiedziała Amma, przyciągając do siebie moją twarz. - Siusiasz na żółto? Twoje oczy dalej są białe. Jeśli to żółtaczką, to musi być sam początek. Poproszę chłopców, żeby poszukali trochę liści kizharnelli i zrobię ci napar. Popij go przez kilka dni, to poczujesz się lepiej.

Dwa dni później obudziłam się rano ze wzburzonymi wnętrznościami i gorzkim smakiem żółci w ustach. Kiedy matka, wychodząc do pracy, zobaczyła, że ucieram imbir z solą, zatrzymała się w pół kroku. - Co z tobą?

- Mdli mnie - powiedziałam, ssąc kulę utartego imbiru. Amma popatrzyła na mnie dziwnie i wyszła.

Nie polepszało mi się. Zrobiłam się blada i wymizerowana. Moje włosy utraciły blask, zapach podsmażanej gorczycy przyprawiał mnie o wymioty. Pewnego ranka Amma zapytała mnie wprost.

- Powiedz mi prawdę - zażądała. - Kiedy miałaś ostatni okres?

Pomyślałam chwilę i powiedziałam:

- Jakieś siedem tygodni temu.

Amma usiadła na podłodze i ukryła twarz w dłoniach.

- Co ty najlepszego zrobiłaś, niedobra dziewczyno?

- Nic nie zrobiłam, Ammo - powiedziałam przestraszona wyrazem jej twarzy.

- Co to ma znaczyć, że nic nie zrobiłaś? Czy ty nie rozumiesz, że jesteś w ciąży? Kim on jest? Powiedz mi, kto to był?

- Ammo, nie uczyniłam nic złego.

- Przestań udawać. Czy ty nie masz za grosz wstydu? Powiedz mi, kto to był?

Usiadłam na podłodze. Wiedziałam, że nie mogę już dłużej udawać, że nic się nie stało. Nie byłam już tą samą osobą, co kiedyś. Noc w mangowym sadzie powróciła, by mnie prześladować.

- Ammo - powiedziałam, z trudem zmuszając się do mówienia. - Ammo, to nie to, co myślisz.

Opowiedziałam jej więc, co mi się przytrafiło. O każdym wrzasku i krzyku. O kamyczku, który wbił mi się w plecy, kiedy przygwoździł mnie do ziemi. O wilgoci rosy pod moimi stopami i jego wilgoci, zalewającej moje ciało. O moich gorących błaganiach i szalonej energii, z jaką jego dłonie i usta wędrowały po moim ciele. O tym, jak zostawił mnie leżącą na ziemi niczym stos potarganych łachów i odszedł, zataczając się, w mrok. Kiedy skończyłam, dostrzegłam w jej oczach podejrzliwość. I niedowierzanie. Miał rację, zrozumiałam z goryczą i zapragnęłam wyjść z tego pokoju, uciec przed jej wzrokiem. Nikt mi nie uwierzy, powiedział, i miał rację.

- Ammo, wszystko, co ci powiedziałam, jest prawdą - spróbowałam raz jeszcze.

- Zostałaś zgwałcona i nie pisnęłaś o tym ani słowa. Mężczyzna kradnie ci dziewictwo, a ty myślisz, że nic się nie zmieni... Chcesz, żebym w to uwierzyła?

Amma płakała. Amma awanturowała się. Amma wygłaszała patetyczne tyrady i bełkotała bez ładu i składu. Amma zemdląła. Amma zagroziła, że odbierze sobie życie. Amma robiła wszystko to, co ja powinnam była zrobić tamtej nocy, kiedy mnie zgwałcił.

- Powiedz mi, powiedz mi, ty szmato! Kto to naprawdę był? Myślisz, że jestem taka głupia, żeby uwierzyć, że Murugesan byłby do tego zdolny...

Ale nie miałam jej więcej nic do zaproponowania. Nie mogłam jej pocieszyć, mówiąc, że mężczyzna, którego ślad nosiłam w sobie, to ktoś z wioski. Ktoś, kogo starszyzna mogłaby zmusić, żeby się ze mną ożenił. Nawet wioskowa starszyzna nie ośmieli się wskazać palcem Murugesana, i to właśnie była prawda, przed którą tak broniła się Amma.

W rozpaczy Amma zwierzyła się Sudźacie Akce. - Co ja mam zrobić? Czy zechciałabyś z nią porozmawiać i dowiedzieć się, kogo ona osłania? To musi być ktoś nieodpowiedni, jakiś chrześcijanin albo muzułmanin.

Tak więc powtórzyłam na użytek Sudźaty Akki, co wydarzyło się tamtej nocy, kiedy zostałam zgwałcona. Wysłuchiwała mnie w milczeniu, nie przerywając ani razu, a potem zwróciła się do mojej matki. - Sądzę, że mówi prawdę. Murugesan to chytra bestia; kiedy na mnie patrzy, widzę w jego oczach samą żądzę. Więc co miałoby go od tego powstrzymać? Poza tym znakomicie zdawał sobie sprawę, że nikt jej nie uwierzy, i stało się właśnie tak, jak myślał. Nawet ty jej nie uwierzyłaś!

I wówczas rozplakałam się. Ammie również zaczęła drgać twarz, przyciągnęła mnie do siebie i też zalała się łzami. - Co my teraz zrobimy?

- Dlaczego to przed nami ukrywałaś? - zapytała Sudźata Akka. - Gdybyś tylko podniosła alarm i od razu zaczęła płakać, coś można było zrobić...

- Nie wiem. Nie myślałam o konsekwencjach. Jedyne, czego chciałam, to nie myśleć o tym więcej, bo wydawało mi się, że wtedy będę mogła żyć tak, jakby nic się nie wydarzyło - próbowałam tłumaczyć.

- Ale czy nie widzisz, że nikt nie uwierzy w twoją historię? Nie teraz. Gdybyś powiedziała mi tego samego wieczora, kiedy cię zgwałcił, poszłabym do Ćettiara i zażądała, żeby Murugesan się z tobą ożenił.

- Akko, nie chcę mieć nic wspólnego z tą sprośną świnia - powiedziałam. - Wolałabym umrzeć niż zostać jego żoną.

Amma gniewnie podniosła głowę. - Słyszysz ją? Widziałas podobną bezczelność? Jej reputacja, jej życie legło w gruzach, a ona w ogóle się tym nie przejmuje.

Jej spojrzenie paliło, jakby chciała spopielić mój upór, który jak sądziła, pozbawił mnie poczucia wstydu i instynktu samozachowawczego.

- Kto się teraz z tobą ożeni? Nie ma już dla ciebie życia, skończysz w rynsztoku, jak suka ze swoim miotem... Nic dobrego już cię nie czeka.

Zdawałam sobie z tego sprawę. Wiedziałam, że moje życie stanęło w miejscu. Ale nie chciałam, by on przywrócił mu bieg.

- Opuść dom, Ammo - powiedziałam. - Wyjadę, żeby nie okryć cię hańbą. Znajdę jakieś miejsce, gdzie nikt mnie nie rozpozna i odbiorę sobie życie - słowa płynęły z moich ust bez najmniejszego wysiłku z mojej strony. Słyszałam je setki razy, wypowiedane przez moje ulubione bohaterki filmowe.

- Co ty mówisz? - krzyknęła Amma, przerażona wizją wzdętego ciała córki, wyrzuconego przez falę na brzeg; dziecka bez twarzy, zmiażdżonego kołami pociągu. Rozplakałam się. Z żalu nad sobą samą, nad moją matką, zasługującą przecież na coś lepszego, nad katastrofą, w jaką zmieniło się nasze życie.

- Przestańcie - wtrąciła się Sudzata Akka, nie chcąc, by nasze jęki słychać było w całym domu. - Przestańcie się zadreczać. Znajdziemy jakieś wyjście.

Ale nawet Sudzata Akka nie mogła niczego zrobić, żeby naprawić tę sytuację. Na początku jej mąż nie chciał wierzyć, że to nie była moja wina. - Dziewczyna musiała go sprowokować, a teraz, kiedy jest w ciąży, wymyśliła historyjkę o gwałcie. Wszystko to bzdura, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Lecz kiedy zaczęła nalegać, wpadł w gniew i powiedział: - W porządku, wierzę ci. Murugesan ją zgwałcił. Tylko czy rozumiesz, o co mnie prosisz? Oczekujesz, że zerwę stosunki z bratem z powodu jakiejś służącej, choćby nie wiem ile dla ciebie znaczyła? Chcę, żebyś trzymała się z dala od tej całej sprawy... zrozumiałaś? Nie mieszej się w to. Niech same znajdą rozwiązanie.

I w końcu Sudzata Akka nic nie zrobiła. Wezwała moją matkę i wyjaśniła jej swoją bezradność. - Mój mąż nie zgadza się, żebym

poszła z tym do Ćettiara. Kazał mi się w to nie mieszać. Znam prawdę, ale co mogę zrobić?

Amma zaczęła płakać. Żadnych głośnych szlochów. Żadnego wykrzywania twarzy, tylko niepowstrzymany strumień słonej kłęski.

- Tylko nie zaczynaj znowu. Powiedziałam tylko, że nie możemy oskarżyć Murugesana. Ale są inne rzeczy, które możemy uczynić - powiedziała miękko Sudzata Akka. - Nikt o tym nie wie, z wyjątkiem mojego męża, a on nie puści pary z ust. Musisz wysłać ją dokądś, żeby usunęła ciężę. Kiedy wróci, pošlemy ją z powrotem do Weluru. Mówiła, że doktorki proponowały jej naukę zawodu. Niech tak będzie. Żaden mężczyzna

nie zechce poślubić dziewczyny, która straciła dziewictwo, a jeśli nawet utrzymamy to w tajemnicy, co będzie, jeśli odkryje to później? Porzuci ją. Ale jeśli będzie miała zawód, praca zastąpi jej męzowską opiekę.

Męzowską opiekę! Aż mnie skręciło w środku. Ani Sudżata Akka, ani moja matka nie mogły liczyć na opiekę męża. To Ćettiar dbał o zaspokojenie wszystkich potrzeb Sudżaty Akki. A Amma musiała sama o siebie się martwić. Mężczyźni w ich życiu nie robili nic, a mimo to w ich oczach kobietą spełnioną była tylko ta, która miała męża. Cała reszta miała drugorzędne znaczenie. Ale byłam wówczas młoda i moje myśli przypominały pajęczce nici, unoszone wiatrem. Byłam zbyt głupia, by je uchwycić i przemyśleć do końca, a zresztą nawet gdybym to zrobiła, puściłyby je mimo uszu, uznając za zwykłą bezczelność...

Periamma. Ciotka mojej matki była stara, nosiła wielkie złote kolczyki, obciążające płatki jej uszu prawie do samych ramion, i miała wiecznie czerwone wargi od nieustannego żucia liści betelu. Siwe włosy związała w ciasny węzeł na karku, a białe sari drapowała po dawnemu, naciągając na obwisłe piersi, tak że nie miało znaczenia, czy wkłada pod nie bluzkę, czy nie.

Periamma mieszkała w małej wiosce Arsikuppam, niedaleko Salem. Była wdową i wiodła samotne życie. Jej dwaj synowie służyli w wojsku i stacjonowali gdzieś na północy. Po czterech latach nieustannej suszy musieli porzucić swoją ziemię i znaleźć jakiś inny sposób zarabiania na życie. Dla młodych mężczyzn, posiadających tylko wykształcenie średnie, jedynym wyjściem było wojsko, gdzie dobrze rozwinięte mięśnie i chęć do ciężkiej pracy wystarczały, by zostać przyjętym. Córki Periammy powychodziły za mąż i wyniosły się z wioski. Amma zwróciła się do Periammy, bo nie miała nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić. Poza tym Periamma zawsze wiedziała, co trzeba zrobić.

Amma zawiozła mnie do Arsikuppam. Przyciszonym głosem wyjaśniała sytuację, podczas gdy ja siedziałam ze spuszczoneym z zakłopotania wzrokiem. Wszyscy oczekiwali ode mnie wstydu. Nie czułam wstydu; złość, upokorzenie, tak, ale nie wstyd...

Zauważyłam, że Periamma zerka ukradkiem w moją stronę. Spotkałam jej wzrok i zobaczyłam w nim współczucie. Czy może była to litość?

Periamma była zaradna i silna. Urodziła wiele dzieci. Periamma nie wierzyła w lekarzy i szpitale. Sama się wszystkim zajmie, powiedziała. Zresztą, zewnętrzny świat słynie z braku dyskrecji. Tysiąc języków i milion wersji tej samej historii - oto, co czekało tych, którzy szukali pomocy w zewnętrznym świecie.

Amma, uspokojona, pojechała z powrotem. Chłopcy byli sami w domu i gdyby za długo nie wracała, zaczęliby zastanawiać się, co się stało. Periamma zajmie się wszystkim, powiedziała Amma.

I Periamma zajęła się. Za pomocą plasterków złocistożółtej papai i prażonych ziaren sezamu obtoczonych w słodkim jak ulepek syropie z cukru palmowego. Za pomocą zielonych owoców drzewa chlebowego, gotowanych i przysmażanych z gorczycą i listkami curry. Za pomocą soku dzikiej rośliny, rosnącej w kępach.

- Popatrz na to - powiedziała Periamma, pokazując zielsko, które rosło wszędzie, w mojej wiosce i w jej, i na każdym skrawku ziemi „poromboke”. Nieszkodliwie wyglądająca roślina o mięsistych liściach i kiściach przypominających gwiazdki kwiatków barwy spłowiałego kleksa.

Periamma zerwała grubą gumowatą lodygę, z której wytrysnął mleczny płyn. - To wykończy czerwiał, dojrzewającego w twoim brzuchu - oznajmiła.

Codziennie czekałyśmy, żeby zaczęły się skurcze. Żeby wyciekła ze mnie nienawiść. Żeby ból zapuścił swoje oczyszczające korzenie. Czekaliśmy codziennie. Sześć tygodni później nadal byłam w ciąży.

- Co teraz zrobimy? - Amma zapytała podczas swojej kolejnej wizyty; niepokój pobruździł jej twarz, zmieniając ją w twarz starej kobiety.

- Urodzi się martwe. Żaden płód nie zdoła przetrwać tego wszystkiego i przeżyć - pocieszyła ją Periamma.

- Ale jeszcze żyje. Tyle przynajmniej wiemy. Może powinniśmy zabrać ją do szpitala, żeby tam usunęli jej ciążę.

- Odebrało ci rozum? Chcesz, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli?

- Jeśli dziecko urodzi się żywe, i tak wszyscy się o tym dowiedzą - powiedziałam zniecierpliwiona jej uporem.

- Jeśli dziecko urodzi się żywe, możecie zostawić je u mnie. Zaopiekuję się nim. Dotrzyma mi towarzystwa na starość. Ale zaufajcie mi, nie urodzi się żywe - powiedziała Periamma, wpychając do ust liście betelu i ucinając dalszą rozmowę.

Amma pojechała do domu, a ja wróciłam do czekania, żeby dziecko umarło.

Periamma nie przejmowała się, że ciąża zaczyna być widoczna. Od razu na początku powiedziała wszystkim, że jestem porzuconą żoną, którą mąż opuścił dla innej kobiety.

- Co jest prawdą - powiedziała, kiedy zauważyła moją minę. - Opuścił cię przecież?

- W ten sposób nikt nie będzie o tobie myślał źle - dodała.

- Ale czy nie mogłybyśmy powiedzieć tego samego w szpitalu? - spytałam. - Jestem dopiero w czwartym miesiącu.

- Mogłybyśmy, ale w szpitalu będą chcieli znać nazwiska i szczegóły. Twoje nazwisko. Nazwisko twojego męża. Twój adres. Twoich najbliższych krewnych. Chcesz, żeby wszyscy dowiedzieli się, kim jesteś? Zróbmy to po mojemu. W ten sposób nikomu nie stanie się krzywda - Periamma wachlowała się energicznie.

Upał wżerał się w naszą skórę i sączył przez pory. Był maj. Najgorętszy miesiąc roku. Upał wysuszył ziemię i zatrzymał wiatr. - To najgorsze lato, jakie pamiętam - mówiła Periamma, kiedy polewałam podłogi wodą, łudzając się, że to ochłodzi pokoje. - Może upał dokona tego, czego nie zdołały dokonać inne środki - powiedziała.

Miesiąc później poddałyśmy się. Dziecko nadal żyło w moim brzuchu. Co dalej, zastanawiałam się.

Przycisnęłam dłoń do brzucha. Odejdź. Zostaw mnie. Nie chcę cię, powtarzałam temu mojemu dziecku. Stworzenie wierzgnęło. Mój brzuch zafalował lekko. Umrzyj, umrzyj, modliłam się.

Urodziłam o miesiąc za wcześnie. Zaczęły się bóle, dwie żelazne pięści, które wypełzły z mojego krzyża i rozpychały miednicę, próbując ją rozerwać, gdy tymczasem ogromna stopa naciskała na moje wnętrzości, gniotąc, pchając, aż zagryzałam policzki, by zdławić ból... Periamma zwęziła oczy i pokręciła głową, robiąc mądrą minę. - Mówiłam ci - powiedziała. - Urodzi się martwe.

Periamma stała w pogotowiu, kiedy potężnym pchnięciem wyrzuciłam je z siebie. Poprzez ból i poprzez ulgę, że to już kres bólu, usłyszałam płacz. Zdrowy lament.

Poprzez mgłę dostrzegłam radość w oczach Periammy i rozumiałam, że od początku to sobie zaplanowała. A więc te wszystkie lekarstwa, które Periamma warzyła, by na powrót poskładać do kupy moje życie, były zwykłym oszustwem. Zarówno te mniej niebezpieczne, które rzeczywiście zastosowała, i te potężniejsze, które udawała, że stosuje.

- Dlaczego? Dlaczego? - krzyknęłam.

Tuląc dziecko do piersi, powiedziała: - Nie prosiło, by je powołać do życia, ale skoro już jest, kim jesteśmy, by udawać Boga i mu je odebrać?

Widok własnego dziecka; doznanie trzymania go w ramionach - Periamma myślała, że to wszystko obudzi we mnie chęć jego posiadania. Ale za słabo mnie znała, nie rozumiała siły mojej nienawiści.

- Przystaw dziecko do piersi. Pozwól mu ssać. W ten sposób nawiążesz z nim więź, mimo że pępownina jest już przecięta - powiedziała Periamma, podsuwając mi dziecko.

Odwróciłam się do nich plecami. - Nie - powiedziałam. - Mówiłam ci, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Ciągle jeszcze nie jest za późno. Wepchnij mu do gardła ziarenko ryżu. Skręć mu kark. Zabij je.

Periamma przycisnęła dziecko do piersi i wlepiła we mnie wzrok, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. - Jesteś złą dziewczyną i nie zasługujesz na niego - powiedziała, odchodząc.

Patrzyłam w sufit, czując łzy wzbierające w kąciakach oczu i spływające we włosy. Dlaczego nikt nie rozumie, co się ze mną dzieje?

Przyjechała Amma. Amma będzie miała więcej poczucia rzeczywistości. Powiem Ammie, że powinnyśmy zostawić dziecko u Periammy. W końcu ofiarowała się, że je zatrzyma, jeśli urodzi się żywe.

- Weźcie je ze sobą - powiedziała Periamma. - Z czasem nauczy się je kochać. Pewnego dnia, kiedy ciebie zabraknie i nie będzie miała nikogo swojego na świecie, on będzie razem z nią...

- Ammo, nie chcę go. Powinnaś była zabrać mnie do szpitala, żebym tam usunęła ciążę. To wszystko jej wina. Oszukała nas - powiedziałam, wskazując palcem Periammę. Usłyszałam, że Ammę aż zatkało ze zdumienia. Nikt tak się nie zachowywał w stosunku do starszych. Nie wytykał palcem, dosłownie ani w przenośni.

- Wiedziała, że dziecko urodzi się żywe, ale wmawiała nam, że o wszystko zadbała. Niech je zatrzyma. Albo odda, jak będzie chciała. Nie chcę go oglądać.

Nic z tego, co mówiłam, nie dotarło do Ammy. Periamma wiedziała, jak ją przekonać, postanowiły więc powiedzieć wszystkim, że to dziecko krewnych. Sierota, której rodzice zginęli w wypadku i która nie miała na świecie nikogo, oprócz Ammy.

Patrzyłam, jak go pieszczą. Dla nich był dzieckiem, które należy kochać i hołubić. Dla nich był bez winy. Dla nich był moją podporą na przyszłość.

A co z teraźniejszością? Moje życie... Jak mam zapomnieć o tym, co się wydarzyło, jeśli będzie rósł przed moimi oczyma, żywe przypomnienie tego, co stało się z moim życiem...

Wróciłam do Weluru. Służącej, która mnie zastępowała, znaleziono inną pracę, a ja objęłam moją dawną posadę, jakby nic się nie zmieniło. Czekałam, żeby doktorki poruszyły temat mojej nauki. Daremnie.

Życie doktorek również uległo zmianie. Missy Vi nie wyglądała na zbytnio szczęśliwą i wyczuwałam między nimi jakieś napięcie. W niektóre noce zamykała się w swojej sypialni na klucz i Missy Kej pukała ci-chutko, powtarzając: - Viv, to ja. Viv, otwórz drzwi...

Ale Missy Vi albo udawała, że śpi, albo spała naprawdę. Missy Kej wracała do swojego pokoju i czasami czułam na sobie jej przelotne spojrzenie. Teraz wiedziałam, czego od siebie potrzebują: kochania - ust, palców, wygiętych w łuk stóp, skręcających się języków...

Myślałam o potworze, który wziął mnie siłą w mangowym sadzie i mówiłam sobie, że to, co robią te kobiety, nie jest złe. Nic nie mogło być gorsze od tego, co mnie spotkało. Nie ma nic gorszego od mężczyzny gwałcącego kobietę.

Miałam wtedy dziewiętnaście lat. Moje marzenia obróciły się w popiół, a w ustach trwał smak goryczy, zabijający wszystkie inne smaki. Moje oczy zasłaniały klapki żalu nad samą sobą, odciskającego swoje piętno na wszystkim, co robiłam. Na tym, jak szłam, na tym, jak mówiłam, na mojej twarzy...

Moimi nocami zawładnęły przerażające sny. Niemal co noc budziłam się z krzykiem. Missy Vi dała mi jakieś tabletki. - Zażywaj je po jednej co wieczór przed snem - powiedziała.

Nie spodobało to się Missy Kej. - Przyzwyczajasz ją do czegoś, bez czego nie będzie już mogła spać.

- Nie bądź taka świętoszkowata - odgryzła się Missy Vi. Wiem, co robię. Ona potrzebuje pomocy. Nie słyszałaś, jak krzyczy w nocy? Uważasz, że to normalne?

- Nie przeczę, że potrzebuje pomocy. Tylko że to - powiedziała Missy Kej, wskazując małe białe tabletki - to nie jest żadna pomoc. To spowoduje znacznie więcej kłopotów, niż ci się wydaje.

Nie obchodziło mnie, co mówi czy myśli Missy Kej. Co wieczór brałam jedną tabletkę i spałam jak zabita. Nie dręczyły mnie żadne sny; nic nie miało do mnie dostępu. Rano budziłam się ociężała, z nogami i rękami jak z ołowiu. Przez cały dzień ciążyły mi powieki i nie opuszczała senność. Marzyłam tylko o tym, żeby się położyć i zasnąć. Może właśnie dlatego nie dostrzegłam sygnałów, że w naszym domu dzieje się coś złego.

Missy Vi wracała do Anglii, ku wielkiemu zmartwieniu Missy Kej. Wysłuchiwałam ich nieustannych kłótni; Missy Kej wychodziła z kamienną twarzą, trzaskając drzwiami, a Missy Vi siedziała w swoim pokoju, drąc jakieś papiery.

Periaswamy zniknął i nawet doktorki nie wiedziały, co się z nim stało. Ogród zdziczał i zarósł, więc czekając na jego powrót, pielilałam, podlewałam i próbowałam go zastąpić.

- Missy Kej, trzeba zająć się różami - powiedziałam pewnego dnia.

Wstała z krzesła i wyszła do ogrodu, zabierając ze sobą sekator. Zaczęła spokojnie wycinać krzaki, aż zostały z nich tylko kikuty sterczące z ziemi nie więcej niż na sześć cali. Wtedy wzięła motykę i przekopała grządkę, zostawiając powalone róże z odsłoniętymi, drżącymi korzeniami...

- Kate, co cię ugryzło? - zawołała przez okno Missy Vi.

- Ty - odpowiedziała. - Zasadziłam je dla ciebie. Nie chcę, żeby przypominały mi o tobie.

Missy Vi odwróciła się od okna. Doprowadziwszy gazon do stanu nieodwracalnej ruiny, Missy Kej wróciła do domu.

Kilka miesięcy po wyjeździe Missy Vi, Missy Kej zawołała mnie do siebie i powiedziała: - Mari, opuszczam Welur. Jadę do Bangaluru pracować w tamtejszym szpitalu. Chcesz, żebym znalazła ci inną pracę tutaj, w Welurze?

- Missy Kej, a co z moją nauką? Liczyłam na to, że mnie pani poleci.

Missy Kej popatrzyła w podłogę i wykonała skomplikowany gest. Ach, to, zdawał się mówić. Westchnęła. - Nie będę mogła ci w tym pomóc. Nie sądzę, żebyś się do tego nadawała.

- Dlaczego? Bo jestem niezamężną matką?

- Zmieniłaś się, Mari. Z początku, kiedy zaczęłaś tu pracować, sądziłam, że jesteś stworzona do tego zawodu. Miałaś w sobie tyle radości; chęci dogodzenia. Bił od ciebie jakiś blask i wydawało mi się, że zdołasz wnieść trochę światła w te okropne szpitalne sale. Ale teraz już nie. Praca salowej jest ciężka i niewdzięczna. Musisz być w zgodzie sama ze sobą, żeby móc ją dobrze wykonywać. A przede wszystkim musisz mieć w sobie współczucie. A ty... - Twarz Missy Kej pobladła z wysiłku, jakiego wymagało od niej wypowiedzenie tych nienawistnych słów.

- Pani zdaniem to moja wina, że tak się zmieniłam?

- Nie, ale...

- Nie wszyscy, którzy pracują w szpitalu, są mili i szlachetni - burknęłam.

- Wiem o tym. Współczucie to bardzo niedocenia cnota, Mari, ale bez współczucia nie ma mowy o leczeniu. Próbowałam wmówić sobie, że to tylko faza przejściowa. Że pewnego dnia staniesz się znowu taka, jak byłaś; że weźmiesz do siebie swojego syna i uznasz go za własne dziecko. Przez cały ten czas czekałam, żebyś opowiedziała mi o nim. Myślałam, że będziesz chciała pojechać go odwiedzić. Ale widzę jedynie kobietę, która udaje, że w jej życiu nic się nie zmieniło. Jak mogłabym przymknąć oko na to, jaka teraz jesteś? Co się z tobą stało, Mari?

Skrzywiłam się. Co się ze mną stało? Spytaj Boga. Spytaj Brahme, który pisze moje przeznaczenie.

Jestem wyćwiczona w rozpacz. Rozpacz przychodziła nam łatwo, mojej matce i mnie. Przyjmowałyśmy ją, bo mówiłyśmy sobie, że wymierzane nam jest tylko to, na co zasłużyłyśmy. Ale Amma postawiła granicę, ile rozpacz może przyjąć. To ja nie potrafiłam zbudować sobie żadnej obrony. Czasami myślę, że tak bardzo przyzwyczaiałam się do rozpacz, że nawet gdy spłoszona próbowała się ode mnie odsunąć, przyzywałam ją z powrotem. A kiedy zbliżała się, zamiast wsadzić głowę pod kosh i schować się przed nią witałam ją z szeroko otwartymi ramionami...

Po śmierci Ćettiara rodzina rozpadła się. Radżendran Anna przeniósł się do Kanćipuram, a Ranganathan Anna został w Madrasie. Sridhar Anna i Sudżata Akka odziedziczyli Ćettiar Kottaji. Z jego wieżyczkami, długimi korytarzami, skrzypiącymi drzwiami, bezdennymi studniami i wariatką w zachodnim skrzydle.

- Gdyby tylko można było uwolnić ją od tej choroby - lamentowała Sudżata Akka. Wiedziałam, że myśli: gdyby tylko umarła.

- Owszem, jest już stara, ale z wiekiem jej demony stały się jeszcze trudniejsze do okiełzania. Wadiwu nie daje już sobie z nią rady. Mówi, że chce odejść. Co ja zrobię? Nie mogę jej zamknąć w zakładzie dla umysłowo chorych. Musimy się nią opiekować, a do tego potrzebny nam jest ktoś młody i silny. - Sudżata Akka zajrzała mi w oczy. - Wrócisz do nas, Marikkolundu?

Skinęłam głową. Nie chciałam mieszkać w domu, razem z dzieckiem. Nie chciałam oglądać pogardy w oczach moich braci - ani wysłuchiwać ich obłudnych uwag. Odkąd moi bracia zaczęli zarabiać, matka zrezygnowała z pracy, poświęcając cały swój czas wychowaniu dziecka. Jeśli wrócę do domu, Amma będzie ocze-

kiwać, że przejmę jej obowiązki względem chłopca. Amma nie rozstawała się z nadzieją, że w końcu go zaakceptuje.

Patrzyłam na swoje stopy. Missy Kej miała rację, pomyślałam. Musiałam sprawiać wrażenie surowej i bezkompromisowej; niezdolnej do współczucia i łagodności; idealnej opiekunki dla starej wariatki.

- Będziesz musiała zamieszkać u nas. Ktoś musi przez cały czas mieć ją na oku - dodała Sudżata Akka.

Amma była na mnie wściekła. Trzepnęła otwartą dłońią w czoło i wyszczała: - Dlaczego nie mogłaś zostać w Welurze? Lepiej już pracować czyjąś brudną bielizną niż doglądać wariatki, nawet jeśli nie ma przy tym za wiele roboty. Ona jest niebezpieczna, nie rozumiesz tego?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie boję się jej. I płacę dobrze.

Amma spojrzała na mnie uważnie. - Daj spokój, przyznaj po prostu, że chcesz być blisko Muthu. Dlatego przyjąłeś tę pracę. Czy nie mam racji?

Amma nie chciała dać za wygraną. Myślała, że pewnego dnia nauczę się kochać to dziecko, którego sam widok wystarczył, żebym poczuła się chora. Nazwała go Muthu, swoją drogocenną perełką. Ja mówiłam o nim „to”. Ale Amma nie rozstawała się z nadzieją.

- Proszę, Ammo - powiedziałam, podnosząc się z podłogi, na której siedzieliśmy. - To nie ma z „tym” nic wspólnego. Czasami wydaje mi się, że sama niedługo zwariuję, więc może przebywając całymi dniami z wariatką nauczę się, jak trzymać w ryzach własne szaleństwo.

Amma zapadła się w siebie. Uniosła oczy do nieba i mruknęła:

- Kiedy okażesz mi wreszcie odrobinę litości?

Następne lata upłynęły we mgle wspomaganej tabletkami przepisanyymi przez Missy Vi. Zwiększyłam dawkę do dwóch dziennie i dzięki temu mogłam odsunąć na odległość ramienia to, co działo się wokół.

Każdy kolejny dzień do złudzenia przypominał poprzedni. Nie było żadnych niespodzianek. Żadnych wydarzeń, które wytrząsnęłyby mnie z podobnego do transu stanu, w którym przebywałam. Niekiedy przypominający grubą zasłonę tuman, spowijający mój umysł, rozdzielał się na chwilę, pozwalając mi dostrzec upływ czasu na twarzach moich braci. Widziałam, że się ożenili. Że ich wąsy drgały z oburzenia, kiedy wchodziłam do ich domu. Że nie życzyli sobie, aby ich żony miały ze mną cokolwiek wspólnego. Widziałam zmiany pór roku. Dowiedziałam się, że dziecko zaczęło chodzić do wiejskiej szkoły. Kiedy moja matka zaczęła chodzić przygarbiona do ziemi i narzekać na wieczne bóle w krzyżu, zobaczyłam, że wiek nie oszczędza nikogo. Ale wystarczyło zamrużyć oczami, żebym powróciła tam, skąd przyszłam. Z cichego szarego świata, gdzie nic nigdy się nie zmieniało i zawsze wiedziałam, kim jestem. Opiekunką starej wariatki.

Co dzień rano budziłam Ćettiar Ammę i nakłaniałam ją, żeby weszła do łazienki. W niektóre dni spokojnie myła zęby. W inne odmawiała albo robiła to z takim nieustępliwym zacięciem, że bałam się, żeby nie wypadło jej tych kilka zębów, które jej jeszcze pozostały. Potem ją kapałam. Należało wylać jej na głowę dzieśnięć wiader zimnej wody; żeby ochłodzić organizm, jak powiedział leczący ją zielarz. Następnie wycierałam ją i pomagałam ubrać się. Sudżata Akka zdecydowała, że sari są niepraktyczne i Ćettiar Amma, która przez całe życie nosiła wyłącznie najdelikatniejsze jedwabie i bawełny, ubierała się teraz jak stara Anglo-Hinduska, w zgrzebne szare suknie.

W niektóre dni Ćettiar Amma była nieśmiała i dziewczęca; domagała się, żeby jej wpleść kwiaty we włosy, obcięte na wysokości uszu. W inne odmawiała włożenia na siebie czegokolwiek i paradowała nago. Niemowlę o obwisłych piersiach, pofałdowanym brzuchu i pomarszczonym tyłku; pełzała na czworakach, bawiła się własnymi fekaliami i pluła mi w twarz, kiedy próbowałam ją nakarmić. Pozwalałam jej być, kimkolwiek akurat chciała.

Nie różniłyśmy się od siebie tak bardzo. Uciekała w szaleństwo od długiego żelaznego łańcucha, który przykuwał ją do jej świata. Ja zaś od dziecka, dorastającego w domu mojej matki.

Pewnego dżdżystego październikowego popołudnia Ćettiar Amma uciekła wreszcie na zawsze od swojego szaleństwa i od łańcucha.

Kiedy skończyłam sprzątać zachodnie skrzydło, przyszedłam do Sudżaty Akki. - Co mam teraz robić? - spytałam.

- Nie odchodź. Chcę, żebyś została. Znajdę ci coś do roboty - powiedziała.

- Nie zastąpię mojej matki w twojej kuchni. Nie będę następną Rukmini Akką. Nie będę zamiatać dziedźca ani sprzątać po krowach. A teraz, kiedy Prabhu-papa jest w szkole z internatem, nie potrzebuje już aji. Więc co zostało dla mnie do roboty? - spytałam.

Sudżata Akka patrzyła na mnie w zamyśleniu. Czułam, że nie chce pozwolić mi odejść. Pod wieloma względami stanowiłam jedyne ogniwo łączące ją z przeszłością. Z czasami, kiedy nie musiała nic robić, wystarczyło, że była synową w domu Ćettiara i nikt niczego więcej od niej nie oczekiwał. - Będiesz moją zastępczynią, moimi oczami i uszami. Twoje ręce sięgną tam, gdzie nie sięgają moje. Twoje stopy dotrą tam, gdzie moje nie mają dostępu. Rozumiesz?

Patrzyłam na nią, nie wierząc własnym uszom. Czyżby miała na myśli to, co mi się wydawało? Chciała, żebym zajęła jej miejsce. Chciała, żebym ją zastąpiła.

- Jesteś pewna? - zapytałam. Patrzyła na mnie przez dłuższą chwilę, aż wreszcie powiedziała: - Tak.

Kiwnęłam głową na znak, że się zgadzam.

Ammie to się nie spodobało. Wiedziałam, że tak będzie. - Kim ona myśli, że jest? Królową? Co to ma być za praca? Jaka normalna kobieta oddałaby swój dom do prowadzenia innej? Jej zastępczyni! - prychnęła Amma. - Jeśli mnie kto pyta, to tylko wybieg, żeby zrobić cię kimś, bez kogo nie będzie można się obejść... co to ma być? Wszystko to smutnie się skończy.

Amma otarła twarz, równocześnie zmieniając ton. Zagadnęła ze słodyczą w głosie: - Nie chcesz zobaczyć Muthu? Zaraz wróci ze szkoły. Świetnie się uczy i nauczycielka mówi, że kiedy przyjdzie pora, powinniśmy wysłać go do dobrej szkoły w Kanćipuram.

- Nie - powiedziałam. - Nie chcę go widzieć. Jeśli chodzi o mnie, moje obowiązki ograniczają się do łożenia pieniędzy na jego utrzymanie. Nie oczekuj ode mnie niczego więcej.

- Ale to wbrew naturze! - wybuchnęła Amma. - To twój syn, choćbyś nie wiem ile razy go się wyparła. Wściekam się, kiedy widzę cię z wnukiem Ćettiara. Jak możesz kochać cudze dziecko, zamiast własnego?

Wyszedłam. Musiałam wrócić do pracy. Do bycia oczyma, uszami, stopami innej kobiety. Amma może zatrzymać dla siebie swoje rady i swojego Muthu. Mnie były zupełnie niepotrzebne.

Moje życie toczyło się tak, jak to sobie postanowiłam. Dalej sypiałam w zachodnim skrzydle. Wolałam odosobnienie od gwaru głównej części domu. Moje dni nie miały ustalonego porządku; robiłam wszystko, czego Sudżata Akka ode mnie zażądała. Nie czułam się nieszczęśliwa. Co wieczór tabletki zmiatały mnie do czarnej dziury, gdzie tkwiłam skulona, dopóki nie wymiótł mnie z niej nowy dzień.

...Rok później odkryłam, jak cienkie były ściany tego cichego zadowolenia. Rok później wpadłam w kipiący wir uczuć.

Nie nudzę pani? Naprawdę chce pani, żebym mówiła dalej? Jeśli tak, muszę panią uprzedzić, że nie spodoba się pani to, co teraz pani usłyszysz.

Nie jest mi wstyd. Nie jest mi żal. Nie dręczą mnie wyrzuty sumienia. Zrobiłam to, co wydawało mi się konieczne. Jeśli w ogóle porusza mnie jeszcze jakieś uczucie, to jest nim złość. Że tak nisko siebie ceniłam...

Sudżata Akka miała trzydzieści siedem lat. Znałam ją od siedemnastu. Z czego wynika, że jej małżeństwo trwało już co najmniej dziewiętnaście lat. Ale miała tylko jedno dziecko. Jak wszyscy, zastanawiałam się dlaczego. Aż do dnia, kiedy pozwoliła mi czytać w swoich oczach i przypominałam sobie doktorki z Weluru.

Codziennie po południu Sudżata Akka i ja oglądałyśmy razem telewizję. Na dachu była antena satelitarna, umożliwiająca odbiór siedmiu kanałów. Czułam się, jakbym miała swoje własne prywatne kino.

Pierwszy telewizor pojawił się w domu Ćettiara wiele lat temu. Ale stał w westybulu i włączano go tylko trzy razy w tygodniu. Na niedzielny film, program z piosenkami z filmów w piątek wieczorem i jeszcze jeden program w środę.

Ale kiedy po śmierci Ćettiara Sudżata Akka została nową Ćettiar Ammą, wszystko pozmieniała. Stare ciężkie meble zostały zastąpione nowymi; w oknach zawisły zasłony, a stary odbiornik telewizyjny wymieniono na nowy.

Sudżata Akka ustawiła go w westybulu na piętrze i oglądała telewizję, kiedy tylko przyszła jej ochota, pozwalając mi oglądać razem z sobą.

Zmniejszyłam dawkę tabletek na sen. Nie musiałam już otumaniać się w ciągu dnia. Moje myśli zajmowała telewizja. Potrzebowałam tylko snu w nocy. Zaczęłam przybierać na wadze, ciemne obwódki wokół moich oczu zniknęły. Nie wiem, co myślała o mnie reszta służby, ale było mi to obojętne. Nie bratałam się z nimi. Jak siedemnaście lat temu, kiedy po raz pierwszy pojawiłam się w tym domu, mój świat obracał się wokół Sudżaty Akki, i niczego więcej nie było mi trzeba.

Kiedy koło drugiej po południu Sudżata Akka robiła się senna, wiedziałam, co mam zrobić. Szłam do sypialni, zaciągałam zasłony, włączałam wentylator i odwijalam kapę na łóżku, tak że pozostawało jej tylko się położyć. Gdy zasnęła, ściszałam głos w telewizorze i oglądałam film. Budziłam ją kwadrans po czwartej; brała kąpiel i przebierała się w czyste sari, które dla niej przygotowałam. Sudżata Akka nie była już tą piękną o świeżej twarzy, którą zobaczyłam, kiedy zaczęłam pracować w domu Ćettiara, ale nadal była bardzo piękna.

Pewnego popołudnia, kiedy przygotowywałam dla niej sypialnię, powiedziała: - Przynies matę i połóż się obok. Porozmawiajmy trochę.

Sudżata Akka czuła się samotna. Wiedziałam o tym. Sridhar Anna był wiecznie zajęty pracą albo w podróży, a Prabhu-papa został wysłany do szkoły z internatem w Ooty. Nie miała nawet z kim porozmawiać. Zdawała sobie sprawę, że jeśli zaprzyjaźni się z inną kobietą, ta zaraz będzie chciała ją wykorzystać i szybko

zacznie wysuwać kolejne żądania. Nie miała nikogo oprócz mnie. Nie przeszkadzało mi, że zbliżyła się do mnie tylko dlatego, że nie miała wyboru.

Pewnego popołudnia, leżąc na boku twarzą do mnie, poprosiła drżącym głosem: - Opowiedz mi jeszcze raz o doktorkach. Powiedz, co widziałaś.

Milczałam przez chwilę, a potem zaczęłam opowiadać o dziwnej miłości, które je łączyła, i o tym, jak zdawały się nie potrzebować nikogo innego oprócz siebie. I o radości, którą dawały im ich ciała.

Sudżata Akka wbiła wzrok w sufit i zapytała: - Zastanawiałaś się kiedyś, jak to jest być z mężczyzną?

- Byłam z mężczyzną. Dlatego właśnie znalazłam się tutaj, a w domu mojej matki rośnie dziecko.

- Nie o to mi chodzi. We wszystkich tych filmach, które oglądamy, robią tyle zamieszania z powodu miłości. Wszystkie te dialogi, piosenki, gdyby tylko bohaterki wiedziały, co przychodzi potem.

- A co przychodzi potem? - Obróciłam się na bok, żeby widzieć jej twarz.

- Potem przychodzi odraza. Kiedy mnie dotyka, czuję, jakby po mojej skórze pełzała jaszczurka. Ale zamykam oczy i pozwalam mu na wszystko, czego chce. Wiem, że chadza do innych kobiet, ale jeśli przestanę mu pozwalać na to od czasu do czasu, znajdzie sobie kochankę, jak jego ojciec, i będzie się z nią prowadził pod moim nosem. Co wieczór, kiedy leżę w łóżku, czekam na jego dotyk. Dopiero kiedy odwróci się na bok i zaśnie, sama mogę zasnąć. Marikkolundu, boję się, że coś ze mną jest nie tak. Co będzie, jeśli zwariuję jak jego matka? Może to właśnie odraza do fizycznej strony małżeństwa doprowadziła ją do szaleństwa? Może to jakaś klątwa, ciążyąca nad tym domem?

- Sudżata Akka - powiedziałam, siadając przy jej łóżku - nie bądź niemądra. Wszystko jest z tobą w porządku.

Położyłam dłoń na jej brzuchu. - Czujesz się teraz, jakby pełzała po tobie jaszczurka?

- Nie, ale...

I wtedy nasze oczy spotkały się, i zobaczyłam w jej oczach głód. I wielki smutek. Niezaspokojone pożądanie. Pragnienie... Pomyślałam o oczach Missy Kej śledzących Missy Vi. Zaczęłam pojmować, że Sudżatę Akkę wypełnia to samo pragnienie, które kazało Missy Kej szukać Missy Vi. Tylko gdzie miała znaleźć kogoś takiego, jak Missy Vi?

Odtąd w naszych popołudniowych rozmowach powracałyśmy niezmiennie do tego samego tematu i nabrałam pewności, że to nie dotyk w ogóle budzi odrazę Sudżaty Akki, lecz dotyk mężczyzny. Czy ja jestem taka sama?, zastanawiałam się.

Nie wiedziałam. To było tak, jakbym zredukowała zdolność doznawania do skóry głowy, tak że ożywałam jedynie wtedy, kiedy ktoś przeczesywał palcami moje włosy. Więc kiedy pewnego popołudnia Sudżata Akka wsunęła palce w me włosy, poczułam, jak powoli rozwijają się we mnie doznania.

Nie wiedziałam, co robię. Wiedziałałam tylko, że to przyszło do mnie spontanicznie, że nagle wiem, jak wymazać z jej oczu ból, zaspokoić pragnienia... Grzbietem dłoni pieściłam bok jej piersi. Drugą ręką obróciłam ją na brzuch i bardzo delikatnie przesunęłam palcami wzdłuż jej kręgosłupa...

Jej głos wyszedł na spotkanie mojemu dotykowi. - Masz takie czarodziejskie palce.

Zwiększyłam minimalnie nacisk i poczułam, jak wije się pod moimi palcami. - Lubię, kiedy mnie dotykasz - powiedziała, a ja wiedziałam, że to wszystko, co kiedykolwiek od niej usłyszę o tym, jak się ze mną czuje.

Jak łatwo jest sprawić rozkosz kobiecie. Tak niewiele żąda, prosi tylko, by okazać jej, że jest godna pożądania; umizgać się do niej zapamiętale i kochać delikatnie. Moimi palcami i ustami, moimi oczyma i duszą zwilżałam to spieczone ciało; zraszałam tysiącem kropli zmysłowej przyjemności, które spijała łapczywie, jak ktoś, kto był przez całe życie skazany na pustynię i utracił już nadzieję, że kiedykolwiek napotka oazę.

Ujmowałam w dłonie, pieściłam i kreśliłam kontury. Lizałam, brałam do ust i delikatnie gryzłam. Sutki rozkwitały w drogocenne granaty. Język muskał włosy. Policzek przy policzku. Jej włosy zwinięte w jeden lok z moimi. Zmieszane oddechy.

Przesuwała palcami po wnętrzu mojej dłoni. To było wszystko, co dla mnie robiła. To ja starałam się dać jej rozkosz i jej rozkosz była dla mnie nagrodą. I na tym koniec. Ale nie przeszkadzało mi to. Od tak dawna kochałam ją moim sercem; wydawało się naturalne, że teraz kocham ją moim ciałem; moimi zniweczonymi marzeniami i niespełnionymi pragnieniami.

Nigdy nie mówiłyśmy o tym. O tym, co nagle między nami wybuchło. Ale codziennie po południu, kiedy dom pogrążał się we śnie, wymyślałam nowe sposoby drażnienia jej zmysłów. Zaspokajania pragnień. Zmuszania, by krzyknęła cicho: - Już dość, już dość.

Nic się między nami nie zmieniło. W naszej relacji nie było zresztą miejsca na żadną zmianę. Byłam szczęśliwa, będąc tym, czym dla niej byłam, i nie pragnęłam niczego więcej. Cała moja zdolność kochania i dawania znalazła ujście w Sudźacie Akce.

Więc właśnie po to, by chronić jej szczęście, jej pozycję w domu, jej kontrolę nad Sridharem Anna, oddałam swoje ciało Sridharowi Anna.

Dopóki to ja zaspokajam jego głód, nie będzie szukał innej kobiety. Dopóki ja jestem pod ręką, nie będzie podczas swojej obecności w domu zawracał głowy Sudźacie Akce. Dopóki to jestem ja, nie będę go prosić o nic więcej niż to, co już mam. Byłam siostrą prawdziwej rzeczy i nie pragnęłam niczego więcej.

Jak łatwo jest doprowadzić mężczyznę do swojego łóżka. Trudniej może go tam zatrzymać. Nie wiedziałam, kim mam przy nim być: naiwnym dziewczęciem czy bezwstydną ladacnicą. Byłam więc jednym i drugim, a jemu najwyraźniej to się podobało. Muszę jednak przyznać, że z chwil jego ekstazy udało mi się zaczerpnąć trochę dla siebie. Nie szukałam tego, więc kiedy przyszło, przyjmowałam to jak owoc, strącony przez wiatr pod moje stopy.

Czasami myślałam o ironii tego wszystkiego i uśmiechałam się. W dzień zbierałam z Sudźatą Akką konwalie nad wielkim jeziorem, gdzie żerowały czaple i lekki wietrzyk poruszał sitowiem.

A w nocy Sridhar Anna spychał mnie do wnętrza ziemi, gdzie moje stopy grzęzły w płynnej lawie, a ja przeżyłam się, dyszałam i płonęłam w jego miażdżącym uścisku.

Żadne z nich mnie nie kochało. Potrzebowali mnie jednak. Kto nie może mieć miłości, musi zadowolić się tym, że ktoś go potrzebuje. Czymże jest miłość, jak nie zamaskowaną potrzebą?

Kiedy umarła moja matka, moje zaczarowane życie rozprysło się na kawałki. Po pogrzebie bracia powiedzieli: - Akka, pora, żebyś zabrała Muthu. Przez wszystkie te lata uchylałaś się od tego, co było twoim

obowiązkiem. Amma pozwalała ci na to. Ale my nie zamierzamy brać na siebie odpowiedzialności za dziecko. Co innego, gdybyś nie żyła albo nie miała pracy.

Wysłuchałam ich w milczeniu. Należeli do bractwa ludzi cieszących się powszechnym poważaniem. Ja byłam kobietą spoza ich świata, która wstąpiła na ścieżkę hańby. Bez względu na to, jak mocno starałam się o tym zapomnieć, oni widzieli tylko to, co chcieli widzieć. W tym domu nie miałam już swojego miejsca ani żadnych praw.

- Potrzymajcie go jeszcze przez kilka dni - powiedziałam. - Muszę wszystko zorganizować. Muszę powiedzieć o tym Sudźacie Akce.

Co miałam z nim zrobić? Czy Sudźata Akka zgodzi się, żeby zamieszkał ze mną? Od pewnego czasu zauważyłam, że ma mi za złe każdą chwilę poświęconą czemukolwiek albo komukolwiek innemu. Nie lubiła nawet, żebym oglądała bez niej telewizję. Zostawiała mi tylko moje noce. Sridhar Anna, nieważne jak długo był ze mną, zawsze spał w jej łóżku i u jej boku.

Ale kiedy wróciłam do Ćettiar Kottaji, odkryłam, że moje życie znowu popruło się w szwach.

Sudźata Akka była zimna i nieprzystępna. Po południu, kiedy przyszedłam do jej sypialni, zastałam drzwi zamknięte na klucz. Czyżby gniewała się, że tak długo mnie nie było?

Westchnęłam. Nic na to nie mogłam poradzić. Sudźata Akka zachowywała się czasem niemądrze. Zaczęłam układać w głowie słowa przeprosin, przesłania miłości. Kiedy jej wytłumaczę, na powrót stanie się moją ukochaną Sudźata Akką.

Wróciłam do mojego pokoju i czekałam. Niedługo do mnie przyjdzie. Wieczorem, tak jak przewidywałam, Sudźata Akka wmaszerowała do zachodniego skrzydła. - Chcę, żebyś się natychmiast spakowała i wyprowadziła - powiedziała.

- Co ty mówisz? - zapytałam, nagle wystraszona drżeniem jej nozdrzy, gniewem w oczach, pogardą w głosie.

- Jak mogłaś mi to zrobić? - zapytała. - Jak mogłaś ukraść mi mojego męża? Myślałaś, że nigdy się o tym nie dowiem? I nie dowiedziałabym się, ufna idiotka... gdybym nie przyszła tu wczoraj, żeby przygotować ten pokój na twój powrót. Pomyślałam sobie: tak długo stał zamknięty, trzeba go posprzątać i przygotować dla Marikkolundu... Znalazłam tu jego rzeczy. I nagle zrozumiałam, dlaczego od pewnego czasu dał mi spokój. Ma ciebie, swoją dziwkę, pod moim własnym dachem, oto dlaczego. Jak mogłaś zapomnieć o wszystkim, co dla ciebie zrobiłam? Odplącałaś mi zdradą...

Jej słowa zaparły mi dech w piersiach i zdusiły moją odpowiedź. - Robiłam to dla ciebie - spróbowałam wytłumaczyć. - Wiedziałam, jak bardzo nienawidzisz, kiedy cię dotyka, a nie chciałam, żebyś straciła go dla innej kobiety.

- Ty jesteś inną kobietą - odpowiedziała twardo, głucha na moje błagania.

- Ale nie tak, jak myślisz. Nie pragnęłam niczego, oprócz twojego szczęścia. - Dotknęłam jej ramienia.

Strząsnęła z siebie moją dłoń. - Powinnam była się domyśleć. Powinnam była tyle o tobie wiedzieć. Jesteś nienormalna. Wiesz o tym? Odwracasz się od własnego dziecka. Wolisz towarzystwo starej wariatki niż własnej matki. W dzień udajesz moją przyjaciółkę, a w nocy sycisz się żądzą mojego męża. Co z ciebie za demon?

- Sama sobie na to odpowiedz - odcięłam się, wpadając w złość. - Twój mąż to nie jedyne, co nas łączy. Co zrobisz, kiedy mnie wyrzucisz? Kto będzie cię kochał tak, jak ja?

- Zamilcz, zamilcz natychmiast - głos Sudżaty Akki podniósł się do krzyku. - Jesteś nikczemna. Wiem, że użyłaś czarów, żeby uczynić ze mnie swoją niewolnicę... żeby zmusić mnie do robienia rzeczy, jakich nie zrobiłaby żadna kobieta... ale to już się skończyło, już więcej ci się to nie uda. Wynoś się z tego domu, zanim każę cię wyrzucić.

Opuściłam Ćettiar Kottaji. Nie odebrałam pieniędzy, które mi była winna za moją pracę. Nie chciałam mieć więcej z nią nic wspólnego. Wykoślawiła moją miłość w coś tak ohydneho, że nie mogłam tego znieść.

Ublagałam moich braci o kilka dni zwłoki. - Potrzebuję jeszcze trochę czasu - powiedziałam. - Sudżata Akka załatwia mi miejsce w szkole w Kanćipuram - skłamałam, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. Myślałam tylko o tym, żeby położyć się i zasnąć. - Będę musiała zostać tu z dzieckiem jeszcze przez kilka dni. Czy to naprawdę więcej, niż siostra może oczekiwać od braci?

Widziałam, że zbledli. Ale choć niechętnie, wyrazili jednak zgodę.

Leżałam na macie, gapiąc się w sufit. W dole mojego brzucha obudził się tępy ból. Kiedy Sridhar Anna zaczął ze mną sypiać, z początku bałam się, że zajdę w ciążę. Ale on powiedział, że bym się nie martwiła i że będzie uważał. Jakby po to, żeby mnie uspokoić, moje okresy stały się dłuższe i bardziej obfite. A potem przyszedł ból. Tępy ból, który często przechodził w pulsujący; uczucie ociężałości. Tej nocy ból był tak silny, że zrozumiałam, iż nie mogę już dłużej zwlekać z pójściem do lekarza.

Miałam narośl w macicy. Wiele narośli, ściśle rzecz biorąc. Ciało wewnątrz mojego ciała, które żywiło się moim ciałem i rosło. Setka maleńkich dzieciątek pożerających mnie żywcem. Trzeba było usunąć ich dom, macicę. Skąd miałam wziąć pieniądze na operację?

Miałam czterysta rupii. Nigdy nie pomyślałam o tym, żeby odłożyć choć jedną pajkę. Zatrzymywałam dla siebie niewielką sumę, resztę zarobków oddając matce. Gdybym poprosiła, Sridhar Anna dałby mi potrzebne pieniądze. Ale to uczyniłoby ze mnie jego dziwkę. Kogoś, kto przyjmuje pieniądze za to, że pozwala mężczyźnie korzystać ze swojego ciała. Przypomniałam sobie twarz Sudżaty Akki. Nie chciałam niczego, co należało do niej. Ani jej męża, ani jej pieniędzy.

Wracając autobusem do wioski, podjęłam decyzję. Nadeszła pora, żeby chłopiec spłacił swój dług. Nadeszła pora, żeby Murugesan zapłacił za to, co mi zrobił.

Zawiozłam chłopca do Kanćipuram, gdzie mieściły się tkalnie. Tkalnie Murugesana. Murugesana nie było na miejscu. Był teraz bardzo zajęty, bogatym człowiekiem, powiedziano mi. Dużo podróżował. Latał samolotem do obcych krajów. Zamówienia na jego jedwab nadchodziły z bardzo odległych miejsc. Ale ja nie chciałam widzieć się z Murugesanem. Wystarczył jego zarządca. Jego zarządca wiedział, o co mi chodzi. Przede mną były tu inne, takie jak ja. Dla niego była to rutynowa sprawa. Codziennie przyjmowano chłopców do naciągania osnowy i podawania wątków, składających się na zawile wzory jedwabnych sari. Oddałam więc chłopca w termin na dwa lata do tkalni Murugesana, w zamian za pięć tysięcy rupii. Zapłata za jego pracę wynosiła dziesięć rupii dziennie. Trzydzieści dni dawało trzysta rupii; dwanaście miesięcy przyniosłoby trzy tysiące sześćset rupii. Potrzebne mi było tylko pięć tysięcy rupii. Reszta opłaci utrzymanie chłopca.

Ogarnęła mnie perwersyjna satysfakcja. Murugesan może o tym nie wiedzieć, ale sprzedawałam mu jego własnego syna. Odebrałam wreszcie czynsz za dziewięć miesięcy, które we mnie mieszkał. Dzięki pieniądzom za jego krew i pot zniszczę mieszkanie, a wraz z nim to, co nas ze sobą łączyło.

- Czy to jest nowa szkoła, do której posyła mnie Sudżata Akka? Nie wygląda jak szkoła - powiedział chłopiec. Miał dopiero osiem lat, ale rozumiał więcej, niż mu mówiono.

Kiwnęłam głową, ale potem zdecydowałam jednak, że powiem mu prawdę. - To nie jest szkoła. To tkalnia. Nauczają cię tutaj zawodu, tkania. W tym sensie to szkoła.

Nic nie powiedział. Patrzył na swoje stopy. Oddałam mu małą płócienną torbę z jego rzeczami i ubraniami. - Muszę już iść - powiedziałam.

- Przyjedziesz zabrać mnie do domu? - spytał.

- Nie ma już domu. Ale niedługo po ciebie wrócę - powiedziałam, odchodząc.

Po operacji ból zniknął, ale uczucie ociężałości pozostało. Uwiesiło się u moich stóp i paraliżowało umysł. Postanowiłam zostać w Kanćipuram. Wioska z mangowym sadem i Ćettiar Kottaji łączyła się ze zbyt wieloma wspomnieniami. Znalazłam posadę kucharki. Całą serię posad. Kiedy moja skóra zaczynała nasiąkać domowymi zapachami, odchodziłam. Stałam się niespokojnym duchem, spaczonym i zgorzkniałym. Czasami myślałam o przeszłości i czułam, jak coś ożywa w próżni, którą teraz w sobie nosiłam.

#

Rok później umarł Murugesan. Dowiedziałam się o tym z tamilskiej gazety, którą kupowali moi pracodawcy. Poleciał w interesach do Singapuru i tam dostał zawału. Zwłoki dotrą do domu, przeczytałam w gazecie, w ciągu trzech, czterech dni.

Droga prowadząca na miejsce kremacji biegła o dwie ulice od domu, w którym pracowałam. Czekałam, nadstawiając uszu. Za każdym razem, kiedy słyszałam kondukt żałobników, pędziłam na taras, z którego mogłam jak na dłoni obserwować przebieg wypadków. Czwartego dnia po artykule w gazecie przeszła procesja pogrzebowa Murugesana. Leżał na desce, ubrany w roziskrzoną biel. Gdyby umarł w mieście, posadziliby go w fotelu, jak za życia. Ale jego ciało zdążyło już zeszywnieć i żeby go posadzić, musieliby połamać kręgosłup, ręce i nogi.

Powietrze rozbrzmiewało dźwiękami bębnów, a jego synowie, jego legalni synowie, szli za zwłokami, dźwigając dzbany z wodą. Sypano kwiaty i ucieszyłam się, że nie ma wśród nich gałązek marikkolundu. Płatki róż i nagietki, girlandy chryzantem i konwalie - powietrze było ciężkie od woni kwiatów i kadzideł. Lekkostopi ulicznicy tańczyli, jak zawsze na pogrzebach, wijąc się i skręcając w radosnym szale, gwizdząc przez zęby do rytmu bębnów. Dostrzegłam wśród nich chłopca.

Tańcz, tańcz, powiedziałam mu. Tańcz na pogrzebie własnego ojca i niech jego duch spogląda na ciebie ze smutkiem. Że z takim radosnym zapamiętaniem świętujesz jego odejście.

Miejsce kremacji tonęło w blasku popołudniowego słońca. Był miesiąc styczeń. Wkrótce miał zapaść zmierzch. Jakie to dziwne, pomyślałam, uderzona zbiegiem okoliczności. To właśnie w styczniu zniszczył moje życie, i oto teraz inny styczeń położył kres jego własnemu.

Zza kępy drzew na skraju placu obserwowałam układanie drew. Budowę stosu pogrzebowego, który wkrótce powala niebo smrodem śmierci. Kiedy zostanie już z niego tylko popiół i wszyscy rozejdą się, podczę jego popioły i będę na nie pluła.

Syn Murugesana, jego legalny syn, podpalił stos, a chłopiec stał z boku, przyglądając się. Co on tam robi, zastanawiałam się.

Buchnęły płomienie. Dobięły mnie głosy: Ciało nie chce się palić. Na pewno przez te wszystkie chemikalia, którymi je zakonserwowali. Dajcie więcej drew. Trzymaj, chłopcze, dołóż to do stosu.

Płomienie zgasły. Przerażony szept: ciało jest nietknięte. Zwęgliło się w paru miejscach i odlazła skóra. Nie pozwólcie, żeby zobaczyli to jego synowie. Zostawcie tu kogoś, niech dopilnuje, żeby resztę zrobili ludzie. Nie mamy tu nic więcej do roboty... Hej, chłopcze, jesteś z tkalni Murugesana? Zostań tu i miej oko na ludzi, kiedy będą próbowali spalić ciało...

No i w końcu to właśnie chłopiec odprowadził swojego ojca w ostatnią podróż. Na placu kremacji nie zostało żywej duszy, oprócz niego, ludzi pracujących przy stosie i mnie.

Pod osłoną mroku stałam i patrzyłam, jak chłopiec zbiera drwa żeby znowu podpalić stos. Patrzyłam, jak przetrząsa plac w poszukiwaniu drewna na podpałkę, pozostałego z innych pogrzebów patyków, gałązek, suchej trawy... wszystkiego, co mogłoby dać płomień. Twarz chłopca stężała od smutku; a może była to litość?

Podkrađłam się bliżej i zobaczyłam na poły zwęglone, na poły nietknięte zwłoki. Dorośli mężczyźni, krewni Murugesana, odeszli niezdolni stawić czoła widokowi tego przerażającego stwora. O czym myślał chłopiec, podpalając drugi stos drew? Poczułam, że ogarnia mnie ogromny smutek. Ot, do czego go doprowadziłam. Uczyniłam z niego ćandala. Strażnika grobów, nadzorcę umarłych. Nie zasłużył sobie na to. Ani na nic innego, co go spotkało.

Płomienie ogarnęły drwa, a wraz z nimi spłonęła także moja nienawiść. Cóż jeszcze pozostało na tym świecie dla mojej nienawiści? Murugesan obrócił się w kupkę dymiącego popiołu. Był jeszcze Muthu. Ale za co miałam go nienawidzić? Gorycz rozwiała się z dymem. - Muthu - zawołałam cicho.

Odwrócił się w moją stronę. Zobaczyłam, że jego twarz rozjaśnia się radością. Spodziewałam się wrogości, gniewu, a nie tej nieskalanej radości. Po raz pierwszy poczułam wstyd. Nie poczucie winy, że odrzuciłam go jako niemowlę, niechże pani zrozumie. Lecz wstyd, że go wykorzystałam. Czym się różniłam od całego szeregu ludzi, którzy wykorzystali mnie i porzucili, kiedy już przestałam im być potrzebna? Wiedziałam, że będę musiała mu to wynagrodzić.

Czekało mnie wiele pracy, zanim mogłam wziąć go do siebie. Musiałam znaleźć pieniądze, żeby go wykupić. Missy Kej, pomyślałam. Missy Kej zrozumie i pomoże. Niewykluczone nawet, że znajdzie mi pracę w swoim mieście.

I znowu poczułam ożywienie w mojej widmowej macicy. Oto miało narodzić się moje dziecko.

Pamięta pani, jak pani mówiłam, że moje życiowe role nie trzymają się właściwego porządku; nie mają żadnego wyczucia kolejności. W tamtym momencie po raz pierwszy w życiu wzięłam w swoje ręce kontrolę nad moim losem. Nie zamierzałam prowadzić wojny ani rządzić państwem. Wszystko, czego chciałam, to własnej miarki szczęścia. Wszystko, czego chciałam, to być matką Muthu.

Tak długo wystarczało mi, że byłam siostrą prawdziwej rzeczy. Zastępczą panią domu. Zastępczą matką. Zastępczą kochanką. Ale teraz chciałam czegoś więcej. Chciałam być prawdziwą rzeczą.

11

AKHILA MÓWI

Akhila siedzi na ławce na plaży. Postanawia, że będzie tu siedzieć, dopóki nie zapalą się latarnie, a wtedy wróci do hotelu. Niedaleko, pomiędzy nią a morzem, młody człowiek stoi oparty o swój motocykl. Odwrócony plecami do morza, próbuje przypalić papierosa. Lekki wiaterek podnosi jego włosy i rzuca mu je na czoło. Jego twarz jest puciołowata i chłopcęca pomimo gęstych wąsów. Jego oczy nie są jednak oczami dziecka; ciało, które opinają obcisłe niebieskie dżinsy i koszulka w kolorze rdzy, jest prowokująco wręcz męskie, myśli Akhila. Kiedy unosi głowę znad osłaniających zapalniczkę dłoni, ich oczy spotykają się ze sobą. Na jego badawcze spojrzenie Akhila odpowiada własnym badawczym spojrzeniem. Mężczyzna spuszcza wzrok. Po chwili Akhila patrzy, jak odjeżdża. Uśmiecha się. Nigdy dotąd nie zasmakowała takiej władzy.

Już od dwóch dni Akhila mieszka w hotelu w Kanyakumari. Hotel stoi przy plaży i nazywa się Sea Breeze. Z werandy przechodzi się do niewielkiego holu. Pod jedną ze ścian stoi kanapa z obiciem w tureckie wzory. Przeciwną ścianę pokrywa ogromny fresk. Recepcjonista w białej koszuli i czarnych spodniach uśmiecha się do niej i tytułuje ją „Madame”.

Hotel ma własną restaurację. Serwującą proste wegetariańskie jedzenie. Akhila trzy razy dziennie siedzi samotnie przy stoliku, za każdym razem zamawiając nowe danie. Zdażyła już spróbować wszystkiego, co mają w karcie.

Zatrzymują się tu rodziny i starsze małżeństwa. Turyści i pielgrzymi. Akhila nie wie, do której kategorii przynależy. Ale to bez znaczenia. Przysłuchuje się wirującym wokół niej rozmowom.

Akhila ma pokój z widokiem na morze. Ze swojego balkonu może oglądać wschody i zachody słońca. Pod linią horyzontu woda odpoczywa, nieruchomy arkusz miedzianej blachy. Codziennie, wieczorem i rano, wychodzi na spacer. Czasami ludzie gapią się na nią. Nie są przyzwyczajeni do widoku samotnej kobiety. Co innego cudzoziemka, to potrafią zrozumieć, ale Hinduska... Mija ich wolno, nie przyspieszając kroku ani nie dając im poznać, że czyta w ich spojrzeniach. To bez znaczenia. Teraz już jej to nie obchodzi.

Czterdziestopięcioletnie stare panny cieszą się ustaloną opinią. Słyną z pedanterii; z małostkowości wpisanej w zaciśniętą linię ust; z wyschniętych porów, szparek i kanałów; z graniczącego z obsesją egocentryzmu i niezawodnej zdolności znalezienia skazy we wszystkim, co piękne i niezbrukane.

I tak też było z Akhilą. Stara panna. Starsza siostra. Niegdyś żywicielka rodziny. Nadal dojna krowa.

Ale Akhila jest pewna, że nie da się więcej wykorzystywać swojej rodzinie. Popatrzcie na mnie, powie im. Popatrzcie na mnie: Jestem kobietą, którą wydaje wam się, że znacie. Jestem waszą siostrą, nad którą tyle się zastanawialiście. Tej Akki już nie ma. Ponieważ odnalazłam w sobie kobietę.

Następnego wieczora czeka na nią. W niebieskich dżinsach i oliwkowej koszulce, oparty o motocykl. Udając, że go nie widzi, siada na swoim zwykłym miejscu. On chrząka, żeby przeczyścić gardło. Ona odwraca się w jego stronę i uśmiecha się. - Dzień dobry - mówi.

Dostrzega zmieszanie na jego twarzy. W tym świecie kobiety nie odzywają się pierwsze, a już na pewno nie do obcych.

- Jak ci na imię? - pyta Akhila. A potem zmienia zdanie i mówi: - Właściwie to nie mów. Nie chcę znać twojego imienia.

- Winod. Mam na imię Winod - odpowiada pospiesznie. Akhila przygląda mu się. Musi mieć około dwudziestu pięciu lat.

Wstaje i odchodzi, czując na sobie jego wzrok.

Akhila odkrywa, że lubi być sama. Nie ma już żadnych wątpliwości co do tego, jak będzie wyglądało jej życie, kiedy zamieszka sama. Może nie będzie tak, jak sobie wymarzyła, ale zrobi przynajmniej wysiłek, żeby się o tym przekonać. Być może to jest wszystko, czego teraz jej w życiu potrzeba. Móc spróbować i sprawdzić...

Akhila siedzi nad brzegiem morza. Młodego człowieka nie ma. Przez moment, tylko przez krótki moment, Akhila czuje ukłucie rozczarowania. Zamyka oczy i oddaje się pieszczocie wiatru. Po raz pierwszy w życiu Akhila rozumie, co to znaczy napawać się chwilą.

Motocykl mija ją z warkotem i gwałtownie hamuje. Akhila nie otwiera oczu. Słyszy chrząknięcie anon-sujące czyjąś obecność. Akhila otwiera oczy. To młody człowiek.

- Dzień dobry - mówi Akhila. Widzi błysk ulgi w jego oczach.

- Nie byłem pewien... czy pani... tu będzie. Myślałem, że może będzie mnie pani unikać - dobiera niepewnie słowa.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - pyta Akhila.

- Nie wiem... wczoraj zacząłem z panią rozmawiać - mówi, przeczesując dłonią włosy.

- Nie zacząłeś. To ja pierwsza do ciebie się odezwałam - poprawia go Akhila.

- Skąd pani przyjechała? - pyta niespodziewanie.

Akhila uśmiecha się. Chłopiec, udający mężczyznę, myśli.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Widzi, że spuszcza oczy.

- Dlaczego nie usiądziesz? - pyta, gestem dłoni wskazując miejsce obok siebie. Akhila wie, co to za uczucie być kotem w zabawie w kotka i myszkę.

W nocy sny Akhili przyjmują formę nieustannego szukania. Budzi się z kredowym smakiem w ustach i narastającym uczuciem bezradności. Wiem, co chcę zrobić. Dlaczego więc moje sny wprawiają mnie w stan takiego przygnębienia, pyta siebie któregoś ranka. Tego dnia Akhila postanawia uwieść młodego człowieka. I tym ostatnim aktem przypieczętować swoją decyzję. Tam, gdzie pójdzie ciało, podąży też umysł, mówi sobie, odrzucając wszystko, co jej wpojono. Pojedynczy akt odwagi, który wprowadzi ją na zupełnie nowy grunt. Gdyby tu była góra, Akhila spróbowałaby się na nią wdrapać. Czuje przycupnięte w skroniach pożądanie, które domaga się, by była mu posłuszna.

Akhila wymyśla grę: jeśli to on zrobi pierwszy krok, nie posunę się dalej. Nie chcę, żeby mężczyzna poszerzał swoje horyzonty przy pomocy mojego ciała. Nie chcę stać się kolejnym doświadczeniem.

Podchodzi do ławki. Już tam na nią czeka. Uśmiech szarpie kąci jej ust. Pochyla głowę, by go ukryć. Kiedy podnosi twarz, on widzi na niej ledwie cień uśmiechu.

- Dzień dobry - mówi. - Przyszła dziś pani później.

Wzrusza ramionami i siada. On czeka, aż mu zaproponuje, by do niej dołączył. Akhilę zaczyna bawić ta gra.

Patrzy na morze.

- Nie zamierzasz usiąść? - pyta.

- Skąd pani przyjechała? - powtarza pytanie z poprzedniego dnia.

Uśmiecha się i potrząsa głową. - Nie lubię pytań - mówi. Dlaczego nie chcę mówić o sobie, pyta sama siebie. To tylko na teraz. To musi skończyć się tu, gdzie się zaczęło. Dlatego odpowiada na swoje pytanie.

Nie wie, czy ma się poczuć zbesztany i odejść. Nie potrafi określić, czego ona chce, a mimo to ociąga się z odejściem. Żeby wypełnić milczenie, żeby opóźnić swoje odejście, zaczyna opowiadać o sobie. Akhila pozwala, by jego słowa wpadały jednym uchem i wypadały drugim. Widzi, że przechodnie zaczynają im się przyglądać. Myśli o tym, co zobaczą: kobietę w średnim wieku i młodego mężczyznę. Myśli o domysłach, które będą snuli. Myśli, że to, co zobaczą, i to, co powiedzą, jest dla niej bez znaczenia.

Odwraca się i patrzy na niego. Jutro jeszcze raz zagra w tę grę, a potem zrobi to, co ma zrobić. A następnego dnia nadejdzie chwila wyjazdu.

Rano uwagę Akhili przyciągnął artykuł w gazecie na temat zbiorowego samobójstwa. Cała rodzina w małym miasteczku w Kerali. Ojciec rodziny podał truciznę żonie i czwórce dzieci, a potem powiesił się na haku w suficie. W liście, który pozostawił, pisze o poczuciu beznadziejności. Miał AIDS i nie chciał, żeby z jego powodu rodzina została wyrzucona poza nawias społeczeństwa. Nie zna innego sposobu, żeby uchronić ich od hańby i nieszczęścia, napisał.

Czy jego żona chciała umrzeć razem z nim? A dzieci?, myśli Akhila. Jak śmie odbierać im życie, jakby miał prawo decydować, czy mają żyć, czy umrzeć?

Akhila odwraca z oburzeniem stronę. Myśli, że jeszcze dwa tygodnie temu przeczytałaby ten artykuł, nie przejmując się losem żony i dzieci.

Po raz pierwszy Akhila wspomina Sarasę Mami nie z żalem, lecz z podziwem. Różnica polega na tym, teraz Akhila to wie, że Sarasa Mami żyła najlepiej, jak potrafiła; podczas gdy ona, Akhila, nie.

Akhila wpatruje się w swojego młodego człowieka, jakby chciała wyryć w pamięci każdy szczegół jego twarzy. Czeką na nią, wierny, pokorny, i wciąż niezdolny wytrzymać jej spojrzenia. Nie robi pierwszego kroku, to jasne. Wygrał swoją grę, czy może ją przegrał?, zastanawia się Akhila. Tylko teraz nie stchórz, upomina się surowo. Chcesz tego. Potrzebujesz. Musisz być w stanie to zrobić.

Ujmuje jego dłoń i mówi: - Mieszkam w hotelu Sea Breeze. Może odwiedzisz mnie później?

Dwie godziny później dzwoni telefon. W głosie recepcjonisty słychać ciekawość i dezaprobatę. - Jest tu pan Winod. Mówi, że jest pani krewnym. Czy mam go wpuścić na górę?

Akhila uśmiecha się do słuchawki. - Tak.

Otwiera drzwi i wychodzi na balkon. Słyszy, jak zamyka za sobą drzwi. Czeka, żeby przekręcił klucz. Kiedy to robi, uśmiecha się znowu. Wie, czego on chce. Chce tego samego.

Staje obok niej.

- Uwielbiam morze nocą. W nocy pieści wszystkie nasze zmysły - mówi Akhila. Przysuwa się bliżej do niej. Akhila wydaje się teraz, że słyszy bicie jego serca. Rany, on się boi, śmieje się w duchu. Czeka, żeby pomogła mu zacząć.

- Masz kondom? - pyta. Nie pomyślał o tym. Odwraca się i wychodzi. Przez krótką, króciutką chwilę Akhila sądzi, że ostudziła jego zapal. A potem uświadamia sobie, że wróci.

Kiedy wraca, pozwala mu się kochać przy oknach i drzwiach balkonowych szeroko otwartych na noc i przy zapalonym świetle. Kiedy wyciąga rękę, by je zgasić, powstrzymuje go. - Czego się wstydzisz? - pyta.

Spieszy się, żeby w nią wejść. Wyślizguje mu się i prowadzi jego dłonie do swoich piersi. - Powoli, powoli, nigdzie ci nie ucieknę.

Ale on nie może się powstrzymać, rozsuwa jej nogi. Przeszywa ją spazm bólu. Tyle czasu minęło od Harry'ego. Lecz pożądanie bez trudu otwiera ciało, pożądanie zalewa Akhilę gorącą falą. Pożądanie, które narasta, utrzymuje się i cofa. Pożądanie, które promieniuje ognistym żarem. Energią oznaczającą życie. Akhila jest pożądaniem. Akhila jest Śakti. Akhila jest Akhilandeswari poszatkwana na dziesięć bytów.

Kali. Gotową zniszczyć wszystko, co stanie pomiędzy nią i upływem czasu.

Tara. Ze złotym embrionem, z którego rozwinię się nowy wszechświat. Stanie się swoją własną próżnią i nieskończonością.

Szołasi. Szesnastoletnią dojrzałością. Hołubiącą marzenia i nadzieje. Nawet teraz, w wieku czterdziestu pięciu lat.

Bhuwaneśwari. Wzbierają w niej moce materialnego świata.

Bhajrawi. Szukającą sposobów i środków, by zaspokoić swoje pragnienia, zanim będzie za późno.

Ćinnamastā. Nagą boginią trwającą w stanie samopodtrzymywania w świecie stworzenia; umożliwiającą cykliczne zniszczenie i odrodzenie.

Dhumanti. Personifikacją nieszczęścia. Starą wiedźmą dosiadającą osła z miotłą w dłoni i krukiem na sztandarze.

Bagalā. Żurawioogłową, szpetną stroną wszystkiego, co żyje. Jest zazdrością, nienawiścią, okrucieństwem, tym i nie tylko.

Matangi. Dążącą do władzy.

Jest jeszcze Kamala. Czysta samoświadomość, wyświadcza dobra i uśmierza lęki... Akhila, jaką znała jej rodzina.

Oto, kim jest Akhila. Razem i oddzielnie. Akhila pojmuje to, gdy jej ciało wędruje przez katakumby doznań. Fala za falą przenosi ją w dół podziemnego strumienia, przez tyle lat odciętego tamą. Akhilę opuściły wszystkie lęki. Dlaczego więc miałyby chodzić z opuszczoną głową?

Odrzuca głowę do tyłu i wykrzykuje swój triumf.

Młody człowiek stoi przy drzwiach i pyta: - Czy mam przyjść jutro?

Akhila uśmiecha się. Nie zapytał jej nawet, jak ma na imię. Czyli dokładnie tak, jak tego chce. Potrzeba zaspokojona. Przeszłość oczyszczona. Teza udowodniona. Starszy mężczyzna chciałby wiedzieć znacznie więcej. Starszy mężczyzna chciałby grać pierwsze skrzypce. Akhila uśmiecha się znowu, bo odkryła właśnie, jak łatwo przychodzi uśmiech, kiedy ma się swoje życie dokładnie w tym punkcie, w którym się chce.

Rano Akhila budzi się, myśląc o Harim. Czy to rozsądne z jej strony, zastanawia się. Hari na pewno ułożył już sobie życie, a ona tu zachowuje się jak bohaterka książki o miłości. Kiedyś wydawało jej się, że nigdy nie zdoła pokochać innego mężczyzny, tak jak kochała Hariego. Ciałem i duszą. Tego ranka myśli, że wszystko może się zdarzyć. Że starczy jej odwagi, by wrócić do miejsca, w którym zatrzymała się, i zacząć od nowa. Że choć tak gorąco pragnie Hariego, jeszcze goręcej pragnie żyć.

I oto więc Akhila otwiera torebkę i wyjmuje z niej notatnik z adresami, gdzie imię Hariego widnieje pośród kilku innych. Podnosi słuchawkę i zamawia międzymiastową z przywołaniem. Czy go zastanie?, zastanawia się. Czy będzie ciekaw, co się z nią działo przez te wszystkie lata? I dlaczego postanowiła wtedy od niego odejść?

Zastanawia się, czy to rozsądne. Hari mógł się ożenić. Mógł wyjechać z Madrasu. Ale nosi w sobie to marzenie, więc czeka...

Poczekaj jeszcze godzinę, a potem pojedzie na dworzec. Odzyskać kontrolę nad swoim życiem, myśli, patrząc na bilet powrotny.

#

Na stoliku przy łóżku dzwoni telefon. Akhila zbliża się do niego. Serce wali jej młotem. Zastanawia się: czy to może być on?

Głos Hariego jest cichy i zaciekawiony; a także pełen niedowierzania.

- Dzień dobry - mówi. - Tu Akhila. Akhilandeswari.

Przypisek autorki

Do 1998 roku na dworcu kolejowym Bangalore Cantonment funkcjonowało oddzielne okienko dla pań, osób starszych i niepełnosprawnych. Zaś wagony drugiej klasy większości pociągów nocnych miały specjalne przedziały dla pań.

Od tamtej pory wszystkie dworce zlikwidowały oddzielne kolejki dla kobiet. Słyszałam z rozlicznych, zbliżonych do kolei źródeł, przede wszystkim od zawiadowców stacji i konduktorów, że nie ma już przedziałów dla pań i że nowe wagony kolejowe są pozbawione przedziałów.

TLR